

# French Nicci

## Tajemniczy uśmiech

*Zrywając z Brendanem, Miranda nie ma pojęcia, że kończy romans jednostronnie. Wkrótce okazuje się, że Brendan spotyka się z jej siostrą... Mężczyzna jest wszędzie, coraz bardziej utrudnia Mirandzie życie, właściwie nie wiadomo, dlaczego. Maniak? Obsesjonat? Paranoik?*

## 1

Miewam ostatnio sen, ciągle ten sam, i za każdym razem wydaje mi się bardzo realny. Znów jestem na lodowisku tamtego popołudnia, kiedy po raz pierwszy spotkałam Brendana. Mróz szczypie w policzki, zewsząd dolatuje szum łyżew ślizgających się po lodzie i nagle go zauważam. Patrzy na mnie tym swoim zabawnym spojrzeniem, jakbym zwróciła jego uwagę i teraz głęboko się nad czymś zastanawia. Wciąż na nowo spostrzegam, że jest przystojny, chociaż nie w sposób, który poraża od pierwszej chwili. Włosy ma czarne i połyskliwe jak skrzydła kruka, twarz owalną z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Wyraz twarzy sugeruje lekkie rozbawienie, jakby patrzył na coś śmiesznego, czego inni nie widzą, i to mi się w nim podoba. Zerka raz i drugi, wreszcie rusza w moim kierunku, żeby się przywitać. A ja we śnie myślę sobie: Boże, dostałam drugą szansę. Nie mogę do tego dopuścić. Muszę go powstrzymać już w tym momencie, zanim cokolwiek między nami się zacznie. Ale nie potrafię. Słucham go z uśmiechem, potem odpowiadam. Nie docierają do mnie słowa, nie wiem, o czym rozmawiamy, ale musi to być coś zabawnego, bo Brendan śmieje się głośno, potem mówi coś, co z kolei mnie rozbawia. I tak to trwa. Jesteśmy jak aktorzy w ślamazarnym przedstawieniu.

## 2

Bez namysłu wypowiadamy kwestie, wiedząc doskonale, co później się przydarzy bohaterom. Nigdy wcześniej się nie spotkali, lecz on zna jej przyjaciela, oboje są więc zaskoczeni, że dopiero teraz się poznali. Próbuję się powstrzymać, wiedząc, że to tylko sen, choć odruchowo odpycham od siebie tę świadomość. Lodowisko to doskonale miejsce do nawiązania znajomości, zwłaszcza gdy żadne z nich nie umie jeździć na łyżwach. Muszą się więc nawzajem podtrzymywać i nie ma nic złego w tym, że on obejmuje ją w pasie, przy czym oboje śmieją się w głos z własnej nieporadności. Później pomaga jej rozsypać zamrożone sznurówki, kładąc jej nogę na swoim kolanie. A kiedy nadchodzi pora pożegnania, także nie ma nic dziwnego w tym, że on prosi o numer telefonu.

Ją samą zaskakuje chwila zawahania. To prawda, że świetnie się bawiła, tylko czy na pewno zależy jej w tej chwili na podtrzymaniu znajomości? Spogląda na niego uważnie. Oczy mu błyszczą od mrozu. Uśmiecha się zachęcająco. Po prostu łatwiej jest dać mu numer, więc to czyni, chociaż ze wszystkich sił próbuję ją ostrzec, by tego nie robiła. Ale moje krzyki są bezgłośne. Poza tym, ona jest mną, zatem nie może jeszcze wiedzieć, co się wydarzy. Tylko ja to wiem.

Niemniej zachodzę w głowę, skąd mogę wiedzieć, że spotkają się jeszcze dwukrotnie — najpierw na drinku, a potem w kinie — zanim wylądują na sofie w jej mieszkaniu, gdy ona pomyśli: do diabła, czemu nie? I gdy o tym myślę, dociera do mnie, że skoro wiem, co się wydarzy, to zapewne nie mogę już tego zmienić. Ani trochę. Wiem, że prześpią się jeszcze dwa, może trzy razy. Zawsze w jej mieszkaniu. I później zauważy w łazience cudzą szczoteczkę do zębów. Przeżyje chwilę rozterki, postanowi, że musi to sobie dobrze przemyśleć. Jednakże już następnego popołudnia bez trudu podejmie decyzję. Mniej więcej w tym właśnie momencie, kiedy

ona wraca z pracy do domu, otwiera drzwi swego mieszkania  
— zawsze się budzę.

Po tygodniach deszczów i szarugi nastąpiło wreszcie piękne jesienne popołudnie. Błękitne niebo utraciło srebrzysty odcień, zelżał wiatr strącający uschnięte liście z drzew. Miałam za sobą długi dzień, którego większą część spędziłam na drabinie, malując sufit, więc bolał mnie kark i ramiona, czułam się wypompowana, a w dodatku na dłoniach i we włosach pstrzyły się białe cętki zaschniętej farby emulsyjnej. Marzył mi się wieczór w samotności, gorąca kąpiel i kolacja w szlafroku przed telewizorem. Tost z serem i zimne piwo.

Otworzyłam drzwi, weszłam do mieszkania, postawiłam torebkę na podłodze. I wtedy zobaczyłam Brendana. Siedział na sofie, a raczej na wpół leżał z nogami w górze. Na podłodze obok stała filiżanka herbaty. Czytał coś, co w pośpiechu zamknął! na mój widok.

— Miranda! — Zdjął nogi z poduszki i wstał szybko.

— Sądziłem, że wrócisz później. — Objął mnie i pocałował.

— Napijesz się herbaty? Zaparzyłem w dzbanku. Wyglądasz na zmęczoną.

Nasunęło mi się tyle pytań, że nie miałam pojęcia, od którego zacząć. W zasadzie nie wiedział nawet, czym się zajmuję. Na jakiej podstawie sądził, że wrócę później z pracy? A przede wszystkim, co robił w moim mieszkaniu? Zachowywał się tak, jakby już tu mieszkał.

— Możesz mi wyjaśnić, co tu robisz?

— Nie było cię, więc otworzyłem drzwi zapasowym kluczem spod doniczki. Chyba nie masz nic przeciwko temu, prawda? Wiesz, że masz farbę we włosach?

Podniosłam z sofy to, co czytał. Nie była to książka, tylko stary powycierany zeszyt w wyblakłej twardej czerwonej okładce z pękniętym grzbietem. Jeden z moich starych pamiętników.

— Przecież to osobiste zapiski — powiedziałam. — Bardzo osobiste.  
— Nie mogłem się pohamować — odparł z tym swoim łobuzerskim uśmiechem. Szybko spoważniał, dostrzegłszy moją minę. Podniósł w górę obie ręce. — Rozumiem. Przepraszam, popełniłem błąd. Chciałem jak najwięcej się o tobie dowiedzieć, przekonać się, jaka byłaś, zanim się spotkaliśmy.

Wyciągnął rękę i ostrożnie musnął palcami grudkę farby w moich włosach, jakby chciał ją strzepnąć. Odsunęłam się.

— Nie miałeś prawa tego robić. Znów się uśmiechnął.

— To się więcej nie powtórzy — rzekł przymilnym tonem. — W porządku?

Wzięłam głębszy oddech. Nie, moim zdaniem to nie było w porządku.

— Pisałaś to, mając siedemnaście lat — wyjaśnił. — Miło było cię poznać jako siedemnastolatkę.

Spojrzałam na niego, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że kurczy się, szybko znikając w oddali, jakby stał na peronie, a ja patrzę z okna odjeżdżającego pociągu, zostawiając go na zawsze. Zaczęłam się zastanawiać, jak to powiedzieć na tyle jasno i kategorycznie, na ile tylko można. Przyszło mi do głowy zdanie: „Wydaje mi się, że to już nie działa”, ale przecież nasz związek nie był maszyną, która nagle przestała funkcjonować, bo coś się w niej zepsuło. Mogłam też powiedzieć: „Wydaje mi się, że nie ma sensu dalej tego ciągnąć”, jakbyśmy razem wędrowali drogą i spostrzegłabym nagle, że zbliżamy się do rozstajów albo droga urywa się pod wielkim osypiskiem ziemi i kamieni. Miałam jeszcze do wyboru: „Nie chcę się z tobą dłużej widywać”, lecz nie chodziło mi przecież o samo widywanie, ale o dotykanie, przytulanie, pożądanie. A gdyby zapytał: „Czemu to ma być koniec?” albo „Co złego zrobił-

łem?", nie mogłabym odpowiedzieć: „Bo działasz mi na nerwy" ani „Twój uśmiech zaczął mnie nagle wkurzać" czy też „Poznałam kogoś innego". Oczywiście musiałabym rzec: „Nie zrobiłeś nic złego. Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie". Takich rzeczy każdy się uczy z czasem. Jeszcze zanim podjęłam ostateczną decyzję, jak załatwić tę sprawę, rzuciłam odruchowo:

— Wydaje mi się, że nie ma sensu tego kontynuować. Przez chwilę spoglądał na mnie w zdumieniu, wreszcie zbliżył się o krok i położył mi rękę na ramieniu.

— Mirando... — zaczął.

— Przykro mi, Brendanie. — Chciałam powiedzieć coś zupełnie innego, ale ugryzłam się w język.

Wciąż trzymał rękę na moim ramieniu.

— To pewnie tylko przemęczenie — rzekł. — Może weźmiesz gorącą kąpiel i przebierzesz się w domowe ubranie.

Odsunęłam się, strącając rękę.

— Mówię poważnie.

— Nie wierzę.

— W co?

— Jesteś przed miesiączką?

— Brendan!

— A więc zgadłem. Będziesz miała okres, prawda?

— Wcale nie żartuję.

— Mirando... — zaczął znów łagodnym tonem, jakbym była spłoszonym koniem, do którego zbliżał się powoli z kostką cukru na wyciągniętej dłoni. — Przecież było nam ze sobą bardzo dobrze. Dlaczego chcesz nagle zerwać? Przypomnij sobie te wszystkie wspaniałe noce i dni...

— Dokładnie osiem.

— Słucham?

— Tyle razy się spotkaliśmy. Według ciebie to dużo?

— Za każdym razem było cudownie.

Miałam już na końcu języka: „Nie dla mnie”, gdy uzmysłowiłam sobie, że to prawda. W końcu nie mogłam powiedzieć, że było to całkiem bez znaczenia. Po prostu coś się wydarzyło i tyle. Wzruszyłam ramionami. Nie miałam ochoty wyklądać mu tego prosto z mostu. Nie chciałam żadnej dyskusji. Pragnęłam tylko, by sobie poszedł.

— Umówiłem się z grupą znajomych na drinka dziś wieczorem.

Obiecałem, że przyjdziemy razem.

— Kiedy?

— Za pół godziny. Zagapiłam się na niego.

— Tylko na jednego drinka — dodał.

— Naprawdę chcesz, żebyśmy razem wyszli i udawali, że nadal jesteśmy ze sobą?

— Powinniśmy trochę odetchnąć.

Zabrzmiało to idiotycznie, niczym z ust podrzędnego psychologa w poradni rodzinnej, który udziela rad staremu małżeństwu z wieloletnim stażem, mającemu dorosłe dzieci i pokaźną hipotekę. Nie mogłam się powstrzymać. Wybuchnęłam gromkim śmiechem. Zaraz jednak spoważniałam, pomyślawszy, że to zwykłe okrucieństwo. Brendan wykrzywił usta w grymasie, który tym razem miał z uśmiechem niewiele wspólnego, bardziej przypominał groźne wyszczerzenie zębów.

— Możesz się śmiać — rzekł — skoro znajdujesz powód do śmiechu w tym, że traktujesz mnie w ten sposób.

— Przepraszam — odparłam lekko roztrzęsionym głosem. — To nerwowa reakcja.

— Tak samo odnosisz się do swojej siostry?

— Słucham?

Odniosłam wrażenie, że owionęło mnie lodowate powietrze.

— Mówię o Kerry — wyjaśnił miękkim, rozmarzonym głosem. — Przeczytałem o niej w twoim pamiętniku. Sporo się dowiedziałem. A więc?

Zawróciłam na pięcie do drzwi i otworzyłam je szeroko. Niebo wciąż było błękitne, a lekki wiatr chłodził moją rozpaloną twarz.

— Wynoś się.

— Mirando...

— I lepiej nic już nie mów.

Wyszedł bez słowa. Zamknęłam drzwi po cichu, żeby nie myślał, że trzaskam nimi z wściekłością. Zrobiło mi się nagle niedobrze. Straciłam wszelką ochotę na kolację przed telewizorem. Wypiłam tylko szklanek zimnej wody i poszłam do łóżka, ale nie mogłam zasnąć.

Związek z Brendanem trwał tak krótko, że moja najlepsza przyjaciółka, Laura, która była w tym czasie na urlopie, o niczym nie miała pojęcia. Skończył się definitywnie i odszedł w przeszłość, zanim po powrocie zadzwoniła do mnie, żeby opowiedzieć, jak wspaniale bawili się razem z Tonym. Nie czułam już żadnej potrzeby, żeby mówić jej o Brendanie. Tylko słuchałam, gdy trajkotała jak najęta o wspaniałym wypoczynku, cudownej pogodzie i wyśmienitym jedzeniu. A kiedy wreszcie zapytała, czy się z kimś spotykałam, odparłam, że nie. Uznała, że to zabawne, bo dotarły do niej jakieś plotki. Wyjaśniłam więc, że nie było to nic wielkiego, zresztą i tak się skończyło. Zachichotała i mruknęła, że mimo wszystko chciałyby poznać szczegóły. Ucięłam, że nie ma o czym gadać. Koniec, kropka.

## 2

Minęły dwa tygodnie od zerwania z Brendanem, gdy o wpół do trzeciej po południu, kiedy stałam na drabinie i usiłowałam sięgnąć pędzlem w sam róg pomieszczenia, zadzwonił telefon komórkowy. Uświadomiłam sobie, że jest w kieszeni żakietu, a ja nie mam go na sobie. Pracowaliśmy w świeżo wybudowanym domu w Blackheath, strasznie pudełkowatym, z mnóstwem szkła i sosnowej boazerii, którą właśnie pokrywałam specjalną, prawie bezbarwną farbą olejną sprowadzoną za ciężkie pieniądze ze Szwecji. Zlazłam z drabiny i położyłam pędzel na pokrywie puszeki.

— Słucham.

— Miranda? Tu Kerry.

Zaskoczyła mnie zupełnie. Spotykałyśmy się dość regularnie, mniej więcej co miesiąc, zazwyczaj u rodziców. Poza tym średnio raz w tygodniu rozmawiałyśmy przez telefon, ale to ja do niej zawsze dzwoniłam. Zapytała, czy jestem wolna dziś wieczorem. Byłam wstępnie umówiona, ale dodała, że chodzi o coś bardzo ważnego. Nie prosiłaby o spotkanie, gdyby było inaczej. Więc oczywiście musiałam się zgodzić. Zaczęłam głośno rozważać, gdzie mogłybyśmy się spotkać, okazało się jednak, że Kerry i to zaplanowała. W Camden, niedaleko mojego domu, otwarto zaciszną francuską restaurację, gdzie można było zarezerwować stolik na ósmą. Gdyby nie zadzwoniła po raz drugi, miało to oznaczać, że jesteśmy umówione.

Byłam całkowicie skołowana. Nigdy wcześniej nie organizowała takich spotkań. Rozprowadzając dalej farbę po bezkresnej boazerii, zachodziłam w głowę, co takiego mogło się wydarzyć. Ale nie zdołałam odpowiedzieć nawet na podstawowe pytanie, czy mam się spodziewać dobrych wiadomości czy złych.

## 9

W rodzinie człowiek zawsze jest skazany na tę wizję własnej osobowości, którą mu się przypisuje, żeby nie wiem co robił. Można zostać bohaterem wojennym, a rodzice i tak zawsze będą wspominali jakieś zabawne zdarzenia z okresu przedszkolnego. Trzeba by chyba czmychnąć do Australii, żeby ostatecznie uwolnić się od tego utrwalonego wizerunku. To jak pokój pełen luster, w którym odbicia i odbicia odbić powielają się w nieskończoność. Aż głowa od tego pęka.

Nie wyprowadziłam się do Australii. Mieszkam jakiś kilometr od rodzinnego domu i na dodatek pracuję u wujka Billa. Niekiedy mam wrażenie, że to niemożliwe, by był moim wujkiem, tak bardzo różni się od mojego ojca. Nosi długie włosy, które czasami związuje w kucyk, i rzadko kiedy się goli. Co więcej, znani i bogaci ludzie ustawiają się w kolejce, żeby skorzystać z jego usług. Jest dekoratorem wnętrz, jednakże ojciec stale nazywa go malarzem pokojowym. Pamiętam, że gdy byłam jeszcze dzieckiem, wujek zatrudniał cudaczną gromadkę życiowych nieudaczników i przyjeżdżał poobijaną i zardzewiałą furgonetką, zwykle od kogoś pożyczoną. Ale dzisiaj wujek Bill — choć nigdy się tak do niego nie zwracam — ma wielki gabinet, prężną firmę, dochodowe kontrakty z grupą architektów i długą kolejkę klientów, która ani trochę się nie zmniejsza.

Zjawiłam się w La Table najwyżej minutę po ósmej, lecz Kerry już czekała. Siedziała nad lampką białego wina, którego butelka stała obok w wiaderku z lodem, od razu się więc domyśliłam, że ma dobre wiadomości. Była rozpromieniona, co wyraźnie odbijało się w jej oczach. Zmieniła swój wygląd, od kiedy widziałam ją po raz ostatni. Ja noszę krótko obcięte włosy. Uważam, że jest mi w nich dobrze, a poza tym długie sprawiałyby mi mnóstwo kłopotów w pracy, moczyły się

w farbie albo wkręcały w wiertarkę. Kerry nigdy szczególnie nie dbała o wygląd, nosiła włosy do ramion, ubierała się praktycznie. Teraz miała krótką fryzurę i wyglądała bardzo korzystnie. Odmieniła się niemal w każdym szczególe. Była dużo mocniej umalowana niż kiedykolwiek dotąd, a makijaż umiejętnie podkreślał duże oczy. I miała na sobie całkiem nowe ciuchy — ciemne spodnie z rozszerzanymi nogawkami, białą lnianą bluzkę koszulową i kamizelkę. Wyglądała na podnieconą i zniecierpliwioną. Z daleka pomachała mi ręką i od razu napełniła winem drugi kieliszek.

— Cześć — rzuciła pospiesznie. — Nie wiem, czy zauważyłaś, że masz farbę we włosach.

Chciałam odpowiedzieć to, co zawsze — że obecność farby w moich włosach jest chyba całkiem zrozumiała, skoro pół życia spędzam na malowaniu. Nie zrobiłam tego jednak. Szybko ugryzłam się w język, dostrzegłszy, że Kerry wygląda na bezgranicznie szczęśliwą, jakby czegoś oczekiwała. Czyżby o to właśnie chodziło?

— Ryzyko zawodowe — odparłam.

Najwięcej farby miałam z tyłu głowy, gdzie nie mogłam jej zobaczyć. Kerry zaczęła wydrapywać grudki, nie bacząc na to, że wyglądamy jak dwie iskające się szympanse na środku zatłoczonej sali restauracyjnej. Nie protestowałam jednak. Po chwili oświadczyła, że nie chce zejść.

Odetchnęłam z ulgą

I pociągnęłam łyk wina.

— Ładnie tu — powiedziałam.

— Mnie się też podoba. Byłam już tutaj w ubiegłym tygodniu.

— Więc co u ciebie?

— Pewnie się zastanawiasz, dlaczego zadzwoniłam.

— No cóż, w końcu nie musiałaś mieć żadnego konkretnego powodu — skłamałam.

— Mam dla ciebie nowinę. Pewnie dość szokującą.

A zatem była w ciąży. Nie mogło chodzić o nic innego. Przyjrzałam się jej dokładniej. Zdziwiło mnie trochę, że w tym stanie pije wino.

— Mam nowego chłopaka — oznajmiła.

— Cudownie, Kerry. To rzeczywiście wspaniała wiadomość.

Poczułam się jeszcze bardziej zakłopotana. Naprawdę cieszyłam się z jej szczęścia, wiedząc, że przez jakiś czas była samotna. Nawet trochę się martwiłam. Rodzice poważnie się tym przejmowali, co w niczym jej nie pomagało. Ale całkiem niezwykły dla Kerry był sposób, w jaki przekazywała mi tę nowinę.

— Sytuacja jest trochę niezręczna — dodała. — Dlatego chciałam z tobą porozmawiać w pierwszej kolejności.

— Jak to niezręczna?

— No właśnie. Rzekłabym nawet, że dość niecodzienna. Wydaje mi się jednak, że nie będzie żadnego problemu, jeśli same go nie stworzymy.

Pociągnęłam jeszcze łyk wina, próbując zachować cierpliwość. W typowy dla siebie sposób Kerry krążyła wokół sedna sprawy, jakby potokiem mało znaczących słów chciała umniejszyć jego rangę.

— Co to za problem?

— Ty go znasz.

— Naprawdę?

— Szczerze mówiąc, nawet dobrze. Chodziliście ze sobą. To twój były chłopak.

Nie odzywałam się przez chwilę, myśląc gorączkowo. Z kim mogła się związać? Z Lucasem strasznie się pożarliśmy, zresztą był teraz z Cleo.

Wcześniej przez rok chodziłam z Paulem. On na pewno kilka razy spotkał się z Kerry, lecz chyba nadal był w Edynburgu. Musiałam więc sięgnąć do zamierzchłej przeszłości. W grę wchodziło paru chłopaków

z czasu nauki w college'u, ale przecież wtedy prawie nie utrzymywałam z nią kontaktów. Próbowałam sobie wyobrazić, jaki niezwykły zbieg okoliczności mógł ją zetknąć z kimś takim jak Rob, choć byłam niemal pewna, że nigdy się nie spotkali. Wreszcie musiałam sięgnąć myślami do jeszcze odleglejszej przeszłości i takich chłopaków ze szkoły podstawowej, jak Tom. To było najbardziej prawdopodobne. Może odbyło się ostatnio jakieś spotkanie absolwentów...

— To Brendan — rzuciła szybko. — Brendan Błock.

— Co takiego? Jak mam to rozumieć?

— Czy to nie zdumiewające? Zaraz tu przyjdzie. Uznał, że będzie najlepiej, jeśli spotkamy się wszyscy razem.

— To niemożliwe — wybąkałam.

— Wiem, że to ci się wydaje trochę dziwne...

— Gdzie się poznaliście?

— Zaraz ci opowiem. Dowiesz się wszystkiego. Ale najpierw chcę powiedzieć coś ważnego, zanim Bren się zjawi.

— Bren?

— Nie zamierzam przed tobą ukrywać, kochana Mirando, że Bren wszystko mi opowiedział, i mam nadzieję, że to spotkanie nie będzie dla ciebie krępujące.

— Słucham?

Kerry pochyliła się nad stolikiem, złapała mnie za ręce i swoimi wielkimi, ciepłymi oczyma popatrzyła na mnie ze współczuciem.

— Wiem, jak bardzo bolesne było dla ciebie wasze rozstanie. — Wzięła głębszy oddech i uścisnęła mi dłonie. — Wiem, że gdy Bren z tobą zerwał, byłaś bardzo urażona i rozgoryczona. Ale powiedział, iż ma nadzieję, że się otrząsnęłaś. W każdym razie on nie ma do ciebie żalu.

— Ach, tak. Nie ma do mnie żalu?

I właśnie w tym momencie Brendan Błock pojawił się w drzwiach restauracji.

### 3

Kerry wyszła mu na spotkanie. Na środku sali pochylił się i gorąco pocałował ją w usta. Aż zamknęła na chwilę oczy. Przy nim, wysokim i barczystym, wydawała się bardzo drobna i krucha. Wspięła się na palce, żeby szepnąć mu coś na ucho, on zaś pokiwał głową, po czym przekrzywił ją lekko na bok i spojrzał w moją stronę z ledwie zauważalnym uśmieszkiem na ustach. Skinął głową i podszedł z szeroko rozwartymi ramionami. Nie miałam pojęcia, jak się zachować. Zaczęłam powoli wstawać i gdy podszedł do mnie, byłam w komicznym przysiadzie z ugiętymi na wpół nogami zaklinowanymi między krzesłem a brzegiem stolika.

— Mirando — rzekł. Objął mnie, przez co znalazłam się w jeszcze bardziej niewygodnej pozycji. Spojrzał mi prosto w oczy i powtórzył miękko: — Och, Mirando.

Pocałował mnie w policzek, zdecydowanie za blisko ust. Kerry ekwilibrystycznie objęła go w pasie i przytuliła głowę do jego ramienia, toteż przez koszmarną chwilę wszyscy byliśmy bardzo blisko siebie, tak blisko, że widziałam kropelki potu w meszku na jego górnej wardze i maleńką bliznę w brwi Kerry, tam, gdzie trafiłam ją plastikową szpadą, gdy miałam cztery lata, a ona sześć. Owionął mnie zapach jego mydła i jej perfum, ale poczułam też kwaśną atmosferę, jaka na moment zawisła między nami. Wyrwałam się z ich uścisków i z ulgą klapnęłam z powrotem na krzesło.

— Zatem Kerry już ci powiedziała? — On też pospiesznie zajął miejsce między mną i siostrą, więc nadal byliśmy blisko siebie, ściśnięci przy małym stoliku, stykając się kolanami. Ścisnął przy tym w garści dłoń Kerry, a ona popatrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem.

— Owszem, tyle że...

### 14

— I rzeczywiście już wszystko w porządku?

— A dlaczego miałyby być inaczej? — Uzmysłowiłam sobie nagle, że odpowiedziałam na niezadane pytanie. Poczułam się głupio, bo w ten sposób ujawniłam, że jestem spięta. Zresztą, kto na moim miejscu nie byłby choć trochę zdenerwowany? Pochwyciłam, że wymienili znaczące spojrzenia. — Oczywiście, że wszystko w porządku.

— Wiem, że dla ciebie to musiał być cios.

— Zapewniam, że nie odebrałam tego w ten sposób.

— To bardzo szlachetne z twojej strony — rzekł. — Bardzo. Mówiłem Derekowi i Marcii, że tak właśnie będzie, i nie ma się czym martwić.

— Masz na myśli rodziców.

— Oczywiście — odparła Kerry. — Poznali Brena kilka dni temu. I bardzo go polubili. To w końcu zrozumiałe. Nawet Troy od razu go polubił, a sama wiesz, jak trudno go do czegoś przekonać.

Brendan uśmiechnął się skromnie.

— Słodki dzieciak — mruknął.

— I powiedziałaś im?...

Urwałam, nie mając pojęcia, jak dokończyć zdanie. Przypomniałam sobie nagle dziwny wieczorny telefon sprzed dwóch dni od rodziców. Mówili z niezwykłym zapałem oboje, dopytując się raz za razem o stan mojej psychiki. Poczułam, że lewa powieka zaczyna mi drgać w nerwowym tiku.

— Ze na pewno zrozumiesz, bo jesteś przecież wielkodusznna — odparł Brendan.

Ogarnęła mnie nagle złość, gdy skojarzyłam, że wszyscy za moimi plecami deliberowali, jak przyjmę niezwykłą nowinę.

— Jeśli dobrze pamiętam, to...

Brendan powstrzymał mnie, unosząc dłoń — wielką, masywną i białą, kontrastującą z silnie owłosionym nadgarstkiem. Miał nie tylko owłosione nadgarstki, ale jeszcze odsta-

jące uszy i byczy kark. Z mojej pamięci zaczęły wypływać natrętne wspomnienia, które siłą woli musiałam od siebie odpychać.

— Lepiej tego nie roztrząsajmy. Czas leczy rany.

— Mirando — odezwała się Kerry przymilnym tonem.

— Bren powiedział rodzicom wszystko, co jego zdaniem powinni wiedzieć.

Spojrzałam na nią, szybko ogarniając wyraz bezgranicznego, wręcz niespotykanego szczęścia malujący się na jej twarzy. Z trudem przełknęłam ślinę przez ściśnięte gardło i zapatrzyłam się w menu.

— Czy możemy już coś zamówić?

— Świetny pomysł. Mam ochotę na... *daurade* — oznajmił Brendan, wymawiając gardłowe r.

Ja straciłam apetyt na cokolwiek.

— Wezmę stek z frytkami — powiedziałam. — Tyle że bez frytek.

— Wciąż dbasz o linię?

— Słucham?

— Wcale nie musisz — rzekł. — Wyglądasz wspaniale. Prawda, Kerry?

— Oczywiście. Miranda zawsze miała idealną sylwetkę.

— Siostra na chwilę zrobiła kwaśną minę, jakby zbyt często była zmuszona mówić o mojej idealnej sylwetce. — A ja mam ochotę na łososia z zieloną sałata.

— Proponuję zamówić do tego butelkę chablis — dodał Brendan. — Wolałabyś do steku lampkę czerwonego wina, Mirrie?

To był kolejny kamyk do mojego ogródka. Zawsze podobało mi się moje imię, ponieważ sądziłam, że nie da się go zdrobnić. Ale tylko do czasu, aż poznałam Brendana. Mirrie kojarzyło mi się z literówką w imieniu Marii.

— Nie, może być białe — odparłam.

— Na pewno?

— Tak. — Zacisnęłam palce na brzegu stolika. — Dziękuję. Kerry poszła do toalety. Odprowadził ją wzrokiem z tym swoim tajemniczym uśmiezkiem na ustach. Przywołał kelnerkę, złożył zamówienie i dopiero wtedy spojrzał na mnie.

— A więc...

— Mirando. — Uśmiechnął się szerzej i położył rękę na mojej dłoni. — Tak bardzo różnicie się od siebie.

— Wiem.

— Nie wiesz. Mam na myśli różnice, o których nie możesz wiedzieć.

— Dlaczego?

— Bo pod pewnymi względami tylko ja mogę was porównać. — Wciąż uśmiechał się szeroko.

Minęło parę sekund, zanim zrozumiałam, o co mu chodzi. Szybko cofnęłam rękę.

— Posłuchaj, Brendan...

— Witaj, skarbie — rzucił, patrząc ponad moim ramieniem.

Wstał, żeby przysunąć Kerry krzesło, a gdy usiadła, przeciągnął palcami po jej głowie. Kelnerka przyniosła zamówione dania. Mój stek był gruby i krwisty, a do tego ślizgał się po talerzu, gdy próbowałam odkroić kawałek. Brendan przyglądał się moim zmaganiom, wreszcie skinął ręką na przechodzącą kelnerkę i powiedział do niej po francusku coś, czego nie rozumiałam. Chwilę później przyniosła mi inny nóż.

— Brendan przez jakiś czas mieszkał w Paryżu — wyjaśniła Kerry.

— Tak?

— Nie wiedziałaś o tym?

Spojrzała na mnie, ale szybko odwróciła głowę. Nie umiałam rozsądzić, czy jej mina jest wyrazem podejrzliwości, żalu, triumfu czy zwykłego zaciekawienia.

— Nie.

Rzeczywiście, bardzo mało o nim wiedziałam. Mówił, że właśnie zmienia pracę. Wspominał coś o kursie psychologii i kilkumiesięcznej podróży po Europie, lecz poza tym nie mogłam sobie przypomnieć niczego konkretnego. Nigdy nie byłam u niego w mieszkaniu, nie znałam jego przyjaciół. Unikał rozmów o swojej przeszłości i bardzo mętnie wypowiadał się na temat życiowych planów. Ale w końcu byliśmy ze sobą krótko. Dopiero zbliżaliśmy się do etapu, kiedy ludzie zaczynają mówić nawzajem o sobie, gdy przyłapałam go na szperaniu w intymnych szczegółach mojego życia.

Zdołałam wreszcie odkroić kawałek mięsa, toteż włożyłam go do ust i zaczęłam energicznie przeżuwać. Brendan wytwornie wyjął dwoma palcami spomiędzy warg ość, położył ją na brzegu talerza, a następnie przepłukał usta odrobiną wina. Spojrzałam na Kerry.

— Więc jak się poznaliście?

— Och — mruknęła, zerknąwszy za niego z ukosa.

— Całkiem przypadkowo.

— To wcale nie był przypadek, tylko zrządzenie losu

— wtrącił Brendan.

— Któregoś dnia po pracy wybrałam się do parku i właśnie zaczęło padać, gdy jakiś człowiek...

— To znaczy ja.

Kerry wdzięcznie zachichotała.

— No właśnie, Bren. Zaczepił mnie, mówiąc, że skądś mnie zna. „Czy pani przypadkiem nie nazywa się Kerry Cotton?”, zapytał.

— Poznałem ją, bo widziałem na zdjęciu u ciebie. Ze zdumieniem ujrzałem ją nagle przed sobą, moknącą na deszczu.

— Powiedział, że cię zna. To znaczy, jeszcze wtedy nie mówił mi nic o tobie... no, wiesz... Przedstawił się tylko jako twój znajomy. I zaproponował, że mnie odprowadzi.

— Każdy dżentelmen postąpiłby tak samo — wtrącił.  
— Bo przecież jestem dżentelmenem. Znasz mnie, Mirrie.  
— No więc poszliśmy dalej razem, nie spiesząc się, chociaż lało coraz mocniej. Wkrótce oboje byliśmy przemoczeni, aż nam w butach chlupało.  
— Ale wspaniale nam się razem spacerowało w deszczu  
— dodał Brendan. Wsunął rozcapierzone palce we włosy mojej siostry i potargał je delikatnie. — Prawda?  
— Całkiem przemokliśmy, dlatego zaprosiłam go do siebie, żeby się wysuszył i...  
— Porządnie wytarłem jej włosy ręcznikiem — wyjaśnił.  
— Już rozumiem — przerwałam im z udawanym rozbawieniem, podnosząc rękę. — Poprzestaśmy na tym wzajemnym suszeniu się, dobrze?  
— Nawet nie masz pojęcia, jak mi ulżyło, że już wiesz o wszystkim — powiedziała Kerry. — Kiedy się dowiedziałam, że byliście razem, przez jakiś czas strasznie się bałam, iż nic z tego nie wyjdzie. Bo nie mogłabym zrobić czegoś, co by cię zraniło. Świetnie o tym wiesz, prawda?  
Wyglądała nadzwyczaj uroczo, taka krucha, delikatna i rozpromieniona. Aż zakłuło mnie w sercu.  
— Przecież zasługujesz na szczęście — odparłam, odwracając się bokiem do Brendana, jakbyśmy zostały tylko we dwie.  
— I jestem szczęśliwa. Znamy się dopiero od kilku dni, a ściślej, od dziesięciu, i tak niewiele czasu minęło od waszego zerwania... Sama rozumiesz... Może nie powinnam tego mówić, ale nie pamiętam, bym kiedykolwiek była aż tak szczęśliwa.  
— To cudownie — odparłam, powtarzając w myślach: Dziesięć dni! Skończyliśmy obiad, dopiliśmy wino. Dźwięczały kieliszki. Uśmiechałam się i kiwałam głową, we właściwych momentach odpowiadając tak lub nie, ale przez cały czas gorączkowo

myślałam. A raczej gorączkowo starałam się nie myśleć. Nie wspominać fałdki tłuszczu wylewającej się znad gumki jego bokserek ani kępek czarnych włosów na jego łopatkach...

Wreszcie spojrzałam na zegarek, zrobiłam zdziwioną minę, udając zaskoczenie, że jest tak późno, chociaż było dopiero wpół do dziesiątej, i powiedziałam, że muszę wracać do domu, bo jutro wcześniej zaczynam pracę, a przede mną jeszcze kawałek drogi, toteż nie zdążę wypić kawy, więc przepraszam... Trzeba było jeszcze przeprowadzić całą skomplikowaną procedurę pożegnania, podczas której Kerry uściskała mnie bardzo mocno, a Brendan znowu pocałował zdecydowanie za blisko ust, ledwie powstrzymałam odruch wytarcia policzka wierzchem dłoni. Do tego wszyscy powtarzaliśmy, że koniecznie musimy się znów spotkać jak najszybciej, bo przecież było wspaniale, miło, po prostu cudownie. Brendan odprowadził mnie do wyjścia.

— Naprawdę mocno padało — rzekł.

— To rzeczywiście niezwykły zbieg okoliczności — powiedziałam.

— Słucham?

— Ledwie z tobą zerwałam, a ty już kilka dni później spotkałeś na ulicy moją siostrę i natychmiast się z nią związałeś. Mam uwierzyć, że to zwykły przypadek?

— Nie istnieje coś takiego jak przypadek — odparł. — Chyba nie ma nic dziwnego w tym, że zakochałem się w kimś tak bardzo podobnym z wyglądu do ciebie.

Zerknęłam nad jego ramieniem na Kerry, która została przy stoliku. Pochwyciła mój wzrok, uśmiechnęła się niepewnie i szybko odwróciła głowę. Specjalnie na jej użytek zwróciłam się do niego z teatralnym uśmiechem na ustach:

— Brendan, czy to ma być jakiś upiorny żart? Popatrzył na mnie ze zdziwieniem i jawną urazą.

— Żart?

- Jeśli zamierzasz odegrać się na mnie kosztem mojej siostry...
- Nie obraż się, ale przemawia przez ciebie egoizm.
- Postaraj się jej nie zranić. Naprawdę zasługuje na szczęście.
- Możesz mi zaufać. Dobrze wiem, jak ją uszczęśliwić.

Nie mogłam wytrzymać z nim ani sekundy dłużej. Wyszłam i pomaszerowałam do domu mokrymi od deszczu ulicami, oddychając głęboko i wystawiając twarz na uderzenia zimnego wiatru. Naprawdę zakochał się w Kerry? I co za różnica, jak się poznali? Nieświadomie przyspieszałam kroku, aż rozboleły mnie nogi.

Często się zastanawiam, jakie znaczenie ma pozycja człowieka w rodzinie. Czy byłabym inna, gdybym przyszła na świat jako pierwsza? Jaka byłaby Kerry, gdyby znalazła się na moim miejscu, to znaczy, miała starszą siostrę i młodszego brata. Byłaby bardziej pewna siebie i ekstrawertyczna, czyli taka, za jaką uważa mnie rodzina? A Troy, najmłodszy z naszej trójki, który przyszedł na świat dziewięć lat po mnie? Jaki by był, gdyby nie musiał się wychowywać samotnie, co bez wątpienia odbiło się na jego psychice? Gdyby miał braci, mogących go nauczyć grać w piłkę nożną, bić się z innymi chłopakami czy grać w brutalne gry komputerowe, nie tylko siostry, które niby się nim opiekowały, a w gruncie rzeczy lekcewały?

Niestety, wszyscy jesteśmy skazani na jakiś konkretny układ. Kerry urodziła się pierwsza, toteż musiała przecierać szlaki, chociaż nie znosi kimkolwiek kierować. Ja byłam druga, zazdrosna o jej pozycję, wiecznie usiłująca wykazać swoją wyższość, prześcignąć ją, zepchnąć ze swojej drogi. Troy, nie tylko najmłodszy, ale zarazem jedyny chłopak w rodzinie, więc traktowany prawie jak jedynak. Bardzo się od nas różnił,

był

szczupły, o wielkich oczach, zawsze rozmarzonych, niekiedy wręcz obcych.

Weszłam do mieszkania. Nie kłamałam, że jutro wcześniej rano zaczynam pracę, ale wcale nie chciało mi się jeszcze spać. Położyłam się do łóżka, lecz długo jeszcze przewracałam się z boku na bok i przerzucałam poduszkę, próbując znaleźć na niej chłodniejsze miejsce. Oczywiście nie miałam w mieszkaniu zdjęcia Kerry, ale i tak nie wierzyłam w wyssaną z palca historyjkę Brendana, toteż nie miało to już żadnego znaczenia. Odszukał ją tylko dlatego, że była moją siostrą. Na swój sposób mogło się to nawet wydawać romantyczne.

#### 4

Kiedy nazajutrz wracałam z pracy, budynki rozmywały się przed oczami z powodu mżawki, a niebo tworzyło jednostajnie szarą kopułę. Latem o tej porze, mimo szarugi, byłoby jeszcze widno, teraz jednak ludzie zaciągali zasłony w oknach i zapalali światła. W domu ściągnęłam roboczy kombinezon, na krótko weszłam pod chłodny prysznic i przebrałam się w luźne workowate dżinsy i bawełnianą koszulkę z długimi rękawami. Stałam przed lustrem i wciągnęłam brzuch. Co Brendan mówił na temat dbania o linię? Obróciłam się bokiem i popatrzyłam krytycznie na swoją sylwetkę. Może powinnam zacząć uprawiać jogging? Powiedzmy, codziennie rano przed wyjściem do pracy? Na samą myśl przeszył mnie dreszcz.

Telefon zadzwonił, gdy już wychodziłam na spotkanie z Laurą.

— Miranda?

— Cześć, mammo.

— Dzwoniłam wcześniej parę razy, ale nikt nie odbierał.  
— Moja automatyczna sekretarka jest już zapełniona wiadomościami.  
— Co u ciebie? Wszystko w porządku?  
— Oczywiście.  
— Na pewno?  
Nie zamierzałam jej ułatwiać zadania.  
— Naprawdę wszystko gra, mam. Jestem tylko trochę zmęczona. Mam teraz mnóstwo pracy, kiedy Bill wyjechał. A co u was słychać?  
— Rozmawiałam z Kerry. Powiedziała, że spotkaliście się wszyscy razem na obiedzie i miło spędziliście czas.  
— Rzeczywiście, miło było się z nią zobaczyć. — Zawahałam się i mimo wewnętrznego sprzeciwu dodałam: — Jak również z Brendanem.  
— Mirando, zachowałam się naprawdę godnie. Nie myśl, że nie doceniamy twojego wysiłku. Żałuję tylko, że nie powiedziałaś od razu, kiedy to się stało. Przykro mi, że przeżywałaś trudne chwile i nie podzieliłaś się ze mną swoimi troskami.  
— Nie było o czym mówić. Postrzegacie to wszyscy w niewłaściwym świetle.  
— Jeśli cię to pocieszy, Kerry całkiem się odmieniła. Chyba sama to zauważyłaś. Jest teraz zupełnie inną osobą. Bardzo się z tego cieszę. Muszę jednak przyznać, że równocześnie przeżywam chwile grozy.  
— Martwisz się o to, że Brendan i ją może zostawić?  
— Och, nawet o tym nie wspominaj. Mam wrażenie, że i on jest nią zauroczony. — Nie odzywałam się dłuższą chwilę^ dodała więc zaskoczona: — Mirando? Czyżbyś była innego zdania?  
— Oboje wydają się bardzo szczęśliwi — odparłam.  
— Więc naprawdę nie masz nic przeciwko temu?  
— Skądże. Wybacz, ale trochę się spieszę.

— Zanim się pożegnamy, chciałam zapytać, czy zobaczymy się w ten weekend. Może wpadłabyś na niedzielny lunch? Posiedzielibyśmy sobie razem.

— To znaczy... razem z Brendanem?

— Tak, z Kerry i Brendanem. Coś mnie ścisnęło w dołku.

— Nie jestem pewna, czy będę miała czas.

— Rozumiem, że dla ciebie to trudna sytuacja, Mirando, ale uważam, że to bardzo ważne. Przede wszystkim dla Kerry.

— To wcale nie jest dla mnie trudna sytuacja. Ani trochę. Naprawdę nie wiem, czy będę miała czas.

W takim razie może w sobotę? Zresztą nie musi być lunch, możemy się spotkać wieczorem, jeśli ci to bardziej odpowiada. Bo przecież nie wyjeżdżasz z miasta na cały weekend, prawda?

— W porządku, przyjdę w niedzielą na lunch — mruknęłam zrezygnowana.

— Zobacysz, że będzie bardzo sympatycznie. Nie pożałujesz.

— Wiem, że nie będę żałowała. Wcale nie jestem zazdrosna. Nic z tych rzeczy. Powtarzam, że postrzegacie to wszyscy w niewłaściwym świetle.

— Może przyprowadzisz kogoś ze sobą?

— Słucham?

— No wiesz... kogokolwiek. Jeśli masz kogoś...

— Nie, na razie nie mam nikogo, mamo.

— Tak podejrzewałam, że jest jeszcze za wcześnie.

— Naprawdę muszę już lecieć.

— Mirando?

— Tak.

— Och, sama nie wiem. Po prostu... no cóż, w tych sprawach zawsze miałaś szczęście. Niech teraz Kerry się nacieszy. Nie wchodź jej w drogę.

— To niedorzeczny pomysł.

— Proszę.

Oczywiście wyobraźni ujrzałam jej palce zaciśnięte kurczowo na słuchawce, ściągnięte brwi, głębokie zmarszczki w kącikach ust i ten jeden niesforny kosmyk włosów, który zawsze opadał na oczy.

— Wszystko będzie dobrze — rzuciłam na odczepnego. — Obiecuję, że nie zrobię nic, żeby stanąć Kerry na drodze do szczęścia. A teraz już naprawdę muszę lecieć. Zresztą, zobaczymy się jutro, kiedy wpadnę po Troya.

— Dziękuję ci, kochana Mirando — powiedziała z naciskiem. — Bardzo ci dziękuję.

— To znaczy, że nawet nie miałam okazji go poznać?

Siedziałyśmy po turecku na podłodze, oparte o brzeg kanapy, zajadając ziemniaki pieczone w mundurkach. Laura swoje polewała obficie pikantnym sosem, natomiast ja rozłupywałam je na pół, kładłam do środka spore porcje masła, a po wierzchu posypywałam tartym serem. Bardzo mi smakowały. Za oknami było już ciemno, padał deszcz.

— Nie, to trwało za krótko. Wyjechałaś do Barcelony, zanim cokolwiek się zaczęło, a gdy wróciłaś, było już po wszystkim.

— I to ty z nim zerwałaś?

— Zgadza się.

— Więc czym się przejmujesz?

— Wcale się nie przejmuję — odparłam bez namysłu.

— Owszem, przejmujesz się. Widać to po tobie. Zamyśliłam się na chwilę.

— Tak, masz rację. Bo sytuacja jest dwuznaczna, trącająca o kazirodztwo. Poza tym mama i pewnie cała reszta rodziny uważa, że mam złamane serce. Diabli mnie biorą!

— Widzę, że jesteś zdrowo wkurzona. Ale z drugiej strony to dość zabawna sytuacja.

— Ani trochę. Wyobraź sobie, że ona mówi do niego „Bren”.

— No i...

— A on nazywa mnie „Mirrie”.

— Jak to w rodzinie — mruknęła Laura, wycierając sos z brody.

— Mirrie! — powtórzyłam z naciskiem. — Naprawdę sądzisz, że przesadzam?

— Może trochę.

— Masz rację. Przesadzam.

Wyjadłam cały mięsz ziemniaka, została tylko przypieczona skórka. Ją też posmarowałam grubo masłem, ostrożnie odgryzłam kawałek i popiłam łykiem wina. Nie chciało mi się ruszać z miejsca. Byłam najedzona i rozleniwiona, w ciepłym pomieszczeniu, podczas gdy na zewnątrz wiatr zawodził w koronach drzew, a spod kół samochodów tryskały wielkie fontanny wody.

— Jak wam się układa z Tonym? — zapytałam.

— Świetnie. Przynajmniej tak mi się zdaje. Spojrzałam na nią. Kiedy zsunęła czarne połyskliwe włosy za uszy, wyglądała bardzo młodo.

— Tak ci się zdaje? Jak mam to rozumieć?

— No wiesz, wszystko jest w porządku, tylko czasami...

— Urwała nagle.

— Tak?

— Czasami nachodzą mnie obawy, co będzie dalej.

— Zmarszczyła brwi i rozlała resztkę wina do kieliszków.

— Jesteśmy ze sobą już prawie trzy lata. I co? Tak będzie to trwać?

Podejrzewam, że Tony właśnie tego by sobie życzył, aby niczego nie zmieniać i tak ciągnąć rok za rokiem, jakbyśmy byli już małżeństwem, skoro jest nam ze sobą dobrze,

ale nadal mieszkali oddzielnie. Ja bym woląa, żebyśmy mieszkali razem, jak Bóg przykazał. A nawet kupili większe mieszkanie. Wspólna kuchnia, lodówka, talerze. Nasze książki czy kompakty na jednej półce.

Rozumiesz? Bo jeśli nie chcemy zamieszkać razem, to co dalej będzie nas łączyć? Przecież ciągle trzeba się posuwać do przodu, prawda?

— Nie wiem. Nigdy nie byłam tak długo z jednym mężczyzną.

— I właśnie o to chodzi. Nadal przeżywasz swoje małe życiowe dramaty i triumfy.

— Ja?

— Jedno się kończy, drugie zaczyna.

— Ale czasami nic się nie dzieje.

— To prawda — mruknęła z powątpiewaniem. — Tyle że ja mam już dwadzieścia sześć lat. Czyżbym miała zamknąć kolejny rozdział swego życia? Tak to wygląda?

— Naprawdę chcesz z nim zamieszkać?

— No cóż, czasami myślę, że to byłoby...

W tym momencie zgrzytnął klucz w zamku i po chwili drzwi się otworzyły.

— Cześć — zawołał radośnie Tony, z hukiem stawiając torbę na podłodze. Zrzucił jeden but, potem drugi tak energicznie, aż oba potoczyły się w kąt. Wszedł do pokoju. Mokra od deszczu włosy kleiły się do czoła, policzki miał zaczerwienione od zimnego wiatru. — Och, cześć, Mirando. Co u ciebie?

Schylił się, żeby pocałować Laure, a ona przyłożyła mu dłoń do policzka i uśmiechnęła się czule. Dla mnie to wyglądało jak najbardziej normalnie. Wybiegł z domu, zanim jeszcze zdążyłam zaparkować samochód, i gnał w moją stronę ścieżką przez ogródek. Nie mógł mi pomachać na powitanie, bo w jednym ręku trzymał

wypchaną plastikową torbę, a w drugim szkolny plecak, lecz jego twarz, jak zwykle blada, promieniowała szczęściem. Uśmiechnął się szeroko i zawołał coś, czego nie usłyszałam. Potknął się i ledwie odzyskał równowagę, plecak zaplątał mu się między nogami, mimo to nie przestał się uśmiechać i coś wołać. Przemknęło mi przez myśl, że uszczęśliwiony Troy wygląda czasami dużo gorzej niż przygnębiony.

— Cześć! — zawołałam, gdy otworzył drzwi i zaczął się gramolić na fotel, tocząc przy tym straszliwą walkę ze swoimi bagażami. — Jak leci?

— Świetnie. Bardzo dobrze. Doskonale. — Gorączkowo usiłował zapiąć pas bezpieczeństwa, obejmując nim również torbę i plecak. — Wiesz, że zacząłem się uczyć gry na gitarze? Pamiętasz swoją starą gitarę?

Znalazłem ją w rupieciarni. Jest trochę porozwalana, ale na tym etapie to nie ma większego znaczenia. W każdym razie, chciałbym dziś przygotować kolację, dobrze? Zabrałem wszystko ze sobą. Nie masz żadnych konkretnych planów na wieczór, prawda?

— Nie — odparłam. — Nie mam. Co zamierzasz przyrządzić?

— Na początek pikantne kulki ptysiowe. Wziąłem przepis z książki kucharskiej mamy, napisano tam, że są łatwe do zrobienia. Nie mam ich czym nadziać, ale u ciebie chyba coś się znajdzie. Mogą być z serem albo z tuńczykiem. Na pewno znajdziesz w szafce puszkę tuńczyka. A potem będzie kebab. Najpierw włożę mięso do marynaty, więc wszystko trochę potrwa. Zrobię to na samym początku, jak tylko dojedziemy na miejsce. Nie pomyślałem o deserze. Masz ochotę na budyń? Sądziłem, że jak zjemy kulki ptysiowe, a potem kebab, to wystarczy. Ale mogę zrobić budyń ryżowy. Nie, zaraz. To chyba nie najlepszy pomysł, skoro będzie ryż do kebabu.

— Obejdziemy się bez budyniu — odparłam, oczyma wyobraźni widząc już ten chaos, z którym będę musiała walczyć.

W każdy czwartek spotykałam się z Troyem. Ciągnęło się to już dwa lata, na mocy cichego porozumienia, od kiedy skończył piętnaście lat i zaczęły się poważne problemy. Zabierałam go z domu po pracy i odwoziłam późnym wieczorem, a niekiedy kładłam spać na swojej starej powygniatanej sofie. Czasami chodziliśmy do kina albo na koncert. Od czasu do czasu zabierałam go na spotkania z przyjaciółmi. Tydzień wcześniej byliśmy razem z Laurą i Tonym w pubie, ale Troy, akurat w nostalgicznym nastroju, już po paru łykach piwa ułożył głowę na stoliku i zapadł w drzemkę. Czasami był wręcz paraliżująco wstydlivy, kiedy indziej po prostu nieobecny duchem. Potrafił w środku rozmowy wstać, wziąć jakąś książkę z półki i wyjść do drugiego pokoju. Zazwyczaj jednak przyjeżdżaliśmy do mnie i wspólnie pich-ciliśmy coś na kolację. Od kilku tygodni stopniowo nabierał coraz większej ochoty do pracy w kuchni, choć jej efekty bywały różne. Jego entuzjazm na zmianę to się rozpałał, to znów przygasał. Troy przechodził okres mozolnego wyrabiania w sobie cierpliwości i musiał ukończyć go pomyślnie przed rozpoczęciem następnego etapu. Każdy przejaw jego zaangażowania traktowałam jak dobry znak, choć na razie był to najczęściej tylko słomiany zapał. Na przykład latem obsesyjnie wciągnął się w układanie puzzli. Przyjechał do mnie z pudłem zatytułowanym *Najtrudniejsze puzzle świata*, jak się okazało, zawierającym tysiące drobniutkich elementów układanki, z częściami obrazów po obu stronach, przy czym nie było wiadomo, jakie obrazy dadzą się z nich ułożyć. Przez kilka tygodni nie mogłam korzystać ze stołu, ponieważ był założony elementami puzzli, kawałkami o równych brzegach, tworzącymi krawędzie obrazu, oraz mniejszymi i większymi fragmentami wyłaniającej się w środku sceny ulicznej. Później nagle znudził się dalszą pracą. „Właściwie jaki jest sens układania puzzli? — zapytał. — Ślęczy się nad nimi godzinami,

a po ułożeniu trzeba i tak zniszczyć obrazek i wsypać kawałki z powrotem do pudełka". Rzeczywiście poświęcił na niego wiele godzin, ale nie ułożył do końca i teraz pudełko stało pod moim łóżkiem.

Matka często się zastanawiała, gdzie popełnili błąd wychowawczy, zwłaszcza gdy Troy stawał się zasepiony i milczący, na wszystko patrzył bykiem i zamykał się w swoim pokoju. Wyróżniał się od początku szkoły, czasami zaskakiwał i szokował swoją inteligencją, zadziwiał nauczycieli wszechstronnymi uzdolnieniami, lubił się popisywać przed znajomymi rodziców, był wychwalany na wywiadówkach, obsypywany szkolnymi nagrodami, nawet opisywany w lokalnej prasie, przenoszony do klas starszych o rok czy dwa lata, w których dzieci były zarazem o głowę wyższe od niego, gdyż zdawał się rosnać nadzwyczaj wolno, był chudy, z patykowatymi nogami i odstającymi uszami.

Ale był też szykanowany. Nie tylko popychany na szkolnym boisku czy wyzywany od kujonów, lecz systematycznie dręczony przez grupę łobuziaków przy całkowitym lekceważeniu reszty uczniów. Nazywali go Trojaczkiem, zamykali w toalecie, przywiązywali do drzewa za wiatą na rowery, wrzucali jego książki w błoto i skakali po nich, puszczaali po klasie liściki, w których opisywali go jako maminsynka albo geja. A po lekcjach okładali go pięściami albo ganiali po ulicach. Nigdy się nie skarżył. Kerry i ja byliśmy dużo starsze, toteż żyliśmy w zupełnie innych, odrębnych światach. Tymczasem rodzice i nauczyciele zdążyli dojść do przekonania, że jest po prostu cichy i zamknięty w sobie, różni się od innych chłopców w jego wieku. Bardzo się starał, przez co nabrał manier pedanta zdystansowanego do otoczenia, co zarazem jeszcze bardziej odizolowało go od rówieśników.

Wreszcie, gdy miał trzynaście lat, rodzice zostali wezwani do szkoły, gdyż przyłapano go na rzucaniu petardami w kole-

gów grających na boisku. Był zapłakany, rozhisteryzowany i przeklinał każdego, kto się do niego zbliżył, jakby nagle eksplodowała gorycz wzbierająca w nim od ośmiu lat. Został zawieszony na tydzień, w tym czasie złamał się i opowiedział

O wszystkim matce, a ta wpadła jak burza do szkoły i zrobiła dziką awanturę. Winni otrzymali reprimendę od dyrektora

I za karę musieli zostać po lekcjach. Ale jak można przekonać dzieci, żeby kogoś lubiły i przyjaźniły się z nim, szczególnie kogoś takiego jak mój młodszy brat, wstydlivego i strachliwe-go odludka, napiętnowanego nieprzeciętną, choć szczególną inteligencją? Jak leczyć urazy sięgające samych fundamentów? Każdą budowlę da się rozebrać i na jej miejscu postawić nową, nawet od podstaw. Z ludźmi nie da się tego zrobić.

Ja w tym czasie skończyłam już college. Nie rozumiałam powagi problemów Troya do chwili jego egzaminów końcowych w gimnazjum. Może po prostu nie chciałam ich rozumieć. Wszyscy się spodziewali, że pójdą mu jak z płatka. Mówił, że zrobił wszystko dobrze, nie chciał jednak o nich rozmawiać. No i nagle okazało się, że nie zdał żadnego przedmiotu. Zamiast na egzamin, chodził do parku przy szkole, karmił chlebem kaczki, gapił się na śmieci zalegające na brzegu stawu i odmierzał czas. Kiedy rodzice odkryli prawdę, nie mogli się z tym pogodzić. Pamiętam, że gdy któregoś popołudnia byłam w domu, mama ze łzami w oczach chciała się dowiedzieć od Troya, w czym zawiniła, czy rzeczywiście była złą matką, on zaś po prostu siedział i słuchał w milczeniu, a mnie przeraził malujący się na jego twarzy wyraz triumfu połączonego ze wstydem. Psycholog orzekł, że była to forma wołania o pomoc. Kilka miesięcy później uznał, że rany na przedramionach — bo Troy w wielu miejscach ponacinał sobie nożem skórę — to także forma wołania o pomoc. A gdy jeszcze później w ogóle nie chciał wstawać rano z łóżka, to również miała być forma wołania o pomoc.

Nie wrócił do szkoły. Rodzice wynajęli prywatnego nauczyciela i rozpoczęli intensywną terapię. Od tamtej pory Troy trzy razy w tygodniu spotyka się z jakąś utytułowaną specjalistką psychiatrii, żeby rozmawiać z nią o swoich problemach. Ale kiedy pytam go czasem, jak wyglądają te czterdziestopięciominutowe sesje, zwykle uśmiecha się szeroko, wzrusza ramionami i mówi: „Często po prostu przesypiam. Kładę się na leżance, zamykam oczy, a chwilę później słyszę, że moja sesja dobiegła końca”.

— Jak ci idzie? — spytałam, zaparzając w dzbanku herbatę, gdy kroił w paski czerwoną paprykę. Dookoła panował już straszny rozgardiasz. Ryż bulgotał zawzięcie, aż pokrywka podskakiwała, a spieniona woda spływała po garnku na kuchnię. Na stole walały się skorupki jajek. W zlewie piętrzyła się sterta łyżek i miseczek. Linoleum było zasypane mąką, jak gdyby przez dziurę w suficie napadało śniegu.

— Czy zwróciłaś uwagę, że gdy ludzie pytają mnie, jak idzie, robią to zawsze bardzo ostrożnie, łagodnym tonem?

— Przepraszam.

— Mam już po dziurki w nosie mówienia o mnie. Więc lepiej ty mi powiedz, co u ciebie.

— W porządku.

— Ale chciałbym usłyszeć coś konkretnego. Umówmy się, że gdy ty powiesz mi o sobie, ja powiem, co słysząc u mnie.

— Prawdę mówiąc, „w porządku” to najwłaściwsze określenie. Po prostu nie ma o czym gadać.

Pokiwał głową.

— Brendan obiecał, że nauczy mnie łowić ryby.

— Nie wiedziałam, że lubisz wędkować.

— Nie wiem, czy lubię, bo jeszcze nigdy nie próbowałem. Powiedział, że któregoś dnia zabierze mnie nad morze, do znajomego, który ma własną łódź i często wypływa na makre-

le. Opowiadał, że gdy się trafi na ławicę, wyciąga się je z wody jedną po drugiej, a potem piecze nad ogniskiem.

— Brzmi zachęcająco.

— Mówi, że nawet w czasie deszczu przyjemnie jest siedzieć na łodzi i patrzeć na spławik.

— Często się teraz spotykacie?

— Rozmawiałem z nim parę razy.

— I spodobał ci się?

— Tak. Chociaż nie wyobrażam sobie was razem.

— Dlaczego? Wzruszył ramionami.

— On nie jest w twoim typie.

— A kto jest?

— Ty masz osobowość bardziej kocią niż psią.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— A on bardziej przypomina psa niż kota. Nie zauważyłaś? Zawsze chciałby być w centrum zainteresowania. Koty są bardziej niezależne i dumne.

— Mam rozumieć, że jestem niezależna i dumna?

— Oczywiście nie przy mnie, ale przy ludziach, których nie znasz zbyt dobrze.

— Za kogo ty się uważasz?

— Za wydrę — odparł bez wahania.

— Widzę, że wszystko dobrze sobie przemyślałeś.

— A mama to kangurzyca.

— Dlaczego?

— Bo wciąż nie może się przyzwyczaić, że już nie siedzimy w jej torbie. Tylko ja jeszcze od czasu do czasu na krótko wślizguję się do środka.

— Jak klasyfikujesz tatę?

— Brendan kiedyś też przechodził podobne załamanie — rzekł Troy, zaczynając nabijać na szpikulec naprzemiennie kawałki jagnięciny i papryki.

— Naprawdę? Nie wiedziałam o tym.

- Bo to tajemnica, z której nikomu się nie zwierza. Tylko mnie powiedział, bo chciał, bym zrozumiał, że cierpienie może być przekleństwem, ale może być też darem. I czasami zdarza się tak, że na początku jest przekleństwem, a potem zamienia się w dar.
- Tak powiedział?
- Aha. On ma trochę hipisowskie poglądy.
- Chyba napiję się piwa zamiast herbaty.
- Tata jest kaczką.
- Nie sądzę, żeby mu się to spodobało.
- Kaczki są w porządku. Zawsze nastawione optymistycznie.
- A Kerry?
- Co byś powiedziała na gazelę?
- Czy Brendan mówił ci coś o mnie? — zapytałam, starając się panować nad głosem.
- Powiedział, że cię zranił.
- Aha.
- To prawda?
- Nie.
- Powiedział też, że jesteś zbyt dumna, żeby się do tego przyznać.

## 5

- Wszystko w porządku? — zapytała mama, ledwie otworzyła drzwi. Oczywiście, że wszystko było w porządku, ale słysząc po raz kolejny to samo pytanie zadane tonem pełnym współczucia, miałam wrażenie, jakby mi przeciągnęła po skórze grubo

ziarnistym papierem ściernym. Nabierałam też coraz większej pewności, jak powinnam odpowiadać. Nie wystarczyło zwykle „w porządku”, bo to brzmiało jak wykręt. Zamiast prostej odpowiedzi na proste pytanie musiałam znaleźć sposób, by skutecznie przekonać matkę, że nie czuję się źle w zaistniałej sytuacji. Bo przecież taka była prawda.

— Absolutnie nic mi nie jest — odparłam. — W najmniejszym stopniu nie czuję się skrępowana.

Za dużo. Matka zrobiła jeszcze bardziej współczującą minę.

— Wyglądasz wspaniale, Mirando — powiedziała. Rzeczywiście, wyglądałam nieźle, ale był to stan chwiejnej równowagi. Zastosowałam się do znanej zasady, że jeśli czujesz się porzucona — bo choć naprawdę wcale się tak nie czułam, w tej chwili nie miało to nic do rzeczy — musisz wyglądać urzekająco, żeby ten, kto cię porzucił — albo przynajmniej porzucił tylko w powszechnym mniemaniu — zrozumiał, co stracił. Ale ponieważ jest to stara i dobrze wszystkim znana zasada, w tej sytuacji moje wysiłki mogły sprawić, że będę wyglądała nieco patetycznie. Zresztą, nie mogłam postąpić inaczej i sprawiać wrażenia, że po całych dniach nie wstaję z łóżka, wypłakuję oczy i zapijam się sherry. O to byłoby dużo łatwiej, lecz nie taki efekt chciałam osiągnąć. Dobierając strój na tę wizytę, doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli włożę to samo co na ostatnie spotkanie towarzyskie (nie licząc obiadu z Kerry i Brendanem). Jak na nieszczęście był to wieczór panieński mojej starej przyjaciółki, na który poszłam w skąpej czarnej sukience, nienadającej się zupełnie na niedzielny lunch z rodzicami. Za to jeszcze wcześniej wychodziłam na swobodne spotkanie z przyjaciółmi w barze i wtedy włożyłam zwykle džinsy, białą bluzkę i nowy džinsowy żakiet z zamszowym kołnierzem. Ubrałam się więc tak samo.

— Wyglądasz bardzo elegancko — powtórzyła matka, przez co nabrałam podejrzeń, że coś jest nie tak. — Wszyscy

już są. Kerry też wygląda oszłamiająco... Nie chciałam... — Obrzuciła mnie zalęknionym spojrzeniem. — Wejdz, proszę.

— Jest Troy?

— Tak. Nieźle się trzyma. Nie jest aż tak podniecony jak w czwartek. Jakoś nad sobą panuje. Odpukać. — Zamknęła drzwi i postukała w nie pięścią.

Z pozoru w rodzinie Cottonów wszystko układało się dobrze. Kerry była szczęśliwa. Ja wyglądałam wspaniale. Troy jakoś się trzymał. W głębi duszy buntowałam się na ten sielski obrazek, ale tego dnia musiałam stanąć na wysokości zadania i zachowywać się nienagannie. Jakby specjalnie na tę okazję wyszło słońce i choć był październik, wszyscy siedzieli w ogródku na tyłach. Wszyscy poza Troyem, który źle się czuł w większej grupie. Zwykle zjawiał się tylko na początku, a potem szybko znikał, wracał do siebie, żeby poczytać książkę albo posłuchać muzyki. Nawet bez niego w małym, wąskim i kiszgowatym ogródku było dość tłoczno. Zobaczyłam Billa i Judy. Rodzice nie uprzedzili, że zapraszają również mojego szefa. Zatem i on wiedział. Nie, to złe słowo. Powinno być jakieś inne określenie stanu, w którym wszyscy dysponują tymi samymi, nieprawdziwymi informacjami. Ładna pogoda zachęciła tatę do rozpalenia grilla. W kącie pod płotem właśnie dokładał do niego węgla, a pomagał mu w tym nie kto inny, jak Brendan. Obaj dyskutowali przy tym zżywieniem, byli jednak za daleko, żebym mogła usłyszeć, o czym rozmawiają. Kerry stała z Judy. Miała na sobie workowate czarne spodnie i obcisły różowy top, wyglądała dokładnie tak samo jak w La Table, na uszczęśliwioną i pewną siebie.

Uznałam, że będzie jeszcze pora, aby poczuć się nieswojo w tym towarzystwie, i podeszłam do Billa, który był dla mnie najbardziej neutralną osobą w ogrodzie. Skinął mi głową na powitanie.

— Cześć, Mirando. Co słychać?

Wziął ze stolika puszkę piwa, otworzył i podał mi.

— Rzadko cię tu widuję.

— Marcia bardzo nalegała, żebyśmy wpadli. Pociągnęłam łyk piwa i obejrzałam się na otoczony rusztowaniem taras z tyłu domu.

— Co o tym sądzisz? — zapytałam.

Gdyby się nie zrobiło natychmiast remontu, do przyszłego roku pewnie by się zawalił.

— Aż tak źle?

— Gorzej. Szczeliny się poszerzają dosłownie w oczach.

— Mirando! — rzekł radośnie ojciec, pojawiając się niespodzianie za moimi plecami. — Jak się masz?

Puściłam to pytanie mimo uszu, zwłaszcza że tuż za jego plecami pojawił się Brendan w nowych wyprasowanych dżinsach i błękitnym swetrze z rękawami podwiniętymi do łokci, i pospiesznie uściskał ojca, a mnie poklepał po plecach. Najwyraźniej jeszcze nie wiedział, że ojciec nie lubi takiego ob-ściskiwania.

— Cześć, tato — odparłam. — Miło cię widzieć.

— Muszę przyznać, że Brendan to prawdziwy mistrz w rozpalaniu grilla.

— Najważniejsze jest odpowiednie ułożenie węgla — odparł dumnie Brendan. — Trzeba zrobić z brykietów piramidkę, wsunąć pod nią kilka kostek podpałki i wtedy nie ma kłopotów z rozpaleniem. A piramidkę węgla należy rozsypać dopiero wtedy, gdy płomień wygasną.

— Rozmawialiśmy z Billem na temat remontu — powiedziałam.

— Powinnaś uważnie słuchać Brendana — rzekł ojciec. — Wiele można się od niego nauczyć.

— Przecież nie będę rozpalala grilla w swoim mieszkaniu.

— Ale ta umiejętność może ci się kiedyś przydać — zauważył Brendan.  
— Zawsze mi się wydawało, że to typowo męskie zajęcie.  
— Nigdy nie piekliśmy nic na grillu, prawda, Mirrie?  
Miałam ochotę rzucić: „Oczywiście, że nigdy nic nie piekliśmy na grillu, bo byliśmy ze sobą najwyżej dziewięć dni, więc nie mieliśmy na to czasu, podobnie jak na wiele innych spraw”. Ale nie zrobiłam tego. Pozwoliłam sobie tylko głęboko westchnąć. Było to ciche, metaforyczne westchnienie.  
— Masz rację, nie piekliśmy — odrzekłam.  
— Obawiam się, że na śmierć zanudziłem Brendana  
— wtrącił tata. — Pozwolił mi gadać i gadać.  
— Pudełka — mruknął Brendan, energicznie zacierając ręce. — Niby taka prosta rzecz, a przecież trudno wyobrazić sobie życie bez pudełek. Bill aż rozdziawił usta. Nawet mój ojciec sprawiał wrażenie osłupiałego.  
— No cóż — odezwał się w końcu. — Nie będę się na ten temat wypowiadał. Jestem praktykiem. Lubię robić różne rzeczy. Zawsze interesowały mnie sposoby rozwiązywania problemów, szukanie konkretnych rozwiązań. Nawet w mojej branży opakowań nie wszystko jest proste i oczywiste.  
— Świetnie to rozumiem — podjął ochoczo Brendan.  
— Tylko z pozoru pakowanie wydaje się proste i oczywiste. Ale kilka lat temu razem z niejakim Harrym Vermontem założyliśmy firmę internetową.  
— Internetową? — zaciekawiał się tata. Brendan zaśmiał się żałośnie.  
— Taką, która teoretycznie powinna przynosić milionowe zyski, ale szybko padła.  
— Czym się zajmowaliście? — spytał Bill. Chcieliśmy wykorzystać to, że gdy ludzie zamawiają różne produkty w sklepach internetowych, ktoś musi im je dostar-

zczać. Chcieliśmy być dostawcami. A raczej pośrednikami. Jak zaczynaliśmy, sądziłem, że wszystko będzie zależało od nowoczesnej techniki. Ale zaraz na początku zrozumiałem, że technika to nie wszystko, bo inną równie ważną sprawą jest pakowanie dostarczanych towarów. Trzeba było dobierać właściwe opakowania do poszczególnych produktów, sprowadzać je, pakować towar i jeszcze dostarczać klientowi na czas. Okazało się to bardzo poważnym wyzwaniem.

— Skąd sprowadziliście opakowania? — zapytał tata.

— Słucham?

— W tym kraju jest niewielu dostawców opakowań. Przyszło mi do głowy, że sprowadzaliście je od kogoś, kogo znam.

— Na dobrą sprawę nie wyszliśmy poza etap planowania — przyznał Brendan. — Szybko nastąpił kryzys w handlu internetowym i straciliśmy klientów. Biedny Harry długo nie mógł się z tym pogodzić.

— Jeśli nadal cię to interesuje, Brendan, mogę cię dokładniej zaznajomić z tą branżą.

— Posłucham z przyjemnością. Tymczasem zajmę się chyba układaniem potraw na ruszcie.

Jak się okazało, nie ma czego układać, bo w trakcie naszej rozmowy grill wygasł. Brendan oznajmił, że to się czasem zdarza, kiedy brykiety węgla leżą za długo w komórce i zwilgotnieją. Ojciec przyjął to z satysfakcją, bo jak powiedział, chybaby nie zniósł świadomości, że w rodzinie jest ktoś lepszy od niego w rozpalaniu grilla, bo jego pozycja pana i władcy zostałaby zagrożona.

Trochę mnie zakłuła ta uwaga o obecności Brendana „w rodzinie”, toteż w ogóle się nie odzywałam. Dopiłam piwo i otworzyłam drugą puszkę, piwo stopniowo łagodziło mój nastrój. Obserwowałam z boku swoją rodzinę i krzątającego się wśród niej Brendana. Uzmysłowiłam sobie, że ten wąski skrawek ziemi jest tylko jednym z wielu podobnych ogródków

przy tej ulicy, jednym z milionów w Londynie, i nagle ujął mnie widok Brendana wkładającego aż tyle starań, dosłownie biegającego od moich rodziców do grilla i z powrotem — grilla rozpalonego w końcu szybko i skutecznie przez wujka Billa — od czasu do czasu podchodzącego też do Kerry choćby na krótkie przytulenie, kilka słów bądź jedno ciepłe spojrzenie, od którego moja siostra natychmiast się rozpromieniała. Pomógł matce porozkładać na tacach marynaty, porcje kurczaka i łososia, po czym wbiegł do domu, odszukał kryjówkę Troya i nie tylko wyciągnął go do ogrodu, ale jeszcze zdołał namówić, by zajął się rozkładaniem talerzy i sztuców oraz przynoszeniem rozmaitych sałatek i dodatków, które z mamą szykował od rana. Zrobiło mi się trochę wstyd za siebie. Poczulałam się tak, jakbym dotąd uważała, że cała rodzina Cotto-nów istnieje wyłącznie na mój użytek, niczym rodzaj muzeum, do którego mogę zaglądać, gdy przyjdzie mi na to ochota, ale jego utrzymanie zostawiam w rękach innych ludzi; jakbym rodziców miała tylko po to, by robili dla mnie różne rzeczy i okazywali współczucie, gdy sprawy nie układają się po mojej myśli. Czy nie za rzadko myślałam do tej pory, że i ja powinnam coś dla nich zrobić?

W trakcie trzeciego piwa byłam już gotowa wybaczyć wszystko i wszystkim na świecie, a zwłaszcza wszystkim obecnym w ogrodzie, chociaż nie wszystkim na tych samych logicznych zasadach.

Przyglądałam się Brendanowi, który z niegasnącym zapalem robił po pięć rzeczy naraz, matce biegającej do kuchni i z powrotem z naczyniami i sztucami, ojcu wciąż poprawiającemu chylący się grill, zapadający się w miękkiej ziemi, Kerry pogrążonej w rozmowie z Judy, Troyowi grającemu w coś z dziećmi Billa, Sashą i Mitchem. I spostrzegłam coś niezwykłego: wszyscy zdawali się świetnie bawić. Kiedy Bren-

dan przyniósł mi talerzyk z porcją pieczonego kurczaka i sałatką, ochoczo wzięłam się do jedzenia, chcąc przegryźć nadmierną ilość piwa. Poczułam się tak głodna, że dopiero po chwili zwróciłam uwagę, iż zostałam obsłużona jako pierwsza. Zerknęłam na Kerry. Musiała poczuć na sobie mój wzrok, gdyż obejrzała się i uśmiechnęła serdecznie. Odpowiedziałam takim samym uśmiechem. Byliśmy naprawdę szczęśliwą rodziną.

## 6

Pamiętam, że gdy miałam trzynaście albo czternaście lat, Bill zabrał mnie do remontowanego domu w Finsbury Park jako swoją nieletnią uczennicę. Dom był mały, o ciasnych pomieszczeniach zastawionych ciemnymi meblami. W saloniku, którego podłoga została zakryta arkuszami folii, dał mi wielki miot i kazał wybić dziurę w ścianie oddzielającej kuchnię. Musiał mi powtórzyć parę razy, bo nie mogłam uwierzyć, że naprawdę chce, bym to zrobiła. Ściana wydawała się solidna, a pokój, choć mały i brzydki, sprawiał wrażenie czegoś niezmiennego. Zresztą jak można tak po prostu rozwalać część porządnej budowli? Ale on potwierdził po raz kolejny i odsunął się o krok. Uniosłam strasznie ciężki młot, który ledwie mogłam utrzymać nad głową wzięłam solidny zamach i z całej siły huknęłam w środek ściany. Omal przy tym nie straciłam równowagi, a obie ręce zabołały mnie z wysiłku. Tynk osypał się na podłogę i w murze pojawiło się pęknięcie. Po drugim uderzeniu powstała dziura o poszarpanych brzegach, wielkości mojej pięści. Po trzecim jeszcze się powiększyła. Ujrzałam przez nią wnętrze kuchni, zlew i kran, z którego kapiała

woda, oraz fragment ogródka za oknem z rosnącym pod płotem drzewkiem laurowym. Nagle ogarnęło mnie nieopisane podniecenie, miałam takie wrażenie, jakbym z każdym uderzeniem młota otwierała przejście do nowego świata i wpuszczała więcej światła do mrocznego pokoju. Chyba wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że chciałabym w życiu robić to co Bill, choć gdy po latach próbowałam z nim na ten temat rozmawiać, poklepał mnie po ramieniu i mruknął:

— Jesteśmy tylko malarzami i dekoratorami wnętrz, Mirando.

Niemniej od tamtej pory często zdarzało mi się w pracy przeżywać podobną euforię, jakby ożywczy wiatr wpychał mi do piersi świeże powietrze. Na przykład, czułam się tak samo, gdy w Clapham wyszłam do ogrodu na dachu i odniosłam wrażenie, że ktoś zdjął całe pokrycie tego domu. Albo gdy podczas remontu odkryliśmy kominek tak ogromny, że można było swobodnie do niego wejść i zobaczyć wysoko nad głową maleńki kolisty wycinek błękitnego nieba. Rozbijanie ścianek działowych zawsze napełniało mnie nową energią. Równie często przeżywałam identyczne uniesienia w życiu osobistym. Zawsze wiązały się z jakąś gruntowną odmianą, nadejściem wiosny, miłością, podróżą zagraniczną, a nawet wrażeniem odnowy, jakie się czuje podczas wychodzenia z choroby.

Kiedy wróciłam do domu po tamtym lunchu, powzięłam dwa postanowienia: dokładnie posprzątam mieszkanie i zacznę uprawiać jogging. Niby nic wielkiego, ale zapisałam je oba na odwrocie jakiegoś listu, jakbym się bała, że o nich zapomnę, do tego dwukrotnie podkreśliłam każde zdanie. Potem usiadłam, żeby się zastanowić.

Wypiłam trzy puszki piwa, zjadłam dwa kawałki pieczonego kurczaka i porcję nadpalonego łososia z trzema kromkami chleba czosnkowego oraz miseczkę lodów. Gdybym była gorliwą zwolenniczką dbania

O linię, powinnam od razu pójść biegać, zanim na dobre się ściemni. Pomyślałam jednak, że niezdrowo będzie biegać z pełnym żołądkiem. Poza tym nie chciałam się pokazywać na ulicy w spadających ze mnie, bo gumka była już rozciągnięta, szarych dresowych spodniach. Postanowiłam więc zacząć od porządków. Przebrałam się w stare spodnie i T-shirt bez rękawów, po czym puściłam muzykę. Lubię sprzątać swoje znajdujące się na pierwszym piętrze mieszkanie, które jest bardzo małe, składa się z sypialni, saloniku z dużym blatem jadalnym podnoszonym do ściany, łazienki oraz ciasnej kuchni z oknem wychodzącym na labirynt małych ogródków na tyłach. Ścieram kurze, ustawiam naczynia w szafkach, czyszczę dywan, zmywam podłogę, układam papiery na biurku i długopisy w kubku na półce, segreguję rzeczy do prania w koszu, poprawiam ubrania na wieszakach w szafie, otoczona zapachami płynu do mycia, pasty do podłóg, środka dezynfekującego do toalety, mydła. Nim skończyłam, skórę na piętach miałam pościeraną, a całe ręce i czoło pokryte kropelkami potu. Zrobiło się późno, nawet nie wiedziałam, kiedy za oknami zapadł zmrok, a powietrze stało się ostre, przesycone chłodem bezchmurnej październikowej nocy. Niektórzy z moich znajomych nie znoszą samotności, odbierają ją jak rodzaj kary i unikają, gdy tylko mogą. Ale ja ją lubię. Zamykam drzwi, wchodzę po schodach i otacza mnie cisza mieszkania czekającego na mój powrót. Nie muszę nikogo prosić o zgodę, jeśli mam akurat ochotę moczyć się w wannie przez dwie godziny, położyć do łóżka o wpół do dziewiątej, słuchać muzyki do późna w nocy albo przy lampce wina oglądać w telewizji jakiś idiotyczny teleturniej. Lubię nawet jadać w samotności, choć pod tym względem różnię się od Troya. Mam bardzo skromne i konserwatywne upodobania. Czasami jadam to samo przez kilka dni z rzędu. Kiedyś

długo smakowała mi zwykła jajecznica na maśle z kleistym razowym chlebem. Potem przestawiłam się na grecką sałatkę, którą doprowadziłam do perfekcji, nie ograniczałam się do pomidorów, ogórka i sera feta, ale dodawałam też awokado, włoski koper i suszone na słońcu winogronowe pomidorki, a przez kilka tygodni wzbogacałam ją nawet o puszkowane mięso ośmiornicy i konserwową ciecierzycę. Nagle jednak przestała mi smakować. Kiedy spodziewam się gości, najczęściej robię duszone piersi kurczaka z czosnkiem, rozmarynem i oliwą z oliwek — bo wystarczy wszystko wrzucić do brytfanki i wstawić na pół godziny do pieca — albo zamawiam gotowe dania barowe. Zazwyczaj to drugie.

Może właśnie jednym z powodów, dla których Brendan tak bardzo działał mi na nerwy, było to, że szybko poczuł się w moim mieszkaniu jak u siebie. Obiecałam sobie jednak, że nie będę więcej zaprzętać nim myśli. Od tej pory wiele miało się zmienić.

W sklepie o nazwie „Bieg Bieg Bieg” przy Camden High Street kupiłam uroczą jedwabną różową koszulkę sportową, białe szorty, parę czarnych butów biegowych oraz książkę pod tytułem *Bieg po życie*. Jej autor miał na imię Jan i w elastycznej opasce na włosach wyglądał na zdjęciu z okładki jak członek zespołu „Duran Duran”. Później na sąsiednim straganie dokupiłam butelkę białego wina prosto z lodówki, doszedłszy do wniosku, że tak przejrzysta ciecz po prostu nie może być wysokokaloryczna. Do tego wzięłam jeszcze paczkę drogich chipsów, bo na opakowaniu było napisane, że zostały usmażone w zdrowym, specjalnie wybranym oleju słonecznikowym. W domu zamknęłam drzwi na zasuwkę, założyłam łańcuch i w wannie gorącej wody, z miseczką chipsów i kieliszkiem wina, zaczęłam czytać książkę o zaletach joggingu. Było mi bardzo dobrze. Pierwszy rozdział przeznaczono dla ludzi o znacznie gorszej sylwetce niż moja. Autor sugerował, by

rozpocząć ćwiczenia od dziesięciominutowego szybkiego marszu, później przebiec powoli najwyżej sto metrów i znów iść przez dziesięć minut. Wyraźnie zaznaczał, że biegaczowi nigdy nie powinno zabraknąć tchu. Przy pierwszych objawach zmęczenia należało koniecznie się zatrzymać i odpocząć. Absolutnie nie zalecał przystąpienia do forsownego biegu zaraz po wyjściu z domu. „Lepiej zaczynać powoli i stopniowo zwiększać wysiłek — głosiła wytłuszczona uwaga — niż wystartować za szybko i od razu się zmęczyć”. Dla mnie brzmiało to całkiem logicznie. Przerzuciłam kilka kartek, doszedłszy do wniosku, że mogę swobodnie ominąć początkowe etapy, unikając przy tym jakiegokolwiek przemęczenia.

Dalej autor zalecał amatorom joggingu, by próbowali wplatać ćwiczenia fizyczne w swoje codzienne życie zawodowe. Jego zdaniem ważne było nawet wstawanie od biurka i spacer do dystrybutora po wodę. Ale ja przecież nie ograniczałam się do tego. Po całych dniach przenosiłam drabiny i rozkładałam folię ochronną; malując sufity, wyginałam się na boki; przestawiałam co najmniej po kilka puszek farby na godzinę. Opisane ćwiczenia powinny mi pójść jak z płatka. Ze spokojnym sumieniem nastawiłam więc budzik o pół godziny wcześniej niż zwykle i nazajutrz rano ubrałam się w nowy strój sportowy. Żałowałam tylko, że nie kupiłam do tego maski. Po pięciominutowym szybkim marszu oddychałam zupełnie swobodnie, ruszyłam zatem biegiem, ale po stu metrach złapała mnie kolka, poszłam więc za radą Jana i przystanęłam. Przez następne pięć minut szłam, zanim znów zaczęłam biec. Tym razem ból pojawił się dużo szybciej. Najwyraźniej moje ciało uświadomiło sobie, co z nim wyczyniam. Natychmiast zwolniłam i zawróciłam do domu. Inna wytłuszczona uwaga w książce głosiła, że bardzo ważne jest, by w początkowych etapach unikać skręcenia kostki bądź naciągnięcia ścięgien. Mnie udało się to osiągnąć bez specjalnego wysiłku.

— Halo? Miranda? Chciałam tylko... Podniosłam słuchawkę.  
— Cześć, mamó.  
— Chyba cię nie obudziłam, prawda?  
— Nie. Właśnie szykowałam się do wyjścia.  
— Chciałam ci podziękować za wczorajszy lunch. Miałam zamiar zadzwonić jeszcze wieczorem, ale Kerry i Brendan trochę się zasiedzieli... W każdym razie wszystko wypadło dobrze, prawda?  
— Tak, było bardzo miło.  
— Nie sądzisz, że Kerry wygląda na bardzo szczęśliwą?  
— Owszem.  
— Wiesz co? Moim zdaniem to prawdziwy cud.  
— Mamó...  
— Mówię ci, cud — powtórzyła z przejęciem. — Kiedy pomyślę, jak... Zamknęłam oczy, puszczając jej dalsze słowa mimo uszu i powtarzając w duchu, że wszystko się ułoży.  
— Cześć, Mirando. To ja, Kerry. Miranda? Jesteś tam? — Na chwilę zapadła cisza. W tle rozległ się stłumiony męski głos, ale nie zrozumiałam, co powiedział. Kerry zachichotała i ciągnęła: — Chcieliśmy tylko zapytać, jak się miewasz. Byłoby miło spotkać się znów w najbliższym czasie... Co?... Aha, Brendan prosi, bym pozdrowiła cię od niego... Wcisnęłam klawisz kasowania nagranej wiadomości. W tym tygodniu trzy razy wychodziłam, żeby pobiegać i nie zauważyłam żadnej różnicy. Płuca zalewał mi nieznośny żar, gdy tylko zrobiłam więcej niż pięćdziesiąt szybszych kroków. Nogi robiły się jak z ołowiu, a serce tłukło w piersi, jakby chciało poobijać żebra od środka. Jeszcze przed szczytem wzgó-

rza wyprzedzali mnie ludzie idący szybkim krokiem. Ale przynajmniej wytrwałam przy swoim postanowieniu i to mnie pocieszało.

W piątek wieczorem wybrałam się na przyjęcie wydawane przez moich przyjaciół, Jaya i Pattie. Tańczyłam, piłam piwo, potem wino, wreszcie jakiś dziwny trunek z Islandii, który Pattie wyciągnęła z dna barku, gdy większość gości już wyszła i osiągnęliśmy ten wspaniały stan, w którym w ogóle nie trzeba się wysilać. W słabo oświetlonym saloniku, zaśmieconym puszkami po piwie, niedopałkami i walającymi się wszędzie butami, zostało nas kilkanaście osób sączących ostrożnie wysokoprocentowy płyn, od którego łzy napływały mi do oczu. Był tam również pewien mężczyzna, poznałam go zaledwie parę godzin wcześniej. Miał na imię Nick. Siedział przede mną na podłodze i po pewnym czasie oparł się o moje kolana, a wreszcie usadowił się wygodnie, napierając na mnie całym ciężarem. Odczekałam parę minut i wsunęłam mu palce we włosy — krótkie, ciemnoblonde i bardzo miękkie, jak zwierzęce futerko. Westchnął cicho, zadarł głowę, popatrzył na mnie z dołu i uśmiechnął się ciepło. Pochyliłam się i szybko pocałowałam ten przemiły uśmiech.

Kiedy wychodziłam, zapytał, czy będziemy się mogli jeszcze spotkać.

— Tak, oczywiście — odparłam.

— Zadzwoń do ciebie.

— Koniecznie.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy. Początki są zawsze takie urocze, jak wybicie pierwszej dziury w ścianie działowej, przez którą można zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Zadzwoił dwa dni później. Wydaje mi się, że i pod tym względem obowiązuje sztywna zasada, podobna do tej określającej, na której randce można zacząć się całować. Gdyby zadzwoił jeszcze tego samego dnia, oznaczałoby to, że jest zwykłym podrywaczem. Nazajutrz można by odnieść wrażenie, że jest nieco zdesperowany, bo skoro pierwszy dzień odpadał, ten drugi był właściwie pierwszym dniem znajomości, więc byłoby to prawie tak samo, jakby zadzwoił od razu pierwszego dnia. Jeśli w ogóle zamierza się podtrzymać znajomość, należy to zrobić trzeciego dnia. Dłuższe czekanie nie ma sensu, można już wcale nie dzwonić, bo przecież zachodzi ryzyko, że druga osoba właśnie wzięła ślub albo dokądś wyemigrowała. Osobiście nigdy nie przywiązywałam wagi do takich zasad. Życie jest za krótkie. Gdyby to ode mnie zależało, zadzwoiłabym natychmiast po powrocie do domu.

W każdym razie Nick zadzwoił, ułatwiając całą sprawę. Umówiliśmy się na następny wieczór w barze w Camden Town. Przyszłam pięć minut za wcześnie, a on parę minut się spóźnił. Był w powycieranych dżinsach, obszernej kraciastej koszuli i skórzanej kurtce. Do tego nieogolony. Oczy miał bardzo ciemnobrązowe, prawie czarne.

— A więc jesteś dekoratorką wnętrz? — zapytał. — Dowiedziałem się od Pattie. Zresztą, masz farbę we włosach.

Przeciagnałam palcami z tyłu głowy.

— Nic na to nie poradzę — odparłam. — Żeby najbardziej się starała, zawsze przeoczę kilka grudek. I tak się wykruszą po jakimś czasie.

Moich nowych znajomych strasznie ekscytuje to, że jestem kobietą wykonującą typowo męską pracę. Można by pomyśleć, że rozbrajam bomby. Ale przynajmniej mamy na

początek dobry temat do rozmowy. Często czuję się też jak terapeuta, bo wiele osób zwraca się z prośbą o radę w sprawie remontu domu czy mieszkania.

Po pewnym czasie Nick zapytał, co chciałabym robić później.

— Kiedy później? — zdziwiłam się, udając, że nie rozumiem.

— No cóż... Do końca życia chcesz być dekoratorką?

— Chodzi ci o to, że powinnam zdobyć jakiś zawód?

— No... chyba tak — odparł niepewnie.

— Po co? Lubię swoją pracę i chcę ją wykonywać nadal.

— Przepraszam. To wypadło pewnie zbyt protekcyjnie. Owszem, miał rację. Zapytałam więc, czym on się zajmuje.

Powiedział, że pracuje w firmie reklamowej. A gdy spytałam, czy zrobili jakąś reklamę, którą mogłam widzieć, odparł, że mnóstwo. Na przykład tę z tłustą gadającą świnką. Niestety nie mogłam jej sobie przypomnieć.

Zapytałam, co teraz robi. Wyjaśnił, że wygrali ostatnio przetarg na wielką kampanię reklamową koncernu paliwowego i właśnie pracuje nad sprawozdaniem z przygotowań do tej kampanii.

To wszystko nie miało jednak znaczenia, najważniejsze było to, co kryło się za naszą rozmową, kwestie, których nie poruszaliśmy. Czas płynął błyskawicznie. Kiedy po pewnym czasie spojrzałam na zegarek, zaskoczyło mnie, że siedzimy w barze już ponad godzinę.

— Muszę już iść — powiedziałam. — Jestem umówiona na obiad ze swoją starą przyjaciółką Laurą. — Podkreśliłam to, żeby było jasne, że nie idę na spotkanie z facetem, który mógłby być moim chłopakiem, a nawet byłym chłopakiem czy kandydatem na następnego.

— Bardzo żałuję. Miałem nadzieję, że zjemy razem obiad. No cóż, będę musiał poczekać. Chciałabyś się ze mną spotkać, powiedzmy, w czwartek?

W tym tygodniu przełożyłam popołudnie z Troyem na środę, więc czwartek miałam wolny. Wychodząc z baru, myślałam: tak, jestem pewna, a przynajmniej prawie pewna, że coś może się wykluć z tej znajomości. Ale jednocześnie nie dawała mi spokoju inna, niemal przerażająca myśl: to chyba najlepsza okazja, jaka mi się dotąd trafiła. W każdym razie, przez kilka następnych dni, może nawet tygodni, mogłam się cieszyć nową znajomością, pogłębiać ją, poznawać różne jej aspekty. Otworzyliśmy furtkę, by zadawać sobie różne pytania i przytaczać ocenzone historie z własnego życia. Zaprezentujemy niezwykłą wrażliwość i troskliwość oraz wręcz bezgraniczne wzajemne zainteresowanie. Tylko co dalej? To wszystko musiało powoli wygasnąć albo nawet szybko się zakończyć utratą kontaktu i poszerzeniem zakresu wspomnień. Dziwnym sposobem takie znajomości nigdy nie przechodziły w fazę zażyłej przyjaźni. Jakby nie było z nich drogi powrotu. Ale mogliśmy też zostać parą, choć i w tym wypadku trzeba się było liczyć z wygaśnięciem zapału, powrotem do jakiegoś typu normalności, w której dalej wykonywalibyśmy swoje zajęcia, obchodzili kolejne rocznice, wypracowywali wspólne poglądy w różnych sprawach i wreszcie kończyli nawzajem zdania rozpoczęte przez tę drugą osobę. Wszystko mogło ułożyć się dobrze. Przynajmniej była na to szansa. Ale już nigdy znajomość nie mogła wrócić do tej niezwykłej fazy początkowej. Takie mętne rozważania dziwnie pasowały do tej wczesno wieczornej pory. Po jednej stronie ulicy samochody, witryny sklepowe i ludzie wracający z pracy tonęli w złotym blasku zachodzącego słońca. Po drugiej wszystko się rozmywało w gęstniejącym mroku. Na mój widok Laura od razu się domyśliła, że coś się święci, chociaż na dobrą sprawę nie bardzo było się jeszcze z czego cieszyć.

— Nie musisz nic mówić — rzuciła. — Wystarczy na ciebie spojrzeć. Próbowałam jej wytłumaczyć, że to śmieszne. W końcu spotkaliśmy się tylko w barze na drinku. Owszem, moim zdaniem był bardzo miły, ale to przecież jeszcze o niczym nie świadczy.

Byłam jednak bardziej przekonana, że świadczy, niż chciałam się do tego przyznać. Czwartkowy obiad okazał się równie przyjemny. Spotkaliśmy się w restauracji kilkaset metrów od mojego domu i nawet nie zauważyłam, kiedy przeleciał cały wieczór, w końcu zostaliśmy jedynymi gośćmi na sali, a szef kuchni wyszedł z kieliszkiem wina w rękę, żeby zamienić z nami parę słów. Dwadzieścia minut później znaleźliśmy się pod moim domem, całując się namiętnie. Wreszcie odsunęłam się od niego i powiedziałam z lekkim uśmiechem:

— Chciałabym cię zaprosić na górę.

— Ale?...

— Jeszcze nie dziś. Spędziłam bardzo sympatyczny wieczór, świetnie się bawiłam. Naprawdę cię lubię. Tylko nie jestem jeszcze...

— Pewna?

— Gotowa. Bo pewna jestem, Nick.

— Możemy się zobaczyć jutro?

— Tak, oczywiście... — Nagle sobie przypomniałam. — Cholera. Nie. Przepraszam. Muszę... Nie uwierzysz, ale muszę wpaść do rodziców. Moje stosunki z nimi są trochę skomplikowane. O wszystkim ci opowiem, ale nie teraz.

— Może w takim razie pojutrze?

— Z największą ochotą.

Zjawiłam się pod domem rodziców w posepnym nastroju. Jakby nie dość było tej niespodziewanej wizyty, tuż przed moim

wyjściem z mieszkania zadzwoniła matka z prośbą, żebym ubrała się wizytowo. Zdjęłam więc spodnie oraz bluzkę i wyciągnęłam z szafy niebieską aksamitną sukienkę, w której chodziłam już od tak dawna, że zaczynała się strzępić na dole.

— Wyglądasz cudownie, moja droga — powiedziała matka, otworzywszy drzwi.

Warknęłam w odpowiedzi coś nieartykułowanego. Na szczęście nie zapytała, jak się miewam. Rodzice także byli w uroczystych strojach. Nawet Troy czekał na dole. Wyglądał dokładnie tak samo jak zwykle, w sztruksowych spodniach i spłowiałym zielonym swetrze, w którym powinien się prezentować doskonale. Wcale nie jest brzydki, mógłby się nawet podobać, tylko zawsze coś z nim jest nie tak.

— Miło cię widzieć, Mirando — przywitał mnie ojciec. — Coś ostatnio często się spotykamy, prawda?

— A gdzież nasze gołąbeczki? — zapytałam.

— Mirando — syknęła matka z naganą w głosie.

— Przecież nie miałam nic złego na myśli.

— Powinni być lada... — Dźwięk dzwonka nie pozwolił jej dokończyć. Uśmiechnęła się szeroko i popychając mnie w stronę drzwi, dodała: — Może ty im otworzysz?

Otworzyłam. Brendan i Kerry stali na progu objęci, uśmiechając się czule do siebie; Po raz kolejny uściskali mnie jednocześnie i poszli w głąb domu. Kiedy ich ujrzałam w świetle słońca wpadającego do saloniku, przemknęło mi przez myśl, że wyglądają zaskakująco uroczyście. Kerry miała na sobie purpurową satynową sukienkę, której dotąd nie widziałam, opiętą na biuście i biodrach. Nie uszło też mojej uwagi, że spogląda na Brendana z prawdziwie zmysłową rozkoszą. Oboje sprawiali wrażenie pary, która najdalej przed dziesięcioma sekundami wyszła z łóżka. On był ubrany w połyskliwy, z wyglądu bardzo drogi garnitur i szeroki wzorzysty krawat z postaciami z filmów rysunkowych, których w pierwszej chwi-

li nie rozpoznałam. Przyniósł plastikową torbę, w której coś podzwaniało. Po chwili wyciągnął z niej dwie oszronione butelki szampana i postawił na stole obok sześciu przygotowanych już wysokich kieliszków. Podniósł jeden z nich, popatrzył na niego pod światło i pstryknął palcem w krawędź, aż szkło zadźwięczało jak dzwonek.

— Nie traćmy czasu — rzekł. — Bardzo się cieszę, że wszyscy jesteście. Kerry i ja chcielibyśmy powiadomić was jako pierwszych.

Coś mnie ostro zakłuło w dołku.

— Wczoraj zaprosiłem Kerry na obiad — ciągnął. — I z przykrością muszę wyznać, że wywołałem małą sensację tuż przed deserem, kiedy uklęknałem przed nią i zapytałem, czy za mnie wyjdzie. Z radością pragnę zakomunikować, że się zgodziła.

Kerry uśmiechnęła się wstydliwie i uniosła rękę, demonstrując pierścionek zaręczynowy. Spojrzałam na matkę. Miała łzy w oczach. Ruszyła w ich kierunku z szeroko rozwartymi ramionami, a gdy wreszcie się wyściskali, ja też zrobiłam parę kroków do przodu.

— Kerry — powiedziałam — bardzo się cieszę z twojego szczęścia.

— Chwileczkę, chwileczkę — odezwał się Brendan.

— Życzenia mogą poczekać. Chciałem powiedzieć coś jeszcze. Przez całe życie przenosiłem się od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Byłem samotnym chłopakiem, który nie miał pojęcia, jak wygląda życie w prawdziwej rodzinie, kiedy się jest kochanym, pożądanym i akceptowanym bez żadnych warunków. — Dwie wielkie łzy wezbrały w kąciakach jego oczu i dziwnie symetrycznie spłynęły po twarzy. Nawet ich nie stał.

— Kiedy przyjęliście mnie po raz pierwszy, kiedy poznałem was oboje, od razu zrozumiałem, że znalazłem swój dom. Bo czułem się tu jak w domu. Czy trzeba jeszcze coś dodawać?

Bardzo wam dziękuję. A teraz zechciejcie wypić szampana, wznosząc toast za nasze szczęście.

Zapanował rozgardiasz. Wyzwoliwszy się z objęć matki i uwolniwszy dłoń z uścisku ojca, Brendan otworzył szampana. Troy tylko wzruszył ramionami, mruknął, że bardzo się cieszy i życzył im szczęścia. Matka zaczęła z kolei ścisnąć Kerry, i to tak mocno, że nabrałam obaw, iż połamię jej żebra. Kiedy wreszcie szampan znalazł się w kieliszkach, ojciec głośno odchrząknął. O Boże, jeszcze jedno przemówienie, przemknęło mi przez głowę.

— Będę się streszczał — zaczął. — Muszę przyznać, że sprawy potoczyły się raczej szybko. — Uśmiechnął się wstydliwie do matki, upodabiając się na chwilę do nastolatka. — Jednakże, jeśli dobrze pamiętam, nie jesteście jedyni wśród tu obecnych, którzy zareagowali dość impulsywnie po pierwszym spotkaniu. — Moi rodzice poznali się na ślubie wspólnego znajomego w 1974 roku i dwa miesiące później byli już małżeństwem. — Czasami powinniśmy zaufać instynktowi. Jedna rzecz nie ulega dla mnie wątpliwości. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby Kerry była tak szczęśliwa i wyglądała tak pięknie. Myślę, Brendan, że możesz się uznać za szczęściarza.

— Tak, wiem — odparł butnie, wzbudzając śmiech.

— Naprawdę zależało mi na tym — ciągnął ojciec — żeby wypić zdrowie młodej pary. Czy możemy was już tak nazywać?

— Zdrowie młodej pary — powtórzyliśmy wszyscy, trącąc się kieliszkami.

Popatrzyłam na Kerry. Była bliska płaczu. Matka już nie próbowała powstrzymać łez. Brendan głośno wydmuchał nos w chusteczkę i otarł wilgotne policzki. Nawet ojciec wyglądał na podejrzenie wzruszonego. Obiecałam sobie w duchu, że nie zburzę ich szczęścia. A w każdym razie nie zrobię nic,

co mogłoby je zburzyć. Chwilę później ktoś mnie trącił w ramię.  
— O czym tak rozmyślasz? — zapytał Brendan.  
— Gratulacje. Bardzo się cieszę.  
— To dla mnie szczególnie ważne. — Rozejrzał się na boki. Rodzice, Kerry i Troy stali w drugim końcu pokoju, rozmawiali i głośno się śmiali. Brendan przysunął się trochę bliżej i dodał: — Kiedy przedstawiałem wspaniałą nowinę, patrzyłem na ciebie. Wyglądałaś na oszołomioną.  
— Byłam zaskoczona. To stało się tak nagle.  
— Rozumiem, że trudno ci się z tym pogodzić.  
— Wcale nie.  
— Kiedy mówiłem, przyglądałem się twoim ustom.  
— Dlaczego?  
— Masz piękne usta. — Pochylił się niżej, aż poczułam na policzku jego ciepły, kwaśny oddech. — I rozmyślałem, jak cudownie byłoby się spuścić w te usta.  
— Słucham?  
— To zabawne — szepnął. — Żenię się z twoją siostrą, ale rozmyślałam o swojej spermie w twoich ustach.  
— Co takiego?! — rzuciłam zdecydowanie za głośno.  
W salonie zapadła cisza, wszyscy popatrzyli w naszym kierunku. Poczułam, że zalewam się gwałtownym, palącym rumieńcem.  
— Przepraszam — bąknęłam, z trudem dobywając głos. Odstawiłam kieliszek i pospiesznie wyszłam z pokoju.  
Słyszałam, jak Brendan coś jeszcze mówi. Dobiegłam do łazienki w samą porę, żeby pochylić się nisko nad toaletą i zwymiotować. Falami nachodziły mnie gwałtowne torsje, dopóki w żołądku nie zostało nic poza żółcią drapiącą w gardle.

— Na pewno chcesz to zrobić? Mirando?

— Co? Ach, tak, oczywiście. Może być zabawnie. Myślami byłam zupełnie gdzie indziej. W łóżku z Nickiem wczorajszego wieczoru. I przez całą noc. W końcu zasnęłam, ale obudziłam się przed świtem, lekko oszołomiona ze zmęczenia, i zaraz przytuliłam się do niego. A rano wciąż był przy mnie, choć trochę mnie zaskoczył widok obcej twarzy na sąsiedniej poduszce. Było to jednak cudowne uczucie. Zamrugałam i uśmiechnęłam się do Kerry. Wargi miałam spierzchnięte i byłam nieco obolała.

— Wybrałam cztery oferty i ustaliłam kolejność oglądania

— powiedziała. — Rozplanowałam trasę, żebyśmy uporały się z tym jak najszybciej. Zajmie nam to jakąś godzinę, może nawet mniej. Bo przecież od agentów handlu nieruchomościami nie sposób się dowiedzieć wszystkich szczegółów, prawda?

— Potem będziemy mogły zjeść razem lunch, jeśli masz ochotę.

— Z przyjemnością. Obiecałam, że spotkam się z Brenda-nem. Będziemy mogły zawiadomić go telefonicznie i przyjedzie do restauracji, którą wybierzemy. Chciał od razu ze mną jechać, ale wcześniej obiecał tacie, że pomoże mu w przestawianiu mebli, bo jutro z rana ma się już zjawić ekipa remontowa. A po południu spotkamy się z tym facetem, który po raz drugi chce obejrzeć moje mieszkanie.

— Zobaczmy, jak nam pójdzie — odparłam wymijająco.

— Nie wiem, czy nie będę musiała wracać wcześniej do pracy. Mam jeszcze do pomalowania antresolę.

— Przecież jest niedziela — zaprotestowała. — Za dużo pracujesz. — Widocznie własne szczęście skłaniało ją do wspa-

niałomyślności i chciała, by wszyscy dookoła też byli szczęśliwi. — Wyglądasz na przemęczoną.

— Naprawdę? — W zamyśleniu przeciągnęłam dłonią po twarzy, wspominając dotyk palców Nicka. — Nic mi nie jest, Kerry. Trochę późno położyłam się wczoraj spać, to wszystko.

Poszliśmy do kina. Film był raczej przeciętny, ale nie miało to większego znaczenia. Siedzieliśmy przytuleni, ja opierałam głowę na jego ramieniu, a on trzymał rękę na moim kolanie. Od czasu do czasu spoglądaliśmy na siebie i całowaliśmy się czule, ale bez żarliwości, jakby miała to być tylko obietnica. Nick kupił porcję solonego popcornu, lecz żadne z nas nie miało na niego specjalnej ochoty. Oboje wiedzieliśmy, że to zdarzy się właśnie dzisiaj, a wizyta w kinie to jedynie pretekst, by doczekać do zmroku i wyrzucić z głowy niepotrzebne myśli. Dla mnie oznaczało to również konieczność zapomnienia o tym, co Brendan powiedział poprzedniego wieczoru. Wciąż miałam żywo w pamięci, jak pochylał się nade mną i szeptał mi do ucha, uśmiechał się i cedził te okropne rzeczy. Musiałam o tym zapomnieć, jak najszybciej uwolnić pamięć od tego wspomnienia, które brzęczało mi pod czaszką jak odrażająca spasiona mucha. Dlatego na zmianę wpatrywałam się w obraz na ekranie i spoglądałam na Nicka. Ale chyba równie często zamykałam oczy. Kiedy wyszliśmy z kina, było już ciemno. Nick uniósł moją dłoń, pocałował ją i zapytał:

— Dokąd teraz?

Do mnie jest bliżej niż do ciebie — odparłam. Wsiadliśmy do autobusu i zajęliśmy miejsca w pierwszym rzędzie na piętrze, przy samym oknie. Przytknęłam czoło do szyby przenoszącej wibracje od silnika i patrzyłam z góry na ludzi z nisko pochylonymi głowami pod silnymi uderzeniami wiatru. Byłam zdenerwowana. Miałam pójść do łóżka z mężczyzną sie-

dzącym w milczeniu obok mnie, z którym wcześniej spotkałam się tylko dwa razy. I co dalej? Czasami bez żadnych oporów akceptuje się takie randki, kiedy indziej zaś seks wiąże się z wieloma problemami i stwarza olbrzymie trudności. Dwoje ludzi mających własne nadzieje i oczekiwania, własne lęki i plany na przyszłość, to na tym etapie dwa zderzające się ze sobą odmienne światy.

— To już nasz przystanek — powiedziałam.

Wstał i pomógł mi wyjść do przejścia. Miał ciepłą dłoń o pewnym, męskim uścisku. Uśmiechnął się i zapytał:

— Wszystko w porządku?

No pewnie. Czuję się świetnie. Zrobiliśmy sobie po kanapce z kozim serem i pomidorami na czerstwej niedopieczonej bagietce, która od paru dni leżała w mojej szafce, wypiliśmy po lampce wina i poszliśmy do łóżka. Szybko zrobiło się dużo lepiej niż tylko świetnie. Było cudownie.

Na samo wspomnienie tej nocy nawet w samochodzie Kerry powilgotniałam z pożądania. A później wykapaliśmy się razem.

Siedzieliśmy w mojej małej wannie z podkurczonymi nogami, wodziłiśmy nawzajem stopami po wewnętrznej stronie ud i chichotaliśmy oboje jak idioci.

— Do czego się tak szczerzysz?

— Co? Ach, nic takiego.

— To już tutaj. To pierwszy dom na liście. — Siostra zatrzymała wóz przy krawężniku i z powątpiewaniem spojrzała na wydrukowaną ofertę.

— Napisano tutaj, że to samodzielne trzypokojowe mieszkanie w wolno stojącym bliźniaku, stwarzające szerokie możliwości adaptacyjne.

— Ale nie napisano, że sąsiaduje z pubem?

— Nie.

— Mimo wszystko chodźmy je obejrzeć.

Kupno domu wiąże się z pewnym niebezpieczeństwem. Zanim jeszcze wejdzie się do środka, człowiek już wie, czy

będzie mu się podobał. Podobnie jest z nowo poznanymi ludźmi, kiedy w ciągu pierwszych paru sekund odczuwa się instynktowną sympatię albo niechęć. Trzeba naprawdę pokochać dom, zanim się go kupi. Cała reszta, a więc kwestia przeciekającego dachu, skorodowanych rur czy wolnej przestrzeni w pokojach, na początku nie ma żadnego znaczenia. Ściany działowe można wyburzyć, pod dachem położyć folię izolacyjną, ale żadnym sposobem nie można się zmusić, żeby dom pokochać. Pod tym względem miałam wystąpić w roli eksperta, ostrzegawczego głosu intuicji.

Ledwie Kerry zapukała, drzwi natychmiast otworzyła nam właścicielka, jakby stała z okiem przytkniętym do wizjera i obserwowała nas już od pewnego czasu.

— Dzień dobry. Proszę wejść. Uwaga na stopień. Chcą panie, żebym je oprowadziła, czy wolą oglądać same? Choć na pewno mogłabym zwrócić uwagę na wiele szczegółów. Proszę, zacznijmy tutaj, od saloniku.

Przepraszam za bałagan...

Była duża, gruba, zadyszana i wyrzucała z siebie nieustający potok słów. Pokazywała nam jeden zagracony pokój za drugim, prowadząc po bardzo wzorzystych, pstrokatych dywanach. Wszędzie na ścianach wisiały pamiątkowe plakietki z podróży: Wenecja, Amsterdam, Scarborough, Cardiff, Sztokholm. Ich widok sprawił, że bez wyraźnego powodu zrobiło mi się jej żal. Z olbrzymią dumą pokazywała zabudowaną suszarkę do naczyń i nowy bojler w łazience, dodatkową toaletę na dole wygospodarowaną kosztem kuchni, ściemniacz oświetlenia zainstalowany w małżeńskiej sypialni oraz dodatkową sypialnię gościnną, przypominającą bardziej schowek na miotły i ewidentnie wykończony po amatorsku. Ostrożnie nacisnęłam ręką ściankę działową, która wyraźnie się ugięła. Kerry uprzejmie potakiwała i patrzyła na wszystko roziskrzonym wzrokiem, w myślach przymierzając swoją przyszłość do tego

mieszkania. Prawdopodobnie w wyobraźni widziała już dodatkowe łóżko stojące w tej miniaturowej sypialni.

— Czy docierają tu hałasy z pubu? — zapytałam.

— Hałasy? — Kobieta popatrzyła na mnie zdumiona, marszcząc brwi. — Skądże. Ledwie coś słysząc. Tylko czasami w sobotnie wieczory...

Jak na zawołanie z zewnątrz doleciała głośna muzyka, basowe tony aż wstrząsnęły posadami domku. Kobieta zaczerwieniła się i natychmiast zaczęła mówić dalej, jakby niczego nie słyszała. Spojrzałam na zegarek, było wpół do dwunastej w niedzielne przedpołudnie. Mimo to obeszliśmy dom do końca, podziwiając głośno widok z okna łazienki na trójkątny ogródek. Im mniej jakiegoś miejsce przypada człowiekowi do gustu, tym bardziej trzeba się starać, żeby nie dać tego po sobie poznać. Nie sądzę jednak, by gospodyni dała się zwieść pozorom.

— I co myślisz? — zapytała entuzjastycznie Kerry, gdy wyszliśmy. — Gdyby tylko...

— Pod żadnym pozorem. Nawet za pół ceny.

— To ruina — orzekłam po wyjściu z drugiego domu.

— Ale...

— Dlatego cena jest tak przystępna. Widocznie od dłuższego czasu nie mogą znaleźć kupca. Pewnie stać was na ten dom już dzisiaj, ale musielibyście potem włączyć w niego kupę forsy. Wątpię nawet, czy w obecnym stanie dałoby się go ubezpieczyć.

— Ale jest taki ładny.

— Mówię, że to ruina. Pewnie nie zwróciłaś uwagi, że wynajęli kogoś, by pouzupełniał ubytki tynku w holu, ale nawet spod warstwy świeżej farby wyłazła stare zacieki, podejrzewam nawet, że dom osiada. Trzeba by ściągnąć inżyniera z nadzoru budowlanego, by sprawdził spójność strukturalną.

Wszystkie ramy okienne są przegniłe. Instalacja elektryczna się rozsypuje. Macie pieniądze na tak gruntowny remont?

— No, wiesz, może będziemy mieli, jak Bren znajdzie pracę.

— A szuka?

— Och tak. I poważnie się zastanawia nad tym, co byłoby dla niego najlepsze. Mówi, że ma niepowtarzalną szansę rozpoczęcia wszystkiego od początku i takiego ułożenia sobie życia, jakie mu się marzy. —

Zarumieniła się lekko i dodała: — Jakie byłoby najlepsze dla nas.

— Tymczasem nie ma grosza przy duszy, więc musicie się ograniczyć do twoich oszczędności i tego, co dostaniecie za twoje mieszkanie.

— Rodzice są dla nas bardzo hojni.

— Doprawdy? — Bezskutecznie próbowałam zapanować nad ukłuciem żalu, jaki wywołały jej słowa. — Widocznie uznali, że na to zasługujecie. Ale nie warto marnować ich hojności na ten dom.

Trzeba umieć wyobrazić sobie to, czego nie widać, natomiast inne wyobrażenia odepchnąć, nim efekt końcowy zacznie się przymierzać do własnych upodobań. Trzeci dom wystawiony na sprzedaż był zapuszczony, cuchnął zatechłym dymem papierosowym nagromadzonym przez lata nieotwierania okien. Zbrązowiałe ściany były pokryte zaciekami, czego nie mogły zamaskować nawet wzorzyste kwiatowe tapety. Podłogi zakrywały dywany w odpychających odcieniach czerwieni. Jadalnia aż się prosiła o wyburzenie ścianki i połączenie z kuchnią, przez co na parterze powstałaby rozległa przestrzeń mieszkalna. A w sąsiedztwie kominka w saloniku trzeba było skuwać tynki.

— Można by założyć markizę nad kuchennymi oknami albo nawet postawić oszkloną werandę. Byłaby fantastyczna.

— Tak myślisz?

— Oczywiście, przecież wychodziłaby na ogród. A on ma chyba ze dwadzieścia metrów długości.

— Jak na warunki londyńskie jest bardzo duży, prawda? Ale na razie rosną w nim wyłącznie pokrzywy.

— Tylko pomyśl, jak mógłby wyglądać!

— A widziałaś, w jakim stanie jest kuchnia?

— Facet mieszka sam, od lat nie odnawiał domu. Przecież na tym polega radość życia. Mogłabyś urządzić wszystko wedle własnego gustu.

— Jest dużo większy, niż potrzebujemy. Do tego te gzymy, sztukateria, masywne dębowe futryny...

— Ale wszystko wygląda bardzo solidnie, przynajmniej na moje oko. Pomogłabym ci się tu urządzić.

— Naprawdę? Zrobiłabyś to?

— Jasne.

— I rzeczywiście sądzisz, że to dom odpowiedni dla nas?

— Wybór należy do ciebie. Najważniejsze, żebyś ty go chciała. To co ja sądzę, w gruncie rzeczy się nie liczy. Mówię tylko, że dałoby się go wspaniale urządzić.

Kerry ścisnęła mnie za rękę.

— Aż się nie mogę doczekać, żeby powiedzieć o tym Bren-danowi.

Uruchomiłam odtwarzanie automatycznej sekretarki.

— Cześć, Mirrie. Słyszałem, że właśnie wybrałaś dla nas dom. To przeurocze. Ale zarazem trochę dziwne, nie sądzisz? Podejrzewam, że będziemy się musieli do tego przyzwyczaić...

Kiedy wciskałam klawisz kasowania wiadomości, ręce mi się trzęsły.

Wybrałam się z Tonym, Laurą i Nickiem do pubu, uznawszy, że jesteśmy już na tym etapie, by można uznać nas za parę. Poszliśmy zatem w dwie pary. Czas upływał w sympatycznym, przyjacielskim nastroju. Najpierw Nick zafundował kolejkę, potem Laura, gdy wreszcie — ni stąd, ni zowąd — wbrew sobie zaczęłam mówić o Brendanie.

— Chyba powinnam być szczęśliwa — oznajmiłam.

— Kerry jest w siódmym niebie.

— O kim mówimy? — spytał z zaciekawieniem Nick, wkładając frytkę do ust.

— O Brendanie, chłopaku Kerry — wyjaśniłam. — Przepraszam, jej narzeczonemu. Znają się dopiero od kilku tygodni, a już się zaręczyli.

— To romantyczne.

— Na tym tle wychodzimy z Laurą na starą, nudną parę

— wtrącił z uśmiechem Tony.

Laura posłała mu wściekłe spojrzenie, ale udał, że tego nie widzi.

— Tylko że z nim jest coś naprawdę nie w porządku

— ciągnęłam. — Ciarki chodzą mi po plecach na jego widok.

— Nie ma się czym martwić. Przecież to nie ty za niego wychodzisz.

— Ale wcześniej z nim chodziłaś, prawda? — zagadnął Tony.

Laura posłała mu kolejne mordercze spojrzenie i chyba w dodatku kopnęła go pod stolikiem.

— Niezupełnie.

— Jak można z kimś chodzić zupełnie albo niezupełnie?

— Chciałam powiedzieć, że nie trwało to długo. Dlatego nawet nie warto wspominać. — W głębi duszy byłam pewna, że powinnam natychmiast zmienić temat, lecz niemal wbrew sobie dodałam: — Zerwałam z nim.

Wcale nie było tak, jak rozpowiada teraz na lewo i prawo.

Nick patrzył na mnie zdziwiony, jakby nic nie rozumiał. Otworzył już usta, ale Tony go ubiegł:

— Więc o co chodzi?

— No cóż, na przykład o to, co mi powiedział na osobności, gdy przyjechali, żeby powiadomić o zaręczynach.

— Co ci powiedział?

— Coś obrzydliwego. Szepnął, że... — Ugryzłam się w język. Poczułam, jak krew napływa mi do twarzy, a nad brwiami formują się kropelki potu.

— W każdym razie było to wstrętne i wulgarne.

— No co? Wyduś wreszcie!

Tylko Tony jeszcze niczego się nie domyślał. Laura spoglądała na mnie z zakłopotaniem, a Nick siedział pochylony i skubał paznokciem podstawkę do piwa.

— To głupie. Nie mam pojęcia, czemu o tym wspomniałam.

— Daj spokój, Mirando. Jak nie powiesz, będę musiał wyobrazić sobie różne okropności.

— Nie chcę o tym mówić. Zmieńmy temat. — Zabrzmiało to po prostu idiotycznie.

— Sama zaczęłaś o nim mówić.

— Tak, wiem. Nie powinnam była. W końcu to dość krępujące sprawy rodzinne.

— To było coś obrzydliwego w sensie propozycji seksualnej? — nalega! Tony.

— Powiedział, że... — Zawahałam się, po czym rzekłam wymijająco: — ...że mam bardzo ładne usta.

— Aha.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Nick sięgnął po następną frytkę.

Tony gapił się na mnie, wreszcie mruknął:

— To chyba nie jest nic obrzydliwego, prawda?

— Nie — odparłam cicho. — Zostawmy ten temat, dobrze? Zapomnijmy o wszystkim.

— Zatem przede mną był w twoim życiu niejaki Brendan.

— Tak. Ale nie było to nic poważnego. Spotykaliśmy się tylko przez parę tygodni. Kiedy poznaliśmy się trochę bliżej, doszłam do wniosku, że to pomyłka. Nawet nie wielki błąd, tylko zwyczajna drobna pomyłka. No i wciąż nie mogę uwierzyć, że sprawy potoczyły się w ten sposób... —

Przemknęło mi przez głowę, że to szczyt głupoty, leżeć w łóżku i rozmawiać o Brendanie. — A kto był w twoim życiu przede mną?

— Kobieta o imieniu Frieda, ale od tamtej pory minęło sporo czasu...

Tak oto przeszliśmy do trochę bezpieczniejszych zagrożeń, opowiadając sobie nawzajem o poprzednich związkach, dzieląc się osobistymi sekretami, jak to mają w zwyczaju nowi kochankowie. Ten mnie uwielbiał, ta dla mnie nic nie znaczyła, ale tamten złamał mi serce... Słyszałam kiedyś dyskusję w radiu, w której jakiś specjalista twierdził, że człowiek może się naprawdę zakochać tylko trzy albo cztery razy w życiu. Leżałam więc w ramionach Nicka i zastanawiałam się, ile prawdziwych miłości mam już za sobą. Którego z moich chłopaków naprawdę kochałam? A w ogóle jak można poznać, że jest się naprawdę zakochanym?

Kilka dni później przyjechali bez zapowiedzi. Ledwie zdążyłam wejść do gorącej kąpieli po całym dniu z pędzlem na drabinie, rozległ się dzwonek do drzwi. Przeklinając pod nosem, wyszłam z wanny, włożyłam stary frotowy szlafrok i otworzyłam, wpuszczając do środka zimne wilgotne powietrze. Kerry uśmiechała się od ucha do ucha, Brendan trzymał wiązankę kwiatów.

— Wpadliśmy nie w porę?

— Brałam kąpiel. — Ściągnęłam mocniej szlafrok i lewą ręką zebrałam go pod szyją.

— Możemy pospacerować, dopóki nie skończysz — rzekł Brendan. — Prawda, Kerry?

— Nie, to zbyt długie. Wejdźcie.

Odsunęłam się z ociąganiem i wpuściłam ich do środka. Kerry usiadła na sofie, lecz Brendan stanął jak słup na środku pokoju i zaczął się rozglądać dookoła pańskim oknem.

— Przetawiałaś meble.

— Trochę.

— Tamten układ bardziej mi się podobał. Nie zechciałabyś wstawić kwiatów do wody?

— Tak. Dzięki. — Prawdę mówiąc, miałam ochotę je wetknąć do przepełnionego wiadra na śmieci.

— Jadłaś już? — zapytał, jakbym to ja przyszła do nich w gości, a nie odwrotnie.

— Jeszcze nie. Ale nie jestem głodna. Później zrobię sobie jakąś kanapkę.

— Wzięłam głębszy oddech i zapytałam: — Napijecie się kawy? A może czegoś mocniejszego?

— Chętnie napiłbym się wina — powiedział Brendan. Wyciągnęłam z lodówki butelkę, którą Nick przyniósł podczas ostatniej wizyty.

— Pomóc ci otworzyć?

— Dam sobie radę.

Uniósł obie ręce w obronnym geście.

— Bez urazy. Wiem, że dasz sobie radę, Mirrie. Po prostu chciałem być uprzejmy.

Wkręciłam ostrze, energicznie docisnęłam ramiona korkociągu i pociągnęłam mocno, lecz z szyjki butelki wyszło tylko pół korka. Uśmiechnięty Brendan przyglądał się z wyrazem współczucia, jak wydłubuję resztki i napełniam winem trzy kieliszki. Uniósł swój pod światło i starannie wyjął paznokciem kilka okruchów korka, nim ostrożnie pociągnął łyk wina.

— Powinniśmy przynieść własną butelkę — odezwała się Kerry. — Dlatego że przychodzimy z prośbą.

— Jaka? — zapytałam podejrzliwie.

— No, wiesz, zdarzyła się rzecz niesłychana. Pamiętasz tego faceta, który w niedzielę chciał drugi raz obejrzeć moje mieszkanie?

— Tak.

— Zaproponował dobrą cenę. Tylko trochę niższą od tej, jakiej żądaliśmy.

— To wspaniale.

— Bardzo się zapalił. Chce je kupić od ręki, bo nie ma gdzie mieszkać.

— Dlatego bardzo mu się spieszy — wtrącił Brendan.

— Aha — mruknęłam. Naszło mnie straszliwe przeczucie, że już wiem, co się szykuje.

— Powiedział, że może załatwić wszystkie formalności i przelać pieniądze w ciągu tygodnia, najwyżej dwóch — ciągnęła Kerry. — Umówił się z administratorką, że jeśli nie będzie żadnych problemów formalnych związanych z prawami własności i dzierżawy, mógłby się wprowadzić jeszcze pod koniec tego tygodnia.

— Jasne — jęknęłam głucho.

— Ale Bren już wypowiedział umowę najmu swojego mieszkania, a przecież nie będziemy mogli w tak krótkim czasie przenieść się do nowego domu, chociaż właściciel już znalazł sobie miejsce w domu starców, a pośredniczka handlu nieruchomościami obiecała jak najszybciej załatwić wszelkie formalności.

— Tak więc... — podjął Brendan, uśmiechając się do mnie szeroko. Nalał sobie drugi kieliszek wina i pociągnął duży łyk. Tymczasem Kerry dokończyła za niego:

— Tak więc może się zdarzyć, choć wolelibyśmy tego uniknąć, że znajdziemy się w sytuacji bez wyjścia. Dlatego

chcieliśmy zapytać, czy nie moglibyśmy zatrzymać się u ciebie. Chodzi tylko o parę dni, tydzień, najwyżej dwa.

— A co?...

— Oczywiście chętnie zamieszkalibyśmy u rodziców — wtrącił ochoczo Brendan — tyle że ich dom przez najbliższych parę miesięcy będzie przypominał pobojuwisko. Sama wiesz najlepiej, jakim koszmarem jest mieszkanie w remontowanym domu. Derek i Marcia zastanawiają się nawet, czy gdzieś nie wyjechać na ten okres.

— Czy byłoby to możliwe, Mirando? — zapytała Kerry. Nie mogłam zrozumieć, czemu w ogóle brała pod uwagę taką ewentualność. Ja na jej miejscu starałabym się za wszelką cenę utrzymać dystans między swoim narzeczonym a jego byłą dziewczyną, zamiast doprowadzać do sytuacji, że znajdą się pod jednym dachem, w małym mieszkanku, nawet — a może zwłaszcza — gdyby chodziło o moją siostrę. No cóż, pewnie jestem z natury bardziej podejrzliwa od niej. A może chciała udowodnić wszystkim, a głównie samej sobie, że nie musi się niczego obawiać. Spojrzałam na nią, lecz z jej miny nie potrafiłam odczytać prawdziwych motywów.

— Tu jest bardzo mało miejsca — zaoponowałam nieśmiało. — Nie mam nawet dodatkowej sypialni.

— Masz dużą rozkładaną sofę — rzekł Brendan.

— Miejmy nadzieję, że do niczego takiego nie dojdzie i nie będziesz musiała nas gościć — powiedziała Kerry. — Ale gdyby już tak się stało, nie wchodzilibyśmy ci w drogę. Będziemy sprzątać i szykować ci posiłki. Nawet byś nie zauważyła naszej obecności. To tylko tydzień.

— Nie macie przyjaciół z większym mieszkaniem, gdzie byłoby wam znacznie wygodniej?

— Jesteś moją siostrą, Mirando. — Kerry miała łzy w oczach. Zerknęła na Brendana, który pospiesznie wziął ją za rękę i zaczął gładzić po dłoni.

— Jesteśmy rodziną. Dłate-

go nie dziw się, że przychodzimy do ciebie. Rodzice byli pewni, że się zgodzisz. Ja też tak sądziłam. Miałam nadzieję, że może nawet się z tego ucieszysz. W ogóle nie brałam pod uwagę, że...

— Może dla Mirrie ta sytuacja wciąż jest bolesna — podsunął cicho Brendan.

— Słucham?

— Nie powinniśmy zwracać się do ciebie z tą prośbą. To nie w porządku. Najwyraźniej nie jesteś jeszcze na to przygotowana.

Tak silnie zacisnęłam palce na kieliszku, aż naszły mnie obawy, że zaraz go zgniotę.

— Ale w końcu masz przecież dług wdzięczności wobec Kerry, prawda?

— ciągnął cicho, łagodnym tonem, który burzył mi krew w żyłach. — Po tym wszystkim, co się stało...

— Nie rozumiem — odezwała się Kerry.

Gapiałam się na Brendana, aż przed oczyma zawirowały mi czerwone plamy. Miałam ochotę chlusnąć mu winem w twarz, roztrzaskać kieliszek na jego głowie, kopnąć go w piszczel, z całej siły huknąć w brzuch, a potem wziąć za kark i wyrzucić z mieszkania.

— Mirando? — szepnęła Kerry. — Przecież to tylko parę dni.

Odwróciłam się do niej, próbując skupić wzrok na jej zbolalej minie.

Pomyślałam, że leżąc we własnym łóżku, nawet na chwilę nie będę mogła się uwolnić od świadomości, że on jest zaledwie parę metrów dalej, na mojej sofie, i do tego obściska moją siostrę; że wstając rano, będę go widziała przy kuchennym stole, jakby sprowadził się tu na stałe; że będę wpadać na niego w przedpokoju, biegnąc do łazienki... Ale zaraz przyszło mi na myśl, że może będę mogła zostać u Nicka, choćby na jedną czy dwie noce. Albo u Laury... A może wyjadę gdzieś na cały weekend.

Dokądkolwiek.

— W porządku — odparłam. — Ale tylko na tydzień.

Kerry serdecznie uścisnęła mi dłoń, a Brendan podszedł z szeroko rozwartymi ramionami. Pomyślałam, że gdy tylko mnie dotknie, zacznę wrzeszczeć lub zwymiotuję albo naprawdę przejdę do rękoczynów.

Dałam nura pod jego ręką.

— Teraz chcę dokończyć przerwana kąpiel — powiedziałam. — Dopijcie wino.

Woda zdążyła wystygnąć, lecz mimo to weszłam do wanny. Zamknęłam oczy, wstrzymałam oddech i zanurzyłam się z głową, mając nadzieję, że serce przestanie się tłuc jak oszalałe w piersi. Kiedy się wynurzyłam dla zaczerpnięcia oddechu, usłyszałam pukanie do drzwi. Brendan zawołał coś z holu.

— Słucham?!

— Telefon do ciebie. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że odebrałem?

— Kto dzwoni?

Zaczęłam się gramolić, sięgając po ręcznik.

— Jakiś Nick. Był bardzo zaskoczony, usłyszawszy mój głos.

Pospiesznie wyskoczyłam z łazienki i mijając drzwi saloniku, rzuciłam:

— Odbiorę w sypialni. Możesz odłożyć słuchawkę.

— Ten Nick to twój nowy chłopak? — Gdy nie odpowiedziałam, objął

Kerry ramieniem, przyciągnął ją do siebie i rzucił radośnie: — To

wspaniała nowina, Mirrie! Oboje bardzo się z tego cieszymy!

Gwałtownie otworzyłam drzwi sypialni i zatrzasknęłam je za sobą.

Podniosłam słuchawkę.

— Nick?

— Chciałem tylko usłyszeć twój głos. Jak się miewasz?

— Teraz dobrze, bo mogę z tobą porozmawiać.

I wtedy złowiłam szmer oddechu. Byliśmy podsłuchiwani. Po skończonej rozmowie odczekałam chwilę i usłyszałam ciche pstryknięcie na linii. Zaraz potem stuknęły drzwi wejściowe.

## 9

Odsunęłam talerz z resztkami curry, pochyliłam się nad stolikiem i odchrząknęłam.

— Muszę ci coś powiedzieć. To nic poważnego — dodałam szybko, ujrawszy jego podejrzliwe spojrzenie. — Po prostu cały czas dręcę się tym, że gdy rozmawialiśmy z Laurą i Tonym, pewne rzeczy zostały niedopowiedziane.

— Nic się nie stało — odparł Nick.

— Tak, wiem. Ale mnie to nie daje spokoju. Chcę być z tobą zupełnie szczerą.

— A do tej pory nie byłaś?

— Byłam, tyle że pewne sprawy przedstawiłam w zagmatwany sposób, a wolałabym, żebyś nie zrozumiał ich opacznie. Dlatego chcę wszystko wyprostować. To naprawdę nic wielkiego.

Pociągnęłam łyk wina i pokrótce przedstawiłam mu sytuację z Brendanem, Kerry i resztą mojej rodziny.

— Zrozum, że nie żywiłam wobec niego żadnych szczególnych uczuć, może poza ostatnim okresem, kiedy uznałam, że jest wredny. Teraz jednak jest z moją siostrą, a wszyscy wokoło powtarzają, że jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa, dlatego też...

— Zaczynasz się zastanawiać, czy nie popełniłaś błędu?

— Jakiego błędu?

— Zrywając z nim. Aż rozdziawiłam usta.

— Boże, nic podobnego, nawet przez chwilę nie przyszło mi to do głowy. Zerwałam z nim, wychodząc z założenia, że już nigdy się nie spotkamy, tymczasem on stał się jak gdyby elementem mojego umeblowania.

Nick odkroił kawałek kurczaka tandoori, włożył go do ust i zaczął powoli przeżuwać.

— Dlaczego w ogóle z nim chodziłaś, skoro jest wredny?

— Widzieliśmy się zaledwie kilka razy, zanim zerwałam.

— Aż trudno mi sobie wyobrazić ciebie z kimś takim jak on. Zupełnie do ciebie nie pasuje.

— Nigdy ci się nie zdarzyło, że nawiązałeś znajomość, a dopiero potem stopniowo zaczynałeś rozumieć, że wcale ci to nie odpowiada?

— Nie pamiętam — odparł.

— Naprawdę nigdy nie byłeś zauroczony żadną kobietą, która nagle przestała ci się podobać, gdy minęło pierwsze zauroczenie?

— Zastanawiam się właśnie, co pomyślisz o mnie, kiedy lepiej się poznamy — rzekł Nick.

— Myślę, że już cię znam. Właśnie dlatego zadaję sobie tyle trudu, żeby wyjaśnić wszelkie niedomówienia.

— Niczego nie musisz mi wyjaśniać.

— Ale...

— Chodźmy lepiej do domu.

Później, kiedy leżeliśmy obok siebie w ciemnej sypialni, do której przez szparę między zasłonkami wlewała się blada smuga światła ulicznych latarni, położyłam głowę na piersi Nicka i zaczęłam delikatnie wodzić palcami po jego brzuchu. Oddychał powoli i miarowo, toteż myślałam, że usnął, lecz nagle zapytał:

— Co ci wtedy powiedział?

— Kto? — zdziwiłam się.

— Brendan. Ciekaw jestem, co ci wtedy szepnął takiego okropnego.

Uniosłam się na łokciu i spojrzałam mu w oczy.

— Wiesz, że możesz pytać mnie o wszystko.

— Właśnie dlatego pytam.

— Chciałam jednak dodać, że czasami o pewnych rzeczach lepiej nie wiedzieć. Czasem człowiek czuje się zbruka-ny, gdy się o czymś dowie.

— Ale skoro już o tym wspomniałaś, chciałbym znać prawdę. Nie daję mi to spokoju. Po prostu nie mogę uwierzyć, że było to coś aż tak okropnego. Przeszył mnie dreszcz, jakbym miała gorączkę i wyskoczyła nagle spod kołdry.

— Powiedział... — Urwałam, wzięłam głęboki oddech i wyrzuciłam z siebie jednym tchem: — ...że marzy o tym, żeby mi się spuścić w usta. Poczułam... Wybiegłam z pokoju i zwymiotowałam w łazience. Teraz już wiesz, jak było naprawdę.

— Cholera — syknął. Na dłużej zapadło milczenie, ale nie chciałam się odzywać pierwsza. Wreszcie zapytał: — Mówiłaś komuś o tym?

— Właśnie powiedziałam tobie.

— Chodzi mi o to, czy mówiłaś komuś z rodziny. Przecież twoi rodzice z pewnością natychmiast wyrzuciliby go z domu.

Tak myślisz? Wcale nie jestem pewna. Mógłby wszystkiemu zaprzeczyć, tłumaczyć, że się przesłyszałam, albo wymyślić jeszcze coś innego. W każdym razie miałam zamęt w głowie. Poczułam się tak, jakbym dostała w twarz i w brzuch równocześnie. Czy właśnie takie okropieństwo sobie wyobrażałaś?

— Trudno powiedzieć — odparł.

Nie rozmawialiśmy już więcej, chociaż długo nie mogłam usnąć. Nie wiem, czy on też nie spał. Szeptałam coś do niego, ale nie odpowiadał. Oddychał wciąż tak samo powoli i miarowo. Leżałam więc obok niego, gapiąc się na smugę światła, jaka od czasu do czasu przesuwała się po suficie.

Kiedy matka weszła do baru, uświadomiłam sobie, że nie tylko Kerry się odmieniła. Wyglądała wspaniale, jakby nagle odmłodziła. Włosy miała upięte w kok na czubku głowy, w uszach duże podzwaniające kolczyki, była ubrana w elegancki płaszcz spięty paskiem, szeleszczący przy każdym ruchu, i nawet uszmiłkowała wargi. Uśmiechnęła się na mój widok i pozdrowiła mnie, unosząc dłoń w rękawiczce, nim ruszyła przez salę w moim kierunku. Kiedy się pochyliła, żeby mnie ucałować, poczułam od niej przyjemny zapach perfum i pudru.

Nie wiadomo dlaczego z mojej pamięci wypłynął epizod z dzieciństwa. Wybraliśmy się wszyscy na wycieczkę rowerową i zostałam za nimi daleko w tyle. Starłam się, jak mogłam, pedałowalam ze wszystkich sił, lecz oni wciąż się oddalali. Musieli się zatrzymać i czekać na mnie, ale potem znów zostawałam, aż z wściekłości i wyczerpania łzy napływały mi do oczu. Dopiero pod koniec zaplanowanej trasy ojciec obejrzał uważnie mój rowerek i zauważył, że coś się stało z hamulcem, który przez cały czas ocierał o obręcz koła. Przyszło mi teraz do głowy, że to znakomita metafora na ciężkie czasy, jakby człowiek musiał pedałować na rowerze z zablokowanym hamulcem. I naturalnie pomyślałam, że moja matka przez lata poruszała się z zaciśniętym hamulcem i dopiero kiedy Kerry się zakochała, zdołała go odblokować i teraz porusza się swobodnie.

— Zamówiłam już butelkę białego wina — powiedziałam.

— To zbyt dobre — odparła pobłażliwym tonem, co w jej wydaniu miało oznaczać: „Świetnie, bardzo dziękuję”.

— Nie martw się, mają tu specjalną ofertę — wyjaśniłam.

— Gdy zamawia się dwa kieliszki wina, dają całą butelkę. Wiesz, że nigdy nie umiałam się oprzeć takim pokusom.

Nalałam jej wina. Uniosła kieliszek i trąciła mój w obowiązkowym toaście na cześć Kerry i Brendana. Starłam się to lekceważyć. Musiałam jakoś zdusić w sobie odruchy pięcioletniej Mirandy, która zawsze chciała być w centrum zainteresowania.

— Kerry mówiła mi, że bardzo jej pomogłaś w wyborze domu i zgodziłaś się przyjąć ich pod swój dach — zaczęła.

— Zdaję sobie sprawę, że nie za bardzo wychodzi jej okazywanie wdzięczności. Pewnie jest zakłopotana. Ale musisz wiedzieć, jak wiele to dla niej znaczy. I dla mnie także.

— Drobiazg — mruknęłam.

— Nawet nie umiesz sobie wyobrazić, jak się cieszę, że Kerry odnalazła w końcu szczęście. Przez cały czas trzymam za nich kciuki. A gdy budzę się w nocy, zaczynam się modlić, żeby im się powiodło.

— Dlaczego miałyby się nie powieść?

— Bo to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Jakby dobra wróżka całkowicie odmieniła jej życie.

— To nie bajka. A on nie jest rycerzem w srebrzystej zbroi.

— Tak, wiem, ale zawsze mi się wydawało, że gdyby Kerry nabyła tylko pewności siebie, zdobyłaby wszystko, czego pragnie. A dzięki Brendanowi właśnie ją zyskała.

— To przerażające, od ilu drobnych rzeczy zależy nasze szczęście — powiedziałam, w zamyśleniu kolebiąc resztką wina w kieliszku. — Chciałoby się, żeby nie było tak kruche i ulotne.

— No cóż, o tobie nigdy w ten sposób nie myślałam

— odparła matka. — Niezależnie od wszystkiego, zawsze byłam pewna, że sobie poradzisz.

— Jasne — mruknęłam zdawkowo, bo dziwnym sposobem wcale mnie to nie ucieszyło.

— Teraz mogę się już martwić tylko o Troya — ciągnęła. — Ale coś mi podpowiada, że wszystko będzie w porządku. Jakbyśmy wreszcie wyszli z zaklętego kręgu. — Dopija resztkę wina, więc jej dolałam. Odczekała, aż odstawię butelkę, po czym wzięła głębszy oddech i ciągnęła: — Skoro już mowa o Kerry i Troyu, mamy dobrą okazję, żeby porozmawiać o sprawach, których ja i ojciec jeszcze dotąd z tobą nie przedyskutowaliśmy.

— Jakich? — zapytałam, próbując odepchnąć od siebie złe przeczucia. Wzięła ze stojaka papierową serwetkę i zaczęła ją składać, jakby chciała zrobić samolocik.

— Oczywiście nie muszę ci tłumaczyć, jak bardzo troszczymy się o Troya, ale on zawsze będzie potrzebował pomocy finansowej. Zapewne wiesz, że systematycznie wpłacamy pieniądze na fundusz powierniczy przeznaczony dla niego.

— Niewykluczone, że znajdzie sobie jakąś pracę — wtrąciłam niezbyt pewnym głosem. — To tylko kwestia doboru właściwej posady.

— Też na to liczę, Mirando. Ale na razie mamy inne zmartwienia. Za dwa miesiące Kerry i Brendan biorą ślub, z konieczności będzie to bardzo skromna uroczystość. I jeszcze przez dłuższy czas będą biedni jak myszy kościelne. Derek dużo rozmawiał z Brendanem i jest pod wrażeniem jego rozległych planów. Na razie jednak trzeba będzie im pomóc z remontem domu i całą resztą. Jak wiesz, mamy własne kłopoty z remontem, chcemy jednak udzielić im wszelkiej pomocy, na jaką będzie nas stać. Przede wszystkim, zamierzamy choćby w niewielkim stopniu dołożyć się do zakupu domu.

— Bardzo się cieszę — odparłam. — Tylko dlaczego mi o tym mówisz?

— Bo ty świetnie sobie radzisz. — Matka ścisnęła mnie za rękę. — Zawsze byłaś samodzielna. Aż czasem mi się zdaje, że nie potrafisz sobie wyobrazić kłopotów, jakie dotyczą Troya i Kerry.

— Jestem tylko dekoratorką wewnątrz, a nie maklerem giełdowym. Pokręciła głową.

— I tak wspaniale ci się powodzi. Rozmawiałam z Billem. Jest z ciebie bardzo zadowolony.

— W takim razie muszę go poprosić o podwyżkę.

— Na pewno dostaniesz, Mirando. Cały świat stoi przed tobą otworem.

— Do czego więc zmierzasz?

— Jesteś bardzo wspaniałomyślna i dobrze wiem, że nawet przez chwilę tego nie żałujesz, jak wiele innych ludzi. Dlatego oboje z twoim ojcem jesteśmy przekonani, że Troy i Kerry potrzebują... że zawsze będą potrzebowali pomocy, która tobie jest zbędna.

— Do czego zmierzasz? — powtórzyłam, przeczuwając już, o co chodzi.

— Chcę powiedzieć, że myślimy o stworzeniu specjalnych funduszy dla Troya i Kerry. I chyba przyznasz, że jest to jak najbardziej celowe. A miało to, oczywiście, znaczyć, że chcą zabrać ten kawałek rodzinnego tortu hipotetycznie przeznaczony dla mnie, żeby podzielić go między resztę mojego rodzeństwa. Co miałam odpowiedzieć? Sprzeciwić się? Zaprotestować przeciwko pomocy finansowej Troyowi i Kerry? Nie zmieniało to faktu, że nornica ukryta w najdalszym kącie mojej świadomości zaczęła głośno piszczeć ze smutku i wściekłości, ale zamknęłam jej pyszczek metaforycznym kneblem.

Chciało mi się płakać. I to nie z powodu pieniędzy, a w każdym razie nie tylko. Chodziło o uczucia, jakie się za

tym kryły. Nigdy nie dorastamy do tego stopnia, żeby w ogóle nie potrzebować troski i zainteresowania rodziców.

— Oczywiście — odparłam, siląc się na uśmiech.

— Wiedziałam, że tak zareagujesz — odparła żarliwie matka.

— Po prostu będę musiała znaleźć sobie bogatego męża — dodałam z tym samym, teatralnym uśmiechem.

— Znajdziesz w życiu wszystko, czego zapragniesz — zapewniła solennie.

## 10

Przyjechali wcześniej, kiedy byłam jeszcze w szlafroku, popijałam kawę i jadłam resztkę placka z kremem, który kupiłam parę dni wcześniej, wracając z pracy. Nie było to najzdrowsze śniadanie, ale krem na podeschniętym cieście zaczynał się psuć i musiałabym wyrzucić cały kawałek, gdybym go teraz nie zjadła. Poza tym wróciłam z joggingu. W ten wspaniały październikowy ranek, dość zimny, lecz pogodny, z donośnym sapaniem zdołałam pokonać całą ośmiokilometrową trasę przez Heath, ślizgając się na gnijących pożółkłych liściach. Tylko ze względu na olbrzymi wysiłek pozwoliłam sobie na tak tuczące śniadanie. Później chciałam pomalować paznokcie u nóg, posprzątać trochę w saloniku i zadzwonić do Nicka, żeby umówić się z nim na lunch. W ten sposób mogłabym ich przywitać, mając doskonałą wymówkę, żeby natychmiast wyjść.

Całkowicie zaskoczyły mnie trzy krótkie natarczywe dzwonki do drzwi. Zanim zdążyłam wstać, usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Zawczasu dałam Kerry zapasowy klucz, czego teraz

natychmiast pożałowałam. Moim zdaniem powinni czuć się jak goście i poczekać, aż ich wpuszczę. Zgrzytanie nie ustawało, po chwili doleciało zza drzwi stłumione przekleństwo i cichy chichot. Włożyłam ostatni kęs placka do ust, wstałam od stołu, zacisnęłam pasek szlafroka i otworzyłam drzwi, wciągając do środka Brendana, który wciąż zaciskał palce na kluczu tkwiącym w zamku. Znaleźliśmy się w odległości dziesięciu centymetrów naprzeciwko siebie. Miał na sobie zimowe palto ojca i cętkowany wełniany szalik, który dziwnie mi przypominał mój gwiazdkowy prezent dla Troya. W lewym ręku trzymał wypchaną nylonową torbę podróżną. Na wierzchu leżały piżamy, szlafrok, butla z płynem do kąpieli. Oczy mu błyszczały, jakby szły w zawody z lśnącymi włosami, a wargi miał czerwiejsze niż zazwyczaj.

— Cześć — rzuciłam krótko, odsuwając się na bok.

Ale on, nie przestając się na mnie gapić, zrobił krok za mną, jakbyśmy brali udział w jakimś dziwnym tańcu. Postawiony kołnierz palta zakłuł mnie w brodę, poczułam na policzku jego ciepły oddech.

— Cześć, Mirrie — odparł.

Szybko uniósł rękę i nim zdążyłam go powstrzymać, strącił mi kciukiem jakiś okruszek ciasta z górnej wargi, a następnie pochylił się i przywarł tymi dziwnie czerwonymi ustami do mego policzka. Poczułam intensywny zapach mięty, który i tak nie był w stanie zamaskować kwaśnej woni jego oddechu.

Odwrociłam się, szybko starłam z twarzy jego pocałunek i wycofałam się w głąb mieszkania. Brendan ruszył za mną. Kerry została w przejściu, ubrana w swoją jaskrawoczerwoną budrysówkę. Policzki miała rumiane, włosy zaplecione w krótkie dziewczęce warkoczyki. Trzymała kartonowe pudło z paczkami otrębów, ziołowych herbatek, fiolkami witamin, kielkami lucerny, butlami jakichś preparatów wzmacniających.

Musiała je postawić na podłodze, żeby uścisnąć mnie na powitanie.

— Nie zamykaj drzwi — powiedziała. — Mamy jeszcze sporo gratów do przyniesienia z samochodu. Rodzice i Troy idą za nami.

— Bez paniki — wtrącił Brendan. — Wzięliśmy tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

— Ubiorę się i zaraz pomogę wam to nosić.

— A może lepiej zrobiłabyś nam kawy? — zaproponował.

— Poza tym, nie jedliśmy jeszcze śniadania, prawda, Kerry? Bardzo nam się spieszyło.

— Tobie się spieszyło. Nie mam pojęcia, skąd wzięłeś tyle energii.

Uśmiechnął się chytrze i dodał:

— Wystarczyłyby tosty z dżemem. A nie masz przypadkiem tahini?

— Czego?

— Oboje z Kerry preferujemy zdrowy styl życia. — Wyciągnął swoje wielkie łapsko z kępkami czarnych kłaczków na palcach i czule poczochnął włosy na czubku głowy mojej siostry. — Chcemy żyć razem jak najdłużej. Prawda, skarbie?

— Wypełniliśmy ankiety w Internecie — wyjaśniła Kerry.

— Trzeba było wpisać, ile się dziennie ćwiczy, co sieje, i tak dalej, a program wyliczał, jakiego wieku można będzie dożyć. Ja mam żyć dziewięćdziesiąt dwa lata, a Brendan aż dziewięćdziesiąt sześć.

— Mam tylko dżem — odparłam.

Nie spieszyłam się z ubieraniem. Usiadłam na brzegu łóżka i przez jakiś czas oddychałam głęboko, żeby się uspokoić. A gdy się już ubrałam, starannie uczesałam włosy i posłałam łóżko. Zadzwoił telefon, ale ktoś odebrał w saloniku, nim zdążyłam podnieść słuchawkę.

Kiedy wyszłam z sypialni, drzwi na korytarz nadal były otwarte na oścież, ale rodzice i Troy kręcili się już po pokoju. Na krześle stał telewizor turystyczny; na kuchennym stole komputer z drukarką, przenośny odtwarzacz płyt z całą stertą kompaktów oraz lampka na biurko, której sznur wił się po podłodze; przy drzwiach trzy pękate torby podróżne. Dziwne wrażenie zrobiła na mnie sterta butów, pomieszanych, jego i jej, bezczelnie świadcząca o łączącej ich zażyłości. Rakiety tenisowe stały oparte o ścianę. Rower do ćwiczeń tarasował wejście do łazienki. Na blatach kuchennych piętrzyły się przeróżne drobiazgi, prześliznęłam się spojrzeniem po dwóch elektrycznych szczoteczkach do zębów, buteleczce płynu do płukania szkieł kontaktowych — jak to możliwe, że będąc z nim, nie zauważyłam, iż nosi takie soczewki? — szamponie przeciwlupieżowym, zestawie do makijażu, drugim tosterze, żelazku elektrycznym, oprawionej w ramki fotografii przedstawiającej ich oboje na parkowej ławce, objętych ramionami, stercie reklamówek biur turystycznych, poobijanych dzwoneczkach balkonowych, które Kerry dostała od kogoś w dzieciństwie. Jak zdołali w tak krótkim czasie zgromadzić aż tyle gratów?

Przez chwilę stałam w przejściu do pokoju, spoglądając na nich. Brendan mełł kawę w młynku, Kerry szykowała dla wszystkich tosty z dżemem. W powietrzu unosił się apetyczny zapach świeżych grzanek. Mama była ubrana bardziej sportowo niż zazwyczaj, w stare sztruksowe spodnie i męską koszulę. Włosy rozpuściła i zaczesła za uszy, aż naszła mnie refleksja, że chyba nie pamiętam jej tak niezadbanej. W rękę trzymała bukiet jaskrawych dali. Brendan podszedł do niej, objął ją wpół i szepnął coś na ucho, a ona zaśmiała się, pochyliła w jego stronę i podetknęła mu kwiaty pod nos. Popatrzyłam na ojca, ale jak zawsze miał zupełnie obojętną minę. Rozglądał się ciekawie dookoła. Był nieogolony, koszulę pod pachami miał wilgotną od potu, a brodę wymazaną dżemem.

Troy siedział na podłodze, na zrolowanej kołdrze, oparty plecami o sofę. Bawił się przestrzennym puzzlem, którego dostał ode mnie w ostatni czwartek: zestaw różnokształtnych plastikowych klocków mający dać się ułożyć w sześcian. Był całkowicie pochłonięty nową zabawką, wyglądał jednak na bardziej pobladłego, wychudzonego i zmęczonego niż zwykle. Oczy miał podkrążone, chyba od płaczu. Sprawiał jednak wrażenie opanowanego. Troy jest jedyną znaną mi osobą, która potrafi być zadowolona i smutna równocześnie, co można wyczuć w dwóch odrębnych aurach, jakie go otaczają. Po chwili dołożył ostatni element, popatrzył na trzymany w rękach sześcian, uśmiechnął się z satysfakcją i z powrotem rozsypał klocki. Coś mnie ścisnęło w gardle. Zbierało mi się na płacz.

— Witam wszystkich — powiedziałam. Ucałowałam serdecznie rodziców, a Troya potarosałam za włosy.

— Kawa gotowa — oznajmił radośnie Brendan. — Niestety zmieliłem cały zapas i nic już nie zostało.

— Gdzie chcecie to wszystko rozmieścić? — zwróciłam się do Kerry. — Przecież nawet nie ma gdzie porozwieszać ubrań.

— Tata pożyczył nam stojący wieszak, wystarczy na stroje wyjściowe i moje ubrania do pracy. Postawimy go za sofą. A resztę będziemy trzymali w torbach.

Nie zdobyłam się na nic więcej poza słabym, przyzwalającym wzruszeniem ramion. Spojrzałam na matkę układającą bukiet w wazonie, próbując przełknąć gorycz żalu nad własnym losem. Mnie nie przyniosła kwiatów, kiedy ostatni raz wpadła z wizytą.

— Już ci nalewam — rzucił Brendan. — Ze śmietanką, ale bez cukru, zgadza się?

Puścił do mnie oko, jakby udało mu się prawidłowo odpowiedzieć na pytanie w teleturnieju.

Usiadłam obok Troya i popatrzyłam, jak Kerry upycha pudełka płatków śniadaniowych w kuchennych szafkach. Brendan zgarnął z wiszącej półki stosik książek, położył je w kącie na podłodze, a na ich miejsce wstawił turystyczny telewizor.

— Będziemy mogli oglądać w łóżku — oznajmił. — Czy twoja sofa jest wygodna, Mirrie? Nigdy na niej nie spałem.

— Jak się miewasz? — zapytałam Troya.

Nietrudno było się domyślić. Wyglądał na przygnębionego i osowiałego, jakby całkiem stracił chęć do życia. Nagle rozległa się głośna muzyka.

— Mozart — wyjaśnił Brendan, odsuwając się od odtwarzacza płyt kompaktowych. — Uwielbiamy Mozarta, prawda, Kerry?

— W porządku — mruknął Troy. — Nic mi nie jest. Pozgarniał plastikowe klocki i znów zaczął je obracać w palcach.

— Możesz na nas liczyć, kolego — rzekł Brendan, kucając przy nim. — Trzeba ci zwiększyć poziom cukru we krwi.

— Wziął go pod brodę i uniósł głowę do góry. — Jesteś zmęczony, jak widzę. Kiepsko spałeś?

— Dosyć — bąknął Troy.

— Niedobrze. Zjedz tosta z dżemem. Później pójdziemy na długi spacer. Świeże powietrze dobrze robi na bezsenność, co nie?

— Nie wiem — odparł Troy. Z konieczności patrząc na Brendana, odgryzł kawałek tostu i dodał: — Chyba nie mam ochoty na spacer.

— Powinnam was ostrzec, że niedługo będę musiała wyjść

— powiedziałam. — Przykro mi. Umówiłam się, zanim się dowiedziałam, kiedy przyjdziecie.

— Co za szkoda — odparła matka. — Nie możesz tego odwołać?

— Z kim się umówiłaś? — zaciekał się Brendan.

— Nie znasz go.

— Mirando — odezwała się matka z naganą w głosie.

— Wiem, że tego nie chciałaś, ale tak nie wypada. Zdobyłam się na wysiłek i nie powiedziałam na głos tego, czego w tej sytuacji naprawdę nie wypadało mówić.

— Ma na imię Nick.

— Nick? — Brendan zmarszczył brwi.

— Owszem.

— To dziwne. Właśnie rozmawiałem z nim przez telefon. Kiedy się ubierałaś. Przepraszam, powinienem był ci wcześniej o tym powiedzieć. Obiecałem, że do niego oddzwonisz, ale nic nie mówił o tym, że byliście na dziś umówieni. Zresztą, pod wpływem chwili zaprosiłem go na kolację. Z całą rodziną. Urządzimy skromne przyjęcie, coś w rodzaju parapetówki. Bo w kuchni Dereka i Marcii zostały tylko trzy ściany, więc nie możemy się tam przenieść, nawet gdybyśmy chcieli, prawda?

Zamknęłam oczy i otworzyłam je po paru sekundach. Nie zniknął, wciąż kucał przede mną, uśmiechając się tajemniczo.

— Naprawdę nie mogę... — urwałam, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Tak silnie zacisnęłam pięści, aż paznokcie wbiły mi się głęboko w skórę.

— Powiedział, że przyjdzie z przyjemnością.

— I tak musielibyśmy go kiedyś poznać — wtrąciła matka, ustawiając parami pod ścianą buty narzeczonych.

— Troy nam coś upichci — dodał Brendan.

— Nie jestem pewien, czy mam ochotę na pracę w kuchni

— burknął mój brat.

— Wygląda na to, że zaplanowałaś wszystko w szczegółach — powiedziałam.

— Nie musisz się o nic martwić — odparł. — Będziemy cię rozpieszczać. W końcu taka była umowa, Mirrie.

## 11

Ale i tak wyszłam z domu. Po prostu nie mogłam z nimi zostać. Moje mieszkanie nie wyglądało już na moje. W łazience stał krem do golenia Brendana, telewizor Kerry na mojej półce na książki, z odtwarzacza leciała ich ulubiona muzyka, poczesne miejsce w lodówce zajmowało ich mleko sojowe, a ich nocne stroje wisiały na oparciu mojej sofy.

Ruszyłam alejką przez Heath, zasłuchana w szelest suchych liści pod nogami, obserwując obłoczki pary wydobywającej się z ust. Gdybym tego pięknego dnia spotkała się z kimś, kogo lubię, na pewno byłabym szczęśliwa, tymczasem jedynym doznaniem, jakiego doświadczałam, było dokuczliwe ssanie w żołądku, jakbym napiła się żrącego kwasu. Nie mogłam się uwolnić od widoku Brendana siedzącego na moim sedesie, leżącego w mojej wannie, jedzącego posiłki przy tym samym stole i bez przerwy tulącego się, jak nie do mojej siostry, to do matki... Widziałam jego włosy na mojej szczotce i jego dłoń na moim ramieniu, czułam jego oddech na policzku. Kiedy takie wspomnienia przeszywały mnie dreszczem, przyspieszałam kroku, chcąc do reszty wypalić w sobie złość i obrzydzenie.

Nakazywałam sobie w myślach, że dla dobra Kerry muszę być uprzejma i towarzyska, ale równocześnie kopałam kasztany leżące mi na drodze i patrzyłam, jak podskakują na alejce, oddalając się ode mnie. Musiałam wytrzymać tylko parę dni, tydzień, najwyżej dwa. Bo potem znikną mi z oczu, pochłonięci urządzaniem swojego nowego domu i przygotowaniami do ślubu i wesela. Ale nawet gdy wmawiałam sobie z uporem, że tak właśnie będzie, w pamięci odzywał jego szept wychwalający piękno moich ust albo dotyk jego warg na policzku i natychmiast znowu robiło mi się niedobrze.

Zadzwoił telefon komórkowy, który miałam w kieszeni.

— Słucham.

— Mirando? To ja.

— Nick! Właśnie chciałam do ciebie zadzwonić.

— Dzwonię od Grega. Bardzo się cieszę na ten wspólny wieczór, choć muszę przyznać, że trochę się obawiam spotkania z całą twoją rodziną od razu. Powinienem coś przynieść?

— Chyba wiesz, że wcale nie musisz przychodzić?

— Wolałabyś, żebym nie przyszedł?

— Nie o to chodzi. Po prostu jestem trochę przytłoczona. Zwaliła mi się na głowę cała rodzina, a Kerry i Brendan przywieźli co najmniej połowę wspólnego dobytku, więc w mieszkaniu panuje straszliwy bałagan.

— Brendan sprawiał wrażenie nastawionego bardzo przyjacielsko.

— Poważnie?

— Oczywiście. Odniosłem wrażenie, że bardzo się stara wypaść jak najlepiej.

— Ale ja mam wrażenie, że powinieneś poznać moją rodzinę przy innej okazji.

— Czym się tak przejmujesz?

— Niczym konkretnym.

— Chodzi o Brendana, prawda? Nie chcesz, żebym go poznał?

— Po prostu martwię się o ciebie.

— Obiecałem, że przyjdę, więc muszę dotrzymać słowa. — Na chwilę zapadło milczenie, po którym dodał z ociąganiem: — Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Dlaczego miałabym mieć?

— Świetnie. W takim razie zobaczymy się o siódmej, dobrze?

— W porządku.

Wybrałam się więc z Troyem na zakupy. Mama obiecała, że przywiezie deser, toteż mieliśmy się zatroszczyć tylko

O danie główne. Troy nie mógł się zdecydować, co przyrządzić, krążyliśmy więc między regałami, patrząc na półki. Wrzucił do koszyka parę opakowań soczewicy, fasoli i jakiejś egzotycznej odmiany ryżu, ale później przyjrzał im się krytycznie i odstawił z powrotem na miejsce. Odnosiłam wrażenie, że za duży wybór i natłok różnobarwnych opakowań mieszają mu w głowie.

— Zróbmy spaghetti — rzucił w zamyśleniu. — Tylko trzeba wymyślić do niego jakiś sos.

— Może być.

— Albo lepiej coś z ryżem.

— Z ryżem?

— Tak. Uważasz, że to kiepski pomysł?

— Sama nie wiem.

— Albo oszukajmy ich. Zamówimy jakiegoś gotowe danie na wynos, a potem będziemy udawali, że sami je przyrządziliśmy.

Na chybił trafił wyjęłam z zamrażarki pierwszą lepszą paczkę, filety z dorsza w panierce serowej, wyciągnęłam w jego kierunku i zaproponowałam:

— Może to? Jak poukładamy je na półmisku, nikt się nie-domyśli, że to gotowe danie. Zresztą jakie to ma znaczenie? W końcu to tylko kolacja w rodzinnym gronie.

— Wyglądają obrzydliwie. Odłożyłam je z powrotem.

— W takim razie sam decyduj.

Rozejrzał się po raz kolejny po zastawionych półkach i koszach pełnych towarów promocyjnych.

— Prawdę mówiąc, nie mam ochoty nic robić w kuchni. Nie jestem w nastroju.

— Do cholery, kręcimy się po tym sklepie już od pół godziny — rzuciłam ze złością, energicznie popychając wózek. — A do tej pory wzięliśmy tylko paczkę kawy i kiść bananów. Musimy wreszcie coś wybrać, prawda? Cokolwiek.

— Masz rację — mruknął, spoglądając na mnie lękliwie. Natychmiast przeszła mi złość. Objęłam go za ramiona, przytuliłam do siebie i powiedziałam:

— W porządku, Troy. Wszystko będzie dobrze. Możesz mi zaufać. Kerry i Brendan zostali w domu, żeby pochować swoje rzeczy, lecz gdy wróciliśmy z Troyem, w mieszkaniu wciąż panował taki sam bałagan, choć był już zmrok i księżyc świecił na niebie. Przez krótką chwilę miałam nadzieję, że gdzieś sobie poszli, lecz zaraz doleciały mnie stłumione głosy i plusk dobiegający zza drzwi łazienki. Brali razem kąpiel. Dość długo nie wychodzili, bo w tym czasie pomogłam bratu zmiażdżyć czosnek i posiekać jarzyny. Pracowaliśmy w błogiej ciszy, którą tylko od czasu do czasu przerywał plusk wody dolewanej do wanny i radosne piski Kerry. Raz i drugi zerknęłam na Troya, pełna podejrzeń, że w łazience odbywa się orgia seksualna w wannie, wreszcie nastawiłam dość głośno muzykę, nim wróciłam do przerwanych zajęć. Ramiona mnie bolały, czułam się brudna. Sama miałam straszną ochotę wziąć kąpiel przed przyjściem Nicka, umyć włosy, przebrać się i umalować. Spojrzałam na zegarek, zastanawiając się, czy ich nie popędzić, ale powstrzymałam się i nie załomotałam w drzwi łazienki.

Kiedy w końcu z niej wyszli, zawinięci w ręczniki, byli mokrzy i zaróżowieni. Roztaczali wokół siebie syntetyczną woń płynu do kąpieli.

— Ja też się szybko przekapię — powiedziałam, odkładając nóż kuchenny, gdy zaczęli grzebać w swoich torbach w poszukiwaniu czystej bielizny.

Nie było już ciepłej wody. Poczulałam wzbierającą wściekłość. Umyłam tylko twarz nad zlewem i wyszorowałam zęby, lecz gdy tylko skierowałam się do sypialni, żeby wybrać świeże ciuchy, rozległ się dzwonek. Jasna cholera! Brendan otworzył drzwi. W korytarzu stał Nick i moi rodzice.

— Nick! — zawołał radośnie Brendan, wyciągając rękę na powitanie. — Wchodź, śmiało. Wszyscy czekamy niecierpliwie, żeby cię poznać.

— Cześć — rzuciłam, siląc się na obojętny ton. Miałam straszną ochotę podbiec i pocałować go serdecznie, ale w zakłopotaniu tylko zakreśliłam się przy stole. — Pewnie już wiesz, że szefem kuchni jest mój brat Troy. — Ten odwrócił się i na powitanie zamachał w powietrzu drewnianą łyżką. — To moi rodzice Marcia i Derek. Moja siostra Kerry. — Dopiero teraz spostrzegłam, że wygląda naprawdę wspaniale w czerwonej aksamitnej sukience ze stójką podkreślającą jej długą smukłą szyję. — A to Brendan.

Wszyscy przywitali się z nim uprzejmie, acz nieco chłodno. Pospiesznie zdjęłam z sofy zrolowaną kołdrę i narzutę, ale nikt nie chciał siadać.

Odchrząknęłam więc i zapytałam Nicka przez całą długość pokoju:

— Jak minął dzień?

— Dziękuję, w porządku.

— Była piękna pogoda, prawda?

Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie w zdumieniu.

— Proponuję zacząć od drinka — rzucił głośno Brendan. Wyjął z lodówki dwie butelki wina, które niedawno kupiłam, i szybko je otworzył, popisując się umiejętnością. — Weź te chipsy, Kerry.

Spotkanie z rodzicami zawsze jest bardzo denerwujące, prawda? Kiedy byłem z pierwszą wizytą u Marcii i Dereka, strach mnie dosłownie paraliżował. — Zarechotał głośno.

— Czyżby? — odezwał się ojciec. — Nic takiego nie zauważyłem. —  
Zwrócił się do Nicka: — Miranda mówiła, że pracuje pan w branży  
reklamowej.

— Owszem. A pan zajmuje się opakowaniami.

— Zgadza się.

— Kiedyś nawet myślałem o karierze w reklamie — wtrącił Brendan,  
wykorzystując chwilową pauzę. — Ale nie dawało mi spokoju, że  
musiałbym może reklamować rzeczy, które w ogóle mi nie odpowiadają.

— No cóż... — zaczął Nick.

— Jak choćby na przykład te międzynarodowe kompanie naftowe —  
dodał Brendan. Nick zerknął na mnie przelotnie, najwyraźniej  
podejrzewając, że opowiadałam wszystkim o jego najświeższym  
zleceniu. — Dla mnie to było w ogóle nie do pomyślenia. Zresztą, lubię  
pracować z ludźmi. To główna dziedzina moich zainteresowań. Proszę,  
twoje wino.

— W podobnej sytuacji są prawnicy — odparł Nick. — Oni też nie mogą  
wybierać sobie tylko tych spraw, które nie budzą ich wątpliwości.

— Chcesz powiedzieć, że nawet najgorsze firmy zasługują na uczciwą  
reklamę? — zapytał Brendan, pociągając łyk, a raczej olbrzymi haust  
wina. — To bardzo ciekawe spostrzeżenie.

Siedzieliśmy ściśnięci przy małym stoliku, z łokciami przyklejonymi do  
boków, pochyleni nad talerzykami pochodzącymi z kilku różnych  
kompletów, kończąc trzecią butelkę wina. Nick jadł powoli i mało się  
odzywał, za to Brendan z wilczym apetytem rozprawił się z dokładką i  
poprosił o następną.

— Będziesz musiał mnie nauczyć to przyrządzać — rzekł do Troya, po  
czym spojrzał na Nicka i zapytał bez skrępowania: — Czy Mirrie  
kiedykolwiek ugotowała coś dla ciebie?

— Tak. Raz.

Brendan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Domyślam się, że podała kurze piersi duszone z czosnkiem i oliwą z oliwek.

— Dodaj jeszcze, że mówiłam o tym Kerry — wtrąciłam.

— Zgadza się — odparł Nick, spoglądając na mnie z niepewnym uśmiechem.

W rozmowie z siostrą nadmieniłam też, że po wyjęciu bryt-fanki...

— A kiedy stawiała go na stole, wyglądało to mniej więcej tak. —

Dumnie zadarł brodę, zmarszczył brwi i rzucił piskliwym głosem: — Tam-ta-tam! Zapraszam na ucztę, szanowny panie!

Nawet sama musiałam przyznać w duchu, że nieźle mnie małpuje.

Zaśmiał się głośno. Zerknęłam na Nicka. Wciąż uśmiechał się tak samo niepewnie. Ale Kerry była szczerze rozbawiona. Podobnie jak rodzice.

Utkwiłam wzrok w talerzu. Dla mnie zachowanie Brendana było odrażające, miałam jednak obawy, że jego nastrój może się okazać zaraźliwy. Nawet więcej, że może zrobić dobre wrażenie na Nicku, który także zacznie ze mnie drwić.

— Wszystko w porządku? — zapytała siedząca obok mnie Kerry, kładąc swoją lodowato zimną dłoń na mojej spoconej. Biła od niej intensywna woń mydła i perfum.

— Oczywiście. — Wyszarpnęłam rękę.

— Mirrie?

Nagle wszyscy zaczęli się na mnie gapić.

— Nic mi nie jest.

— Przecież jesteśmy rodziną — rzekł łagodnym tonem Brendan. — W rodzinie takie rzeczy uchodzą.

Odwróciłam się do niego i bez namysłu syknęłam z wściekłością:

— To ja z tobą zerwałam! Ja wyrzuciłam cię za drzwi!

W pokoju zaległa martwa cisza, w której donośnie zabrzączał odkładany przez Nicka widelec.

— Dlaczego to zrobiłaś?

Szliśmy ulicą w kierunku stacji metra, pospiesznie opuściwszy rodzinne przyjęcie.

— Sama nie wiem. To zresztą nieważne. Po prostu się wygłupiłam.

— Tylko tyle?

— Poczułam się... Och, nie umiem tego nazwać... Stłam-szona.

— Przecież nikt nie był wobec ciebie złośliwy. Zareagowałaś przesadnie ostro.

— Ty tego nie rozumiesz, Nick. Problem polega na tym, co nie zostało głośno powiedziane, co można było wyczytać między wierszami. Dla mnie to było oczywiste.

— Ja jednak uważam, że popadasz w paranoję.

— Tak? No cóż, nie należysz jeszcze do tej rodziny.

— Brendan próbował tylko zabawić towarzystwo.

— To prawda. Zależało mu, żebyś właśnie tak myślał. Chciał cię przeciągnąć na swoją stronę.

— Chryste, Mirando, powinnaś teraz sama siebie posłuchać.

— Dobra, zapomnijmy o tym. — Potarłam palcami oczy. — Wiem, że zrobiłam z siebie idiotkę. Czuję się cholernie głupio. Dlatego nie chcę dalszej sekcji zwłok.

— W porządku, jak sobie życzysz — odparł spokojnie. Kiedy doszliśmy do stacji i owionęło mnie dolatujące z dołu przegrzane i smrodliwe powietrze, poczułam, że dławi mnie w gardle. Złapałam Nicka za rękę.

— Przepraszam — mruknęłam. — Czy możemy o wszystkim zapomnieć?

— Ja mogę. A ty?

— Śmiało, Mirando — powiedziała Kerry. — Mogę wszystko załatwić bez problemu i jutro wieczorem będziesz już w samolocie. Bez obaw. — Urwała na krótko, po czym dodała stanowczo: — Moim zdaniem potrzebny ci odpoczynek.

— Nic mi nie jest — odparłam zgryźliwie.

— Chcę ci tylko pomóc. Wszyscy się o ciebie martwimy. Zacisnęłam pięści, w duchu nakazując sobie zachować spokój.

Otworzyłam już usta, żeby odmówić, kiedy nagle tknęła mnie myśl: Czemu nie? Dlaczego nie uciec stąd na parę dni? Długie spokojne noce, gorące kąpiele, uliczne kafejki, obsługa hotelowa, nowe widoki, nowe twarze, brzmienie obcych słów w uszach i ciepły dotyk słońca na karku, ostrygi, tanie wino podawane w karafkach... A potem, gdy będę wracała z pracy, nie będzie już Brendana. Kiedy z samego rana wejdę bosą do kuchni, nie zobaczę go przy stole w rozchełstany szlafroku, pozerającego ostatnią kromkę chleba. Nie będzie więcej nazywał mnie Mirrie. Nie będzie szeptał żadnych okropnych rzeczy na ucho. Spędziłam z nim pod dachem dopiero jedną dobę, a już miałam wrażenie, że nie mogę swobodnie oddychać. Wystarczyło, że wysłałam go do sklepu po papier toaletowy i zniknął na kilka minut, a mnie się już zdawało, że ktoś zdjął mi z barków ogromny ciężar.

— Dobra — powiedziałam. — Załatw mi wyjazd na dwa lub trzy dni. W końcu mogę raz skorzystać z okazji, że moja siostra pracuje w biurze turystycznym.

— Świetnie. Moim zdaniem właśnie tego ci trzeba i jestem pewna, że po powrocie będziesz się czuć znacznie lepiej.

— Przez kilka dni jakoś poradzą sobie w pracy beze mnie.

Krótko mówiąc, postanowiłam zaakceptować obiegową opinię, że Miranda jest przepracowana i przemęczona.

W myślach gorączkowo kalkulowałam: Jeśli wyjadę jutro wieczorem albo rano następnego dnia, co wydawało się bardziej realne, i wezmę sobie wolne do końca tygodnia, to może do czasu mojego powrotu oni się już wyniosą. Kerry powtarzała, że formalności związane z zakupem domu załatwiane są bez przeszkód.

— W takim razie, dokąd chcesz wyjechać? Raczej niezbyt daleko, skoro to tylko krótki wypoczynek. — Wstała i wyciągnęła zza sofy swoją teczkę. — Na wszelki wypadek zawsze mam przy sobie trochę folderów. Obsługujemy takie krótkie wyjazdy, poza tym o tej porze roku nietrudno o wolne miejsca. Łatwo będzie załatwić coś za jedną czwartą normalnej ceny. — Rozłożyła na stole kilka broszur. — Co powiesz na Pragę? Albo Madryt? A tu mam zaproszenie na kilka dni do Normandii, nad morze. Nie, teraz jest na to trochę za zimno. Na twoim miejscu wybrałabym się gdzieś dalej na południe.

— Włochy — rzuciłam, sięgając po inny folder.

— Rzym?

— Zwiedzałam już Rzym. Chciałabym zobaczyć coś nowego, gdzie jeszcze nigdy nie byłam.

— Może być Florencja, Wenecja, Siena albo Neapol. Czterodniowe wycieczki. O, spójrz, tu jest oferta z uroczonego hotelu na Sycylii, stojącego na szczycie nadmorskiego urwiska.

Popatrzyłam na kuszące zdjęcia. Różowe i szare kościoły, gondole pływające po kanałach, pokoje hotelowe z obszernymi łózkami.

— Zaczekaj chwilę.

Przysunęłam sobie telefon i wybrałam numer.

— Nick? Tu Miranda... Tak... Tak, czuję się znacznie lepiej. Dzięki. Jeszcze raz przepraszam. Sama nie wiem, co mnie napadło. Chyba chciałam... Posłuchaj...

Padło. W deszczu wysiedliśmy z samolotu i ustawiliśmy się w kolejce do tramwaju wodnego, którym mieliśmy dopłynąć do miasta. Niebo przypominało ciężką, ołowianoszarą kopułę. Strugi deszczu siekły chodniki niczym grad strzał z łuku, daleko rozchlapujących wodę na boki. Po trzydziestu sekundach byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Woda ściekała nam za kołnierz, mokre włosy lepiły się do głowy. Padło tak przez całą podróż tramwajem, toteż pierwszy widok osławionego miasta był odstrasający: skupisko widmowych zabudowań wyłaniających się z wody. Od przystanku mieliśmy pięć minut drogi pieszo do hotelu. Poczłapaliśmy więc z bagażami pełnymi lekkich ubrań, bez parasoli czy płaszczy ortalionowych, wzdłuż wąskiego kanału, na którym stały łodzie zacumowane do nabrzeża i poprzykrywane płachtami brezentu. Tak samo padało przez resztę dni. Biegaliśmy do kościołów i galerii sztuki, po drodze chroniąc się w ciasnych kawiarenkach, popijając podwójne espresso bądź gorącą czekoladę. Marzyły mi się długie cudowne spacerunki po labiryncie kanałów, obserwowanie z mostów przepływających w dole łodzi, seks pod prześcieradłem, przy otwartym szeroko oknie i opuszczonych żaluzjach odcinających blask palącego słońca. Tymczasem wydawaliśmy mnóstwo forsy na obiady, bo zamiast lekkich przekąsek, kanapek z serem czy porcji pizzy, musieliśmy siedzieć godzinami przy turystycznych trzydaniowych posiłkach z dzbankiem domowego wina. Nick kupił mi skórzany portfel i szklaną obrączkę. Ja zrobiłam mu pamiątkowe zdjęcie w deszczu na moście Rialto. Wieczory spędzaliśmy w małych restauracyjkach, a potem szliśmy do łóżka przy wtórze bębnienia deszczu o małe okienko naszego pokoju hotelowego. Nick dwa razy dziennie, rano i wieczorem, przez pięć minut starannie czyścił zęby nicią dentystyczną. Chrapał przez sen. Uwielbiał czekoladę i lody.

Tylko z rzadka przestawało padać i wówczas zza chmur na krótko wyłaniało się słońce. Kałuże błyszczały w jego promieniach, pomarszczone wiatrem kanały połyskiwały, a uliczny bruk natychmiast zaczynał parować. W takich chwilach było to najpiękniejsze ciche miasto, jakie w życiu widziałam. Kilka razy zdarzyło mi się wtedy marzyć, że jestem tu sama, nie muszę się martwić o nasz związek i nic a nic się wysilać. Mogłabym wtedy bez końca spacerować wyludnionymi zaułkami, do nikogo się nie odzywać, zapomniawszy o wszelkich troskach. I pewnie nawet deszcz by mi wówczas nie przeszkadzał.

Wciąż byli w moim mieszkaniu, kiedy wróciłam w niedzielne popołudnie. Sprawiali wrażenie nawet bardziej zadomowionych niż poprzednio, ponieważ ich rzeczy leżały już na wszystkich półkach, brudne ciuchy zalegały w pralce, a szczoteczki do zębów stały w moim kubeczku ze znakiem londyńskiego metra. W dwóch wysokich stertach na stole piętrzyły się zaproszenia ślubne: na sobotę trzynastego grudnia o godzinie szesnastej. Szykowali właśnie listę gości, decydowali o rozmaitych szczegółach, ustalali harmonogram przygotowań. Roztaczali wokół siebie atmosferę gorączkowej krzątaniny.

Rozpakowałam się i poszłam do Laury, ale u nich było kilku znajomych Tony'ego, toteż mniej więcej po półgodzinie wróciłam. Powiedziałam Brendanowi i Kerry, że boli mnie głowa. Usmażyłam sobie jajecznicę, zaparzyłam kubek herbaty i zamknęłam się w sypialni. Usiadłam na brzegu łóżka

i zaczęłam się przysłuchiwać odgłosom włączonego telewizora w saloniku, dzwonkom telefonu odbieranego przez któreś z nich, pluskowi wody, głośnym śmiechom, wreszcie skrzypieniu sprężyn sofy. Bez apetytu dłubałam widelcem w jajecznicy, aż całkiem wystygła i stała się niesmaczna. Patrzyłam na

książki na półce i papiery na biurku. Nie miałam pojęcia, czy tylko mi się wydaje, czy naprawdę wszystko wygląda nieco inaczej, jakby ktoś grzebał w moich rzeczach. Potem zgasiłam światło i położyłam się po ciemku. Zza drzwi dolatywał bardzo głośny śmiech Brendana, jak gdyby specjalnie mu zależało, żebym go słyszała.

Następnego ranka zebrali się bardzo wcześnie i pojechali do nowego domu, tłumacząc, że chcą wymierzyć długość potrzebnych zasłon i szerokość regałów, zanim Kerry będzie musiała się zjawić w biurze o dziesiątej. Szybko postanowiłam, że pojedę do pracy trochę później niż zwykle, żeby nacieszyć się samotnością we własnym mieszkaniu.

Później wielokrotnie odtwarzałam w pamięci wszystko, co robiłam tego wspaniałego, spokojnego poranka przed wyjściem z domu. Zaczęłam od porządków w saloniku i kuchni, poupychałam ich pościel w małej narożnej szafce, złożyłam sofę, pozbierałam rozrzucone ubrania i włożyłam je do torby podróźnej, pozmywałam talerze i kieliszki z wczorajszej kolacji. Następnie otworzyłam szeroko okno, żeby przewietrzyć mieszkanie i pozbyć się obcych zapachów, umyłam terakotę w kuchni i odkurzyłam dywan. Później urządziłam sobie długą kąpiel i wymyłam włosy. Na pewno wyjęłam z wanny korek, wymyłam ją i spłukałam, zanim w samym szlafroku i turbanie z ręcznika siadłam do śniadania. Zjadłam resztkę muesli z jogurtem i wypiałam duży kubek kawy, do której nawet zagrzałam mleko. Potem się ubrałam, wymyłam zęby, zebrałam swoje rzeczy, wyszłam i zamknęłam drzwi na klucz. Na pewno tak było. Doskonale pamiętam.

Wciąż wykańczaliśmy ten duży dom w Hampstead. Bill wpadł przed przerwą obiadową i zabrał mnie na lunch. Skończyłam pracę o wpół do szóstej, wymyłam pędzle i pojechałam do domu. Na ten wieczór nie byłam umówiona z Nic-

kiem, a Kerry wspominała coś o pójściu do kina, liczyłam więc na to, że i wieczorem będę miała trochę czasu tylko dla siebie, za czym tęskniłam. Rozmyślałam o kupnie gotowego obiadu na wynos i słodkim lenistwie przy dobrej muzyce albo książce.

Dochodziło już wpół do siódmej, kiedy parkowałam przed domem. W moich oknach nie paliły się światła, zasłony były wciąż rozsunięte. Podniesiona na duchu wbiegłam na piętro, lecz jeszcze zanim otworzyłam drzwi, doleciał mnie zza nich plusk wody płynącej z kranu. Nie tylko z kranu. Odgłos był trochę inny, głośniejszy, bardziej złożony. Weszłam do środka.

Woda była wszędzie. W kuchni stało jej dobre pięć centymetrów. Z przesiąkniętego dywanu trysnęła fontanna, gdy na nim stanęłam. Plusk lejącej się wody dobiegał zza zamkniętych drzwi łazienki. Kiedy je otworzyłam, znalazłam się pośrodku wypływającego strumienia. Resztki książki, którą rano czytałam, pływały wraz z rolką napełnionego papieru toaletowego przy sedesie. Przez krawędź pełnej wanny przelewała się jednostajna kaskada. Kran z ciepłą wodą był do połowy odkręcony. Podeszłam i zakręciłam go szybko. Podwinęłam rękaw żakietu, wyciągnęłam rękę i wyjęłam korek z wanny. Zrobiło mi się niedobrze, ogarnęła mnie dzika wściekłość, ale kiedy pomyślałam o mieszkaniu na parterze, poczułam się jeszcze gorzej. Przyniosłam z kuchni szufelkę od śmieci i zaczęłam zgarniać wodę z podłogi do opróżniającej się stopniowo wanny.

Trzy kwadransy zajęło mi usuwanie bajora w łazience. Porozkładałam na podłodze gazety, żeby wsiąknęły w nie resztki wody, i przeniosłam się do kuchni. Wkrótce rozległ się dzwonek do drzwi.

Facet zaczął wrzeszczeć, jeszcze zanim je otworzyłam. Wpadł jak burza do środka, wzbijając fontanny z dywanu

i drąc się jak opętany. Twarz miał siną z gniewu, aż naszły mnie obawy, że lada chwila zwali się jak długi na atak serca albo wylew krwi do mózgu.

— Bardzo przepraszam — powtarzałam w kółko, nie mogąc sobie nawet przypomnieć jego nazwiska. — Proszę wybaczyć. Nie wiedziałam...

— Będzie pani musiała pokryć wszystkie koszty, jasne?! Co do pensa!

— Oczywiście. Jak tylko wyceni pan straty i poda mi... W tej samej chwili w przejściu stanęli Brendan i Kerry,

objęci w pół, z policzkami zarumienionymi od wieczornego chłodu.

— Co tu się?... — zaczęła moja siostra.

— Lepiej jego zapytaj! — huknęłam, zwracając się do Brendana. —

Tylko popatrz, co narobiłeś, do jasnej cholery! Spisz w moim łóżku, wyżerasz mi wszystko z lodówki, wypijasz moją kawę i wino, wszędzie cię pełno, tak że nie można się ruszyć, żeby na ciebie nie wpaść, bierzesz swoje pieprzone kąpiele w środku dnia — wyrzucałam z siebie z wściekłością jednym tchem — a teraz jeszcze wyszedłeś, zostawiając zatkaną wannę i odkręconą wodę! Tylko popatrz! Rozejrzyj się!

— To jeszcze nic w porównaniu z tym, co jest na dole

— dodał grobowym głosem sąsiad.

— Mirando — mruknęła pojednawczo Kerry — jestem pewna, że...

— O rety! — syknął Brendan, unosząc w górę obie ręce.

— Tylko spokojnie, Mirrie.

— Miranda! — ryknęłam. — Nie ma takiego imienia „Mirrie”.

— Nie popadaj w histerię.

— To nie histeria tylko wściekłość!

— Nie było mnie tu dzisiaj w ciągu dnia.

— Co?

— Nie było mnie tu dzisiaj.

— Przecież musiałeś być!

— Mylisz się. Uspokój się i usiądź, a ja zaparzę nam wszystkim herbaty. Albo może lepiej zrobię drinka. — Odwrócił się do sąsiada. — Co pan na to, panie...

— Lockley. Ken Lockley.

— Napijesz się whisky, Ken? Powinniśmy mieć jeszcze whisky.

— W porządku. Niech będzie — mruknął niechętnie sąsiad.

— Doskonale.

Brendan podszedł do barku, żeby wyjąć butelkę i cztery szklaneczki.

— Musiałeś być tu w dzień! — rzuciłam za nim.

— Rano pojechaliśmy z Kerry wymierzyć dom, potem poszedłem na zakupy, a później spotkałem się z Kerry na lunchu. — Siostra energicznie przytaknęła ruchem głowy. Chyba wciąż była wstrząśnięta moim gwałtownym wybuchem. — Po lunchu pojechałem do rodziców, żeby zobaczyć się z Troyem. — Podszedł i położył mi rękę na ramieniu. — Nie brałem kąpieli w środku dnia.

— Ale...

— A ty się przypadkiem nie kąpałaś przed wyjściem do pracy?

— Na pewno nie zostawiłam zatkanej wanny i odkręconego kranu. Mnie się takie rzeczy nie zdarzają.

— Łatwo to przeoczyć. Wszyscy czasami popełniamy takie czy inne błędy. — Odwrócił się do Kena. — Mam rację, prawda? Miranda na pewno pokryje wszelkie straty. Poza tym pracuje w budownictwie, jest dekoratorką wnętrz, więc będzie mogła także pomóc w odmalowaniu mieszkania. W porządku?

— Ja tego nie zrobiłam — mruknęłam z rezygnacją.

— Mirando — odezwała się miękko Kerry. — Nikt cię nie obwinia. Ale ty ostatnia wychodziłaś z domu. A wcześniej brałaś kąpiel, prawda?

— Ale... — urwałam, ogarnięta nagle przemożnym zmęczeniem. — Pamiętam, że po kąpeli myłam i spłukiwałam wannę.

— Nic się nie martw — rzekł Brendan. — Pomożemy ci doprowadzić wszystko do ładu.

— Nie rozumiem...

Ku własnemu przerażeniu poczułam łzy spływające mi po twarzy.

— Mirando! Posłuchaj! — zaczęła nagle ostrzejszym tonem Kerry.

— Ciii — syknął Brendan.

Złapał ją za rękę i odciągnął na bok. Zauważyłam, że aż skrzywiła się z bólu, po czym zacisnęła wargi i zmarszczyła brwi.

— Spokojnie, spokojnie. — Usłyszałam tuż nad uchem jego cichy głos.

— Nie ma się czym przejmować, Mirrie. Jestem przy tobie.

Zamknęłam drzwi sypialni i podniosłam słuchawkę.

— Laura! — odezwałam się półgłosem, żeby mnie nie słyszeli. —

Posłuchaj. Stało się coś strasznego. Muszę natychmiast komuś o tym opowiedzieć...

Kiedy skończyłam, zapytała podejrzliwie:

— I chcesz mi powiedzieć, że masz uzasadnione podejrzenia, iż Brendan wrócił w ciągu dnia, żeby celowo zalać ci mieszkanie?

— Tak.

— Dlaczego miałyby to robić?

— Bo jest szurnięty. Uwziął się na mnie.

— Och, nie przesadzaj. Ja setki razy zapomniałam zakręcić wodę przy wannie. Naprawdę łatwo o tym zapomnieć, kiedy się czymś zajmiesz.

— Ale mnie się to nigdy nie zdarzyło.

— Zawsze musi być ten pierwszy raz. W każdym razie to dużo bardziej wiarygodne wytłumaczenie niż twoja teoria.

— Dobrze pamiętam, że po kąpieli wymyłam i spłukałam wannę. Mam to żywo w pamięci.

— W takim razie wszystko jasne. Po spłukaniu zatkałaś wannę z powrotem, tyle że zapomniałaś do końca zakręcić wodę. Zrezygnowałam z dalszych prób przekonywania jej, bo nawet dla mnie to wyjaśnienie nabrało cech prawdopodobieństwa, choć przecież byłam przy tym i dobrze wiedziałam, że tego nie zrobiłam. Zresztą, czułam się za bardzo zmęczona, żeby jeszcze coś tłumaczyć.

### 13

Małżeństwo, które mieszkało w domu w Baling, wynajęło dwa kontenery na śmieci, lecz oba były już całkowicie zapełnione. Wychodząc, zajrzałam do nich. Wśród zwojów starych dywanów, powyszczerbianych talerzy i poobijanych mebli zauważyłam komputer sprawiający wrażenie całkiem nowego, drukarkę laserową, dwa aparaty telefoniczne, duży olejny obraz charta, kilka książek kucharskich, wysoką stojącą lampę i całkiem dobry kosz wiklinowy. Jakoś nie mogłam do tego przywyknąć. Często widziałam, jak ludzie wyrzucają telewizory będące jeszcze na gwarancji, kuchnie elektryczne mające najwyżej rok czy świetnie działające lodówki. W naszej pracy zawsze musieliśmy usuwać nowe sprzęty i zastępować je jeszcze nowszymi. Z roku na rok zmieniała się moda. Na śmietnik wędrowały kompletne wyposażenia kuchni, wanny, łóżka, kre-

densy, szopy ogrodowe i całe kilometry pól na książki. Składnice odpadów tonęły w morzu staroci. Nie powinnam pewnie narzekać, bo mieliśmy przez to dodatkowe zlecenia. Ludzie wynajmujący nas do prac remontowych zawsze twierdzili, że przyjemnie jest zaczynać wszystko od nowa, jak gdyby wykończenia ze szkła i nierdzewnej stali, które obecnie instalowaliśmy, za kilka lat nie ustąpiły miejsca modnym elementom z naturalnego drewna, wyrzucanym teraz bez namysłu. Wszystko się bowiem powtarza cyklicznie. Trendy jednego dziesięciolecia idą w zapomnienie, żeby za jakiś czas znowu być w modzie, w lekko tylko odmienionej postaci. Tak było na przykład z rozszerzonymi nogawkami spodni. Bill zawsze się śmiał, widząc mnie w dzwonach, bo przypominało mu to modę z jego młodości, z lat siedemdziesiątych.

Ukradkiem sięgnęłam do kontenera i wyciągnęłam leżącą na wierzchu książkę kucharską. Przynajmniej ją postanowiłam ocalić. Nosiła tytuł *Kuchnia hiszpańska*. Upchnęłam ją w swojej roboczej torbie obok zestawu pędzli.

W domu Brendan się dąsał, że musi pozmywać kilka misek. Kerry stała przy kuchni i coś pichciła. Wyglądała na rozdrażnioną.

— Dzisiaj my szykujemy ci kolację — powiedziała.

— Dzięki.

Wyjęłam z lodówki piwo i schroniłam się w łazience. Miałam wielką ochotę na gorącą wodę od zewnątrz i zimny alkohol od środka. Leżałam w wannie, przyjemnie rozleniwiona, kiedy nagle drzwi się otworzyły i wszedł Brendan. Błyskawicznie usiadłam i podciągnęłam kolana pod brodę. Jak gdyby nigdy nic, stanął nad sedesem znajdującym się tuż obok wanny i zaczął sikać. Kiedy skończył, zapiął rozporek, opłukał ręce nad zlewem, odwrócił się do mnie i uśmiechnął szeroko.

— Wypraszam sobie — rzuciłam ostro.  
— Tak? — Bezczelnie gapił się na mnie.  
— Wynoś się.  
— Słucham?  
— Wypieprzaj stąd! Biorę kąpiel.  
— Powinnaś była zamknąć drzwi na zasuwkę.  
— Przecież wiesz, że tu nie ma zasuwki.  
— W takim razie sama jesteś sobie winna.  
— Poza tym nie spuściłeś wody! Och, na miłość boską!...  
— Wstałam i sięgnęłam po ręcznik, ale zerwał go z wieszaka i schował za sobą. Wodził łakomym wzrokiem po moim ciele. Miał przy tym dziwny wyraz twarzy, uśmiechał się z triumfalną pogardą i wyższością, jak chłopczyk, który nigdy dotąd nie widział nagiej kobiety.  
— Oddawaj ten pieprzony ręcznik, Brendan!  
— Przecież widziałem cię już wcześniej nago.  
Podał mi jednak ręcznik, którym szybko się owinęłam.  
Drzwi otworzyły się gwałtownie i w przejściu stanęła Kerry. Obrzuciła surowym wzrokiem Brendana, potem spojrzała na mnie i z dezaprobatą zmarszczyła brwi.  
— Co tu się dzieje? — zapytała.  
— Miranda nie zamknęła drzwi — wyjaśnił. — Nie wiedziałem, że jest w łazience, dlatego wszedłem.  
— Aha, rozumiem — mruknęła Kerry.  
Jeszcze raz popatrzyła na mnie, ja zaś poczułam, że zalewam się rumieńcem. Ciśniej owinęłam wokół siebie ręcznik.  
— W tych drzwiach nie ma zasuwki — powtórzyłam, jakby sami nie mieli dotąd okazji tego zauważyć.  
— Zaraz będzie kolacja — zapowiedziała po chwili. — Brendan? Mogę cię prosić na słówko?  
— No, no — mruknął, puszczając do mnie oko. — Panięskie fochy.

Ubierając się, powtarzałam w myślach, że to nie potrwa długo, że muszę jeszcze tylko trochę wytrzymać z nimi i wkrótce odzyskam swoje prywatne życie.

Kolacja była w całości dziełem Kerry, a moja siostra nie należy do ludzi, którzy zawracaliby sobie głowę takimi drobiazgami, jak jedzenie.

Przygotowała makaron z serem, zielonym groszkiem i odrobiną mielonego mięsa, zdecydowanie za tłusty i przesolony. Brendan z wprawą otworzył butelkę czerwonego wina. Ona nałożyła mi na talerz zdecydowanie za dużą porcję, a on nalał mi zdecydowanie za dużo wina. Przyszło mi na myśl, że może wcale nie byłoby głupio się upić.

Uniósł kieliszek do toastu.

— Za kucharkę.

— Za kucharkę — powtórzyłam i pociągnęłam niewielki łyk.

— I za ciebie — rzekła Kerry, przyglądając mi się badawczo. — Za to, że nas gościsz.

Wszyscy tręciliśmy się kieliszkami.

— Robię to z przyjemnością — odparłam tylko dlatego, że wypadało coś powiedzieć.

— To świetnie, biorąc pod uwagę okoliczności — rzekł Brendan.

— Jakie okoliczności?

— Musimy cię jeszcze o coś prosić — zaczęła ostrożnie Kerry.

— O co?

— Wiesz, zostaliśmy jednak bez dachu nad głową. Nagle poczułam się tak, jakby ktoś przykleił mi na twarzy maskę z szybko wysychającej gliny.

— Co się stało? Przecież mówiliście, że nie ma żadnych kłopotów, na miłość boską. Już za kilka dni mieliście się przeprowadzić do swojego domu.

— Zwodzili nas — rzekł Brendan.  
— W jaki sposób?  
— Na pewno nie chcesz znać szczegółów.  
— Owszem, chcę.  
— Koniec końców musieliśmy zrezygnować.  
— To ty zrezygnowałeś — wtrąciła ostro Kerry.  
— Wszystko jedno. — Machnął rękę w powietrzu, jakby chodziło o błahostkę. — Obawiam się więc, że będziemy musieli korzystać z twojej gościnności trochę dłużej.  
— Dlaczego zrezygnowaliście? — zapytałam z naciskiem.  
— Z wielu powodów — odparł wymijająco Brendan.  
— Mirando? Wszystko w porządku? — mruknęła zaniepokojona Kerry.  
— Czujemy się okropnie. Na gwałt szukamy jakiegoś mieszkania, do którego moglibyśmy się na razie przeprowadzić.  
— Nie ma problemu — oznajmiłam grobowym głosem. Nie odzywałam się już do końca kolacji. Makaron zaczął mi nagle smakować jak packa z rozmoczonego papieru, toteż musiałam się koncentrować, żeby jeść, powstrzymując odruch wymiotny. Kerry nałożyła mi dokładkę. Na deser kupiła cytrynowy tort lodowy z bezą, jednakże ledwie go skubnęłam. Powiedziałam, że boli mnie głowa i chcę się wcześniej położyć, jeśli nie mają nic przeciwko temu.  
Otworzyłam szeroko okno i wzięłam kilka głębokich oddechów, jakby powietrze w moim pokoju było skażone. Ta noc okazała się dla mnie prawdziwym koszmarem. Przez długie godziny leżałam, nie mogąc zasnąć, i snułam gorączkowe, obłąkańcze plany na przyszłość. Niemal wszystkie obejmowały małżeństwo z Nickiem. Około trzeciej nad ranem zaczęłam poważnie rozważać możliwość emigracji i przystąpiłam do szeregowania ewentualnych celów wyjazdu odwrotnie proporcjonalnie do odległości od północnego Londynu. Najbardziej kusząca była w tym świetle Nowa Zelandia. W trakcie tych

rozmyślań zmorzył mnie sen i przysniło mi się, że muszę zaraz wyjść, żeby zdążyć na pociąg, a mam jeszcze strasznie dużo rzeczy do spakowania, tymczasem nie mogę się ruszyć, tylko leżę i spoglądam na sufit tonącego w ciemności pokoju. W pewnej chwili uzmysłowiłam sobie, że coś musiało mnie obudzić, i mimowolnie krzyknęłam. To było silniejsze ode mnie. Po chwili wyłowiłam w półmroku sylwetkę i nawet mimo umysłowego ośpienia od razu rozpoznałam gapiącego się na mnie Brendana. Wymacałam włącznik nocnej lampki i zapaliłam ją.

— Co tu robisz, do cholery?!

— Ciii — syknął.

— Tylko mnie nie uciszaj! — warknęłam, zaskoczona i rozwścieczona.

— Co tu robisz?

— Szukałem czegoś do czytania.

— Wynoś się stąd!

Szybko usiadł na brzegu łóżka i dłonią zakrył mi usta. Pochylił się i szepnął:

— Nie krzycz, bo obudzisz Kerry. Wyglądałoby to dziwnie. Ze złością odepchnęłam jego rękę.

— To już nie moje zmartwienie.

Uśmiechnął się i rozejrzał po pokoju, jakby prowadził ze mną jakąś dziwaczną grę.

— Myślę, że jednak twoje — odparł. Podciągnęłam kołdrę pod brodę i siląc się na spokój, zbierając chaotyczne myśli, zaczęłam:

— Brendan, to nie powinno tak wyglądać.

— Co? Masz na myśli to, co nas łączy?

— Nic nas nie łączy. Lekko pokręcił głową.

— Wiesz co, Mirando? Kiedyś uważnie ci się przyglądałem. To było podczas naszej drugiej randki. Rozebrałem się szybciej od ciebie i wskoczyłem do łóżka. Do tego łóżka. Leżałem dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz ty, i patrzyłem na

ciebie. Kiedy rozpięłaś stanik, odwróciłaś się do mnie tyłem, jakbyś nie chciała mi się pokazać nago. A gdy stanęłaś przodem, miałaś na ustach delikatny, ledwie zauważalny uśmiezek. Naprawdę przeuroczy. Ciekaw jestem, czy ktoś poza mną kiedykolwiek zwrócił na niego uwagę. Widzisz? Dostrzegam różne drobiazgi, które zapadają mi głęboko w pamięć.

W takiej chwili, mimo konsternacji, mimo kipiącej złości i zdenerwowania, potrafiłam myśleć nadzwyczaj jasno i klarownie. Gdybym nadal kochała Brendana, jego czułe słowa zapewne by mnie ujęły. Ale go nie kochałam, co więcej, odczuwałam niemal fizyczny wstręt, jakby był obrzydliwym roba-lem, który przywarł mi do skóry i którego za żadne skarby nie mogę się pozbyć.

— Źle to wszystko pojmujesz — odparłam. — A teraz idź stąd.

— Cała reszta się nie liczy — powiedział. — Czyżbyś nie słyszała, co mówiłem? Znam twój tajemniczy uśmiech. Widziałem go. Zatem wiem o tobie coś, czego nie wie nikt inny. Tylko my dwoje to wiemy. Dobranoc, Mirando.

Kiedy się obudziłam nazajutrz rano, miałam wrażenie, że wynurzam się z koszmarne go snu, ale zaraz sobie przypomniałam, jak stał nade mną i co potem mówił. To nie był sen. Gardło miałam zaschnięte, jakby ktoś mi nasypał w usta piasku. Bolała mnie głowa i piekły oczy. Wzięłam prysznic, ubrałam się i wypiliśmy czarną kawę. Brendan i Kerry jeszcze spali. Zanim wyszłam do pracy, wróciłam do swojego pokoju i zapatrzyłam się na regał, starając się ze wszystkich sił ocenić, czy cokolwiek było tu ruszane. Zdjęłam starą młodzieżową powieść, którą dostałam jeszcze w dzieciństwie i od tamtej pory traktowałam jak sekretną kryjówkę. Trzymałam w niej trochę gotówki. Teraz przeliczyłam, było siedemdziesiąt pięć funtów. Odstawiłam książkę na miejsce. Usiłując wymyślić rodzaj zabezpieczenia, przypomniałam sobie sztuczkę, którą

widziałam w jakimś filmie. Oderwałam skrawek papieru, mający jakieś dwa na pół centymetra, i wychodząc z sypialni, przycisnęłam go drzwiami do futryny dokładnie na wysokości dolnego zawiasu. A po wyjściu na korytarz zadałam sobie w myślach pytanie: Jak mogę dalej tu żyć, skoro jestem zmuszona do tego typu posunięć?

Przez cały dzień nie dawało mi ono spokoju, chociaż za wszelką cenę próbowałam się od niego uwolnić i myśleć

O czym innym. Żałowałam, że zostawiłam paperek w drzwiach, bo czułam się tak, jakbym połała się żrącą cieczą i teraz patrzyła z satysfakcją, jak się pieni i wgryza w moje ciało. Bo

1 cóż miała mi dać świadomość, czy ktoś wchodził do mojej sypialni czy nie? Odzyskałabym pewność siebie, ujrawszy paperek tkwiący na swoim miejscu? A gdybym go znalazła pod drzwiami na podłodze, o czym miałyby to świadczyć? Równie dobrze Kerry mogła wejść do pokoju, żeby skorzystać z mojego dezodorantu albo odkurzyć dywan. Co zatem chciałam osiągnąć? Czyżby zależało mi tylko na tym, żeby znaleźć powód do jeszcze silniejszej wściekłości i podejrzliwości?

Kiedy jednak wróciłam do pustego mieszkania i od razu pobiegłam do sypialni, odkryłam coś, czego w ogóle nie brałam pod uwagę. Skrawek papieru tkwił, owszem, między drzwiami i futryną, ale znajdował się dobre trzydzieści centymetrów wyżej, niż zostawiłam go rano.

**14**

— Nick — zaczęłam ostrożnie.

— Słucham.

Szliśmy spacerem przez Heath, roztrącając sterty suchych, szeleszczących liści. Gałęzie drzew były już prawie nagie, bla-

**114**

de słońce stało nisko nad horyzontem. Dochodziła dopiero czwarta, ale niedawno cofnęliśmy zegary na czas zimowy i bardzo wczesnie robiło się ciemno. Ścisnął moje przemarzniete palce w swojej ciepłej dłoni, z naszych ust wydobywały się obłoczki pary. Spotkaliśmy się na lunchu w barze niedaleko jego domu, zjedliśmy zupę dyniową z grzankami i wypiliśmy po lampce wina, a wieczorem mieliśmy iść na przyjęcie wydawane przez jego przyjaciela, którego nie znałam. Potem miałam zostać u niego na noc, chociaż on jeszcze o tym nie wiedział. Miałam w torebce szczoteczkę do zębów i parę czystych majtek.

— Zastanawiałam się...

— Tak?

Zwolniłam kroku.

— Chyba wiesz, że Kerry i Brendan muszą zostać u mnie trochę dłużej?

— Dlatego chcesz iść dzisiaj do mnie, zamiast wracać do swego mieszkania. O to chodzi?

— Tak, owszem, ale...

Właśnie miałem ci to zaproponować. Wszyscy potrzebujemy trochę intymności, prawda? — Zaciśnął nieco mocniej palce na mojej dłoni.

— A gdybym została u ciebie trochę dłużej? Do czasu, aż się wyprowadzą?

Spojrzałam na niego w samą porę, żeby dostrzec ledwie uchwytnie zmarszczenie brwi i krótkie wymowne zaciśnięcie warg.

— Zapomnij o tym, to nie najlepszy pomysł — rzuciłam pospiesznie, gdy równocześnie zaczął nieśmiało:

— Jeśli naprawdę jesteś tak zdesperowana...

— Nie powinnam była poruszać tego tematu.

— Nic się nie stało — odparł z udawanym zapałem. — Tylko wiesz, że mam bardzo małe mieszkanie. Poza tym,

jesteśmy jeszcze na początkowym etapie. Mimo to chciałem powiedzieć...

— Nic nie mów. Zapomnij o wszystkim.

Oczywiście nie mógł zapomnieć. Podobnie jak ja, tyle że mnie utkwił w pamięci ten chwilowy wyraz niechęci i dezaprobaty na jego twarzy, owo drobne zawahanie będące przejawem wątpliwości. Z całą mocą pojęłam wówczas to, czego się obawiałam już od pewnego czasu, przynajmniej od podróży do Wenecji — że nasza znajomość nie potrwa długo. Zamiast prawdziwej miłości pełnej oddania i zaangażowania, łączył nas tylko przelotny romans. Zrządzeniem losu wpadliśmy na siebie i oboje poczuliśmy nagły przyływ szczęścia przypominający gwałtowny atak kataru. Spędziliśmy razem parę bezsennych nocy, za dnia często myśląc o sobie, przypominając sobie własne słowa i czyny, co budziło tęsknotę za następnym spotkaniem. Niewiele już brakowało, żebyśmy zaczęli się uważać za dobraną parę. Nagle jednak wszystko prysło jak bańka mydlana. Jeszcze nie dziś, może nie w tym tygodniu, ale już niedługo mieliśmy ze sobą zerwać, ponieważ ta fala, która nas poniosła, szybko opadła i zostało po niej tylko trochę śmieci naniesionych przez powódź. Łzy zakręciły mi się w oczach, mimowolnie przyspieszyłam kroku i pociągnęłam Nicka za sobą. Wiedziałam już, że będzie mi brakowało nie tyle jego, ile czyjegokolwiek towarzystwa — szybkich powrotów z pracy w nadziei spotkania z drugą osobą, snucia wspólnych planów, ciągłego przyływu energii życiowej, poczucia, że jest się potrzebnym, docenianym, kochanym. Właśnie tego nie chciałam utracić. Zamrugałam szybko, próbując uwolnić się od żalu nad własnym losem.

— Chodźmy — rzekłam. — Robi się za zimno.

— Posłuchaj, Mirando. Jeśli chcesz zostać...

— Nie.

— ...Nic nie stoi na przeszkodzie...

— Powiedziałam już: nie.

— Nie rozumiem, czemu nagle poczułaś się obrażona, tylko dlatego, że nie zareagowałam natychmiast...

— Przestań, dobrze? Bardzo proszę.

— Co?

— Dobrze wiesz.

— Nie, nie wiem. — Wydał wargi.

Naszło mnie przecucie, że jeśli dalej będziemy się tak nawzajem czepiać swoich słów, wszystko rozsypie się już teraz i jeszcze przed nastaniem wieczoru znów zostanę sama.

— Chodź, zrobimy sobie wspólną kąpiel — zaproponowałam. — W porządku?

— Tak.

— I będę mogła zostać u ciebie na noc?

— Oczywiście. Bardzo tego pragnę. I jeśli chcesz... Pospiesznie przytknęłam mu palce do warg.

— Nic już nie mów.

— Laura?

— Miranda? Cześć.

W tle głośno grała muzyka i Tony coś wołał. Od razu zatęskniłam za swoim mieszkaniem, w którym teraz Kerry i Brendan zapewne jedli kolację przed telewizorem. Powiedziałam im, że wychodzę na spotkanie z przyjaciółmi, ale nie była to prawda i przez jakiś czas marzłam w obskurnej kafejce, sącząc już drugą gorzką kawę i żałując, że nie ubrałam się ciepiej.

— Nie przeszkadzam?

— Skądże znowu. Właśnie mieliśmy siadać do stołu, ale kolacja może poczekać.

— Chcę cię prosić o przysługę.

— Słucham.

— Byłabym bardzo wdzięczna, gdybym mogła zatrzymać się u was na jakiś czas.

— Zatrzymać? — Coś głośno chrupnęło, jakby Laura ze złością wbiła zęby w surową marchewkę albo jabłko. — Oczywiście. Już od dzisiaj? Coś się stało?

— Tak. To znaczy nie, wszystko w porządku. Przynajmniej z grubsza. I nie musi być od dzisiaj, może być jutro albo pojutrze. Tylko na kilka dni.

— Zaczekaj chwilę, bo zaczynam się gubić. Zresztą słabo cię słyszę. I tłuszcz zaczyna mi się palić na patelni. Chwileczkę. — Odłożyła słuchawkę. Wkrótce muzyka ucichła, wreszcie znów usłyszałam jej głos:

— Już jestem.

Wzięłam głębszy oddech.

— Kerry i Brendan zostali bez dachu nad głową. Bóg jeden raczy wiedzieć, co im przeszkodziło w zakupie domu, w każdym razie nie mają się gdzie wyprowadzić ode mnie, więc ja muszę to zrobić. — Przyłapałam się na tym, że mimowolnie podnoszę głos. — Naprawdę muszę, Lauro, bo inaczej zrobię coś strasznego. Dźgnę go kuchennym nożem albo obleję wrzątkiem.

— Rozumiem.

— Wiem, że to brzmi, jakbym traciła zmysły.

— Trochę. Na jak długo chcesz z nami zamieszkać?

— Na parę dni. — Z trudem przełknęłam ślinę i docisnęłam do ucha telefon komórkowy. Kelnerka z wygoloną głową szybko starła mój stolik, podnosząc kolejno obie filiżanki po kawie, ale odeszła, zostawiając je przede mną. — Po prostu nie wiem, gdzie się podziać. W grę wchodzi najwyżej tydzień, nie więcej. — Tak przynajmniej tłumaczyli mi Kerry z Bren-danem, rozkładając w saloniku coraz więcej swoich rzeczy i coraz bardziej ograniczając mi przestrzeń życiową, aż chciało mi się zwyczajnie wyć z wściekłości. — Tony nie będzie miał nic przeciwko temu?

— Nie będzie miał nic do gadania — odparła buńczucznie. —

Oczywiście, że możesz przyjechać. Więc kiedy? Jutro?

— Jeśli naprawdę nie będę wam przeszkadzać.  
— Nie będziesz. Zrobiłabyś to samo dla mnie.  
— Bez wahania — przyznałam skwapliwie. — Obiecuję, że będę wam schodziła z drogi.  
— Nie dramatyzuj, Mirando.  
— Czuję się, jakbym miała uczulenie. Wystarczy, że będę go unikać, a wszystko wróci do normy.  
— Jasne — odparła Laura.

Nie miałam ochoty na trzecią kawę, a było jeszcze za wcześnie na powrót do domu. Poszłam więc dalej bez celu ulicą, aż dotarłam do całodobowej piekarni. Kupiłam świeży rogalik z łososiem i serem topionym, jeszcze ciepły, i zjadając go, ruszyłam dalej, spoglądając na mijających mnie ludzi. W ten niedzielny wieczór zapewne większość z nich spieszyła do domu, ciesząc się perspektywą gorącej kąpieli, dobrej pieczeni czekającej w piekarniku, własnego wygodnego łóżka.

— Pomyślałam, że tak będzie lepiej — oznajmiłam Brendanowi i Kerry.  
— Musicie mieć teraz czas dla siebie.

Kerry usiadła przy kuchennym stole, oparła brodę na splecionych dłoniach i zapatrzyła się na mnie. Już nie wyglądała na tak rozpromienioną i szczęśliwą. Kąciki ust miała wygięte ku dołowi, a w oczach czaiła się tęsknota, jak dawniej, zanim w jej życiu pojawił się Brendan, który sprawił, że poczuła się kochana.

— To wykluczone, Mirando — powiedziała. — Chyba sama rozumiesz, że nie możemy dopuścić, byś wyprowadziła się z własnego mieszkania.

— Wszystko już załatwiłam.

— Jeśli Mirandzie na tym zależy... — odezwał się cicho Brendan.

— Naprawdę to dla ciebie takie straszne, że musisz mieszkać razem z nami?

— Nie o to chodzi. Po prostu przyszło mi do głowy, że tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

— No cóż, postąpisz, jak chcesz — odparła. — Zawsze kierowałaś się wyłącznie własnymi racjami.

Wstała i wyszła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Chwilę później stuknęły drzwi na korytarz.

— Co ty kombinujesz? — mruknął Brendan nienaturalnie uprzejmym tonem. Podszedł bliżej i stanął nade mną.

— Nie rozumiem.

— Naprawdę nie rozumiesz? — zapytał. — Ze mną nie wygrasz. Tylko spójrz.

Złapał szklankę z sokiem pomarańczowym i z całej siły huknął nią o blat, aż sok rozprysnął się po całym stole, a odłamki szkła zagrzechotały o podłogę.

— Jasna cholera! — syknęłam. — Co chcesz w ten sposób udowodnić?

— Spójrz — powtórzył, usiadł naprzeciwko mnie i zacisnął w garści resztki stłuczonej szklanki. — Ja zawsze wygrywam. Mogę znieść dużo więcej od ciebie.

— Co to ma znaczyć, do pioruna?...

— Słucham? — zapytał przymilnie, chociaż krew odpłynęła mu z twarzy.

— Całkiem ci odbiło! Matko Boska!

Złapałam go za rękę, próbując odciągnąć zaciśnięte kurczowo palce.

Spomiędzy nich pociekła mi krew na dłoń.

— Musisz poprosić, żeby przestał.

— Zupełnie ci odpieprzyło!

— Poproś!

Popatrzyłam na jego krew na swojej dłoni. W tej samej chwili znów stuknęły drzwi wejściowe i w przedpokoju rozległy się kroki Kerry.

Jeszcze zanim weszła do kuchni, zaczęła przeproszać za to, że trzasnęła drzwiami, lecz nagle urwała w pół słowa i wrzasnęła jak opętana.

Brendan wciąż tak samo

uśmiechał się do mnie. Z czoła spływały mu grube krople potu.

— Przystań — powiedziałam. — Słyszysz? Przystań. Rozwarł dłoń i strząsnął resztki szklanki na stół. Krew popłynęła obfitym strumieniem, tworząc na blacie poszerzającą się kałużę.

— Sama widzisz — mruknął, nim stracił przytomność.

W szpitalu założyli mu dwanaście szwów i dali zastrzyk przeciwțęczcowy, grubo zabandażowali całą dłoń i kazali co cztery godziny brać paracetamol.

— Jak to się stało? — zapytała Kerry chyba po raz setny.

— Wypadek — mruknął. — Głupi zbieg okoliczności. Ale Mirrie w niczym nie zawiniła. Tylko ja ponoszę za to winę.

Aż mnie zatkało.

— To nie był... — zaczęłam niepewnie. — To nie...

Zamknęłam nagle usta, niemal udławiwszy się tym wszystkim, co chciałam powiedzieć, gdyż zdałam sobie sprawę, że nikt mi nie uwierzy, skoro już sama przestawałam sobie wierzyć. — Niech to szlag... — dokończyłam pod nosem.

Brendan uśmiechnął się sennie, z jawną satysfakcją. Opierał głowę na ramieniu Kerry, a zabandażowaną rękę trzymał na jej kolanie. Koszulę miał zaplamioną krwią.

— Same będziecie musiały się jakoś dogadać — mruknął. — Zresztą i tak ten spór jest bezprzedmiotowy. Uważam, że to bardzo szlachetne ze strony Mirrie, że na jakiś czas chce nam zostawić całe mieszkanie.

Kerry z czułością pogłaskała go po czole.

— Tak, wiem — odparła cicho i spojrzała na mnie. — W porządku.

Dzięki.

Szybko przeniosła wzrok z powrotem na Brendana, jakby był bohaterem wojennym.

— W rodzinie takie rzeczy się zdarzają — dodał, zamykając oczy. — Mówię o sprzeczkach. A ja tylko bym chciał, żeby wszyscy byli szczęśliwi.

Zostawiłam go pod opieką Kerry, z miłością ściskającej jego zdrową rękę, i poszłam do domu, żeby się spakować.

## 15

Wyprowadzka znaczyła dla mnie tyle, co szybka reakcja na stan zagrożenia, jak pociągnięcie hamulca bezpieczeństwa w rozpędzonym pociągu. Lecz wzorem wielu innych rzeczy w moim życiu nie była do końca przemyślana. Przypomni mi się stary przyjaciel, który na przyjęciu wdał się z kimś w gwałtowną sprzeczkę, aż w końcu wrzasnął „Odpierdol się!” i jak burza wypadł z domu. Dopiero gdy trzasnął drzwiami i zbiegł po schodach na ulicę, uzmysłowił sobie, że opuścił własne mieszkanie. Musiał spokojnie wrócić na górę i pokornie zadzwonić do drzwi, żeby go z powrotem wpuszczono.

Teraz ja byłam na ulicy i czułam się jak idiotka. Ewakuowałam się w pośpiechu, nie mając konkretnych planów. Drugiego wieczoru w mieszkaniu Laury przesiedziałam z nią do późnej nocy nad butelką whisky, którą przezornie zabrałam ze swego barku, oraz świeżymi pierożkami ravioli w sosie pomidorowym i kilkoma różnymi sałatkami, które kupiłam w barze niedaleko remontowanego właśnie domu. Tony był poza domem i zajmował się jakimiś chłopięcymi zabawami, mogłam więc przygotować kolację tylko dla nas dwóch. Bardzo lubiłam takie wieczory, przypominały mi okres studiów, kiedy potrafiłyśmy przegadać całą noc. Ale obie już dawno

skończyłyśmy studia i żyłyśmy własnym życiem. Dlatego ciekawiło mnie niezmiernie, kiedy wyczerpie się jej cierpliwość i znudzi moje towarzystwo. Rozlałam do szklaneczek kolejną porcję whisky i powiedziałam:

— Wiesz co? Whisky nadzwyczaj mi pasuje do takich okazji. — Język mi się już trochę plątał, podobnie jak jej. — Kiedy skojarzę nas obie przy butelce whisky, od razu mi się przypominają te długie wieczory w akademiku, kiedy jedna z nas zaczynała płakać, a druga ją pocieszała i w końcu też zalewała się łzami, aż obie musiałyśmy zapalić. Jak choćby wtedy, gdy wybrałam się na przejażdżkę rowerową i potraçała mnie taksówka. Pamiętasz?

— Jasne — odparła Laura, pociągnęła maleńki łyk trunku i skrzywiła się z niesmakiem, jakby nadmierna porcja alkoholu spaliła jej gardło i zaparła dech w piersi. — Dlaczego zawsze musimy się upijać whisky?

— A dlaczego nie? Sądzisz, że zwariowałam?

— Wciąż masz na myśli whisky? — zdziwiła się Laura. Ja też pociągnęłam łyk ze szklaneczki i pokręciłam głową.

— Przyjrzyj się faktom. Zerwałam z Brendanem, a on natychmiast związał się z moją siostrą. Już wtedy nie mogłam znieść jego widoku. Zaraz potem oboje wprowadzili się do mojego mieszkania. Życie z nimi pod jednym dachem przyprawiało mnie o mdłości. Toteż w końcu musiałam się stamtąd wynieść. Zatem po okresie przedziwnego manewrowania sytuacja jest taka, że facet, którego bliska obecność przyprawia mnie o mdłości, mieszka w moim mieszkaniu, a ja stałam się bezdomna.

— Przecież na razie możesz mieszkać u mnie, więc nie jesteś bezdomna

— zaoponowała Laura.

Objęłam ją ramieniem i uściskałam serdecznie.

— I to jest najwspanialsze — mruknęłam, ledwie opanowując wzruszenie.

Z boku wyglądałyśmy zapewne jak dwie pijaczki ściskające się przed pubem tuż po zamknięciu lokalu.

— Muszę przyznać, że zaczyna mnie coraz bardziej ciekawić — odparła.

— Co?

— Ten Brendan. Sądząc po twoim opisie, musi być tak denerwujący, że nabieram ochoty, aby go poznać. Jak w dawnym cyrku. Kto by nie chciał zobaczyć baby z brodą?

— Myślisz, że przesadzam?

— Musiałabym go sama zobaczyć w akcji. — Laura zaśmiała się w głos.

— Ciekawa jestem, co takiego w nim przyprawia cię o mdłości.

Następnego dnia zjawiłam się wcześniej w pracy, chcąc dać Tony'emu i Laurze chwilę intymności. Musiałam wrócić do świeżo wykończonego domu w Hampstead, ponieważ właściciele zmienili zdanie. Przestało im odpowiadać oświetlenie w salonie i postanowili zmienić wszystkie kinkiety na baterię ciepłych halogenowych reflektorków pod sufitem, a wenecką czerwień w sypialni uznali za zbyt ciemną, choć w rzeczywistości była zanadto jaskrawa, i rozważali jeszcze, czy nie pasowałyby im bardziej ściany w kolorze groszkowym. Zarządca posiadłości, Sam Broughton, umówił się na spotkanie w czasie przerwy na lunch w celu ustalenia wszelkich szczegółów wykończenia, poświęciłam więc przedpołudnie na malowanie drzwi, futryn i listew przypodłogowych, pokrywając stare poszarzałe drewno połyskliwą białą emulsją olejną. Zaledwie Broughton dotarł na miejsce ze śródmieścia, oznajmiając od progu, że ma tylko dwadzieścia minut, i ruszyliśmy razem na obchód domu, kiedy zadzwonił mój telefon komórkowy.

— Przepraszam, zaraz go wyłączę — mruknęłam. — Słucham.

— Mirando? Dzięki Bogu, że cię złapałam.

— Jestem w trakcie ważnego spotkania, mam. Czy mogłabyś zadzwonić za jakiś...

— Nie przeszkadzałabym ci w pracy, gdyby nie chodziło o bardzo ważną sprawę.

Spojrzałam na zarządcę, który ze zniecierpliwioną miną zerknął wymownie na zegarek, po czym stanął pod oknem

i zagapił się na przemokniętą wiewiórkę siedzącą nieruchomo na gałęzi rozłożystego orzecha przed domem.

— O co chodzi?

— Przed chwilą dzwoniła opiekunka Troya. Nie przyszedł na lekcję.

— To nie jest aż tak pilna sprawa, mam.

— Nie był u niej już od paru dni. — Zawahała się na chwilę. — Od połowy ubiegłego tygodnia.

— To niedobrze.

— Znow to samo. Rano udaje, że normalnie wychodzi na zajęcia, ale gdzieś znika. Miałam nadzieję, że już mu lepiej. — Wyraźnie usłyszałam jej chlipnięcie. — Bardzo się o niego martwię, Mirando. Dzwoniłam do domu, ale tam go nie ma, w każdym razie nikt nie odbiera. Nie mam pojęcia, gdzie jest i co robi, a przecież pada i jest bardzo zimno. — Jeszcze raz głośno chlipnęła.

— Czego ode mnie oczekujesz?

— Jestem w tej chwili zajęta. Naprawdę nie mogę wyjść. Zresztą, musiałabym jechać przez pół miasta. Dzwoniłam do ciebie do domu, ale włączyła się tylko automatyczna sekretarka. Miałam nadzieję, że zdołasz się wyrwać i spróbujesz go odnaleźć.

— Odnaleźć?

Za moimi plecami Broughton odchrząknął znacząco. Czubkiem wypolerowanego do połysku buta wystukiwał nerwowy rytm na świeżo lakierowanej podłodze.

— Tobie dużo łatwiej wziąć parę godzin wolnego. Bill na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. A jeśli coś się stało...

— Dobrze. Spróbuję go odszukać — odparłam szybko.

— Dłużej tego nie wytrzymam — powiedziała matka z rezygnacją w głosie. — Brakuje mi sił. Po prostu nie daję już rady. Co się stało? Myślałam, że Troy czuje się coraz lepiej...

— Wszystko będzie dobrze — przerwałam jej trochę za głośno. — Muszę kończyć.

Wyłączyłam aparat, odwróciłam się do Broughtona i powiedziałam:

— Muszę wyjść.

Oczy mu się rozszerzyły.

— Czy pani zdaje sobie sprawę, jak cenny jest mój czas? — syknął.

— Bardzo mi przykro.

Chciałam powiedzieć, że mój czas jest co najmniej tak samo cenny, przynajmniej dla mnie. Ale ugryzłam się w język. Oczyma wyobraźni widziałam Troya wałęsającego się bez celu i moknącego w deszczu. Pojechałam najpierw do domu rodziców. Robotników nigdzie nie było, cały parter wyglądał jak plac budowy. Część ściany frontowej została wyburzona, deszcz padał do kuchni. Wszędzie grubą warstwą zalegała londyńska żółta glina. Zaglądałam kolejno do pokoiów na górze, nawołując brata. W jego sypialni rozsunałam zasłonki i ułożyłam zmiętą kołdrę na łóżku, żeby pokój sprawiał bardziej przyjazne wrażenie na jego powrót. Na podłodze leżała grzbietem do góry książka o migracji ptaków. Zaznaczyłam kawałkiem papieru miejsce, w którym była otwarta, i ułożyłam ją na poduszce.

Nie miałam pojęcia, gdzie szukać Troya. Zastanawiałam się, dokąd bym poszła na jego miejscu, żeby w spokoju doczekać końca dnia. Ruszyłam główną ulicą osiedla, zaglądając do

kawiarń, sklepów płytowych, księgarń. Skręciłam do biblioteki, ale była zamknięta. Ostatnio otwierano ją tylko dwa razy w tygodniu. Potem zajrzałam do centrum handlowego, gdzie kilku innych chłopców, prawdopodobnie też wagarowiczów, siedziało przy automatach do gry w tonącej w półmroku i wypełnionej elektronicznymi piskami sali. Troy nie znosił takich miejsc, czuł się w nich jak zamknięty w klatce.

Później poszłam do parku i zaczęłam się tam kręcić w deszczu.

Spotkałam jedynie grupkę pijaczków moknących na ławce i młodą matkę zmierzającą energicznym krokiem do wyjścia, popychającą przed sobą wózek, spod jego daszka dolatywały wrzaski o nateżeniu policyjnej syreny. Troya nigdzie nie było. Zajrzałam na stadion, sądząc, że może się tam schronił przed deszczem, ale i tam nie było żywej duszy, tylko gołębie dreptały między kałużami. Zajrzałam wreszcie do małego baru, przed którym w słoneczne dni ustawiała się kolejka po lody, ale zastałam tylko znudzoną sprzedawczynię.

Troy mógł być niemal wszędzie. Zadzwoiłam do matki do pracy, lecz nie miała żadnych nowych wiadomości. Zadzwoiłam też do ojca, który był na delegacji w Sheffield, jemu jednak głos się łamał tak silnie, że po paru słowach zamilkł na dobre. Później wybrałam własny numer domowy, w nadziei, że Troy tam się schronił, ale po dwóch sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka i usłyszałam własny głos z taśmy, informujący, że chwilowo nikt nie może odebrać. Mimo to zostawiłam wiadomość, trochę paniczną, w stylu: „Troy? Troy? Jesteś tam? Słyszysz mnie? Jeśli słyszysz, proszę, podnieś słuchawkę. Bardzo cię proszę.

Troy?”. Sama wyraźnie słyszałam nutkę strachu w swoim głosie.

Kiedy się kogoś szuka, dostrzega się go na każdym kroku, kątem oka, w każdej mijanej osobie. Widzi się go przed sobą, tyle że gdy się spojrzy na jego twarz, okazuje się, że to obcy. Kręciłam się po ulicach przez godzinę, tłumacząc sobie

w myślach, że naprawdę nie ma się czym martwić. W końcu, zmarznięta i przemoczona, ruszyłam z powrotem, żeby zabrać samochód sprzed domu rodziców. Tknięta nadzieją, że wrócił pod moją nieobecność, weszłam jeszcze raz do środka.

Już od progu przez uchylone drzwi salonu dostrzegłam Troya siedzącego na starej sofie. Mokre włosy kleiły mu się do głowy, na ramiona miał narzucony gruby koc, pod spodem był zupełnie goły. Wyglądał na tak przygnębionego i osowiałego, że przez chwilę aż bałam się do niego podejść. Uniósł głowę, spojrzął przed siebie i uśmiechnął się smutno do kogoś, kto zaraz stanął w przejściu, zasłaniając mi widok. Otworzyłam szerzej drzwi i weszłam do salonu.

— Troy — zaczęłam. — Brendan? Co tu się dzieje?

W głowie miałam mętlik, pewnie dlatego odezwałam się przesadnie podniesionym tonem. Przepchnęłam się obok Bren-dana, klękłam przy sofie i objęłam brata za ramiona.

— Troy? Wszystko w porządku?

Nie odpowiedział, tylko popatrzył na mnie niewidzącym wzrokiem. Przypominał człowieka świeżo wydobytego z wraku samochodu albo uratowanego z tonącego statku.

— Skarbie — przemówiłam łagodniejszym tonem, jak do niemowlaka. Zbierało mi się na płacz. — Co się stało?

— Przygotowałem ciepłą kąpiel — rzekł Brendan. — Jak wyjdiesz z wanny, będzie już czekała gorąca czekolada. W porządku, kolego?

Troy pokiwał głową.

— Lepiej zadzwonię od razu do twojej mamy, zgoda?

— Chodź, zaprowadzę cię do łazienki — powiedziałam.

Zostawiłam Troya w wannie i wróciłam do kuchni, gdzie Brendan stał przed stertą sprzętu budowlanego i przygrzewał w mikrofalówce obiecaną czekoladę. Nie radził sobie najlepiej z jedną ręką grubo zabandażowaną.

— Odebrałem wiadomość Marcii na twojej automatycznej sekretarce. Najwyraźniej nie wiedziała, czy udało ci się wyrwać z pracy — rzekł. Rozległ się pisk kuchenki. Otworzył drzwiczki, wyjął kubek, energicznie pomieszał jego zawartość.

— Gotowe. — Wziął trochę napoju na łyżeczkę, dmuchnął parę razy i spróbował. Dosypał jeszcze cukru, zamieszał i wyjaśnił: — Dlatego postanowiłem na własną rękę ruszyć na poszukiwania.

— Gdzie go znalazłeś?

— W starych zrujnowanych magazynach. Nie mam pojęcia, co mnie tam zaprowadziło. Chyba kierowałem się przeczuciem, jakimś dziwnym instynktem. W każdym razie podświadomie wiedziałem, gdzie szukać. Wydaje mi się, że niektórzy ludzie mają taki specjalny dar. Jak sądzisz? Wzruszyłam ramionami.

— Kto wie, co by się stało, gdybym go nie znalazł. Chyba było mi pisane, żeby go uratować. Przeznaczenie. I dlatego też podjąłem ważną decyzję.

— Przelał czekoladę do szklanki. — Odłożę szukanie pracy do czasu, aż Troy całkiem wydo-brzeje. Na razie moją pracą będzie opieka nad nim.

— Moim zdaniem to nie jest dobry pomysł — odparłam.

— Powiedziałabym nawet, że całkiem kiepski, gdybyś chciał znać moją opinię.

— Ale nie chcę — syknął lodowato.

— No cóż, i tak ją usłyszysz. Troy wcale cię nie potrzebuje. Wręcz przeciwnie. Potrzeba mu ciszy, spokoju i odosobnienia, ochrony przed...

— Lepiej zaniosę mu tę czekoladę — przerwał ostro.

— Nie musisz z nami siedzieć, skoro jesteś bardzo zajęta.

— Poczekam — rzuciłam z wściekłością. — Nie zostawię go teraz samego.

— Jak sobie życzysz.

## 16

— Myślałam, że jest z tobą coraz lepiej. Sądziłam, że wszystko powoli wraca do normy.

Matka nerwowo chodziła z kąta w kąt, mówiąc z przejęciem. Włosy miała w nieładzie, kosmyki wysuwały się z poluzowanego koka i opadały na twarz. Bluzkę włożyła tyłem na przód.

— Jak należy rozumieć to „lepiej”? — zapytał Troy. — I co to jest „norma”. Nikt nie jest normalny.

Siedział w tym samym miejscu na sofie, gdzie ujrzałam go wczorajszego popołudnia, i nawet w takiej samej pozie, zgarbiony i skulony, jakby miał elastyczne kości.

— Och, na miłość boską! — syknęła ze złością matka.

— Uspokój się, moja droga — rzekł ojciec stojący pod oknem.

Wrócił z Sheffield wcześniej, niż planował, i wciąż był w wyjściowym garniturze, tyle że nieogolony, z poluzowanym węzłem krawata. W jego wypadku raczej nie wchodziło w grę załamanie nerwowe, ale jak na niego wyglądał wyjątkowo niechlujnie.

— Mam się uspokoić? Tylko tyle masz do powiedzenia? Ilekroć coś się dzieje, ty masz tylko tę jedną radę. Dlaczego na przykład nigdy nie zaproponujesz, że zrobisz nam wszystkim dobrej gorącej herbaty?

— Marcia...

— Chciałabym, żeby choć raz ktoś inny wziął sprawy w swoje ręce, bo zawsze spada to na mnie.

Spojrzałam na Troya. W smudze słońca padającego na jego jedwabiste włosy sprawiał wrażenie całkiem spokojnego. Poczuli na sobie mój wzrok i podniósł głowę, uniósł brwi i uśmiechnął się lekko.

## 130

— Rzeczywiście chętnie napiłbym się herbaty — rzekł.  
— Poza tym jestem głodny. Nic nie jadłem przez cały dzień. Wstałam szybko.  
— Zaraz coś przygotuję. Mogą być tosty z serem?  
— Dzięki Bogu, że Brendan był na miejscu — ciągnęła tak samo ostro matka. Zamrugałam szybko. W końcu ja też byłam na miejscu, prawda?  
— Gdyby go nie znalazł...  
— Jestem tuż obok ciebie, mamo — odezwał się Troy.  
— Więc możesz się zwracać bezpośrednio do mnie.  
— W czym zawiniłam?  
— A co to ma wspólnego z tobą?  
— No właśnie — wtrącił ojciec. — Do niczego nie dojdzie my, jeśli będziemy tylko roztrząsali własne poczucie winy. Przecież tu chodzi o Troya.  
Matka otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale się rozmyśliła. Usiadła na sofie i wzięła syna za rękę.  
— Macie rację — odparła. — Aleja się tak martwiłam, ciągle myślałam...  
— urwała nagle.  
— Wcale nie zamierzałem się zabić ani nic w tym rodzaju  
— rzekł Troy.  
— Więc co ci strzeliło do głowy? — zapytał ojciec. — Nie można uciekać z lekcji i wałęsać się po okolicy.  
Troy wzruszył ramionami.  
— Chciałem być sam — odparł po chwili. — Nie mogę już znieść, że wszyscy robią wokół mnie tyle szumu. Nawet patrzą na mnie pytająco, chcąc sprawdzić, jak się czuję.  
— Masz na myśli oczywiście mnie — oznajmiła matka.  
— Bo to przecież ja robię najwięcej szumu. Świetnie zdaję sobie z tego sprawę. Próbuję się pohamować, usunąć w cień, ale to silniejsze ode mnie. Czuję, że gdybym tylko potrafiła sprowadzić cię na właściwą drogę, wszystko znów wróciłoby do normy.  
— Powinnaś mi zaufać.

— Jak można ci zaufać — wtrącił ojciec — kiedy uciekasz z lekcji i nas okłamujesz?

— Przecież tu chodzi o moje życie — odparł buńczucznie Troy. — Mam już siedemnaście lat. Jeśli chcę iść na wagary, to moja decyzja. Jeśli coś spieprzę, to będzie moja sprawka, nie wasza. Wciąż traktujecie mnie jak gówniarza.

— Och — jęknęła matka.

W jego głosie słychać było rozpacz.

— Jeśli chcesz być traktowany jak dorosły, to musisz się zachowywać dojrzałe — rzekł ojciec. Nerwowo potarł czoło i dodał: — Zrozum, że postępujemy tak jedynie dlatego, że cię kochamy.

Zaskoczył mnie, bo nigdy wcześniej nie mówił takich rzeczy.

— Lepiej zajmę się szykowaniem kanapek — powiedziałam i wyszłam do smaganej wiatrem kuchni.

Kiedy wróciłam z tacą, niosąc talerz pełen tostów ociekających stopionym serem i cztery kubki herbaty, matka miała oczy zaczerwienione od łez. Na mój widok rzuciła:

— Troy mówi, że chętnie zamieszkałby z tobą na jakiś czas.

— Och... Świetnie, z przyjemnością, Troy. Bardzo bym się cieszyła. Tylko problem polega na tym, że na razie nie mieszkam w swoim mieszkaniu, zostawiłam je Brendanowi i Kerry.

— Ale przecież nie na długo — rzekł mój brat. — Mogę na razie zamieszkać z nimi, a potem zostać z tobą, jak wrócisz. Dobrze?

— Wiesz, że z prawdziwą radością przyjmę cię pod swój dach. Lecz może lepiej zaczekaj tydzień albo dwa.

— Dlaczego?

Spojrzałam mu w oczy, gorączkowo szukając w myślach wyjaśnienia.

— Jesteś pewien, że będziesz się dobrze czuł w towarzystwie Kerry i Brendana?

Wzruszył ramionami.

— Oni też robią wokół mnie mnóstwo szumu. Lepiej byłoby mi z tobą.

— W takim razie zaczekaj.

— Ale muszę się stąd wynieść jak najszybciej.

— Możesz na y mnie liczyć. Wystarczy, że zadzwonisz, kiedy będziesz mnie potrzebował. Dobrze?

— W porządku.

Następnego dnia urwałam się wcześniej z pracy i zabrałam Troya do Aquarium. Spędziliśmy tam dwie godziny, przytykając nosy do szyb. Bardzo mu się podobały tropikalne ryby przypominające wyglądem kawałki wielobarwnego szkła, na mnie jednak największe wrażenie zrobiły płaszczki odznaczające się ściągniętymi, jak gdyby odwróconymi pyszczkami. Spoglądały na nas ze zdumieniem, poruszając się w wodzie leniwymi falistymi ruchami. Później pojechaliśmy do domu rodziców, żeby Troy spakował swoje rzeczy. Brendan i Kerry mieli wpaść po niego za parę godzin. Na pożegnanie uściskałam go serdecznie.

— Niedługo wpadnę, żeby sprawdzić, jak ci się żyje — obiecałam. — Jutro, najdalej pojutrze.

Niemal w każdej godzinie pobytu poza domem odkrywałam coś, o czym zapomniałam. Zaczęłam nawet ciągle nosić przy sobie notes i długopis, żeby wszystko zapisywać. Tyle że nie mogłam kupować wszystkiego od nowa. Na mojej liście znajdowały się już jesienne pantofle, co najmniej trzy T-shir-ty, obcinacz do paznokci, odżywka do włosów, wełniana czapka, książeczka czekowa, plan miasta. Sytuacja stawała się po prostu śmieszna, toteż nazajutrz po pracy pojechałam z tą listą do swego mieszkania. W saloniku Brendan i Troy grali

w karty. Obaj popatrzyli na mnie ze zdziwieniem. Brendan mruknął coś, czego nie usłyszałam przez głośną muzykę. Przemaszerowałam przez cały pokój i ściszyłam odtwarzacz.

— Teraz nic nie słyhać — burknął Troy. — Trzeba by przyłożyć stetoskop do głośników, żeby coś wyłowić.

— Wpadłam tylko po parę rzeczy — wyjaśniłam.

— Nie ma sprawy — rzekł Brendan. — Proszę bardzo.

Jego łaskawe zezwolenie nasunęło mi myśl, że faktycznie powinnam zagotować czajnik wody i wylać mu ją na łeb. Aż dech mi zaparło w piersi. Szybko się jednak opanowałam.

— Jak się miewasz, Troy?

— Całkiem nieźle, prawda? — odparł za niego Brendan. Troy tylko zmarszczył brwi i uśmiechnął się szerzej.

Poszłam do swojego pokoju. Wcale się nie zdziwiłam, że teraz to sypialnia Troya. Tylko w ciągu jednego dnia zdołał ją przekształcić na podobieństwo swego pokoju w domu rodziców. Łóżko było nieposłane, ubrania wały się na podłodze do spółki z kilkoma książkami, panował zaduch. Postarałam się przebywać tam jak najkrócej. Wrzuciłam trochę rzeczy do plastikowej torby, którą przyniosłam, a następnie przymknęłam drzwi, podkrađłam się do półki i zdjęłam książkę, w której trzymałam gotówkę. Ledwie przeliczyłam pieniądze, ciarki przeszły mi po grzbiecie. Zrobiłam to po raz drugi. Sześćdziesiąt funtów. Dlaczego nie ukradł całej sumy? W co on ze mną pogrywał? Schowałam pieniądze do torebki i szybko wyszłam do dużego pokoju.

— Miałam w sypialni trochę schowanej gotówki — oznajmiłam.

Brendan popatrzył na mnie, wyraźnie rozbawiony.

— Tak?

— Część zniknęła. Czy ktoś z was jej sobie nie pożyczył? Wzruszył ramionami.

— Niewinny, wysoki sędzie — odparł. — Gdzie ją trzymałaś?  
— Jakie to ma znaczenie?  
— Mogła się gdzieś zsunąć albo wpaść pod coś.  
— Mniejsza z tym. W dodatku nie mogę znaleźć swoich tampaksów.  
— Pewnie Kerry je pożyczyła. Ma teraz okres.  
— Pożyczyła?  
— No tak — wyjaśnił Brendan. — Chwilowo w grę wchodzi tylko seks analny.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Żołądek podszedł mi do gardła, z trudem przełknęłam ślinę.

— Słucham? — bąknęłam.

— Żartowałem. — Wyszczrzył zęby do Troya, który nawet nie mrugnął okiem, wciąż siedział z tą samą kamienną miną. — Miranda lubi, jak się z nią drażnię. Przynajmniej na to mi wygląda. Teraz ty rozdajesz.

Po raz kolejny zaczęłam w myślach odtwarzać bieg zdarzeń, chcąc wszystko wyjaśnić Nickowi. Powiedziałam mu o skrawku papieru zostawionym między drzwiami a futryną, który był w innym miejscu, gdy wróciłam. Upiłam łyk wina. Siedzieliśmy w winiarni przy Tottenham Court Road, parę kroków od jego domu.

— Dla mnie ta sytuacja jest dość skomplikowana — wyjaśniłam. —

Pewnie znasz takie sceny z filmów — bohater zostawia na próbę kawałek papieru w drzwiach i znalazłszy go po powrocie na podłodze, wie, że ktoś zaglądał do pokoju.

— Owszem. Była taka scena w *Żądle*, kiedy zrobił to Robert Redford, podejrzewając, że jest śledzony przez gangsterów.

— Poważnie? Tak mi się zdawało, że przed laty widziałam to w telewizji, ale nie mogłam sobie przypomnieć, w jakim filmie. Mam kiepską pamięć do tytułów. Błyskawicznie zapo-

minam. — Upiłam jeszcze łyk wina, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że on prawie nie pije. Siedział naprzeciwko mnie ze strasznie poważną miną i tylko słuchał, podczas gdy ja gadałam prawie bez przerwy. — No więc, najbardziej niepokoi mnie to, że znalazłam ten skrawek papieru w zupełnie innym miejscu, niż go zostawiłam. Rozumiesz, do czego zmierzam?

— Nie — odparł.

Mnie samej trudno to było pojąć. Tłumaczyłam sobie, że muszę wreszcie przestać o tym myśleć, bo zwariuję.

— Chodzi o to, że większość ludzi nawet nie zwróciłaby uwagi na ten paperek w drzwiach. Tylko niewielki odsetek, powiedzmy, pięć procent, wypatrywałoby takiego znaku, a znalazłszy go, zadałoby sobie wiele trudu, by umieścić papier dokładnie w tym samym miejscu i w ten sposób zamaskować, że drzwi były otwierane. Ale wśród tych pięciu procent znalazłaby się pewnie garstka... Kapujesz? Pięć procent z pięciu procent! Czyli w pojęciu Machiavellego zaniedbywania mniejszość!... która specjalnie włożyłaby skrawek papieru w zupełnie innym miejscu.

Nazywa się to blefem. Rozumiesz?

— Nie bardzo — rzekł.

Zdawałam sobie sprawę, że słucha mnie tylko jednym uchem i jest coraz bardziej zniecierpliwiony, ale nie mogłam się już powstrzymać. Zresztą wcale mi na tym nie zależało. Na swój sposób chciałam go sprawdzić. Gdy się kogoś lubi, a tym bardziej kocha, ani trochę nie przeszkadza, że ta osoba ma swoją małą obsesję. Nikogo nie nudzi ciągle wracanie do tego samego tematu. Najwyraźniej chciałam więc sprawdzić zakres jego tolerancji na mnie.

— Brendan celowo się ze mną drażni. Specjalnie zostawił skrawek papieru w innym miejscu, bym wiedziała, że przejrzał moją sztuczkę. Jednocześnie chciał mi dać jasno do zrozumienia, że wcale nie zamierza maskować tego, iż myszkował w moim pokoju. — Pociągnęłam kolejny łyk wina. — W ten

sposób przesłał mi wyraźną wiadomość, jakby powiedział wprost: „Podejrzewałaś, że zaglądam do twojej sypialni. Wiem, że cały czas mnie podejrzewasz. I chcę ci udowodnić, że wiem. Ale zarazem chcę ci udowodnić, że nic mnie to nie obchodzi. Oboje wiemy, że otwierałem te drzwi. Tyle że nie masz pojęcia, po co tam wchodziłem”. Druga sprawa. Trzymałam w książce na półce siedemdziesiąt pięć funtów. To mój sekretny schowek.

— Nie możesz jak inni ludzie używać po prostu karty płatniczej? — zapytał Nick.

— Korzystam z niej, ale czasami w bankomacie brakuje gotówki. Zawsze powinno się trzymać w domu drobną rezerwę ukrytych gdzieś pieniędzy. Wracając do sprawy, każdy normalny złodziej zabrałby wszystko. Ale Brendan wziął tylko piętnaście funtów. Żeby się ze mną podrażnić. Próbuje zaleźć mi za skórę.

— Po co?

— Pewnie ze względu na tę dziwną sytuację. On mieszka w moim mieszkaniu, a ja muszę się tłuc wściekła po różnych barach. Na dłużej zapadło milczenie. Czułam się jak komediantka, która na scenie opowiedziała dowcip, tyle że nikt się z niego nie śmieje. Moja publiczność przyjęła go z pełną powagą.

— Nie, nie mogę tego zrobić — rzucił w końcu Nick.

— Czego? — zapytałam z udawanym zdziwieniem, bo wiedziałam już, o co mu chodzi.

— Nie obrazisz się, że będę z tobą szczery?

— Nie. — Na ogół tak jest, że gdy ktoś jawnie uprzedza o swojej szczerości, niewątpliwie oznacza to, że nie będzie zbyt miły.

— Wiesz, co o tym wszystkim myślę?

— Nie.

— Nawet nie tyle myślę, ile mam już całkowitą pewność. Ty go nadal kochasz.

— Słucham? — Mogłam się spodziewać wszystkiego, tylko nie tego.

— Masz na jego punkcie obsesję. Nie mówisz o niczym innym, tylko o nim.

— Oczywiście, że mam na jego punkcie obsesję. Jest jak robal, do którego czuję obrzydzenie. Zadręcza mnie swoją obecnością.

— Dokładnie o to chodzi. Niemniej było cudownie, Mirando.

— Było? — mruknęłam głucho.

Dopiero teraz sięgnął po swój kieliszek i upił nieco wina.

— Przykro mi.

Chciałam na niego nakrzyczeć albo zacząć go okładać pięściami. Ale nie byłam do tego zdolna. Roztrzęsionymi rękami sięgnęłam do torebki, wyciągnęłam banknot dwudzie-stofuntowy i położyłam go obok swojego pustego kieliszka, po czym wstałam, pochyliłam się trochę chwiejnie i pocałowałam go.

— Żegnaj, Nick — szepnęłam. — Szkoda, że zjawiliś się w moim życiu w niewłaściwym czasie.

Z dumnie podniesionym czołem wyszłam z baru, rozmyślając, że to już nie pierwsze takie moje wyjście. Miałam ochotę spędzić tę noc z Nickiem. To właśnie obiecałam Laurze. Ale i tej obietnicy nie mogłam dotrzymać.

## 17

Nazajutrz po przebudzeniu jeszcze przez jakiś czas leżałam na sofie Laury, nakazując sobie w myślach, żeby się zwlec i stawić czoło wstającemu porankowi. Za oknem hulał wiatr,

dopiero szarzało. Byłam zmarznięta, przemęczona, musiałam umyć włosy. Odrętwiały język stał mi kołkiem w ustach. Nie biegałam już od kilku dni i bolały mnie zastałe mięśnie. Zamknęłam oczy i zasłuchałam się w stłumione nieskrepowane pomruki dobiegające z sypialni Laury. Czulałam się tak, jakbym zjeżdżała w dół stromego zbocza i nie mogła się zatrzymać. Wszystko, czego się chwyciłam, rozlatywało mi się w rękach na kawałki.

Skoncentrowałam się na tym, co mnie dziś czeka. Musiałam wrócić do tego przeklętego domu w Hampstead, żeby przemalować czerwone ściany na zielono. A w czasie przerwy na lunch miałam zabrać Kerry z biura, by razem z nią obejrzeć kolejne straszliwie drogie mieszkanie. Powinnam tu wrócić jak najpóźniej, żeby moja obecność za szybko nie podziałała gospodarzom na nerwy. Westchnęłam ciężko i z najwyższym trudem wysunęłam się spod kołdry.

Trochę za wcześnie zjawiłam się w Journey's End, biurze turystycznym, w którym pracowała moja siostra. Pchnęłam ramieniem przeszkłone drzwi i z radością dałam nura do spokojnego wnętrza z chłostanej przenikliwym wiatrem ulicy. Przy biurku szef Kerry, Malcolm, próbował przekonać otyłego jegomościa w krzykliwym garniturze, że podróż do Egiptu jest całkowicie bezpieczna. Para następnych klientów stała przy wysokim stojaku z folderami, spoglądając na zdjęcia słonecznych plaż i roześmianych młodych ludzi o nienaturalnie białych zębach i rozwianych jasnych włosach. Kerry była w drugim końcu sali, pogrążona w rozmowie z mężczyzną w długim płaszczu. Mimo że był odwrócony tyłem, od razu rozpoznałam Brendana i zatrzymałam się w pół kroku, jakieś dwa metry od nich.

— Jestem już splukana — powiedziała Kerry błagalnym tonem.

— Cztery dychy w zupełności by mi wystarczyły.

— Ale...

— Kerry! — syknął groźnie, aż mnie przeszły ciarki na brzmienie jego głosu. — Żałujesz mi? Po tym wszystkim, co zrobiłem?

— Przecież wiesz, że nie o to chodzi, Bren. — Otworzyła torebkę i wyjęła portmonetkę.

— Nie? Zdziwiasz mnie, Kerry. Jestem rozczarowany.

— Nie mów tak. Proszę. To wszystko, co mam.

— Myślisz, że w tej sytuacji mógłbym...

— Proszę, Bren. Weź je.

Wyciągając pieniądze w jego kierunku, dostrzegła mnie w końcu i zaczerwieniła się gwałtownie. Pospiesznie przeniosła wzrok z powrotem na Brendana.

— Muszę przyznać, że faktycznie wyglądasz dzisiaj na trochę splukaną

— mruknął, chowając banknoty do kieszeni.

Kerry skrzywiła się nagle, jakby dostała w twarz. Mimowolnie uniosła dłoń do policzka, jakby usiłowała coś przede mną zakryć.

— Wspaniale ci w tym płaszczu — powiedziałam, gdy trzy kwadranse później usiadłyśmy przy kawie w małej obskurnej kafejce w Finsbury Park.

— Naprawdę? — Nerwowo skubnęła palcami róg kołnierza. — Nie sądzisz, że tylko podkreśla moją bladą cerę?

— Przecież jest listopad. Wszyscy są bladzi. Moim zdaniem wyglądasz świetnie — powtórzyłam półgłosem, jakbym rozmawiała z rekonwalescentką w szpitalnym holu.

— Dzięki — mruknęła z taką potulnością, że aż naszła mnie ochota złapać ją za ramiona i silnie potrząsnąć.

— Zresztą już niedługo wyjedziesz w podróż poślubną, będziesz się wylegiwać na słońcu. Dokąd się wybieracie? Na Fidżi?

— Tak — uśmiechnęła się sztucznie.

— Cudownie.

Zapadło niezręczne milczenie. Sięgnęłam po pustą już filiżankę, uniosłam ją do ust i przechyliłam, udając, że dopijam resztki.

— Brendan wreszcie zdecydował, co będzie robił?

— Pytasz, czy znalazł już jakąś pracę?

— Tak.

— Mówi, że na razie chce się zaopiekować Troyem.

— Uważam, że to bardzo kiepski pomysł.

— Sama nie wiem... — mruknęła apatycznie.

— Nawet Troy pragnie, żeby go zostawić w spokoju. Właśnie dlatego postanowił chwilowo wyprowadzić się od rodziców.

— Wiem. — Nerwowo przygryzła wargi. — Mniej więcej to samo próbowałam tłumaczyć Brendanowi.

— Między wami wszystko w porządku?

— Oczywiście — rzekła bez przekonania. — Dlaczego miałyby być inaczej?

— W każdym razie uważam, że powinien w końcu zacząć myśleć inaczej, zatroszczyć się o was oboje, bo przecież nie ma teraz nic ważniejszego.

Czym się wcześniej zajmował?

— No, wiesz... — odparła. — Robił wiele różnych rzeczy. — Przygryzła paznokcie małego palca. — Przez jakiś czas studiował psychologię, potem zaangażował się w to przedsięwzięcie, które nie wypaliło. Jest raczej wolnym strzelcem. Kilka razy wchodził w różne interesy. Nie boi się podejmować ryzyka. No i oczywiście dużo podróżował.

— Tak, jasne. Rozumiem.

Próbowałam sobie przypomnieć, co mówił na temat swojej pracy, i z zakamarków mojej pamięci wypłynęło nazwisko, które wymienił przy grillu w ogrodzie rodziców. Powtórzyłam je parę razy w myślach, żeby lepiej zapamiętać: Vermont.

Harry Vermont i firma dostarczająca towary zamówione przez Internet. Po rozstaniu z Kerry włączyłam telefon komórkowy i zadzwoniłam do biura numerów.

O wpół do dziewiątej następnego ranka znalazłam się w przestronnym, ciepłym gabinecie z wielkimi oknami, z których rozciągałby się piękny widok na Tamizę, gdybyśmy byli po przeciwnej stronie budynku. Te jednak wychodziły na stary biurowiec z pozabijanymi drzwiami i oknami, jeśli można użyć określenia „pozabijanymi” w odniesieniu do wielkich arkuszy blachy. Harry Vermont zaproponował kawę, lecz oboje się spieszyliśmy. Zresztą nie zamierzałam zajmować mu dużo czasu.

Oznajmiłam szybko, że znam Brendana Błocka.

— Ach tak.

— Pan i Brendan zakładaliście kiedyś razem firmę, zgadza się?

— Słucham?

— Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o interesach, które wspólnie prowadziliście.

Wyjął z paczki papierosa, przypalił go, zaciągnął się głęboko dymem i zapytał ironicznie:

— O naszych wspólnych interesach?

— Czyżbym poruszyła kłopotliwy temat? Może pan o tym mówić?

— Tak, oczywiście, że mogę.

— Dużo straciliście na tej firmie dostawy towarów kupowanych w Internecie, która nie wypaliła? — zapytałam żywo, sięgając po kawałek kruszącego się stiltona.

Spotkaliśmy się na lunchu w domu Billa z okazji jego urodzin. Za oknami było zimno i deszczowo, tu jednak panowała ciepła rodzinna atmosfera, zwłaszcza że w kominku płomienie strzelały wysoko. Judy i Bill doskonale gotują, znacznie

lepiej od moich rodziców, toteż przygotowali szeroką gamę ciast z mnóstwem czerwonego wina, a na zakąskę zestaw serów i herbatników. Przy drugim końcu stołu Kerry próbowała namówić Saszę — która ma dopiero dwanaście lat, ale wygląda na dwadzieścia jeden i nigdy nie ubiera się inaczej, jak w bardzo obszerne dżinsy i polarowe bluzy z kapturem — by została jej druhną, lecz ta z uporem powtarzała, że za żadne skarby nie włoży brzoskwiniowej satynowej sukienki. Tata i Bill przysłuchiwali się mojej rozmowie z Brendanem, Troy siedział obok mnie. Nie potrafiłam ocenić, czy również się przysłuchuje, gdyż był osowiały, chyba znów popadł w nastrój całkowitej obojętności.

— Za dużo — odparł Brendan i zaśmiał się lekko, jak przystało na duszę towarzystwa.

— A co z pozostałymi? — ciągnęłam. Dopiłam resztkę wina i odstawiłam kieliszek na stół. Specjalnie mówiłam dość głośno, żeby zwrócić uwagę Kerry i Judy. — Wszyscy na tym straciliście? Ten Harry, o którym kiedyś wspominałaś, też? Jak on się nazywa?

Zrobił lekko zdziwioną minę.

— Vermont? To z nim stworzyłeś spółkę, prawda?

— Ty to masz pamięć! — wtrąciła moja matka z satysfakcją w głosie. Odniosłam zamierzony skutek, przyciągnęłam ich uwagę.

— Mitch i Sasha, pozbierajcie talerze — poleciała Judy. Rodzeństwo niechętnie wstało od stołu.

— Bo jego nazwisko skojarzyło mi się z nazwą stanu w Nowej Anglii — wyjaśniłam.

Bill dolał mi wina, pociągnęłam więc spory łyk. Zabierając mój talerzyk z okruchami sera, Mitch upuścił mi na kolana zatłuszczony nóż.

— Biedny Harry — rzekł Brendan. — Został bez grosza przy duszy.

— Czym się teraz zajmuje? Masz z nim jakiś kontakt?  
— Nie zostawia się przyjaciół tylko dlatego, że wspólnie ponieśliśmy krach w interesach — odparł sentencjonalnie.  
— Rozmawiałam z nim.  
— Co takiego?  
— Powiedział, że przed laty znaliście się tylko przelotnie, nigdy nie pracowaliście razem, a już na pewno nie w spółce zajmującej się dostawą towarów. W każdym razie nie pamięta, żeby cię zatrudniał.  
Pociągnęłam jeszcze jeden łyk wina.  
— Kto ma ochotę na kawę? — zapytał Bill.  
— Napiję się z przyjemnością — odparła szybko moja matka z lekką nutką hysterii w głosie.  
— No więc? — zwróciłam się do Brendana.  
— Umówiłaś się na rozmowę z Harrym Vermontem? — zapytał cicho. — Po co? Dlaczego wcześniej nie porozmawiałaś ze mną?  
Wszyscy gapili się na mnie. Zacisnęłam palce na krawędzi stołu.  
— Nigdy nie zakładaliście razem żadnej firmy — powtórzyłam. — Nie straciliście pieniędzy. Ledwie się znacie.  
— Dlaczego to zrobiłaś? — Szeroko pokręcił głową z niedowierzaniem, skupiając na sobie uwagę wszystkich obecnych przy stole. — Po co?  
— Ponieważ nas okłamałeś — odparłam, próbując zapanować nad coraz silniejszym ściskaniem w dołku. Wyraźnie czułam, że czoło mam wilgotne od potu.  
— Gdybyś mnie zapytała, wszystko bym ci wyjaśnił, Mirando.  
— Harry Vermont powiedział...  
— Harry Vermont odwrócił się plecami do każdego, z kim kiedyś pracował — powiedział nieco głośniejszym, tonem pełnym smutku i rezygnacji, odchylając się na oparcie krzesła,

jakby zwracał się do wszystkich. — Zawsze dążył do sławy, nie chcąc brać na siebie żadnej odpowiedzialności. Ale ja mu wybaczyłem, jak wybacza się prawdziwemu przyjacielowi.

— Powiedział...

— Mirando! — syknęła moja matka, jakby się łudziła, że nikt inny tego nie usłyszy. — Już dość!

— Chciałam się tylko dowiedzieć...

— Powiedziałam: Dość! — Z całej siły huknęła dłonią w stół, aż zabrzęczały sztućce na talerzach. — Wystarczy. Napijmy się w spokoju kawy.

Judy spojrzała na Billa i skinęła głową. Oboje wstali i wyszli z pokoju.

Chwilę później z kuchni doleciał brzęk tłuczonego szkła.

Przyszło mi na myśl, że raczej powinnam się ewakuować od stołu, ale z tej strony pod ścianą było ciasno, Troy musiałby najpierw wstać, żeby mnie przepuścić. Więc tylko obejrzałam się z desperacją w stronę wyjścia, po czym ponownie utkwiałam wzrok w Brendanie i powiedziałam niemal wbrew sobie:

— Oszukałeś nas. — Spojrzałam wzdłuż stołu i powtórzyłam: — On nas oszukał.

Brendan pokręcił głową.

— Nie bierzesz pod uwagę, że mogłem nie opowiedzieć wam całej tej ponurej historii, bo uważam Harry'ego za przyjaciela i jest mi go żal? Po prostu nie chciałem wieszać na nim psów. Lecz wcale was nie oszukałem, Mirando. Nic podobnego. — Zawiesił głos i uśmiechnął się do mnie. — Zresztą ty też nie masz czystego sumienia, prawda?

Na chwilę zapadła taka cisza, że wyraźnie dotarło do mnie cykanie starego wahadłowego zegara dziadków stojącego w holu. Popatrzyłam na przeszklone drzwi werandy, za którymi pozbawione liści gałęzie czerwonego klonu miały się gwałtownie, targane porywistym wiatrem.

— Na przykład oszukałaś Kerry.

— Przestańcie — odezwał się niespodziewanie Troy. — To mi się nie podoba. Przestańcie, proszę.

— Słucham? — powiedziała równocześnie Kerry ze strachem w głosie.

— O co ci chodzi?

— Jestem pewien, że Kerry już ci wybaczyła. Przecież ją znasz i wiesz, że jest wielkoduszna. Prawda?

— O czym wy mówicie?! — zapytała głośniejszą siostra, wpatrując się we mnie. — Żądam wyjaśnień!

— Zresztą, miałaś wtedy zaledwie siedemnaście lat.

— Brendan, przykro mi, jeśli...

— A ile ty wtedy miałaś, Kerry? Chyba dziewiętnaście, prawda?

— Kiedy?

— No, wiesz, gdy Miranda poderwała twojego chłopaka. Jak on miał na imię? Chyba Mike, jeśli mnie pamięć nie myli.

W pokoju znów zaległa martwa cisza. Brendan teatralnym gestem zasłonił usta dłonią.

— Mam rozumieć, że o tym nie wiedziałaś? Miranda nigdy ci nie powiedziała? Nie miałem pojęcia. Myślałem... że jeśli powiedziała mi o tym zaraz na początku naszej znajomości i potraktowała to tak lekko... Zakładałem, że wiesz o wszystkim, że to wasza słodka rodzinna tajemnica... — Umilkł w końcu.

Otworzyłam już usta, żeby powiedzieć, że nigdy mu o tym nie opowiadałam, że dowiedział się tego z lektury mojego pamiętnika. Ale ugryzłam się w język. Bo kogo to obchodziło? W końcu powiedział prawdę.

— Kerry — odezwałam się po chwili. — Nie roztrząsajmy publicznie starych spraw. Porozmawiajmy o tym w cztery oczy.

Wpatrywała się we mnie z uwagą.

— Rozumiem — mruknęła. — I teraz chcesz zrobić to samo po raz drugi.

## 18

Wyszłam, chociaż Judy próbowała mnie jeszcze zatrzymać. Wsiadłam do samochodu i pojechałam aż na koniec ulicy, gdzie zatrzymałam się na przystanku autobusowym. Czułam się przemarznięta do szpiku kości, ale zarazem oblewał mnie zimny pot. Ręce mi się tak trzęsły, że ledwie zdołałam przekręcić kluczyk w stacyjce. W gardle dławiała mnie obrzydliwa mieszanina smaku pieczeni z dziczyzny, pleśniowego sera, czerwonego wina i goryczy. Przez jakiś czas miałam wrażenie, że zaraz się porzygam. Siedziałam za kierownicą i gapiłam się na auta przejeżdżające przez skrzyżowanie w gasnącym stopniowo świetle dnia, gdy wszystko dookoła powoli zatapiało się w mroku, a wszelkie kolory szarzały.

Za mną rozległ się donośny klakson. Spojrzałam w lusterko i zobaczyłam autobus stojący na przystanku. Uruchomiłam silnik i wykręciłam z zatoczki na ulicę. Nie miałam jednak pojęcia, dokąd jechać. Zawsze kierowałam się w stronę swojego domu, lecz teraz było to dla mnie ostatnie miejsce na świecie, w którym chciałam się znaleźć. Nie potrafiłam już myśleć o własnym mieszkaniu w kategoriach przytulnej oazy ciszy i spokoju, choć jeszcze do niedawna bardzo je lubiłam i wiele dla mnie znaczyło.

Mogłam od razu wrócić do Laury, ale desperacko pragnęłam samotności. Jechałam więc prosto przed siebie na wschód, mijając sklepy z używanym sprzętem gospodarstwa domowego, telefonami komórkowymi, bronią pneumatyczną, tanimi kasetami wideo, ogrodowymi krasnalami, glazurą i terakotą, sprzętem turystycznym... Okolica stopniowo robiła się coraz biedniejsza, kolejne kładki nad jezdnią były coraz gęściej upstrzone graffiti, mijane kafejki bardziej obskurne. W witrynie podejrzanie wyglądającego i nadal otwartego sklepu rzeź-

niczego kołysały się na sznurkach jakieś ochłapy. Wreszcie przy którychś światłach w szybę mego wozu załomotał pięścią zarośnięty młodzieniec w panterce, głośno domagając się pieniędzy. Kiedy minęłam rozległy ciąg estakad i parę kolejnych skrzyżowań z szerokimi ulicami, znów znalazłam się w bogatszej okolicy, gdzie domy były rozrzucone dużo rzadziej i otoczone dużo większymi ogrodami, zarówno od frontu, jak i od tyłu. Zaczynały się zapalać uliczne latarnie. Wreszcie ujrzałam pola uprawne, skupiska strzelistych drzew, także pozbawionych już liści, i wijącą się między nimi rzeczka.

Na chybił trafił skręciłam w lewo, potem jeszcze raz, w jeszcze węższą alejkę dojazdową, i zatrzymałam samochód przed bramą pastwiska, na którym pasło się duże stado krów. Najwyżej za godzinę będzie całkiem ciemno. Kiedy otworzyłam drzwi auta, porywy lodowatego wiatru natychmiast wdarły się pod mój lekki żakiet. Nie byłam odpowiednio ubrana, na nogach miałam lekkie pantofle, ale w tej chwili było mi to obojętne. Ruszyłam kawałek dalej wąską uliczką, wystawiając twarz na uderzenia wiatru, który zgarniał mi włosy na oczy. Przez kilka minut szłam przed siebie tak energicznym krokiem, że aż rozbolały mnie łydki. Dopiero wtedy zaczęłam myśleć klarownie i dopuściłam do siebie wspomnienia.

Gdy Kerry miała dziewiętnaście lat, była dość ładna, chociaż uważała siebie za brzydulę, w związku z czym chłopcy rzadko zwracali na nią uwagę. Michael nie był jej pierwszym chłopakiem, ale chyba w nim po raz pierwszy zakochała się bez pamięci i prawdopodobnie z nim straciła dziewictwo. Nigdy mi się nie zwierzała, a ja nie pytałam, ani wtedy, czekając wciąż na odpowiednią chwilę do intymnych zwierzeń, ani później, gdy już pojęłam, że taka chwila między nami nigdy nie nastąpi. Zdarzyło się to pod koniec wakacji, krótko przed jej wyjazdem na uniwersytet, kiedy jeszcze dorabiała w ka-

wiarni, zmywając talerze i serwując młodzieży piernikowe torciki z kremem czekoladowym bądź naleśniki z nadzieniem kokosowym. Był od niej jakieś trzy lata starszy, studiował inżynierię w Hull, lecz przyjechał do domu na wakacje. Po kilku wizytach w kawiarni któregoś dnia podszedł do baru i zamawiając szklanę herbaty, zapytał, czy po pracy nie wyskoczyłaby z nim na drinka.

Może zrobił to dlatego, że nic o niej nie wiedział, nie należał do tego światka, w którym zawsze trzymała się na uboczu, a może dlatego, że uznał ją za gotową do uwiedzenia, w każdym razie błyskawicznie zakochała się w nim bez pamięci. Sprawiała wrażenie strasznie dumnej z siebie, że ma starszego chłopaka, jeśli nawet niezbyt przystojnego, to na pewno eks-trawertycznego i nadzwyczaj uroczego, który sprawiał, że czuła się szanowana i uwielbiana jak nigdy dotąd. Wyraźnie promieniowała szczęściem, mniej więcej tak samo jak teraz u boku Brendana — rozmyślałam, idąc przed siebie połąną drogą wśród zapadającego zmroku.

I nagle... Przez wiele lat po prostu starałam się o tym nie myśleć, dlatego musiałam wysilić pamięć, by sięgnąć do wspomnień uporczywie spychanych na dno świadomości. Związek Kerry z Michaelem nie trwał długo, już po paru dniach stało się jasne, że to jej na nim zależy, a nie odwrotnie. Przynajmniej tak sobie potem tłumaczyłam. Na początku w ogóle mnie nie zauważał. Byłam pięć, może nawet sześć lat od niego młodsza, do tego wciąż zajęta w domu i bez pieniędzy. No i byłam dziewicą. Nawet za bardzo z nim nie flirtowałam. Jednakże pewnego dnia obrzucił mnie szczególnie taksującym spojrzeniem — trochę ukradkowym, rzuconym ponad ramieniem mojej siostry — które, jak pamiętam aż do dziś, napełniło mnie poczuciem triumfu, a jednocześnie odrazą do samej siebie. I od tamtej chwili nie mogłam przestać o nim myśleć tylko dlatego, że spojrzał na mnie w tych niezwykłych,

publicznie- prywatnych okolicznościach. Cieszyłam się swoją tajemnicą i radowałam z poczucia winy.

Później pocałował mnie przed drzwiami sypialni Kerry, szybko i przelotnie, a ja się nie sprzeciwiłam, uważając, że to nic złego, całkiem bez znaczenia, w ogóle się nie liczy. A któregoś popołudnia po szkole kochaliśmy się na moim łóżku, gdy Kerry poszła do sklepiku za rogiem, żeby kupić mu papierosy. Po tym nie mogłam już sobie wmówić, że i to się nie liczy. Trwało to najwyżej dwie straszliwe, bolesne minuty i zanim jeszcze do czegośkolwiek doszło, świetnie wiedziałam, że popełniam największy błąd w życiu. Nie byłam już w stanie znieść widoku jego wiecznie głupkowatej miny z szerokim uśmiechem satysfakcji. Zaczęłam go unikać. Gdy przychodził do siostry, ja wychodziłam. Nigdy nie odbierałam telefonu. Czekałam, aż przeminie pałacy wstyd. Jego związek z Kerry trwał jeszcze jakiś czas, ale stopniowo przestał do niej dzwonić, a w końcu także odbierać jej telefony. Jakiś tydzień później, gdy wrócił do Hull, Kerry wyjechała na studia. Byłam pewna, że i tak by ją zostawił, dlatego szukałam sposobów usprawiedliwienia swojego postępowania, ale jakoś nie mogłam się przekonać, że nie stało się nic złego. Nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć, jak bardzo uraziłam Kerry. Wręcz sama nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Nawet dziś jeszcze trudno mi uwierzyć. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, opisałam tylko wszystko w pamiętniku. Potraktowałam to jak sposób na pozbycie się natrętnych myśli, przekształcenie wspomnień w mało znaczący przedmiot, który łatwo wyrzucić, a przynajmniej dobrze ukryć. Jednakże nigdy nie zdobyłam się na wyrzucenie pamiętnika. To byłoby jak pozbycie się części samej siebie.

Przede wszystkim musiałam rozstrzygnąć, czy zrobiłam to wyłącznie dlatego, że Michael chodził z moją starszą siostrą. Przysiadłam na ławeczce stojącej pod płotem, mimo że na-

tychmiast poczułam przez spodnie zimną wilgoć. Mokra ziemia grubą warstwą oblepiła mi pantofle. Przyłożyłam zimne dłonie do twarzy i wetknęłam kciuki do uszu, aby całkowicie odizolować się od świata zewnętrznego. Jeśli właśnie takie były moje motywy, to jak o mnie świadczyły i jak rzutowały na obecne zachowanie? Cóż za przedziwna, koszmarna replika tamtych wydarzeń miała miejsce teraz, w dodatku na oczach całej rodziny? W mej pamięci odżyły strofujące syknięcia matki i żalodne protesty Troya. W myślach zobaczyłam ich spojrzenia utkwione we mnie. Pobladłą twarz Kerry i uśmiech Brendana.

No i jak miałam dalej postępować w zaistniałej sytuacji? Otworzyłam oczy i wstałam. Szybko robiło się ciemno, na zachmurzonym niebie nie było widać księżyca. Znalazłam się na wąskiej bocznej uliczce, wśród pól i lasów, nie mając najmniejszego pojęcia, co robić. W zakamarku świadomości błąkała się paniczna myśl, żeby po prostu uciec i nie mieć z tym wszystkim więcej do czynienia. Ale nawet uciec trzeba mieć dokąd, trzeba podjąć decyzję, którą wybrać drogę i do którego miasta pojechać, gdzie znaleźć coś do jedzenia i łóżko do spania, z którego nadal można będzie wstawać każdego ranka...

W końcu wróciłam do samochodu, usiadłam za kierownicą, uruchomiłam silnik i ruszyłam tą samą trasą, która mnie tu przywiodła. Byłam tak przemarznięta, że nawet ustawione na maksimum ogrzewanie auta nie zdołało mnie rozgrzać. W sklepie na rogu, kilka minut drogi od domu Laury, kupiłam mleko, kakao i dietetyczne herbatniki. Kiedy weszłam do mieszkania, usłyszałam plusk wody dobiegający z łazienki, więc przygotowałam sobie duży kubek gorącego kakao, z mnóstwem cukru, usiadłam po turecku na sofie i zaczęłam je powoli sączyć, mając nadzieję, że ono choć trochę mi pomoże.

## 19

Zebrałam się na odwagę i zadzwoniłam do swojego mieszkania. Odebrał Brendan. Serce mi się ścisnęło. Miałam ochotę natychmiast odłożyć słuchawkę, przestraszyłam się jednak, że odkryje, kto dzwonił, zacznie mnie nękać swoimi telefonami albo robić jeszcze coś innego, więc skutek będzie opłakany. Przynajmniej dla mnie. Po raz kolejny.

— Cześć — rzuciłam.

— Wszystko w porządku, Mirando?

— Co masz na myśli?

— To musiało być dla ciebie bolesne.

— Z czyjego powodu? — Od razu przeklełam się w duchu, że to powiedziałam. Byłam jak bokser, który celowo opuszcza gardę. I oczywiście musiałam dostać w nos.

— Mirando — mruknął tonem pełnym obrzydliwego pożałowania. — Przecież to nie ja zdradziłem Kerry.

— Ale dowiedziałeś się o tym, czytając potajemnie mój pamiętnik, a przy stole skłamałeś, że sama ci to powiedziałam.

— Czy to naprawdę takie ważne, jak się dowiedziałem? W końcu wszystkim wyjdzie na dobre. Bo w rodzinie nie powinno być sekretów. Trzeba je wyciągać na światło dzienne, żeby oczyścić atmosferę.

Naszła mnie myśl, że zaczynam wariować. Nie tylko z powodu jego słów, które przyprawiały mnie o mdłości. Czułam się zbrukana samym brzmieniem jego głosu, nawet przez telefon, jakbym miała do czynienia z czymś żywym i oślizgłym, wpłzającym ze słuchawki do ucha.

— Dzwonię, by uprzedzić, że chciałabym jutro wpaść po parę swoich rzeczy. — Zawahałam się na chwilę. — Nie będzie wam to przeszkadzało?

— O której się ciebie spodziewać?

Miałam już na końcu języka pytanie, czy to ważne, ale darowałam sobie z obawy, że znowu wdam się w jakąś zbędną dyskusję, która jeszcze dodatkowo pogorszy sytuację.

— Wpadnę, wracając z pracy.

— To znaczy o której?

— Mniej więcej o wpół do siódmej — odparłam. — Czy to aż tak istotne?

— Zawsze wolimy być gotowi na twoje przyjęcie, Mirando.

— Czy jest Kerry?

— Nie.

— Mógłbyś ją poprosić, żeby do mnie zadzwoniła?

— Oczywiście — odrzekł szybko.

Odłożyłam słuchawkę trochę za mocno, toteż z poczuciem winy spojrzałam na Laurę. Rozwalenie jej telefonu nie byłoby pozytywnym wkładem w chwilowo wspólne gospodarstwo domowe.

Ona jednak przyglądała mi się z troską w oczach. Po raz kolejny okazywała wyrozumiałość.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Na pewno nie chcesz znać prawdy — odrzekłam.

— Czuję się tak, jakbym musiała z góry zapowiadać swoją wizytę we własnym mieszkaniu. Przepraszam. Uprzedzałam jednak, że lepiej, byś nie znała prawdy, którą i tak ci wyznałam. — Kiedy uśmiechnęła się i uścisnęła mnie, dodałam:

— Wiesz? To chyba bardzo ważne, żebyście z Tonym jak najszybciej pomyśleli o dzieciach.

— Dlaczego?

— Ponieważ będę musiała poświęcić z osiem lat na opiekowanie się nimi, zanim ci się zdołam odwdziżyć za to, co dla mnie robisz.

Zaśmiała się krótko.

— Trzymam cię za słowo. Jednakże lepiej nie wspominać o tym na razie Tony'emu. Ilekroć rozmowa schodzi na dzieci, całkowicie zamyka się w sobie.

Laura i Tony zaczęli się gorączkowo krzątać przed wyjściem z domu. Najwyraźniej wcześniej się posprzecjali, bo ona była wobec niego oschła i na pokaz uprzejma, a on nadał-sany. Miałam przed sobą perspektywę ponurej niedzieli wypełnionej uzalaniem się nad własnym losem. Nawet ją sobie rozplanowałam. Najpierw parę kieliszków wina, potem na obiad duża kanapka z awokado, parzonym bekonem i sosem majonezowym, w który zaopatrzyłam się poprzedniego dnia w drodze z pracy. Później znów wino. Wreszcie kąpiel

i pójście do łóżka w pijackim otepieniu. Nie zdecydowałam tylko, w którym momencie zaaplikuję sobie szloch, płacze i dzikie wycia. Musiałam wyglądać jak zagubione dziecko z plakatu, gdyż usłyszałam za plecami wymieniane półgłosem uwagi, syki Laury, wreszcie pytanie Tony'ego, czy mam ochotę pójść z nimi.

— Co proszę? — zapytałam sztywno, dokumentnie zbita z pantałyku. — Nie, wykluczone. Mój agrestowy kostium jest w pralni. Dam sobie radę.

— Nie wygłupiaj się — rzuciła Laura. — Idziemy na przyjęcie. Będzie kupa ludzi. Rozerwiesz się trochę. Nie tak jak my.

To ostatnie zdanie było oczywiście skierowane bardziej do Tony'ego niż do mnie. Odwracając się do niej tyłem, zmarszczył brwi i pogardliwie wykrzywił usta. Udałam, że tego nie dostrzegam.

— To byłoby nie na miejscu — mruknęłam.

— Zamknij się — odparła bezpardonowo Laura. — Przyjęcie wydaje moja przyjaciółka, Joanna Gergen. Znasz ją?

— Nie.

— W każdym razie ona słyszała o tobie.

— A powiedziałaś jej, że jestem nienormalna?

— Powiedziałam, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Urządza parapetówkę. Będzie zabawnie.

Tak nalegała, że w końcu dałam się przekonać. Wzięłam półminutowy prysznic, aż czterdzieści pięć sekund poświęciłam na to, żeby wbić się w swoją wizytową czarną sukienkę, po czym zajęłam miejsce z tyłu w ich samochodzie, aby w czasie przejazdu przez Londyn spróbować umalować sobie oczy i uszminkować wargi mimo skrajnie niesprzyjających warunków.

Joanna kupiła nowe mieszkanie przy Ladbroke Grove, które musiało kosztować... Nie, pospiesznie odpędziłam od siebie podobne myśli. Nie byłam tu służbowo. Miałam spędzić wieczór, który pozwoliłby mi zapomnieć o moim pochrzanio-nym normalnym życiu. Gospodyni o nadzwyczaj bujnych blond włosach, ubrana w bezwstydnie lubieżną szkarłatną suknię, zdziwiła się wyraźnie, otworzywszy drzwi i ujrzawszy mnie stojącą za plecami Tony'ego i Laury jak nieproszony gość balu maskowego, będący piątym kołem u wozu.

— To jest Miranda — powiedziała Laura. Joanna uśmiechnęła się szeroko.

— A więc to ty zostałaś wykopana z własnego mieszkania? — przywitała mnie serdecznie.

Laura obrzuciła mnie przeproszającym spojrzeniem.

— Naprawdę powiedziałam jej tylko, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką, która ma tylko jeden czy dwa poważniejsze problemy życiowe — wyjaśniła.

Nie mogłam się na nią gniewać, tym bardziej że w ten sposób pierwsze lody zostały przełamane. Joanna poprowadziła mnie w głąb mieszkania, opowiadając ze szczegółami, jak je wykańczała oraz ile to trwało. Nie ulegało wątpliwości, że wie nie tylko o moich poważniejszych problemach życiowych.

Niemniej przyjęcie okazało się wręcz niewiarygodnie udane. Mieszkanie było bardzo duże, w dodatku z ogrodem, do którego wychodziło się przez rozsuwane przeszkłone drzwi z kuchni połączonej z jadalnią. Teraz w ogrodzie migotały dziesiątki płomyków świec porozstawianych w słoiczkach. W salonie grał prawdziwy, żywy jazzband, a w wannie wypełnionej kostkami lodu chłodziły się butelki piwa. Poza Laurą i Tonym nie znałam nikogo z gości, co dla mnie zawsze stanowiło ciekawy element dobrej zabawy. Otoczenie złożone z samych obcych ludzi pociągało mnie jak odkrywanie nowej planety. Ledwie zaczęłam walczyć z kapslem, a już zjawił się jakiś mężczyzna, delikatnie wziął ode mnie butelkę, otworzył ją za pomocą swojej zapalniczki i podał mi z wdziękiem.

— Proszę bardzo.

— Widzę, że jest pan bardzo dumny z siebie — zaczęłam.

— Mam na imię Callum.

Obrzuciłam go podejrzliwym wzrokiem. Był wysoki, z kędzierzawymi ciemnymi włosami i zabawną kapką zarostu pod dolną wargą, mającą rozmiary małego znaczka pocztowego. Zauważył, że przyglądam jej się badawczo, gdyż zaproponował:

— Możesz jej dotknąć, jeśli masz ochotę.

— To się jakoś specjalnie nazywa?

— Nie mam pojęcia.

— Trudno coś takiego utrzymać?

— W porównaniu z czym? Operacją na otwartym mózgu?

— Z pełną brodą.

— Niespecjalnie.

— Mam na imię Miranda.

— Tak, wiem — odparł. — Jesteś tą kobietą, która musiała się wyprowadzić z własnego mieszkania.

— To nic takiego. Zwykła smutna, a raczej żałosna historia.

— Ja jednak słyszałem ją w dość zabawnej wersji.

— Ale możesz mi wierzyć, że nie ma w tym nic zabawnego.

Popadłszy w sentymentalny nastrój starego wilka morskiego, opowiedziałam mu o wszystkim. Mimochodem pociągnął mnie w kierunku stołu i wciąż słuchając, nałożył mi na talerz solidną porcję pieczeni wieprzowej z dwoma różnymi sałatkami. Już paru osobom opowiadałam swoją historię, ale tym razem nawet mnie zaskoczyło, że naprawdę brzmi ona dość zabawnie. Nie wiem, czy zadecydowało to, że Callum był dobre kilkanaście centymetrów wyższy i gdy spoglądał na mnie z góry, z grzywką uporczywie opadającą mu na czoło, w jego wzroku dostrzegałam iskierki kpiny, czy może to, że po prostu nie da się mówić z pełną powagą, jednocześnie pociągając piwo z butelki, trzymając wyładowany jedzeniem talerzyk i od czasu do czasu próbując z niego coś skubnąć.

— Powinnaś ich zwyczajnie wykopać za drzwi — orzekł, gdy skończyłam.

— Nie mogę tego zrobić — odparłam szybko.

— Więc potraktuj to jak okolicznościowy urlop, który musisz spędzać we własnym mieszkaniu. Masz przymusowych sublokatorów, a to świetny pretekst, żeby częściej wychodzić i bawić się na mieście. Zaczęliśmy rozmawiać na inne tematy. Wiedział również czym się zajmuję, i jak większość ludzi nie mógł się nadziwić, że zarabiam na życie, dźwigając drabiny i puszki z farbą albo przycinając deski czy listwy. Kiedy na koniec poprosił mnie o numer telefonu, odparłam, że chwilowo nie mam telefonu w tym szkopuł, a on najwyraźniej wcale mnie nie słuchał. Zaśmiał się w głos, po czym odparł, że jest znajomym Tony'ego, więc spróbuje mnie złapać pod jego numerem.

Poczułam się zawstydzona, gdy spostrzegłam, że Laura i Tony trzymają się na uboczu, najwyraźniej stroniąc od towarzystwa. W końcu to ja miałam być przygnębiona, tymczasem lepiej od nich bawiłam się na przyjęciu wydanym przez ich przyjaciółkę. W drodze powrotnej przypomniałam sobie słowa Calluma i oznajmiłam buńczucznie:

— Zamierzam ich wykopać za drzwi.

Laura obejrzała się na mnie ze zdziwioną miną.

— Co takiego?

— Dałam się za bardzo w to wciągnąć — odparłam.

— Nie myślałam trzeźwo. Zamierzam więc od tej pory zachowywać się jak normalni ludzie. Znajdę jakieś miejsce dla Kerry i jej fagasa, nawet gdybym miała im opłacić pobyt w hotelu.

— Przecież wiesz, że nadal możesz mieszkać z nami

— oświadczyła Laura. — Prawda, Tony?

— Słucham?

— Miranda może u nas zostać?

— Ty jesteś szefem.

— Och, na miłość boską. Musiałam zainterweniować.

— Nie. Jesteście dla mnie wspaniali, ale czuję się tak, jakbym została zamknięta w pokoju z włączonym na pełną moc ogrzewaniem, zasuniętymi zasłonkami i czymś gnijącym gdzieś w kącie. Muszę w końcu rozsunąć zasłonki i otworzyć szeroko okno.

— A co z tym czymś gnijącym w kącie? — zaintrygowała się Laura.

— To pewnie tylko wytwór mojej wyobraźni. Jeśli ktoś chce być dziwakiem, to jego sprawa. Ja zamierzam odzyskać swoje własne życie.

— Cieszę się, że wreszcie zaczynasz mówić rozsądnie. Skąd ta nagła zmiana?

Zaśmiałam się krótko.

— Być może sprawiła to rozmowa z Callumem. Do tej pory myślałam, że biorę udział w greckiej tragedii. Tymczasem zaczynam się skłaniać ku opinii, że to raczej komedia sytuacyjna.

## 20

Mocniej zawiązałam sznurówki butów biegowych i wypiłam jeszcze szklankę wody, zanim otworzyłam drzwi. Było wpół do siódmej rano, a więc jeszcze całkiem ciemno i wyraźnie zimniej niż poprzedniego dnia. Na chodnikach skrzył się szron, szyby samochodów były oblodzone. Przez chwilę naszła mnie myśl, że jestem masochistką i zamiast torturować się jak średniowieczna mniszka, powinnam wracać do łóżka, nawet jeśli to tylko sofa, bo tam byłoby ciepło. Odepchnęłam ją jednak od siebie, zamknęłam drzwi na klucz i ruszyłam biegiem na trasę prowadzącą wąskimi bocznymi alejkami w głąb parku. Po dłuższej przerwie byłam trochę zeszywniała i zadyszana, ale stopniowo odnalazłam właściwy rytm i przyspieszyłam, mijając gazeciarza zdejmującego okiennice z kiosku, tonącą w mroku szkołę podstawową, składnicę złomu i makulatury. Patrzyłam, jak wstaje dzień. W oknach zapalały się światła, gasły latarnie, przy krawężnikach ożywały silniki samochodów. Niebo, początkowo ciemnoszare, powoli się rozjaśniało, pojawiły się na nim różowawe chmury. Wóz pocztowy opróżniał skrzynki na listy. Minełam kobietę prowadzącą trzy wielkie psy szarpiące smycze. W wyobraźni widziałam ludzi, którzy przewracają się w łóżkach i wyłączają budziki; przeciągające się i ziewające dzieci, podciągające wyżej kołdry, żeby

złapać jeszcze parę minut snu; odkręcane prysznice, gwizdzące czajniki, tostery wypluwające kromki zrumienionego pieczywa. Ni stąd, ni zowąd, poczułam się nagle szczęśliwa, że mogę swobodnie biec pustymi ulicami Londynu w kierunku słońca wyłaniającego się zza horyzontu, obwieszczającego początek wspaniałego późnojesiennego dnia.

W drodze powrotnej zatrzymałam się przy skrzyżowaniu, żeby kupić paczkę plasterkowanego bekonu i biały chleb. W mieszkaniu panowała jeszcze grobowa cisza, toteż szybko wzięłam prysznic, włożyłam spodnie od dresu i starą ciepłą bluzę w kolorze malinowym. Nastawiłam wodę na kawę i wrzuciłam bekon na patelnię, kiedy otworzyły się drzwi sypialni, Laura wysunęła głowę i zaczęła się ciekawie rozglądać. Wyglądała na całkiem zasną, jak mała dziewczynka ze skołtunionymi włosami i zaczerwienionymi policzkami. Pociągnęła nosem i wymamrotała coś nieartykułowanego.

— Kawa i kanapki z bekonem — zapowiedziałam. — Chcesz śniadanie do łóżka?

— Przecież dziś jest poniedziałek.

— Dlatego pomyślałam, że trzeba dobrze zacząć nowy tydzień.

— Od jak dawna jesteś na nogach?

— Mniej więcej od godziny. Zaliczyłam jogging.

— A z jakiego powodu jesteś tak uradowana?

— Biorę swoje życie we własne ręce. Odrodziłam się na nowo.

— Boże... — jęknęła i wycofała się do sypialni.

Chwilę później zjawiała się w kuchni ubrana w gruby szlafrok. Usiadła przy stole i patrzyła w milczeniu, jak układam przysmażone plastry na grubych kromkach chleba i wstawiam w rondelku mleko do kawy.

Ostrożnie skubnęła swoją kanapkę, podczas gdy ja z wilczym apetytem wbiłam zęby w swoją.

— Co dzisiaj zamierzasz? — spytała.

Pociągnęłam łyk gorącej kawy, czując, jak rozkoszne ciepło rozlewa się po żołądku.

— W nocy wpadłam na pewien pomysł. Zamierzam obdzwonić ludzi, którzy na jakiś czas wyjeżdżają z kraju. Nie jest ich mało, nasi klienci często tak ustawiają terminy remontów, żebyśmy je przeprowadzili podczas ich nieobecności. Pragnę popytać, czy ktoś nie chciałby zostawić domu pod opieką odpowiedzialnej młodej pary. Znam jedną rodzinę trzymającą w domu mnóstwo zwierzątek, które trzeba karmić dwa razy dziennie. Może ci ludzie zechcą udzielić schronienia Kerry i Brendanowi na czas swego wyjazdu. Jestem pewna, że coś dla nich znajdę. W końcu to pewniejsze niż przeglądanie ogłoszeń w gazetach. Zatem... — dolałam sobie kawy, rozcieńczyłam ją gorącym mlekiem i położyłam na talerzyku drugą kanapkę — ...chcę im znaleźć jakieś inne lokum, skoro sami ewidentnie nie zamierzają się za nim rozejrzeć. Wreszcie mogłabym zamieszkać z Troyem, jak zaplanowaliśmy. Później muszę pojechać z Billem do Biura Rewindykacji, po drodze wpaść do banku, potem zajrzeć do mieszkania po kilka swoich rzeczy i przy okazji oznajmić im, że muszą zacząć się zbierać. Tyle planów na dziś.

— Na samą myśl o tylu sprawach naraz czuję się zmęczona.

— Jednym słowem, wkrótce powinniście mieć mnie z głowy.

— Mnie wcale nie przeszkadzasz.

— Jesteś kochana, ale świetnie wyczuwam granicę. Pragnę się wynieść, nim zaczniecie szukać sposobów pozbycia się mnie.

— Chcesz, żebym w rewanżu przygotowała kolację?

— Nie, kupię coś gotowego — odparłam. — Na przykład curry i piwo.

Kiedy Laura wyszła do pracy, posprzątałam po śniadaniu, włączyłam pranie i odkurzyłam dywan w dużym pokoju. Obiecałam sobie, że kupię im wielki prezent, jak się wyprowadzę.

Pojechałam do biura Billa znajdującego się zaledwie kilkaset metrów od jego domu i zaczęłam wydzwaniać po ludziach. Rodzina trzymająca domowe zwierzęta już się umówiła ze znajomymi, że otoczą je opieką podczas ich wyjazdu. Samotna kobieta z Shoreditch nie życzyła sobie, by w jej domu zamieszkał ktoś obcy. Starsi ludzie mieszkający w pięknej willi z olbrzymią przeszkloną werandą zmienili zdanie i przełożyli wyjazd o kilka miesięcy. Za to dwaj mężczyźni z małego domku w London Fields byli zainteresowani. Obiecali, że oddzwonią, jak rozpatrzą tę propozycję.

W oczekiwaniu na odpowiedź zaczęłam obliczać swoje należności. Minęło zaledwie parę minut, gdy zadzwonił telefon. Za osiem dni wybierali się do Ameryki na trzy miesiące, może nawet dłużej, jak wszystko dobrze się ułoży. Nie myśleli jeszcze o tym, by zostawić dom pod czyjąś opieką, ale skoro osobiście udzielałam gwarancji, byli skłonni przystać na propozycję pod warunkiem, że kuchnia rzeczywiście zostanie wykończona do czasu ich powrotu, Kerry i Brendan zgodzą się zapłacić jakąś część czynszu, utrzymają dom w czystości i będą podlewać palmę daktylową oraz drzewko pomarańczowe stojące w łazience.

— Za osiem dni? — zapytałam.

— Zgadza się.

Ich domek był naprawdę uroczy, dużo przestronniej szy od mojego mieszkania, stojący w sąsiedztwie parku. Była tam okrągła wanna, grube puszyste dywany, a po zakończeniu drobnego remontu w kuchni miała się pojawić elegancka glazura, kuchenka elektryczna z blatem z nierdzewnej stali i przeszklone drzwi na werandę. Nie sądziłam, by Brendan mógł cokolwiek

zakwestionować. A więc za osiem dni mogłam wracać do swojego mieszkania, gdzie zamierzałam odmalować sypialnię na żółto i znów poprzestawiać meble, potem wymyć okna i powyrzucać wszystkie stare graty.

— To cudownie — odparłam. — Naprawdę wspaniale. Nawet nie ma pan pojęcia, jak się cieszę.

Od razu zadzwoniłam z nowiną do Troya. Wyczułam, że przyjął ją z szerokim uśmiechem.

Zajechałam przed dom nieco wcześniej, niż zapowiadałam. W jednym oknie paliło się światło, chociaż na parkingu nie było samochodu Kerry. W ciemnościach po omacku włożyłam klucz do zamka i otwierając je, pomyślałam, że byłoby dobrze, gdybym nikogo nie zastała w mieszkaniu. Gdyby jednak byli, zamierzałam im opowiedzieć o domu w London Fields i spróbować porozmawiać z siostrą na osobności. Jeszcze wczoraj miałam przecucie, że nigdy mi nie wybaczy, ale dzisiaj wszystko w moich oczach wyglądało inaczej. W gruncie rzeczy, nic się nie stało poza moją wewnętrzną przemianą.

Już wchodząc do środka, poczułam dziwny zapach, który natychmiast wzbudził we mnie złość. Nie dość, że zmusili mnie do wyprowadzki z własnego mieszkania, to jeszcze w dodatku nie potrafili utrzymać go w czystości. Gwałtownie pchnęłam przymknięte drzwi saloniku, ale z hukiem odbiły się od czegoś i zamknęły z powrotem. Pchnęłam mocniej. Co zobaczyłam w pierwszej chwili? Co poczułam? Nie umiem odpowiedzieć. Pewnie już nigdy nie zdołam tego rozstrzygnąć. Wszystko zlewa mi się w pamięci w jeden mętlik chaotycznych wspomnień, od których do końca życia się nie uwolnię.

Sportowe buty z porysowanymi noskami, które widywałam setki razy, ale nigdy pół metra nad podłogą, i zaplamione na kolanach spodnie khaki ściągnięte szerokim paskiem. Fetor

odchodów. Przewrócone krzesło. Nieznośny strach ściskający w gardle. Nie byłam w stanie podnieść wzroku, choć musiałam to zrobić. Jego twarz wysoko nade mną, głowa przekrzywiona na ramię, usta lekko rozchylone. Czubek języka wystający spomiędzy warg. Wyraźnie siny w porównaniu z nimi. Oczy szeroko rozwarte, szkliste. Wreszcie ujrzałam sznur, na którym wisiał.

Może jeszcze żył! Boże, oby tak było! Proszę! Błagam! Postawiłam krzesło i wdrapałam się na nie, z trudem łapiąc równowagę. Przywarłam do niego całym ciałem, próbując unieść go nieco i zmniejszyć ciężar zaciskający pętlę na szyi, po czym sięgnęłam do supła. Ale ręce za bardzo mi się trzęsły. Czułam jego włosy na policzku, dotknięcie całkiem zimnego czoła. Bezwładnie leciał mi przez ręce. Wiedziałam jednak, że często ludzie tylko wyglądają na martwych, czytałam o tym, że można ich jeszcze przywrócić do życia, gdy nie ma już pozornie żadnej nadziei. Ale nie mogłam rozsypać sznura, a on był strasznie ciężki i przez fetor odchodów czułam już zapach śmierci. Do tego był zupełnie zimny. Zeskoczyłam z krzesła, puszczając jego rozkołysane ciało, i w kilku susach wpadłam do kuchni. Nóż od chleba leżał w zlewku. Złapałam go i wróciłam do Troya. Wspinając się na krzesło na czubki palców, zaczęłam energicznie przecinać sznur nożem, usiłując zarazem podnosić bezwładne ciało. Nagle sznur puścił i razem zwałiliśmy się na podłogę, w upiornych objęciach jego ręce znalazły się na moich ramionach.

Zepchnęłam go z siebie i rzuciłam się do telefonu. Ledwie zdołałam trafić palcem w kolejne klawisze.

— Pomocy! — krzyknęłam. — On się powiesił! Proszę przysłać jakąś pomoc! Błagam! Co mam robić?

Z drugiego końca linii doleciał całkiem spokojny głos. Padały kolejne pytania, na które odpowiadałam, spoglądając na

brata leżącego nieruchomo na wyciągnięcie ręki, powtarzając w kółko:

— Co mam robić? Jak mu pomóc?

— Karetka pogotowia przyjedzie najszybciej, jak tylko to możliwe — usłyszałam.

— Mam mu robić sztuczne oddychanie? Masaż serca? Powiedzcie, co robić!

Bez przerwy wpatrywałam się w Troya. Był blady jak ściana, wargi coraz mocniej mu siniały. Wciąż wystawał spomiędzy nich czubek języka.

Szeroko otwarte niewidzące oczy patrzyły w przestrzeń. Pętla sznura zwisała już luźno, ale na szyi widać było grubą ciemną pręgę. Mój mały braciszek.

— Pospieszcie się! — krzyczałam. — Błagam! Odłożyłam słuchawkę i uklękłam przy nim. Ułożyłam

na kolanach jego głowę i odgarnęłam mu włosy z czoła, po czym schyliłam się i ucałowałam go w oba policzki, a potem w usta.

Zacisnęłam w rękach lodowatą dłoń. Zapięłam mu środkowy guzik koszuli, który był rozpięty. Myślałam, że za chwilę będę musiała wrócić do telefonu i zadzwonić do rodziców. Jak miałam im to powiedzieć? „Wasz syn nie żyje”? Zamknęłam na chwilę oczy, ogarnięta narastającym przerażeniem.

Jego sweter leżał rzucony na oparciu sofy. Na stole grzbietem do góry zostawił otwartą książkę. Spojrzałam na ścienny zegar, było dwadzieścia pięć po szóstej. Gdyby tylko można było cofnąć jego wskazówki, cofnąć minuty i godziny do momentu, zanim Troy stanął na krześle, założył pętlę na szyję i zeskoczył, zadając sobie śmierć. Gdybym przyjechała wcześniej, darowała sobie tę bułkę z serem i ogórkiem, nie guzdrała się w ciepłym biurze, zrezygnowała nawet z dokończenia rozliczeń i od razu wsiadła do samochodu... Przeciągnęłam palcami po jego włosach. Od tej pory już nic nie miało być w porządku.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, ostrożnie ułożyłam głowę Troya na dywanie i poszłam otworzyć. Lekarz i sanitariusze kucnęli przy nim, ja zaś podeszłam do telefonu.

— Mamo — zaczęłam niepewnie, po czym natychmiast, zanim zdążyłaby zapytać, jak się miewam, czy mówić o czymkolwiek innym, rzuciłam: — Posłuchaj...

## 21

Wszystko wydawało mi się nieskładne, zdeformowane, widziane w złym świetle i opisywane niezrozumiałym językiem. W swoim mieszkaniu nie potrafiłam się już czuć jak u siebie. Odnosiłam wrażenie, że jestem na ulicy, gdzie zdarzył się wypadek. Różni ludzie przychodzili i odchodzili, ale nie miało to nic wspólnego ze mną. Zaczęło się od trzech mężczyzn w zielonych strojach, początkowo działających w wielkim pośpiechu, wykrzykujących do siebie polecenia, a już chwilę później wyciszonych i spokojnych, gdy okazało się, że wszelki pośpiech jest zbędny, bo wszyscy się spóźniliśmy. Widziałam policjanta i policjantkę, którzy musieli dość szybko zjawić się na miejscu. Spojrzałam na zegarek, ale nie byłam w stanie odczytać godziny, jakby cyferblat znajdował się strasznie daleko, a liczby na nim przestawiono. Ktoś podał mi kubek czegoś gorącego, bo gdy pociągnęłam łyżeczkę, oparzyłam sobie wargi. Ale to mi nie przeszkadzało. Nawet chciałam, żeby bolało. Pragnęłam poczuć cokolwiek, co pomogłoby mi się wyrwać z przemożnego odrętwienia. Rozmawiałam z matką przez telefon. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie zrobiłam. Początkowo próbowałam powoli i stopniowo przedstawić jej prawdę, sądząc, że tak będzie naj-

lepiej. Chciałam powiedzieć jej coś w rodzaju: „Troy zachorował, to bardzo poważna sprawa”. Może w ten sposób byłoby jej łatwiej się z tym pogodzić. Ale i tego nie potrafiłam. Był przecież martwy, całkiem zimny, z szeroko otwartymi oczami. Dlatego nie zdołałam powiedzieć jej nic innego poza tym, że nie żyje, więc jeśli chce, może tu przyjechać, choć to niekonieczne, bo sama sobie ze wszystkim poradzę. Usłyszałam, jak zachłysnęła się powietrzem, wymamrotała coś niezrozumiałego, bąknęła: „Nie żyje? Jesteś pewna?”, wreszcie głucho jęknęła. Potem zaczęła paplać, jak to myślała, że z nim jest coraz lepiej. Chyba przerwałam jej ostro, w ogóle nie mogąc się skoncentrować na tym, co mówi. Poczułam czyjąś dłoń na ramieniu, jakaś kobieta zajrzała mi w twarz. To była policjantka, młodsza ode mnie, o bardzo bladej cerze i zaczerwienionych wypryskach na policzkach, chyba trądzikowych. Czy dobrze się czuje? Pokiwałam głową. Chciała znać szczegóły. Imię i nazwisko Troya. Wiek. Moje dane. Zaczęła mnie ogarniać złość. Jak mogła w takiej chwili zadawać mi tyle głupich pytań? Ale szybko się opanowałam. Uświadomiłam sobie, że policja musi mnie o wszystko wypytać. Spojrzałam nagle na moje mieszkanie jej oczyma. W końcu to była jej praca. Na pewno nie pierwszy raz wezwano ją do podobnego zdarzenia. Mężczyźni w zielonych strojach byli w identycznej sytuacji. Stykali się ze zmarłymi, a po pracy wracali do domu i oglądali telewizję. Policjantka była zapewne specjalnie szkolona do opieki nad takimi ludźmi jak ja. Bez wątpienia byłam dla niej jedynie kolejną osobą, która nagle znalazła się w niecodziennej, stresującej sytuacji. Niewykluczone, że stykała się z takimi osobami wczoraj i przedwczoraj, prawdopodobnie miała się z nimi także stykać jutro i pojutrze. Patrząc na mnie, pewnie próbowała ocenić, czy przysporzę jej kłopotów. W końcu ludzie różnie reagowali, jedni histerycznym płaczem, inni milczeniem i odrętwieniem,

**162**

jeszcze inni groźnym załamaniem nerwowym czy nawet agresją. Nie mogła przecież wiedzieć, do której grupy się zaliczam.

Myślałam o masie czekających mnie formalności. Formularzach do wypełnienia, kopertach do zaadresowania, powiadomieniach do wysłania. W takim momencie naszło mnie to niczym fala gorąca, która zalała całe moje ciało. Aż musiałam szeroko otworzyć usta i wziąć kilka głębszych oddechów, jakby nagle powietrze w mieszkaniu zostało pozbawione tlenu. W głowie mi zawirowało, zachwiałam się i kobieta znów uważnie zajrzała mi w oczy.

— Nic ci nie jest, Mirando? — zapytała. Próbując wyjąć kubek z moich dłoni, chlapnęła herbatą na moje spodnie. Herbata przed chwilą gorąca, teraz była już całkiem zimna. — Dobrze się czujesz? Słabo ci?

Zdołałam tylko wybąkać: „Nic mi nie jest”, bo przecież nie mogłam powiedzieć, co naprawdę czuję, nie mogłam opisać tej gwałtownej fali nieznośnego żalu, który przyniosła mi świadomość, że Troy nie żyje. W mej pamięci odżywały bezładne wspomnienia — o małym chłopczyku stojącym na plaży przy zamku z piasku powoli rozmywanym przez fale albo zakrwawionym, z wybitym zębem, gdy na szkolnym boisku z rozpędu wpadł na ogrodzenie. Przypominałam sobie, jak przygryzał wargi, pochylając się nad rysunkiem, jak gwałtownie reagował na łaskotki, tarzając się z dzikim wyciem po podłodze. Potem coraz częściej bywał nadąsany jak chmura gradowa i na nic w ogóle nie reagował. Kiedy indziej rozsadzały go nowe pomysły, biegał z roziskrzonym wzrokiem, złościąc się, że nie może zrealizować wszystkich jednocześnie.

Wspominałam jego długie szczupłe palce i wielkie oczy, wręcz za duże do twarzy. I wszelkie rozmowy o nim. Uprzytomniłam sobie, że jednym z zasadniczych wspomnień z okresu mego dorastania, był widok bólu i troski na twarzy matki, gdy patrzyła na Troya. Nikt nie wiedział, jak mu pomóc. Rodzice imali się wszelkich spo-

sobów. To ciągnęli po różnych lekarzach i terapeutach, to znów zostawiali samemu sobie, zachęcali i ostrzegali, krzyczeli na niego lub płakali, albo też zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Mimo setek rozmaitych wspomnień, urywanych obrazów z przeszłości, wszystkie wiodły ku jednemu zakończeniu. Wszystkie drogi od tych wspomnień prowadziły do mojego mieszkania, sznura, belki sufitowej i tego, co kiedyś było Troyem, a teraz leżało nieruchomo na podłodze otoczone przez nieznanymi mu ludzi, którzy i jego nie znali.

Znów pojawiła się przede mną policjantka. Dopiero gdy podsunęła pudełko papierowych chusteczek, uzmysłowiłam sobie, że szlocham. Ludzie kręcący się po mieszkaniu spoglądali na mnie dziwnym wzrokiem. Ukryłam twarz w chusteczce, dopiero potem otarłam łzy i wydmuchałam nos. Nie potrafiłam się powstrzymać od płaczu.

Zawiodłam brata. Wszyscy go zawiedliśmy. Miałam wrażenie, jakbym przez całe życie przyglądała się, jak on tonie. Robiliśmy to czy tamto, rozmawialiśmy, martwiliśmy się o niego, snuliśmy plany, próbując mu pomóc, lecz ostatecznie i tak zniknął pod wodą, więc wszelkie nasze starania na nic się zdały. Wreszcie przestałam chlipać, opanowałam wstrząsające mną spazmy i poczułam się wykończona.

Dopiero wtedy policjantka przedstawiła się jako Vicky Reeder. A towarzyszący jej mężczyzna w garniturze był inspektorem, nazywał się Rob Pryor. Zadał mi kilka pytań dotyczących okoliczności, w jakich znalazłam Troya. Opowiedziałam wszystko z zadziwiającym spokojem i precyzją. W mojej relacji nie było nic niezwykłego, więc przyjął ją z rytmicznym potakiwaniem głową. Później wraz z umundurowanym policjantem dokładnie obejrzał belkę pod sufitem, na co nie zwróciłam specjalnej uwagi. Kiedy wrócił do mnie, zaczął mówić cicho, głosem pełnym szacunku, jak przedsiębiorca pogrzebowy. Uświadomiło mi to, że należę teraz do szczegól-

nej klasy ludzi pogrążonych w żałobie, znajdujących się na poboczu normalnego życia, których należy otaczać wyjątkowym poszanowaniem, niemalże czcią. Powiedział, że muszą zabrać ciało Troya, co może być dla mnie denerwujące, więc lepiej, abym na parę minut wyszła do drugiego pokoju. Pokręciłam głową. Chciałam być przy tym obecna, widzieć brata do ostatniej chwili. Popatrzyłam na jego spodnie khaki i granatowe polo, stare rozdeptane buty sportowe, nad których cholewkami widać było sprane skarpetki w czerwono-białe pasy. W wyobraźni ujrzałam, jak wciągał je na nogi dzisiaj rano. Czy już wtedy myślał, że nie zdejmie ich nigdy więcej? Czy już wtedy zdecydował o swoim losie, czy też zadziałał pod wpływem nagłego impulsu? Czy coś by to zmieniło, gdybym zadzwoniła do niego drugi raz po południu? Musiałam się odebrać od takich rozważań. Przecież był moim bratem, zmarł w moim mieszkaniu, a mnie przy tym nie było. Zastanowiło mnie, co robiłam w tym samym momencie, gdy kopniakiem przewrócił krzesło, na którym stał, i zawisł w powietrzu na ostatnich parę sekund życia. Nie.

Zdecydowanie musiałam odpędzić od siebie takie myśli.

Jeden z sanitariuszy w zielonym stroju rozwinął na podłodze gruby czarny plastikowy worek rozmiarów dorosłego człowieka, który przypominał bardzo duży szkolny piórnik. Potem zerknął na mnie podejrzliwie, jakby zamierzał zrobić coś niestosownego. W gruncie rzeczy to postępowanie rzeczywiście było niestosowne. Podnieśli go, trzymając pod pachami i kolanami, przenieśli kilkadziesiąt centymetrów w bok i ułożyli na rozpostartym foliowym worku. Okazał się na tyle obszerny, że bez trudu zmieścił się w nim również odcięty przeze mnie sznur. Zapięli suwak ciągnący się przez całą jego długość. Zdawałam sobie sprawę, że teraz będą mogli swobodnie wynieść zwłoki, nie wzbudzając powszechnej paniki wśród sąsiadów.

Dokładnie w tej samej chwili usłyszałam w korytarzu podniesione głosy i do środka wdarli się rodzice. Nawet nie zadzwonili do drzwi. Rozejrzeli się dookoła mętnym wzrokiem, jakby ledwie wstali z łóżka i wciąż nie byli pewni, gdzie są i co się dzieje. Miałam wrażenie, że w jednej chwili bardzo się postarzel. Ojciec był w garniturze. Najwyraźniej przyjechał prosto z pracy, zabierając po drodze matkę. Ona popatrzyła na czarny plastikowy worek, i była to jedna z najgorszych chwil w moim życiu. Na jej twarzy malowało się przerażenie i niedowierzanie, co wydało mi się prostackie, choć było przecież jak najbardziej na miejscu. Inspektor przedstawił się, wziął ojca pod rękę, odciągnął na bok i zaczął coś mówić półgłosem. Poczułam ulgę, jak w dzieciństwie. Ojciec zawsze potrafił radzić sobie z kłopotami. Mogłam zapomnieć o konieczności rozmów telefonicznych i wypełniania kwestionariuszy. Spadało to na barki rodziców.

Matka bezsilnie osunęła się na kolana obok foliowego worka zawierającego to, co kiedyś było Trojem. Ostrożnie ułożyła dłoń w miejscu, gdzie powinno się znajdować jego czoło. Zauważyłam, że porusza wargami, ale nie wydobywały się pomiędzy nich żadne słowa. Kilkakrotnie szybko zamrugła, podniosła się i podeszła do mnie. Nie przestąpiła nad zwłokami Troja, tylko obeszła je ostrożnie, patrząc pod nogi, jakby okrążała skraj przepaści, w którą mogłaby runąć. Przysunęła sobie krzesło, usiadła przy mnie i zacisnęła w dłoniach moją rękę, lecz nawet nie spojrzała mi w oczy. Kiedy sanitariusze dźwignęli z podłogi i wynieśli ciężar w czarnym worku, popatrzyłam na nią. Nie płakała, tylko mięśnie pod skórą twarzy drgały jej rytmicznie.

Ojciec pożegnał się z inspektorem tak serdecznie, jakby ścisnął dłoń człowieka, który pomógł mu zmienić koło w samochodzie. Zauważyłam, że Pryor zapisał coś na kartce i podał

mu, zanim jeszcze raz uścisnęli sobie ręce. Wreszcie wyszli i zostaliśmy sami. Wpadłam w panikę. To wszystko? Przedstawiciele władz przyjechali i zabrali zwłoki Troya, a co my mieliśmy teraz robić? Niczego już od nas nie chcieli? Nie spoczywały na nas żadne obowiązki? Uświadomiłam sobie, że dotąd nie zamieniłam z rodzicami ani słowa. — Troy... — zaczęłam, lecz natychmiast umilkłam, bo przecież nie było o czym mówić.

Spodziewałam się, że i ona w końcu wybuchnie płaczem tak jak ja, że będę mogła ją przytulić i pocieszyć, bez konieczności mówienia i myślenia o czymkolwiek. Ale wciąż siedziała nieruchomo, z tym samym wyrazem osłupienia na twarzy. Ojciec podszedł bliżej i usiadł naprzeciwko. Sprawiał wrażenie bardzo spokojnego.

— Nie spodziewałaś się tego? — zapytał.

W pierwszej chwili miałam ochotę wrzasnąć, że do cholery, jak mogłam się spodziewać, ale się zreflektowałam, pomyślawszy, że są moimi rodzicami, którzy przed chwilą stracili dziecko. Dlatego odpowiedziałam cicho:

— Nie.

— Nie dało się tego przewidzieć?

— Przez całe jego życie próbowaliśmy przewidzieć różne rzeczy.

„Przez całe jego życie”. Te słowa nagle nabrały jakby odmiennego znaczenia. Matka zaczęła gadać jak najęta, jakby mamrotała przez sen. Mówiła o zachowaniu Troya w czasie kilku ostatnich tygodni, o tym, że znów popadał w depresję, gdy tymczasem jej się zdawało, że czuje się coraz lepiej. Ale wcześniej bywało z nim jeszcze gorzej i jakoś udawało się z tego wybrnąć. Wciąż próbowała sobie przypomnieć, czy na pewno nie było żadnych przesłanek tego, co się w końcu zdarzyło. Potem zaczęła mówić o Troyu z czasów jego młodości. Nie były to jeszcze wspomnienia, te miały wypłynąć dopiero

później. Wszyscy mieliśmy na nie czas aż do końca życia. Mówiła o tym, co dla niego zrobili i jak go zawiedli, zastanawiając się na okrągło, czy musiałyby się tak skończyć, gdyby postąpili inaczej. Nie było w tym ani goryczy, ani użalania się nad sobą, tylko zwykła ciekawość, jakbyśmy mogli udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi na jej pytania.

Za to ojciec był konkretny i rzeczowy w sposób doprowadzający do szaleństwa. Zrobił nam wszystkim herbaty, po czym znalazł kawałek papieru i długopis. Zaczął spisywać, co trzeba będzie teraz zrobić, tworząc koszmarnie długą listę obowiązków. Należało powiadomić krewnych i znajomych, podjąć przygotowania, ustalić mnóstwo rzeczy. Zdecydowanie za dużo. W krótkim czasie pokrył całą kartkę drobnym, niemal kaligraficznym pismem.

Na domiar złego sytuacja wydała mi się przedziwna. Siedzieliśmy we trójkę w moim mieszkaniu, matka nawet nie zdjęła płaszcza, a ojciec spisywał czekające nas obowiązki. Wyliczał mnóstwo rzeczy do zrobienia, gdy tymczasem nie mieliśmy nic do roboty. Nikt nie chciał nic jeść czy dokądkolwiek iść. Wiele osób trzeba było zawiadomić, ale przecież nie teraz. Odnosiło się wrażenie, że na razie odczuwamy jedynie potrzebę przebywania razem i dochowania wspólnej tajemnicy, nim zajdzie konieczność ujawnienia jej przed światem zewnętrznym. Nie mieliśmy sobie nawet za wiele do powiedzenia poza fragmentarycznymi uwagami, chociaż nie zauważyłam, by panowała skrepowana atmosfera. Wciąż nie mogłam w pełni pojąć okropieństwa tego, co się stało. Czułam się tak, jakbym wetknęła palce do kontaktu, ale zamiast wstrząsu elektrycznego obserwowała stały, jednostajny przepływ prądu przez moje ciało.

W ten sposób upływały godziny. Krótco przed dziewiątą usłyszałam hałasy na klatce schodowej, głosy i śmiechy w korytarzu, wreszcie Brendan i Kerry, roześmiani, trzymając się

za ręce, weszli do pokoju. Obrzucili nas zdumionymi spojrzeniami.  
— Co się dzieje? — zapyta! z uśmiechem Brendan.

## 22

Zrobiło się mokro i nadzwyczaj ciepło. Pozostały niespełna cztery tygodnie do świąt. Ulice były już przystrojone lampkami, dzwoniły dzwoneczki, krążyli po nich ludzie przebrani za świętych Mikołajów lub postaci z kreskówek Disneya. W witrynach sklepów połyskiwały bombki i łańcuchy. Przy warzywniakach stały oparte o ścianę choinki z powiązanymi sznurkiem albo zebranych plastikową siatką gałęziami. Nad drzwiami niektórych domów przy mojej ulicy pojawiły się świąteczne wieńce. Półki w supermarketach uginały się od pierników, ciasteczek miętowych, adwentowych kalendarzy, pudełek z daktylami, olbrzymich tabliczek czekolady, mrożonych indyków, butelek porto i sherry, małych koszyczków z solą kąpielową i mydełkami, kompaktów z kolędami, książeczek z dowcipami rysunkowymi i wielkich skarpet na prezenty. Przed sklepem Woolwortha orkiestra dęta grała *W Betlejem, malej miścinie*. Starsze panie w grubych paltach grzechotały puszkami na datki.

Jak mieliśmy spędzić to Boże Narodzenie? Ustawić choinkę w częściowo zdemolowanym domu rodziców czy w moim mieszkaniu, gdzie zaledwie dziewięć dni temu Troy popełnił samobójstwo? Usiąść przy stole wokół pieczonego indyka z kasztanami i ziemniakami, włożyć karnawałowe czapeczki, podawać sobie z rąk do rąk książkę i czytać na głos dowcipy? Co mogliśmy zrobić, by w tej sytuacji nie wyglądało grotesko-

wo? Jak w ogóle można wrócić do normalnego życia, gdy w rodzinie wydarzyło się coś tak strasznego?

Na pogrzebie Troya nie było tłumów. Samotny od wczesnej młodości i później stronił od ludzi. Utracił przyjaciół, gdy przestał chodzić do szkoły, choć na cmentarzu zjawiało się ich kilkoro w towarzystwie wicedyrektora i jego dawnego wychowawcy, nauczyciela fizyki. Przyszła także jego opiekunka i grupka przyjaciół rodziców, którzy znali Troya od kołyski. Był oczywiście Bill z Judy i dziećmi, siostra mojej matki, Kath, która przyjechała z Sheffield z całą rodziną rozmaici krewni rodziców, ci widywani sporadycznie, raz czy dwa razy do roku, oraz ci, z którymi wymieniali tylko kartki świąteczne. Zjawiała się Carol, przyjaciółka Kerry, a także Tony z Laurą.

Nie zabrakło nikogo z najbliższej rodziny, oprócz rodziców byłem ja i Kerry. No i Brendan. Ten wyglądał na najbardziej zrozpaczonego, oczy miał zaczerwienione, na czole widniał duży, żółknący siniak. Nawet ja musiałam przyznać, że przez ubiegły tydzień zachowywał się wzorowo, był niestrudzony, niezastąpiony, nieoceniony. Krótko mówiąc, „wspañiały”. Oczywiście w cudzysłowie. Nie znałam go dotąd od tej strony. Nie rozumiałam „tego”, cokolwiek „to” miało znaczyć, ale sprawował się bez zarzutu. Wykazywał się pomysłowością, był pełen energii i zaangażowania, wiarygodny, chętny do współpracy, wyculony na pragnienia oraz uczucia innych. Jakby dysponował radarem odczytującym chwilowe potrzeby wszystkich znajdujących się w pobliżu. zaproponował, że weźmie na siebie przygotowania do pogrzebu, żeby w tych trudnych chwilach odciążyć rodziców, ale mama wytłumaczyła mu na osobności, że musi się czymś zająć. Odbierał więc telefony, wypełniał dokumenty, robił wszystkim herbatę, chodził po zakupy. Razem z Kerry przewieźli swoje rzeczy do domu rodziców, żebym mogła wrócić do swe-

go mieszkania. Już za dwa dni mieli się przeprowadzić do domu, który im znalazłam.

Tydzień po śmierci Troya wywiązała się dyskusja na temat ich ślubu. Kerry chciała go przełożyć, ale rodzice uznali, że ich miłość to jedyna rzecz, która pomoże wszystkim odzyskać równowagę. Brendan skwapliwie przytaknął, wziął Kerry za rękę, zaczął ją gładzić i z błyszczącymi oczami powtarzać w zadumie: „Tak, to prawda. Miłość nam pomoże”. Jeszcze niedawno doprowadziłoby mnie to do skrajnej irytacji. Teraz też przyjąłam to z rozdrażnieniem, ale od irytacji dzieliły mnie całe pokłady odrętwienia.

— Proszę, to lepsze od herbaty.

Bill wsunął mi w dłoń szklaneczkę whisky i popatrzył z troską w oczach, jak pociągam spory łyk trunku. Wróciliśmy wszyscy do domu rodziców i staliśmy w smaganym wiatrem saloniku, z kubkami herbaty w rękach, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Bo i o czym można rozmawiać w takich okolicznościach?

— Dzięki.

— Wszystko w porządku?

— Tak.

— Głupie pytanie. Przecież sam dobrze wiem...

Gdyby zginął w wypadku, umarł po ciężkiej chorobie albo coś w tym rodzaju, byłoby zupełnie inaczej... — mruknęłam, nie zamierzając tego nawet dokładniej tłumaczyć.

— Marcia do końca życia będzie się zastanawiała, co zrobiła źle, gdzie popełniła błąd.

— To prawda.

— Z samobójstwami zawsze tak jest. W gruncie rzeczy zrobiła, co mogła. Wszyscy bardzo się staraliście.

— Nieprawda. Gdyby tak było, Troy by się nie zabił.

— Tak, masz rację.

— Nie potrafię tego zrozumieć. Mama powtarza, że jej zdaniem czuł się coraz lepiej. I tak było, Bill.

— Nigdy nie wiadomo, co naprawdę chodzi komuś po głowie.

— Niby tak.

Pociągnęłam trochę whisky.

— Był niezrównoważony psychicznie.

— Zgadza się.

W mej pamięci odżyły dzikie chichoty Troya, idiotyczne dowcipy czy głupie uśmiechy bez żadnego powodu. Wolałam jednak wspominać jego twarz z tych okresów, kiedy wydawał się szczęśliwy i tryskał energią, bo wtedy był naprawdę śliczny.

Bill nalał mi drugą porcję whisky i podał butelkę ojcu. Wyszłam z saloniku do zaśmieconej i zawałonej gruzem przestrzeni będącej niegdyś kuchnią, a z niej przez dziurę po drzwiach do mokrego ogrodu. Pod płotem leżała sterta zerwanych desek podłogowych i resztek starych kuchennych szafek. Oparłam się o nią. Krajobraz wydawał mi się nieco zamglony, lekko rozmazany, ale prawdopodobnie był to jedynie efekt wypitego alkoholu.

Po rozmowie z Billem znowu opadły mnie dziesiątki różnych wątpliwości. Sekcja zwłok przyniosła jednoznaczny wynik: śmierć przez powieszenie. Nie mogłam jednak zapomnieć o ostatniej rozmowie telefonicznej z bratem tamtego ranka, kiedy mówił trochę zmęczonym głosem, ale sprawiał wrażenie zadowolonego. Powiedziałam mu wtedy, że znalazłam dom dla Brendana i Kerry, więc możemy śmiało planować wspólny pobyt w moim mieszkaniu. Powiedziałam, jak bardzo się cieszę z tej perspektywy, na co odparł, wprawdzie nieco szorstko, że i on się cieszy. Na to wspomnienie łzy zakreśliły mi się pod powiekami, choć myślałam, że całkiem już wypłakałam oczy. Nie mogłam zapomnieć, jak poprzedniego wieczoru Brendan dopytywał się przez telefon, o której przy-

jadę po swoje rzeczy, na co odparłam, że około wpół do siódmej. I wciąż miałam przed oczami widok, jaki zastałam po wejściu do mieszkania o umówionej porze: buty Troya wiszące pół metra nad podłogą, jego szeroko rozwarte szkliste oczy i przewrócone krzesło.

Tłumaczyłam sobie, że reaguję histerycznie, popadam w obłąd. Tak bardzo chciałam cofnąć czas, wrócić bratu życie, uwolnić rodziców od straszliwego poczucia winy, a siebie od makabrycznych wyobrażeń skrajnej desperacji, jaka pchnęła go do tego czynu, że zaczynałam się pograżać w najdziwniejszych, najbardziej niesamowitych fantazjach.

Kiedy parę kropli deszczu spadło mi za kołnierz, jednym haustem dopiłam whisky i wróciłam tą samą drogą do saloniku. Stałam jednak przy drzwiach, bo nie chciałam dłużej mówić o Troyu, w ogóle nie chciało mi się z nikim rozmawiać. Kerry trzymała ojca pod rękę. Tusz do rzęs rozmazał jej się na policzkach, na szyi miała zaczerwienione plamy. Brendan trzymał się na uboczu, w drugim końcu pokoju. Nasze spojrzenia się zetknęły, szybko odwrócił głowę. Stał zachmurzony, ze zmarszczonymi brwiami. Ogarnęło mnie jednak wrażenie, że robi to wyłącznie na mój użytek, jakby był na scenie. Chwilę później łzy potoczyły mu się po twarzy, wbił pięść między zęby i zgiął się wpół, jakby chciał stłumić żalony jęk.

Nieoczekiwanie to Laura podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Stała nad nim speszona, patrząc, jak wstrząsają nim silne spazmy. Kiedy wyprostował się po paru sekundach, szybko cofnęła rękę. Zaczęli rozmawiać i w pewnym momencie oboje spojrzeli na mnie.

Odwróciłam się i poszłam na górę, żeby poszukać matki, która wcześniej wyszła z saloniku. Znalazłam ją w dawnej sypialni Troya, a teraz zapewne pokoju Kerry i Brendana, gdyż ich torby podróżne stały przy drzwiach. Siedziała na łóżku i gapiała się prosto przed siebie, w zamyśleniu skubiąc brzeg

kołdry. Wyglądała na zmęczoną. Nigdy wcześniej nie widziałam aż tylu zmarszczek na jej twarzy. Nawet włosy miała dziwnie zmatowiałe. Podeszłam, kucnęłam przy niej i położyłam rękę na jej kolanie. Spojrzała na mnie i ledwie zauważalnie skinęła głową.

— Pomyślałam, że będzie lepiej, jak się wycofam — powiedziała.

— Nie ma sprawy.

— Nie wiem, co mam zrobić. Nigdzie nie mogę sobie znaleźć miejsca.

— Świetnie rozumiem.

— Mirando...

— Tak?

— Przecież on się czuł coraz lepiej. Naprawdę.

— Wiem.

Jeszcze przez chwilę zostałam przy niej, po czym wróciłam do saloniku, gdzie nadal krążyła butelka whisky.

W końcu Laura odwiozła mnie do domu, bo wypiałam zdecydowanie za dużo, żeby siadać za kierownicą. Zaprowadziła mnie na górę pod rękę, pomogła zdjąć płaszcz, posadziła i ściągnęła mi buty.

— Czego się napijesz, kawy czy herbaty?

— Nie mam ochoty wytrzeźwieć. Co powiesz na whisky?

— Lepsza będzie kawa — odparła stanowczo. — A potem przygotuję ci kąpiel.

— Jesteś kochana, ale to niepotrzebne. Dam sobie radę.

— Drobiazg.

Nalała wody do czajnika i postawiła go na kuchence.

— Mieliśmy tu zamieszkać razem.

— Tak, wiem. Chcesz coś zjeść?

— Mam straszne szambo w gębie. Co ci Brendan wtedy powiedział?

— Kiedy? — Obejrzała się na mnie ze zdziwioną miną.  
— Gdy rozmawiałas z nim u rodziców. Zaraz po tym, jak odegrał wspaniałe wzruszające przedstawienie.  
— Jesteś niesprawiedliwa.  
— Tak myślisz?  
— On też ma złamane serce, tylko uważa, że nie powinien tego okazywać przed całą rodziną. Sądzi, że musi udawać twardziela.  
— Tak ci powiedział?  
— Owszem.  
— Zresztą, kogo to obchodzi?  
— Jego — odparła. — Wiem, co o nim myślisz, ale jesteś w błędzie. Przecież oprócz waszej rodziny nie ma nikogo bliskiego na świecie. Dlatego traktował Troya jak młodszego brata.  
— A więc ty też — mruknełam z rezygnacją.  
— Co?  
— Także dałaś się przeciągnąć na jego stronę.  
— Przecież tu nie chodzi o żadne strony.  
— On też tak powtarza, ale kłamie w żywe oczy. Bo tkwi po jednej stronie barykady, a ja po drugiej. A sama wiesz, że nie można być równocześnie po obu stronach, jak nie da się w tej sprawie być jakimś pieprzonym mediatorem z ONZ. Trzeba dokonać wyboru. — Zawiesiłam na chwilę głos. — Zatem przeszłaś na jego stronę, prawda?  
Sama wyczuwałam, że język mi się trochę płacze. Poza tym dokuczał mi coraz silniejszy ból głowy, zarówno od alkoholu, jak i okropnego samopoczucia.  
— Mirando, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nie masz prawa mówić w ten sposób.  
— Przepraszam. — Nie mogłam jednak odpuścić. — Polubiłaś go, prawda?  
— Jest mi go żal.

Zalała wrzątkiem kawę w kubku i zaczęła energicznie mieszać. Wstałam i wyjęłam z barku butelkę whisky.

— Sama popatrz — rzuciłam. — Myślisz, że wypiałam aż tyle od przedwczoraj?

Miałam wreszcie powód do dumy, jakby mi się udało osiągnąć znaczący wynik w zawodach. Nalałam sporą porcję do brudnego kieliszka po winie, zamknęłam oczy i wychyliłam go jednym haustem.

— Jutro będziesz się czuć okropnie — ostrzegła Laura.

— Wszystko mi jedno.

— Chcesz, żebym została z tobą na noc?

— Nie, wystarczająco dużo dla mnie zrobiłaś.

— Ale zamierzasz iść jutro do pracy?

— Oczywiście. Przecież to dzień roboczy.

— W takim razie zadzwonię do ciebie wieczorem.

— Nie musisz.

— Wiem, ale i tak zadzwonię.

— Sama nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Opróżniłam butelkę. Kiedy zamykałam oczy, wszystko dookoła zaczynało wirować, przyprawiając mnie o mdłości, dlatego zmuszałam się, by trzymać je otwarte, chociaż raziło mnie nawet najśłabsze światło. Z trudem dotarłam do sypialni i usiadłam na łóżku, na którym przez krótki czas sypiał Troy. Zmieniłam pościel, ale część jego rzeczy została jeszcze w pokoju. Na nocnej szafce leżał jego zegarek, na drzwiach wisiała kurtka, na półce piętrzyły się książki. Wydawało mi się, że nawet czuję wciąż w powietrzu jego zapach. Spojrzałam na książkę, którą ostatnio czytał. Dotyczyła wypieku różnych ciast. Podniosłam ją i przycisnęłam do piersi.

— Mój Boże! — jęknęłam, chociaż język stawał mi kołkiem w ustach. — Kochany Troyu! I co ja mam teraz począć?

Później, około drugiej w nocy, silne mdłości kazały mi zwlec się z łóżka. Ukłękłam przy sedesie i wymiotowałam, dopóki cokolwiek zostało mi w żołądku. Oczy mnie piekły, w gardle paliło, głowę rozsadzało nieznośne pulsowanie, ale i tak poczułam się lepiej. Wypiłam trzy szklaneczki wody i położyłam się z powrotem. Nie mogłam jednak zasnąć. Nieskładne myśli kłębiły mi się w głowie. Z pamięci wciąż powracał głos brata i jego ostatnie słowa: „W takim razie do zobaczenia”. Ale on już nigdy miał mnie nie ujrzeć, tylko ja mogłam go jeszcze zobaczyć. I zapamiętać do końca życia.

## 23

W nocy było mi naprawdę niedobrze, ale następnego ranka poczułam się jeszcze gorzej. Wydawało mi się, że lada chwila umrę, a po śmierci zostanę zakonserwowana, a raczej zamarynowana, umieszczona w wielkim słoju z nalepką przedstawiającą mnie jako pierwszego na świecie człowieka, który zmarł z powodu kaca. Już sama myśl o tym była równie bolesna, jak każde, choćby najdrobniejsze poruszenie.

Mniej więcej o wpół do dziesiątej podjęłam pierwszą próbę wstania z łóżka, ale szybko położyłam się z powrotem. Jeszcze nigdy w życiu nie miałam aż tak gigantycznego kaca. Objawy były te same, co zawsze, tyle że znacznie bardziej nasilone: napuchnięty i zeszywniały język, dotkliwy ból głowy, jakby jakieś paskudne gryzonie pożerały mi żywcem mózg, niedające się opanować dreszcze oraz ciarki chodzące po całym ciele. Ale tym razem na dodatek pojawiały się chwilowe bóle różnych części ciała. Chyba nawet włosy mnie bolały. A szczególną innowacją stanowiło wrażenie, że wciąż jestem

pijana, choć w rzeczywistości była to tylko żalosna parodia stanu z poprzedniego wieczoru. Wszelkie jego pozytywne aspekty, jeśli takowe w ogóle były, zniknęły bezpowrotnie. Podłoga nadal kołysała mi się pod stopami, a wszystko dookoła falowało i zmieniało proporcje. Właśnie dlatego musiałam się położyć z powrotem. Jednakże szybko poczułam się jak na łóżku wodnym. Skojarzyłam, że ludzie nie umierają od kaca, tylko od zatrucia alkoholowego. Czy to możliwe? Przypomniałam sobie, że mam gdzieś książkę o rozwiązywaniu podstawowych problemów zdrowotnych. Tyle że istniało kilka podstawowych problemów życiowych, z których najważniejszy był taki, że nie miałam służącej, która mogłaby mi ją przynieść. Drugi okazał się nie mniej ważny. Trzymałam ją obok książek kucharskich, toteż gdy w końcu się po nią zwlokłam, usiłując zepchnąć żołądek dalej od gardła, wbrew swej woli musiałam spojrzeć na coś związanego z jedzeniem. A im bardziej próbowałam o nim nie myśleć, tym większy widziałam w wyobraźni tort z bitą śmietaną. Mogłam się od niego uwolnić jedynie myślą o smrodzie rozgotowanej starej kapusty, ta jednak wywołała wspomnienia o Troyu, a to było jeszcze gorsze, najgorsze ze wszystkiego.

Wróciłam z książką do łóżka. Nie znalazłam rozdziału na temat zatrucia alkoholowego, był natomiast o kacu. Autor zalecał pić mnóstwo wody i wybrać się na krótki intensywny spacer, nawet jeśli nie ma się ochoty. W wypadku mdłości, a ja przecież ledwie mogłam nad nimi panować, należało przyjąć środek o nazwie krzemian magnezu. Doskonale.

Podjęłam szybką decyzję o konieczności pozytywnego reagowania na problem. Wcześniej miałam straszną ochotę zwinąć się pod kołdrą w kłębek i umrzeć, niczym ranne zwierzę skulone na dnie swojej nory, teraz jednak postanowiłam obrać całkowicie odmienny tryb postępowania i śmiało zmierzyć się z rzeczywistością. Czyli nie tylko zdobyć zalecany środek, ale jeszcze

pobiec po niego do apteki, wypiwszy wcześniej większą ilość wody. Efekt był jednak nieciekawym. Najpierw woda nie była w stanie zwilżyć przesuszonych warg i języka, tylko spływała po ich powierzchni. Potem ledwie zdołałam kolejno podnieść nogi, żeby je włożyć w nogawki spodni. Kiedy wciągałam T-shirt, miałam wrażenie, że do krwi rani moją obolałą głowę i ramiona. Sznurówki butów zawiązywałam tak powoli, jakbym dopiero się uczyła to robić. Ściskając w garści pięciofuntowy banknot, wybiegłam na ulicę. Jaskrawe światło dnia i rześkie powietrze, które siłą wdarło się do płuc, omal nie zwały mnie z nóg. Nie potrafiłam ocenić, czy faktycznie postępuję dobrze, chociaż w głowie mi się trochę przejaśniło. Na swój sposób uznałam wszelkie dolegliwości za celowe, jakby były nieodłącznym elementem wczorajszego pijaństwa. Szybko doszłam do wniosku, że stan upojenia, odrętwienia, dezorientacji i cierpienia to nic w porównaniu z męką otwarcia oczu i spojrzenia w słońce, zetknięcia się z brutalną prawdą o tym, co Troy zrobił sobie i nam wszystkim.

Do apteki miałam zaledwie kilkaset metrów. Poprosiłam bardzo wysokiego i szczupłego Hindusa o krzemian magnezu. Podał mi go z kwaśną miną, lecz nie zważając na to, połknęłam na miejscu dwie tabletki i ruszyłam z powrotem w tempie mającym naśladować normalny jogging. Wzięłam prysznic, przebrałam się w bardziej stosowne ciuchy i zaległam na łóżku, żeby jeszcze raz wszystko przemyśleć. W ustach miałam metaliczny posmak, a gdy przełykałam ślinę, odnosiłam wrażenie, że w gardle utkwił mi kłęb waty, którego za żadne skarby nie zdołam się pozbyć. Wciąż chodziły mi ciarki po skórze i czułam się paskudnie, ale przynajmniej uwolniłam się od mdłości.

Tego byłam już całkiem pewna. Pozostało mi tylko lekkie otepienie umysłowe. Mogłam więc w końcu przystąpić do normalnego dnia pracy. Która to była godzina? Przekreśliłam się

na bok i sięgnęłam po leżący na szafce zegarek Troya: kwadrans po dziesiątej. Uświadomiłam sobie nagle, że wiem, dlaczego tu leży. W wiecznie pozbawionym równowagi życiu brata nigdy nie było też miejsca na kompromisy, nawet zwykłe typowe czynności stanowiły dla niego wielkie wyzwanie. Bywał albo skrajnie podniecony, histerycznie radosny i pełen entuzjazmu, albo wręcz przeciwnie, małomówny i ospały, obojętny na wszystko, często po prostu senny. Nawet w swoich najlepszych okresach nie rezygnował z popołudniowej drzemki, jak niemowlę albo kot. Tyle że nie zwijał się w kłębek na fotelu. Zaciągał zasłony, rozbierał się i kładł do łóżka, dokładnie tak samo, jak wieczorem. Kiedy jeszcze brał leki, chodził niczym w śpiączce. Dlatego zajmując mój pokój, w ciągu dnia przed pójściem do łóżka zdejmował ubranie oraz zegarek, który kładł na nocnej szafce. Tamtego dnia ubrał się normalnie, kiedy wstał, ale zostawił zegarek. Pewnie po prostu o nim zapomniał. W końcu był w stanie głębokiej depresji.

Uderzyła mnie jeszcze jedna rzecz. Kiedy zamknęłam oczy, natychmiast ujrzałam przed nimi niedający się zapomnieć widok mego ukochanego brata wiszącego pod sufitową belką. Powiesił się na sznurze, którego również nie mogłam zapomnieć: zielonego, połyskliwego, syntetycznego, szorstkiego w dotyku. Świetnie pamiętałam cienkie pojedyncze włókna, strzępiące się pod ostrzem noża, gdy odcinałam Troya. Po raz pierwszy uzmysłowiłam sobie, że nawet samobójstwo musi być dobrze zorganizowane. Trzeba wszystko rozplanować, zdobyć niezbędne rzeczy.

Nagle przejaśniło mi się w głowie. Kiedy się poderwałam, żołądek znowu podszedł mi do gardła, ale szybko opanowałam nudności. Nie miałam na to czasu. Musiałam pilnie coś sprawdzić. W moim małym mieszkaniu niewiele było miejsc, gdzie można coś ukryć. Nie mogłam sobie przypomnieć, bym kiedykolwiek wcześniej widziała taki sznur, musiałam jednak

mieć absolutną pewność. Pod zlewem stało wiadro, bateria butelek z różnymi płynami do mycia, leżało kilka ścierek do podłogi. W szafce był odkurzacz, szczotka do zamiatania i mop, zrolowany chodnik i pudełko po butach, ze śrubokrętami, młotkami, gwoździami, śrubkami i kilkoma zapasowymi wtyczkami elektrycznymi. Zajrzałam na najwyższe półki, za sofę, pod łóżko, dosłownie wszędzie. Nigdzie nie znalazłam żadnego sznura. Oczywiście nie mogłam wykluczyć, że Troy zużył cały kawałek znalezionej linki albo wcześniej kupił go w sklepie. Ale...

Zadzwoiłam do matki. Teraz sama nie potrafiłam zacząć rozmowy z nią albo z ojcem czy siostrą inaczej niż od klasycznego pytania, jak się czują. Miałam obawy, że już do końca życia będziemy się tak nawzajem pytać i zastanawiać nad odpowiedziami. Później spytałam tylko, czy mogę wpaść, na co odparła, że tak, oczywiście, bardzo się będzie cieszyła.

Po drodze naszła mnie jeszcze jedna myśl. Kilka miesięcy wcześniej na ponad godzinę utknęłam w metrze. Wraz z przeprosinami skierowanymi do wszystkich pasażerów padło z megafonów wyjaśnienie, że na następnej stacji jakiś człowiek wpadł pod pociąg. Nasunęło mi się wtedy oczywiste rozwiązanie problemu, jakim byłoby szybkie wyciągnięcie biedaka, żeby pociągi mogły dalej jeździć zgodnie z rozkładem. Dopiero później uzmysłowiłam sobie, że zwrot „wpadł pod pociąg” jest typowym eufemizmem, bo jeśli ktoś rzuca się na oślep na tory, różne rzeczy mogą się przytrafić w chwili nadjechania pociągu. Miałam wtedy mnóstwo czasu na przemyślenie wszelkich aspektów związanych z tym wypadkiem, a wśród nich znalazło się zasadnicze pytanie: czy w chwili śmierci nie zaciągamy wieczystego długu wobec innych ludzi? Przecież jeśli ktoś rzuca się pod pociąg, robi to zaledwie parę metrów przed motorniczym, który kieruje składem i musi wszystko widzieć oraz słyszeć przerażające odgłosy. Zatem jest wielce prawdo-

podobne, że po takim wypadku będzie musiał przejść na wcześniejszą emeryturę. A co z pasażerami, którzy z tego powodu przeżyją pół godziny irytacji? Jedni nie zdążą na umówioną wizytę u dentysty, inni spóźnią się z odebraniem małego dziecka ze szkoły, jeszcze inni będą mieli przypalony obiad, a wszyscy z pewnością doznają urazu psychicznego. Otóż w samochodzie uderzyła mnie myśl, którą starałam się dotąd zepchnąć na dno świadomości. Troy zabił się w moim mieszkaniu. Miałam wrażenie, że już nawet myśląc w tych kategoriach, dopuszczam się świętokradztwa, ale nie mogłam się powstrzymać. Powiesił się tam, gdzie musiałam go odnaleźć. Jego zwłoki zapewne kołysały się przez jakiś czas, nim znieruchomiały w tej wąskiej przestrzeni, gdzie sypiałam i jadłam, żyłam swoim życiem. Jak mógł mi to zrobić? Uważałam, że nie byłby zdolny do takiego czynu. Kochałam go. Byłam także pewna, że nawet pograżony w najgęściejszej mgle przygnębienia, on też mnie kochał. Więc dlaczego zrobił mi coś, co musiałam zapamiętać do końca życia? Usiłowałam sobie wmówić, że gdy człowiek planuje samobójstwo, w ogóle nie jest w stanie myśleć o innych, najwyżej o tym, że będzie im lepiej bez niego. A przecież było gorzej. Dlatego zmusiłam się do wzięcia pod uwagę również tej ewentualności, że śmierć Troya, wszelkie jej aspekty oraz miejsce, były przesłaniem skierowanym do mnie: Widzisz, Mirando? Myślałaś, że mnie rozumiesz. Sądziłaś, że zdołasz mi pomóc. No i masz. Sama widzisz, do czego zostałam zmuszony. Więc teraz zrób wreszcie coś, żeby mi pomóc. Bałam się, że matka znów wybuchnie płaczem na mój widok, ale była myślami chyba gdzie indziej. Kiedy tylko otworzyła drzwi, popatrzyła w dal nad moim ramieniem, jakby się spodziewała, że kogoś ze sobą przywiozę.

— Cieszę się, że przyjechałaś, Mirando — powiedziała, ale zabrzmiało to, jakby cytowała ustęp z książki. — Ojca nie ma.

— Gdzie jest? — zapytałam, ciekawa, czym mógł się zająć w tej sytuacji.  
— Gdzie? — powtórzyła w zamyśleniu, jak gdyby zaskoczona tym pytaniem.

— A co z Kerry i Brendanem?

— Też wyszli. Napijesz się herbaty?

— Z przyjemnością. Tylko na chwilę zajrzę na górę. Dom rodziców ma tę zaletę, że w jakimś stopniu na zawsze pozostaje naszym domem, nawet gdy się już dorośnie i zamieszka gdzie indziej. Można zajrzeć do każdego pokoju i każdej szafki. Ja jednak zamierzałam zrobić coś okropnego. Nawet nie wiedziałam sama, z jakiego powodu. Czułam się tak, jakbym miała dziurę w zębie, chciała wetknąć w nią szpikulec i wiercić, zadając sobie coraz większy ból, w idiotycznej nadziei, że pochłonie mnie bez reszty i albo on zginie, albo ja. Kiedy matka poszła do kuchni, wbiegłam schodami na piętro i wpadłam do sypialni zajmowanej teraz przez Kerry i Brendana. Działam w tak silnym napięciu, jakby przeszywał mnie prąd. Aż w uszach mi szumiało i puls łomotał w skroniach.

Urządzenie pokoju było oczywiście tymczasowe, nawet nie rozpakowali się do końca. Na łóżku leżała piżama i szlafrok Kerry. W otwartej walizce pod ścianą były starannie poskładane jej ubrania. Na stoliku w kącie tłoczyły się buteleczki i słoiczki, z szamponem, odżywką do włosów, kremami, dezodorantami i perfumami. Także jej. Rozejrzałam się pośpiesznie. Można było odnieść zabawne wrażenie, że Kerry mieszka tu sama. Nie dostrzegłam ani jednej rzeczy bądź części garderoby należącej do Brendana. Przy łóżku stała druga walizka, ale zamknięta. Położyłam ją na podłodze, otworzyłam zamki i uniosłam wieko. Były w niej jego ubrania. Zaczęłam szybko wyjmować złożone koszule, spodnie i bokserki, układając je na łóżku odwrotnie, żeby potem schować z po-

wrotem w takiej samej kolejności. Niemal już opróżniłam walizkę, gdy bardziej wyczułam, niż usłyszałam czyjeś kroki na schodach. Nie zdążyłam się nawet podnieść z klęczek, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich Brendan. Przemknęło mi przez myśl, że to przecież nie ma żadnego znaczenia. Ale ujrawszy jego minę, pomyślałam: O kurwa! Na początku był tylko zdziwiony, mimo że nie dało się przecież ukryć, iż grzebałam w jego rzeczach, które były porozkładane wszędzie dookoła. — Miranda? — mruknął. — Co ty?...

Gorączkowo usiłowałam wymyślić jakieś wytłumaczenie, ale mój mózg jak gdyby przekształcił się w gęstą zupę.

— Czegoś zapomniałam — rzuciłam od niechcienia. — Przyszło mi do głowy, że wzięłaś to przez pomyłkę.

Dopiero teraz wykrzywił usta z wściekłości.

— Czego szukasz, do jasnej cholery?! I wtedy zza niego wyłoniła się Kerry.

— Brendan? — zapytała zdziwiona. — Co tu?... Urwała gwałtownie, zobaczywszy mnie na podłodze przy łóżku.

— Sznura — odparłam. — Wydaje mi się, że przez pomyłkę zabrałaś mój sznur do bielizny.

## 24

— Co? — zapytała głośniejszym głosem Kerry. — Jaki znów sznur?!

— Matko Boska! — syknął Brendan. — Odbiło ci!

— Jaki sznur?! — powtórzyła siostra.

Weszła głębiej do pokoju i popatrzyła na mnie z góry. Ręce trzymała oparte na biodrach, a twarz miała purpurową,

jakby irytacja i wściekłość do reszty kazały jej zapomnieć o wrodzonej rezerwie i nieśmiałości. Niemal czułam fizycznie emanujące od niej uczucia. Podniosłam się z podłogi i stanęłam z nieporadnie zwieszonymi rękoma w otoczeniu rozłożonych męskich ubrań.

— Sama nie wiem... — mruknęłam. — Po prostu przyszło mi do głowy... — urwałam nagle.

— Ale dlaczego przeszukiwałaś rzeczy Brendana, na miłość boską?! Po co?

— Robiłam porządki w moim mieszkaniu.

— I co?!

— Wyjaśnijmy to sobie po kolei — odezwał się Brendan

— przeszukiwałaś moje rzeczy... — kopnął stosik ułożonych równo ubrań, aż rozsypały się po podłodze — ...szukając jakiegoś sznura.

Zgadza się?

— Byłam oszołomiona — bąknęłam.

— Oszołomiona? — zdziwiła się Kerry. — Zdajesz sobie sprawę, że zaledwie wczoraj pochowaliśmy naszego młodszego brata? A ty masz śmiałość tu przychodzić i grzebać w rzeczach Brendana, jakbyś szukała jakichś skarbów?

— Chyba będzie lepiej, jak sobie pójdę.

Brendan szybko przesunął się w bok, zastępując mi drogę.

— Chyba nie, Mirrie.

— Wypuść mnie.

— Nigdzie nie pójdziesz, dopóki wszystkiego do końca nie wyjaśnimy.

— Wszyscy jesteśmy zbyt zdenerwowani.

— Zdenerwowani?! — wrzasnęła Kerry. Jak na osobkę tak drobnej budowy potrafiła naprawdę głośno krzyknąć.

— Niby kto jest zdenerwowany, do jasnej cholery?!

— Co tu się dzieje?

W drzwiach stanął ojciec.

— Nic szczególnego — odparłam posepnym głosem.

— Zaraz ci powiem, co tu się dzieje! — huknęła siostra.  
— Ona... — wymierzyła we mnie oskarżycielsko palec—.. miała  
czelność grzebać w walizce Brendana.  
— Miranda? — zdziwił się ojciec.  
— Szukała sznura — dodał Brendan.  
— Sznura?  
— Tak powiedziała.  
Kucnął, zaczął pospiesznie składać z powrotem swoje ubrania i chować je  
do walizki.  
— Myślę, że powinnam już iść — bąknęłam.  
— A ja myślę, że powinnaś się najpierw wytłumaczyć  
— rzekł ojciec głosem spiętym, pełnym jawnego obrzydzenia. Nerwowo  
potarł policzek i rozejrzał się, jakby chciał usiąść.  
— Po prostu chciałam wszystko uporządkować — rzuciłam desperacko,  
po czym zamilkłam i przygryzłam wargi.  
— Szukając sznura? — zapytał Brendan. — Przeszukując po kryjomu  
moje rzeczy w poszukiwaniu jakiegoś sznura?  
Wolałam się nie odzywać.  
— Jakiego sznura? — zapytała matka, wchodząc do pokoju.  
Usiadłam na brzegu nieposłanego łóżka i ukryłam twarz w dłoniach  
niczym mała dziewczynka usiłująca odgradzić się od nieprzychylnego  
świata. Wściekła Kerry zaczęła relacjonować matce, jaki widok zastali po  
wejściu do pokoju. Zerkałam przez szparę między palcami na brzeg  
dywanu i nogi komód-ki, próbując nie dopuszczać do siebie jej słów.  
— Ostatnio w ogóle cię nie poznaję — oznajmiła surowym tonem matka,  
gdy siostra wreszcie skończyła.  
— Proszę — jęknęłam głucho. — Czuję się zagubiona. Wszyscy jesteśmy  
podenerwowani.  
— Chciałbym jeszcze tylko wiedzieć, jakiego sznura szukałaś — odezwał  
się Brendan. — Bo przecież nam wszystkim

słowo sznur kojarzy się teraz tylko z jednym, prawda? Z tym jednym jedynym.

W pokoju zapadło przerażające milczenie. Po chwili dodał:

— Czy właśnie takiego sznura szukałaś? Myślałaś, że znajdziesz wśród moich rzeczy resztę tego sznura?

— Nic nie myślałam.

— Ale jednak zadałaś sobie tyle trudu, żeby tu przyjechać i zacząć grzebać w moich rzeczach.

— Zamknij się wreszcie! — rzuciłam, podnosząc głowę.

— Dość tego! Zamilcz! Czuję się, jakbym stała przed sądem, i wszystko, co powiem, obraca się przeciwko mnie! Dlaczego wszyscy patrzycie na mnie takim wzrokiem?!

— Skąd ci przyszło do głowy, że go tu znajdziesz, co? I to w moich rzeczach? Na pewno nie chcesz nam powiedzieć czegoś jeszcze?

— Nie — odparłam prawie szeptem.

— Przecież to oczywiste! — powiedziała ostro Kerry.

— Ona ma obsesję na punkcie Brendana. Od samego początku.

Usiłowałam nie zwracać na to uwagi. Próbowałam być wyrozumiała.

Myślałam, że jej to przejdzie. Nawet gdy bez przerwy gadała o tym, co ich łączyło, jakby nie było innych tematów. I wtedy, gdy odnosiła się do niego z nieskrywaną wrogością, powodowana żalem i zazdrością, jak i wtedy, gdy była aż nazbyt uprzejma. Na miłość boską, nie zareagowałam nawet, gdy w łazience rozebrała się przed nim, chociaż byłam w sąsiednim pokoju. Cały czas próbowałam być dla niej miła.

— Bądź uprzejma zwracać się do mnie, skoro tu jestem

— wycedziłam z rosnącą histerią w głosie. — Nie mów „ona” i „niej” w mojej obecności.

Ale to tylko sprowokowało Kerry do jeszcze gwałtowniejszej reakcji.

Zaczęła nerwowo wyrzucać z siebie potok słów, mówiąc podniesionym, lekko chrapliwym głosem:

— Nie zareagowałam, gdy zaczęła się zachowywać nienormalnie, zalała mieszkanie, żeby potem oskarżyć o to Brendana. Ani wtedy, gdy zaczęła nachodzić jego dawnych przyjaciół, szpiegując go jak cholerny przebrzydły szpicel. Wciąż myślałam, że wszystko się jakoś ułoży. Dopiero teraz widzę, jaka byłam głupia. Po prostu głupia. I naiwna. Tylko niech jej się nie zdaje, że nikt z nas nadal niczego nie rozumie. Dobrze wiemy, że chodzi jej o Brendana. I o mnie. Jej starszą siostrę. Zawsze była o mnie zazdrosna. Zawsze chciała wszystko zniszczyć. Jak moją znajomość z Mikiem. I spójrzcie teraz na nią. Tylko spójrzcie! — Znów wymierzyła we mnie palec. — Troy zginął. Popęłnił samobójstwo. Nasz ukochany brat zabił się w jej mieszkaniu. Wczoraj był jego pogrzeb. Czy to ją powstrzymało? Nie. Ani trochę. Już następnego dnia, w dodatku z samego rana, przyjeżdża tutaj i zaczyna myszkować w naszych rzeczach. Nawet śmierć Troya nie jest w stanie jej powstrzymać!

Zaczęła szlochać i po chwili wstrząsnęły nią silne spazmy. Brendan podszedł, objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

— Tu nie chodzi o ciebie, Kerry — rzekł miękko. — Nie rozumiesz? Prawdopodobnie świetnie to określiłaś, mówiąc, że ona ma obsesję na moim punkcie. Ja też od pewnego czasu jestem o tym przekonany i sam się winię, że nic z tym nie zrobiłem. Postanowiła mnie prześladować. Gdyby nie należała do naszej rodziny, wezwałbym policję i poprosił o ochronę. Gdzieś czytałem, że takie rzeczy się zdarzają. Zdaje się, że psychologia ma nawet specjalne określenie takiego zachowania, tylko nie mogę go sobie teraz przypomnieć. Obawiam się, że ona już nigdy nie zdoła nad sobą zapanować.

— Nieprawda — odparłam. — Nie masz prawa tak mówić.

— Mirando — odezwała się matka głuchym, beznamietnym tonem. — Musimy sobie od razu wyjaśnić parę spraw,

o których do tej pory woleliśmy nie rozmawiać. Obawiam się, że nawet w skrytości ducha nie miałam odwagi nazywać rzeczy po imieniu. Ale teraz, gdy Troy nie żyje, nie potrafię dłużej tłumić tego w sobie. Otóż wydaje mi się, że potrzebna ci pomoc specjalisty.

— Wy nic nie rozumiecie — syknęłam. — Nic a nic. — Popatrzyłam na ojca. — Ty chyba nie myślisz, że naprawdę mam obsesję, prawda?

— Sam już nie wiem, co myśleć — burknął. — Tylko jedno wiem na pewno.

— Co?

— Że powinnaś zacząć od przeproszenia Brendana za swoje zachowanie. To, że w naszej rodzinie wydarzyła się tragedia, nie oznacza jeszcze, że mamy prawo nagle przestać się zachowywać jak normalni, przyzwoici ludzie.

— Ale...

— Nie zamierzam dłużej słuchać twoich pokrętnych wymówek — dodał szybko. — Masz natychmiast przeprosić Brendana. Słyszysz?

Przynajmniej tyle jesteś mu winna.

Popatrzyłam na jego zatroskaną minę, po czym przeniosłam wzrok na szkliste oczy matki. Wstałam i odwróciłam się do Brendana. Spojrzał na mnie wyczekująco. Zacisnęłam pięści, wbijając paznokcie w dłonie, i powiedziałam:

— Przepraszam. Skłonił się lekko.

— I ja przepraszam, Mirrie. Bardzo mi przykro. Ale jeszcze bardziej żal mi ciebie.

Odwróciłam się.

— Czy mogę już teraz iść? — zapytałam.

Wszyscy w milczeniu ruszyliśmy na dół. Kerry wciąż jeszcze szlochała.

W holu zatrzymałam się nagle.

— Przepraszam, zostawiłam torebkę na górze. Tylko ją zabiorę i zaraz zniknę wam z oczu.

Pobiegłam z powrotem, przeskakując po dwa schodki naraz, nie bacząc na bolesne pulsowanie pod czaszką. Otworzyłam drzwi i wpadłam do pokoju. Szybko uklękłam przed komódką i wsunęłam rękę w tę wąską przestrzeń, w którą parę minut temu zaglądałam przez szparę między palcami. I wyciągnęłam stamtąd zwój zielonej syntetycznej linki.

## 25

Inspektor Rob Pryor był bardzo miły, jak każdy normalny człowiek, którego można spotkać w normalnym świecie. Miał kędzierzawe blond włosy i powolny, flegmatyczny styl bycia. Podał mi kawę z automatu stojącego przed jego gabinetem i przedstawił współpracownicę, Vicky Reeder, tę samą policjantkę, która otoczyła mnie troskliwą opieką po śmierci Troya i teraz wpadła, żeby się przywitać. Następnie poprosił, bym mówiła mu po imieniu, na co odparłam, że mam na imię Miranda.

Wreszcie wprowadził do środka i zamknął drzwi. Pochwalił się widokiem ze swojego okna, za którym widać było tylko rosnące gęsto drzewa po drugiej stronie wysokiego muru otaczającego parking na tyłach komendy, potrafił jednak wszystkie je nazwać i był z tego bardzo dumny. Zresztą może robił to z czystej kurtuazji, gdyż po chwili odwrócił się do mnie i zapytał, jak się czuję.

Odparłam, że jestem zdruzgotana, podobnie jak reszta rodziny, co przyjął z wyrozumiałym potakiwaniem głową.

— Trudno się pogodzić z takim zdarzeniem — oznajmił.

— To zabawne. Myślałam, że zdziwisz się na mój widok i zbędziesz mnie pod byle pretekstem, tymczasem zachowujesz się tak, jakbyś oczekiwał mojej wizyty.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie spodziewałem się — odparł. — W każdym razie nie bardzo, choć nie jestem całkowicie zaskoczony. Kiedy dochodzi do takiej tragedii, ludzie na okrągło odtwarzają w myślach przebieg wypadków. Zadają sobie pytanie, czy na pewno uczynili wszystko, żeby temu czy tamtemu zapobiec. Zaczyna ich to obsesyjnie dręczyć. Dlatego bardzo chcą z kimś porozmawiać. Często przychodzą i po prostu wyrzucają wszystko z siebie, nie umiejąc nawet sformułować, czego konkretnie chcą.

— Więc sądzisz, że przyszłam, bo szukam swoistej terapii na własne zmartwienia?

Pociągnął łyk kawy.

— W końcu to ty znalazłaś martwego brata — rzekł. — Świetnie rozumiem, że trudno jest ci się z tym pogodzić.

— Wcale nie o to chodzi. Chciałam złożyć zeznania. Odchylił się na oparcie krzesła i obrzucił mnie podejrzliwym wzrokiem.

— Jakie zeznania?

Opowiedziałam o swoich podejrzeniach. Pokazałam nawet linę, którą ze sobą przyniosłam. Wyjęłam ją z torebki i położyłam na środku biurka. Ale kiedy skończyłam, tylko wzruszył ramionami.

— Jak już mówiłem, trzeba czasu, żeby się pogodzić z takim wypadkiem.

— A to znaczy, że wcale nie słuchałeś, co mówiłam.

— Do czego zmierzasz, Mirando?

— Dobrze znałam Troya. Lepiej niż ktokolwiek inny. Wcale nie był w nastroju do popełnienia samobójstwa.

— Przecież cierpiał na głęboką depresję.

— Ale był w pozytywnej fazie.

— Depresję trudno ocenić z zewnątrz. Niekiedy dopiero samobójstwo jest wyraźną oznaką jej zaawansowania.

— Nie chodzi mi tylko o własne przeczucia. Są jeszcze inne sprawy, o których wspominałam. Na przykład jego zegarek.

Pytająco zmarszczył brwi.

— Chyba nie traktujesz tego poważnie, prawda? Wstając z łóżka po południowej drzemce, po prostu zapomniał go założyć. Ja ciągle zapominam o zegarku, chociaż nie cierpię na depresję. W chwili załamania nerwowego zapomina się o wielu podstawowych sprawach.

— Pozostaje jeszcze kwestia sznura.

— Jak mam to rozumieć?

— Nie miałam w mieszkaniu ani kawałka. Ten został specjalnie kupiony. Brendan powiedział, że nic nie wie na ten temat, mimo że znalazłam go wśród jego rzeczy. Jak opowiadałam, nakrył mnie w trakcie przeszukiwania jego walizki.

— Otóż w tej sprawie, Mirando, popieram stanowisko twojej siostry. Nie wolno grzebać w rzeczach osobistych innych ludzi bez ich zgody. Można się narazić na poważne kłopoty.

— Już mam poważne kłopoty. Wszyscy są na mnie wściekli.

— Wcale się nie dziwię.

— Zresztą to bez znaczenia. Najważniejsze, by udało się ustalić prawdę.

— Nie rozumiem — rzekł. — Co sugerujesz? Zawahałam się, chcąc wyłożyć swoją teorię jak najspokojniej.

— Moim zdaniem, w najlepszym razie Brendan zachęcił Troya do popełnienia samobójstwa. W najgorszym... — Nie byłam w stanie wykrztusić tego z siebie.

— Sam go zabił? To chcesz powiedzieć? — zapyta! ostrzejszym ironicznym tonem. — A potem? Upozorował samobójstwo?

— Właśnie tak myślałam. W każdym razie uważam, że warto by sprawdzić tę hipotezę.

Na dłużej zapadła cisza. Rob zapatrzył się w okno, jakby nagle coś tam przykuło jego uwagę. Kiedy odwrócił się z powrotem do mnie, od razu wyczułam, że zniknęła łącząca nas do tej pory nić porozumienia.

— Troy brał silne leki psychotropowe — rzekł. — Miał olbrzymie kłopoty z zaśnięciem. A pod wpływem tych środków stawał się nieobliczalny. — Wyjął teczkę ze sterty leżącej na skraju biurka, otworzył ją i dodał: — W jego krwi znaleziono ślady barbituranów. — Otóż to.

Zamknął teczkę i rzucił ją z powrotem na biurko.

— Brał tylko przepisane leki. W wynikach analiz nie ma nic, czego nie należałoby się spodziewać. Daj spokój, Mirando. A jak ty byś postąpiła? Oczywiście na moim miejscu.

— Sprawdziłabym Brendana.

— Ot tak, po prostu? Bez żadnych powodów?

— Choćby z samej ciekawości.

— Skrzywił się z niesmakiem.

— O co ci naprawdę chodzi? Masz jakieś kłopoty związane z nim?

— To dość długa historia.

Zmarszczył brwi, a po chwili spojrzął na zegarek.

— Mirando, jestem dość zajęty...

— To nie potrwa długo — przerwałam mu i pospiesznie przedstawiłam skróconą wersję historii mojej znajomości z Brendanem.

Za oknem szybko się ściemniało. Był jeden z tych posepnych, krótkich grudniowych dni. Kiedy skończyłam, Pryor miał bardzo dziwną minę, której nie potrafiłam jednoznacznie określić.

— No więc? — zagadnęłam.

— Przyznaję, że przeżyłaś trudne chwile. Rozstanie z chłopakiem...

— Prawdę mówiąc, nawet nie był moim chłopakiem.  
— ...i śmierć w rodzinie. Naprawdę jest mi przykro, Mirando, ale nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.  
— Nawet jego podstępne chwytły nie wydają ci się podejrzane?  
— Sam nie wiem — mruknął. — Ale jedyna rzecz, której pod żadnym pozorem mi nie wolno, to angażowanie się w prywatne spory.  
— Dopóki nie zostanie popełnione przestępstwo.  
— Zgadza się. Jestem policjantem.  
— A więc chcesz mieć więcej dowodów, prawda?  
— Nic podobnego — odparł szybko. — Zrobiłaś wystarczająco dużo. — Wstał, obszedł biurko i położył mi rękę na ramieniu. — Czas goi wszelkie rany, Mirando. Za kilka tygodni, najdalej na wiosnę, zobaczysz to wszystko w zupełnie innym świetle. Możesz mi wierzyć.  
— To znaczy, że nie zamierzasz nic z tym zrobić? Poklepał stertę kartonowych teczek piętrzącą się na biurku.  
— Sama widzisz, ile mam roboty — rzekł.

Laura wyglądała oszałamiająco. Była niedawno u fryzjera, w którymś z tych słynnych salonów w Clerkenwell, dokąd lepiej się nie wybierać bez książeczki czekowej, musiałam jednak przyznać, że było warto. Miała jasnoblonde pasemka, natapirowane i grubo polakierowane, które połyskiwały niczym światło latarni morskiej tego koszmarnie ponurego dnia. Można było odnieść wrażenie, że całe wnętrze baru pojaśniało, kiedy weszła. Do tego uśmiechała się chytrze. Przyjechała prosto z pracy, miała na sobie elegancką garsonkę oraz białą bluzkę koszulową z pomarszczoną kryzką z przodu. Od razu uświadomiłam sobie, że przy niej muszę wypaść fatalnie, i spojrzałam szybko na swoje odbicie w szybie. Przeczucie mnie nie myliło, nie wyglądałam zbyt pociągająco. W końcu

przez kilka ostatnich dni w ogóle o sobie nie dbałam, zawsze było coś pilniejszego do załatwienia. Nawet na to spotkanie z Laurą szłam Camden High Street w najwyższym pośpiechu, układając w myślach to, co chcę jej powiedzieć, gdy dwie mijane dziewczynki zaczęły nagle chichotać, a jedna z nich obejrzała się za mną. Nie miałam wątpliwości, że śmiały się ze mnie, gdyż uprzytomniłam sobie nagle, że gorączkowo mamroczę pod nosem. Na widok zachowujących się podobnie ludzi sama często przechodziłam na drugą stronę ulicy z obawy, że wpadnę im w oko i może mnie spotkać coś przykrego.

W przypiływie samokrytycyzmu próbowałam sobie wmówić, że wyglądam jak zwykła ulicznica. Jednakże nachodziły mnie wątpliwości i nabierałam podejrzeń, że przekroczyłam już pewną granicę i zaczynam przypominać więźniarkę wypuszczoną właśnie na wolność po długim pobycie za kratkami. Na stoliku stała już otwarta butelka wina. To była kolejna istotna sprawa. Koniecznie musiałam się wreszcie zacząć kontrolować. Może nie piłam jeszcze ponad miarę, ale z pewnością należało się już pilnować. Tyle że nie teraz. Na razie musiałam się uporać z innymi problemami. Kiedy nalałam Laurze wina do kieliszka, spojrzała na mnie z ukosa, uśmiechnęła się tajemniczo, po czym wyjęła z torebki paczkę marlboro i zapalniczkę.

— Znów zaczęłaś palić? — zdziwiłam się.

— Papierosy zawsze mi bardzo smakowały — odparła, wyjmując jednego z pudełka i wtykając między wargi uszminkowane na jaskrawoczerwono. — Dlatego nagle pomyślałam: Czemu nie? Rzuć, kiedy będę starsza. A ty nie masz ochoty?

Pstryknęła zapalniczką, przypaliła papierosa i wydmuchnęła długą smugę dymu, który mile polechtał moje nozdrza. Od razu przypomniały mi się nasze długie pijackie wieczory w kłębach dymu, wypełnione głupimi żartami, poważnymi rozmowami i zwierzeniami. Pokręciłam głową. I bez tego było ze

mną wystarczająco kiepsko. Musiałam zrobić przynajmniej ten jeden drobny gest w stronę zdrowego życia. Nie ukrywam, że wymagał sporego wysiłku. Laura po raz kolejny zaciągnęła się głęboko i wydmuchnąwszy dym, kilka razy lekko mlasnęła językiem, jakby rzeczywiście napawała się smakiem papierosa. Szybko pociągnęłam łyk wina, żeby o tym zapomnieć.

— Miałam nadzieję, że pójdziemy razem na spacer — powiedziałam. Spojrzała za okno i skrzywiła się z odrazą.

— W taką pogodę?

— Brakuje mi świeżego powietrza, żeby uporządkować myśli.

— Zawsze możesz iść sama do parku. Jestem nieodpowiednio ubrana.

Kiedy układałam w myślach swoją przemowę, wydawała mi się jasna i klarowna, ale gdy przyszło co do czego, wszystko pokręciłam.

Opowiedziałam jej o Troyu, Brendanie i swojej wizycie na komendzie policji, lecz wypadło to jak garść chaotycznych, oderwanych od siebie refleksji. Zanim skończyłam, Laura paliła już trzeciego papierosa z rzędu.

— Nie poznaję cię, Mirando — orzekła.

Wzięłam głębszy oddech, żeby nie dać się ponieść wściekłości.

— Lepiej mi oszczędź uwag na temat mojego zdrowia psychicznego — odparłam. — Przynajmniej na razie. Tylko zastanów się dobrze nad tym, co powiedziałam. Nie sądzisz, że wszystko układa się w logiczną całość?

— Wiesz, co zawsze w tobie podziwiałam? Niezwykłą umiejętność puszczenia różnych spraw w niepamięć. Kiedy ja napotykałam na swej drodze piętrzące się przeszkody, przychodziłam właśnie do ciebie, bo miałam niezbitą pewność, że usłyszę zadziwiająco rozsądną radę.

— Teraz to ja przychodzę w tym samym celu do ciebie.

— Szkoda, że nie chcesz usłuchać własnego głosu rozsądku. Bardzo mi przykro z powodu śmierci Troya. Serdecznie ci współczuję. Ale powinnaś w końcu oprzytomnieć. Dobrze wiem, jak to jest, kiedy się z kimś zerwie. Świetnie znam to uczucie odrzucenia i wzgardzenia. Chyba pamiętasz, co przeżywałam, kiedy Saul ze mną zerwał. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Bez przerwy wszystko rozpamiętywałam, zachodziłam w głowę, czy nadal by mnie kochał, gdybym w jednej czy drugiej sytuacji postąpiła inaczej. Trudno mi się teraz do tego przyznać, ale na pewno pamiętasz, że obmyśliłam nawet plan, jak go odzyskać. Przypominasz sobie?

— Oczywiście.

— Wcale się nie dziwię, bo całymi dniami wylewałam przed tobą swoje żale. I pamiętasz może, co mi wtedy poradziłaś?

— Ale to jest zupełnie odmienna sytuacja.

— Powiedziałaś mi, żebym zacisnęła zęby, nie robiła nic, czego mogłabym później żałować, i po prostu przeczekała. Tłumaczyłaś, że po jakimś czasie ujrzę nasze rozstanie w innym świetle. Chciałam cię wtedy zwyczajnie natłuc, ale miałaś absolutną rację.

— Tu nie chodzi o nasze rozstanie, bo jak dobrze wiesz, to ja zerwałam z Brendanem, a nie odwrotnie. Poza tym wcale nie chcę go odzyskać.

— Na miłość boską, Mirando. Przecież z nim rozmawiałam. Jest tak samo zaskoczony twoim postępowaniem jak ja.

— Słucham? Rozmawiałaś z nim? Dyskutowałaś na mój temat z Brendanem?!

— Mirando...

— A więc przeciągnął cię na swoją stronę. Definitywnie. Czyżbyś także uważała, że jest czarujący? Miły i uroczy? Jak mogłaś? Kto ci pozwolił rozmawiać z nim o mnie? Ile mu powiedziałaś? Wypaplałaś wszystko, co ci mówiłam w sekrecie?

— Przystań wreszcie, dobrze? Przecież mnie znasz. Spojrzałam jej w oczy. Szybko spuściła głowę i zaciągnęła się papierosem, unikając mojego wzroku.

— Podoba ci się, prawda? Wzruszyła ramionami.

— Owszem, to przystojny i sympatyczny facet — odparła po chwili. — Bardzo się o ciebie martwi.

— Otóż to.

Pospiesznie sięgnęłam do torebki, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że niedawno już raz to przerabiałam. Wyciągnęłam dziesięciofuntowy banknot i rzuciłam go na stół.

— Proszę. Będziemy w kontakcie. Przykro mi. Nie mogę nic więcej powiedzieć. Muszę lecieć. Czas na mnie.

Zostawiłam Laurę przy stoliku. Dopiero przed barem rozejrzałam się nerwowo, nie mogąc uwierzyć w to, co zrobiłam. Co miałam teraz począć? Zimne wilgotne powietrze przenikało aż do kości. To dobrze. Ruszyłam przed siebie bez celu, nie mając pojęcia, dokąd się skierować.

## 26

Zostało szesnaście dni do Bożego Narodzenia i cztery do cywilnego ślubu Kerry i Brendana, który mieli wziąć w urzędzie oddalonym o kilometr od domu rodziców. Przez noc pogoda się zmieniła. Nadal było zimno, ale zrobiło się jeszcze szaro, mokro i mgliście. Kiedy obudziłam się rano, spojrzałam w ciemność za oknem i usłyszałam bębnienie deszczu o szybę, jeszcze przez parę minut nie chciało mi się wychodzić z ciepłego łóżka. Termofor z gorącą wodą, który naszykowałam sobie wieczorem, był zimny jak lód, stopą wypchnęłam go

## 198

więc spod kołdry na podłogę. Kiedy pomyślałam, że będę musiała zeszkrobywać lód z szyb samochodu, a potem cały dzień zgrabiały mi, zeszywniałymi rękoma przybijać gwoździami deski podłogowe w pustym, nieogrzewanym domu w Tottenham, skuliłam się jeszcze bardziej i wsunęłam głębiej pod kołdrę.

Usłyszałam szelest listu wsuwanego przez otwór w drzwiach i spadającego na podłogę w przedpokoju. Za dwanaście dni miał być najkrótszy dzień roku, po którym każdy następny musiał się wydłużać. Próbowałam się pocieszać myślą, że potem znów przyjdzie wiosna. Kiedy w szparze między zasłonkami pojawiły się pierwsze smugi szarości, zmusiłam się do wstania, wsunęłam stopy w kapcie, włożyłam szlafrok i zgarnęłam pocztę z chodnika pod drzwiami. Zaparzyłam duży dzbanek kawy, wsunęłam do tosterka dwie kromki czerstwego pełnoziarnistego chleba i włączyłam radio, żeby towarzyszył mi głos drugiej osoby. Jedną kromkę posmarowałam miodem, a drugą marmoladą, przygrzałam mleko w kuchence mikrofalowej i dolałam do kawy w filiżance.

Usiadłam przy stole i zaczęłam przeglądać korespondencję. Przyszło aż dziewięć kart z życzeniami świątecznymi, przy czym jedna od kogoś, kogo za żadne skarby nie mogłam sobie przypomnieć, a kto wyrażał nadzieję, że spotkamy się znowu w Nowym Roku. Druga była od Calluma, faceta poznanego na przyjęciu, na które zabrali mnie Tony z Laurą. Miałam wrażenie, że od tamtej pory minęły całe wieki. To zaś nasunęło mi myśl, iż w moim życiu wszystko ułożyło się teraz tak źle, że dalej może tylko być lepiej. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to naprawdę znaczy źle. Odłożyłam na bok kartkę od Calluma z ręcznie dopisanym zaproszeniem na przyjęcie, myśląc, że w tym roku chyba nie zdołam się zebrać do wysyłania świątecznych życzeń, nie mówiąc już o jakichkolwiek

przyjęciach. Poza tym dostałam dwie prośby o wsparcie organizacji charytatywnych, wyciąg bankowy z rachunkiem za korzystanie z karty kredytowej oraz trzy katalogi. Wreszcie list zaadresowany odręcznie przez Kerry.

Dopiłam kawę i nalałam sobie z dzbanka drugą porcję. Powoli zjadłam tosta z miodem i dopiero wtedy odkleiliłam samoprzylepny brzeg koperty i wyjęłam ze środka pojedynczą kartkę. Przeczytałam:

„Droga Mirando. Brendan i ja doszliśmy do wniosku, że byłoby dobrze, gdybyś zechciała w piątek wystąpić jako świadek na naszym ślubie. Proszę, daj mi znać jak najszybciej, czy nie masz nic przeciwko temu. Kerry”.

Skrzywiłam się, czując dziwne ukłucia bólu w prawym oku. To była z pewnością sprawka Brendana. Chciał, żebym stanęła obok uszczęśliwionej młodej pary i razem z nią złożyła podpis na dokumentach. A później pozowała do zdjęcia i uśmiechała się do niego, swojego szwagra, nowego członka rodziny. Zrobiło mi się niedobrze. Odsunęłam talerzyk z drugą kanapką. Ledwie zdołałam przełknąć jeszcze trochę cierpkiej letniej kawy.

Przyszło mi do głowy, że powinnam odmówić. Nie, nie będę świadkiem na twoim cholernym ślubie. Nie będę uczestniczyć w twojej podstępnej grze. Nigdy więcej. Może byłoby najlepiej, gdybym w ogóle nie przyszła na ten ślub? Beze mnie czuliby się znacznie swobodniej. Niestety, musiałam się pojawić, gdyż moja nieobecność została odebrana jak kolejny przejaw hysterii zwariowanej, ogarniętej obsesją, chorej z zazdrości i zawistnej Mirandy. Musiałam być na weselu, choćby tylko z tego powodu, że poza mną Kerry nie miała już rodzeństwa.

Westchnęłam ciężko, wstałam od stołu, zawiązałam pasek szlafroka, podeszłam do telefonu i wybrałam numer. — Halo?

— To ja, mamó.

— Miranda.

Przywykłam już do tego matowego, bezosobowego brzmienia jej głosu, jakim mówiła od czasu śmierci Troya.

— Cześć. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale chciałam rozmawiać z Kerry. W sprawie jej propozycji, abym była świadkiem na ślubie.

— Ach, tak, mówiła mi o tym. — Chwila przerwy. — Moim zdaniem to bardzo szlachetny gest z jej strony.

— Owszem. Czy mogłabym z nią rozmawiać?

— Zaraz ją zawołam. Ale wcześniej chciałam... Razem z ojcem doszliśmy do wniosku, że należy się spotkać na wspólnej przedślubnej kolacji. Bo w dzień ślubu nie będzie przyjęcia weselnego, to byłoby niestosowne. Poza tym, zaraz następnego dnia wyjeżdżają w tygodniową podróż poślubną. Zatem chcemy się spotkać w wąskim gronie rodzinnym, żeby życzyć im szczęścia. Naszym zdaniem to dla nich bardzo ważne. Na pewno przyjdą Bill i Judy. Masz wolny jutrzejszy wieczór?

W zasadzie nie było to pytanie.

— Tak.

— W takim razie koło siódmej. Już daję ci Kerry. Powiedziałaam siostrze, że będę świadkiem na ich ślubie, na co odparła, że bardzo się cieszy, ale zrobiła to chłodno, z udawaną uprzejmością. Powiedziałaam też, że spotkamy się jutro, na co rzuciła krótkie „dobrze”, jakby wzruszyła ramionami. Nagle, jak promień słońca przebijający się przez mgłę odrętwienia, z mej pamięci wypłynęło wspomnienie z wakacji w Kornwalii, gdy razem z Kerry pływałyśmy w przyboju na wielkich nadmuchanych kołach, raz za razem wybiegałyśmy kilka metrów od brzegu i dawałyśmy nieść się falom z powrotem, ledwo żywe ze zmęczenia i wychłodzenia, ze skórą poobcieraną o piasek. Miałyśmy wtedy bodajże dziesięć i osiem lat. Pamiętam, jak zaśmiewałyśmy się w głos, popiskiwałyśmy z radości i ze stra-

chu przed wysokimi falami. Nosiła wtedy starannie zaplecione warkoczyki i uśmiechała się wstydliwie, zaciskając wargi, przez co robiły jej się w policzkach małe dołeczki. Do dzisiaj uśmiechała się tak samo. — Bez przerwy myślę o tobie — dodałam pod wpływem nagłego impulsu, w gruncie rzeczy mając ochotę paść na kolana i dziko wyć. W słuchawce panowała cisza.

— Kerry?

— Dzięki — odpowiedziała. A po chwili: — Mirando?

— Tak?

— Nie, nic takiego. Do jutra. Przerwała połączenie.

Pojechałam do pracy w gęstej mgle, z której mijane domy i samochody wyłaniały się niczym zjawy, a ludzie przypominali rozmazane cienie. Drzewa rosnące wzdłuż drogi zlewały się w niewyraźne ciemne smugi. W takie dni bardzo brakowało mi światła, a wilgoć z powietrza oklejała skórę lodowato zimną powłoką.

Dom w Tottenham stał pogrążony w ciszy. Odgłos moich kroków rozniósł się po nim głośnym echem, a uderzenia młotka jeszcze głośniejszym. Zdecydowanie za często robiłam sobie kwaśną rozpuszczalną kawę, ale chciałam choć na krótko ogrzać ręce o poplamiony i poobijany kubek zostawiony przez gospodarzy specjalnie dla nas. Ale i tak w pracy było mi lepiej niż gdziekolwiek indziej, bo niby czym miałabym się zająć? Na pewno nie świątecznymi zakupami ani siedzeniem z matką w kuchni i przyglądaniem się, jak wycina krążki rozwałkowanego ciasta, układa je na foremce, dodaje łyżkę mięsnego farszu i skleja pierogi; nie plotkowaniem z Laurą ani śmianiem się z jakiejś surrealistycznej uwagi Troya. Dlatego pracowałam, dopóki nie rozboleły mnie ręce, a potem wróciłam

do domu i usiadłam w saloniku pod belką sufitową. Właśnie tą belką. Pomyślałam, że mogłaby w tej chwili runąć w wielkiej chmurze tynku wyrwanego jej ciężarem i zwalić się prosto na mnie.

Siedziałam tak mniej więcej przez godzinę, zasłuchana w bębnienie deszczu i plusk wielkich kropeł spadających z nagich gałęzi drzew za oknem. W końcu podniosłam słuchawkę, ogarnięta przemożnym pragnieniem porozmawiania z kimkolwiek. Wcisnęłam już parę klawiszy numeru Laury, ale się zawahałam. Przecież nie mogłam z nią rozmawiać. Co miałabym powiedzieć? „Ratunku!”? „Proszę, pomóżcie mi, bo mam wrażenie, że zaraz zwariuję!”? Zawsze w trudnych chwilach zwracała się do niej, ale teraz miałam wrażenie, że zamknęła mi drzwi przed nosem. Kiedy wracałam myślami do tego, co się stało, wciąż robiło mi się niedobrze. Pomyślałam więc o przyszłości i poczułam zawrót głowy, jakbym stała nad mroczną otchłanią otwierającą się pod stopami i nie mogła dostrzec jej dna.

Dlatego już o ósmej poszłam do łóżka, nie mając pojęcia, co z sobą począć. Leżałam, tuląc twarz do starej nocnej koszuli Troya i czekając na nastanie kolejnego dnia. W końcu pewnie usnęłam, bo gdy otworzyłam oczy, za oknem znów była szarówka, a w smugach żółtawych światła ulicznych latarni dostrzegłam dla odmiany padający deszcz ze śniegiem. Punktualnie o siódmej wieczorem zapukałam do drzwi domu rodziców. Otworzyła mi Kerry. Miała na sobie półprzezroczystą różową bluzeczkę z obszytym koralikami kołnierzykiem, przez co jej twarz zdawała się nienaturalnie wydłużona. Cmoknęłam ją w zimny policzek i weszłam do środka.

Remont domu przerwano na święta. Wielką dziurę w ścianie po kuchennych drzwiach zabito byle jak deskami, a okno było zaślepięte dużym arkuszem styropianu. Na linoleum pod

ścianą piętrzyły się garnki, patelnie i inne naczynia powystawiane ze starych szafek. Na stole stała kuchenka mikrofalowa. W saloniku zdjęto wykładzinę dywanową, a w miejscu regału z książkami stał prowizoryczny stół na kozłach zawalony narzędziami. Wszystkie prace przerwano z chwilą, gdy odkryłam zwłoki Troya wiszące pod tą przeklętą belką w moim mieszkaniu.

Bill i Judy już siedzieli razem z rodzicami przed kominkiem rozpalonym przez ojca. Nie było tylko Brendana.

— Musiał się z kimś pilnie spotkać — wyjaśniła zdawkowo Kerry.

Uzmysłowiłam sobie nagle, że wszyscy w rodzinie ostatnio schudli.

Tylko nie Brendan. Kiedy się w końcu zjawił parę minut po mnie, od razu spostrzegłam, że przybrał na wadze. Policzki miał zaokrąglone, liliowa koszula opinała mu się na wydatnym brzuszku. Włosy jak gdyby mu pociemniały, a wargi poczerwieniały. Kiedy nasze spojrzenia się zetknęły, skłonił lekko głowę i uśmiechnął się ledwie zauważalnie. Miał to być wyraz triumfu?

Nie przypochebiał się już tak jak dawniej, był dużo bardziej powściągliwy. Z wyraźną nutą arogancji w głosie oznajmił Kerry, że musi się napić czegoś mocniejszego. A kiedy zagadnął ojca o przyczyny wątego ognia w kominku, zrobił to z odcieniem drwiny i pogardy. Bill tylko zerknął na niego i zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

W innych okolicznościach zapewne wznieśliśmy toast szampanem, lecz tata przygotował na ten wieczór tylko czerwone wino, nie licząc whisky dla przyszłego zięcia.

— W co się jutro ubierzesz, Kerry? — zapytałam po paru minutach.

— Och... — Zarumieniła się i zerknęła na Brendana. — Chciałam włożyć tę czerwoną sukienkę, którą ostatnio kupiłam.

— Wyglądasz w niej wspaniale.

— Tylko teraz nie wiem, czy to wypada. — Znow zerknęła na Brendana, który drugi raz napełnił sobie szklaneczkę. — Nie wiem, jak będę się w niej czuła.

— Będiesz się czuła doskonale, cokolwiek byś włożyła. Przecież to twój ślub. Chodź, pokaż mi ją.

Odstawiłam kieliszek i ruszyłyśmy razem na górę, do ich pokoju. Ostatni raz byłam tu wówczas, gdy znalazłam pod komódką zwój zielonego sznura. Odpędziłam od siebie natrętne myśli i obróciłam się do siostry, która wyjęła z wielkiej plastikowej torby przewiązane wstążką pudełko i zaczęła je otwierać. Poczułam, że się czerwienię. Zbierało mi się na płacz. Wszystko między nami układało się nie tak, jak powinno.

— Wygląda wspaniale. Możesz mi się w niej pokazać? Nie potrafiłam się złościć na Kerry. W takiej chwili czułam tylko przyływ miłości.

Szybko zdjęła spodnie, ściągnęła przez głowę różową bluzkę i rozpięła stanik. Była bardzo szczupła. Pod bladą, niemal całkiem białą skórą wyraźnie rysowały się żebra, wystawały obojczyki.

— Proszę. — Podałam jej sukienkę.

Ledwie po nią sięgnęła, w drzwiach stanął Brendan. Żadna z nas nie odezwała się ani słowem. Kerry zaczęła się wbijać w dopasowaną sukienkę i przez parę sekund miała ją całą na głowie, spod fałdów wyłaniało się tylko jej nagie ciało, kontrastujące z materiałem wręcz połyskliwą bielą. Poczułam się nieswojo, gapiąc się na nią razem z Brendanem. Szybko odwróciłam głowę i utkwiałam spojrzenie w ciemności za oknem.

— Gotowe — rzekła po chwili. — Oczywiście potrzebne są do niej szpilki. Poza tym będę odpowiednio uczesana i umalowana.

— I tak wyglądasz cudownie — odparłam, choć nie było to prawdą. W jaskrawoczerwonej sukience wyglądała jak żywy trup.

— Naprawdę tak uważasz?

— Oczywiście.

— Hmm — mruknął jej narzeczony, obrzucając ją taksującym spojrzeniem z tym swoim ledwie zauważalnym, tajemniczym uśmiezkiem. — No cóż, na dole wszyscy czekają na was z toastem.

— Już idziemy.

— Zatem wracacie do dawnych dobrych stosunków?

Poczułam się tak, jakby jego słowa zapaliły lont, po którym płomyk posuwał się szybko w stronę wielkiego ładunku wściekłości nagromadzonej w moim sercu. Obejrzałam się na niego.

— Przecież jesteśmy siostrami.

Przez chwilę twardo patrzyliśmy sobie w oczy. Nie zamierzałam jako pierwsza odwracać wzroku. I wtedy właśnie, gdy spoglądałam w głąb jego nieruchomych źrenic, uzmysłowiłam sobie, że nie zostało we mnie nic poza czystą bezgraniczną nienawiścią do niego.

W piątek rano wstałam wcześniej, wykapałam się, umyłam włosy, po czym stanęłam przed otwartą szafą i zaczęłam się przyglądać mojej garderobie. Co można włożyć na ślub siostry ze znienawidzonym mężczyzną, na ślub, który ma się odbyć zaledwie kilka dni po śmierci brata? Nic krzykliwego ani zbyt seksownego, nic oszałamiającego albo nazbyt wytwornego. Ale przecież nie idzie się na ślub w czarnym stroju. Kiedy przypomniałam sobie trupiobladą twarz Kerry kontrastującą z jaskrawoczerwonym aksamitem, skojarzyła mi się ze zwłokami leżącymi w trumnie. Wyciągnęłam w końcu z szuflady komódki lawendową sukienkę, uniosłam ją do światła i obej-

rzałam krytycznym wzrokiem. Miała elastyczną obcisłą górę i luźny szyfonowy dół, była typowo letnia, uznałam jednak, że będzie całkiem dobrze, jeśli włożę na nią półprzezroczystą jedwabną bluzkę. Zrobiłam makijaż, wysuszyłam włosy, wpięłam w uszy kolczyki, wciągnęłam rajstopy i ostrożnie wbiłam się w suknię. Podeszłam do lustra, ale tylko skrzywiłam się na widok postaci o poszarzałej cerze i podkrążonych oczach, jaki zobaczyłam.

Włożyłam swój długi czarny płaszcz, wzięłam prezent ślubny i wyszłam. Z domu rodziców mieliśmy iść wszyscy razem pieszo do urzędu stanu cywilnego, toteż zaparkowałam samochód na ulicy kilkadziesiąt metrów dalej.

Podnosząc dół sukienki, żeby nie zachlapać jej błotem, dobiegłam truchtem pośród siąpiącej mżawki i zaledwie podniosłam rękę, żeby zapukać, drzwi się otworzyły.

— Miranda — mruknął głucho ojciec.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Wciąż miał na sobie sfatygowany kraciasty szlafrok i był nieogolony. Czyżbym pomyliła godzinę?

— Chyba musimy już iść — bąknęłam.

— Nie. Wejdz, proszę.

Matka siedziała na schodach, ubrana w stare powypychane legginsy i gruby golf, którego nie wkładała już od lat. Uniosła głowę na mój widok. Twarz miała ściągniętą, pooraną głębokimi zmarszczkami.

— Powiedziałaś jej? — zapytała.

— O czym? — zdziwiłam się. — Co się stało.

— On wszystko odwołał.

— Jak to odwołał?

— Nie było go już, kiedy Kerry się obudziła. Zadzwoił o ósmej i powiedział, że... — Głos jej się załamał. Pokręciła głową, jakby próbowała się z czegoś otrząsnąć, po czym ciągnęła tym samym matowym głosem: — ...że zrobił wszyst-

ko, aby nam pomóc, ale nic z tego nie wyszło; że jest już zmęczony dźwiganiem naszego brzemienia i dłużej tego nie zniesie.

Bezsilnie klapnęłam na schody obok niej.

— Biedna Kerry...

— Powiedział też, że znalazł szczęście u boku kogoś innego i powinniśmy zrozumieć, iż musi pójść za głosem serca, bo postanowił w końcu myśleć wyłącznie o sobie.

— Znalazł sobie kogoś innego? — powtórzyłam mechanicznie, odebrawszy tę wiadomość jak silny cios w głowę.

Byłam oszołomiona. Tymczasem matka spojrzała na mnie podejrzliwym wzrokiem i zapytała:

— O niczym nie wiedziałaś?

Nie odpowiedziałam, tylko gapiłam się na nią w osłupieniu.

— W końcu chodzi o twoją serdeczną przyjaciółkę — dodała.

— Niemożliwe... — jęknęłam. — Och, nie...

— Teraz już wiesz wszystko.

— Laura... — szepnęłam.

Poszłam do sypialni siostry. Światło było zgaszone, w środku panował półmrok. Kerry siedziała na brzegu łóżka, nienaturalnie wyprostowana. Wciąż miała na sobie piżamę. Usiadłam przy niej i przeciągnęłam dłonią po jej miękkich puszystych włosach. Spojrzała na mnie szklistymi oczami.

— Ale ze mnie idiotka — powiedziała łamiącym się głosem. — Myślałam, że on naprawdę mnie kocha.

— Kerry...

— Skończona idiotka.

— Posłuchaj...

— A on przez cały czas kochał tylko ciebie.

— Nieprawda.

— I teraz związał się z twoją przyjaciółką.

— Kerry — powtórzyłam. — On nie jest tego wart. To zły człowiek. Coś jest z nim nie w porządku. Na pewno będzie ci lepiej bez niego. Wiem, że znajdziesz...

— Tylko nie waż się mówić, że znajdę sobie kogoś lepszego — syknęła i zamrugowała szybko powiekami.

— Dobrze.

— Całe moje życie legło w gruzach — rzekła półgłosem. — Zawaliło się już z chwilą śmierci Troya. Brendan tylko rozrzucił tę luźną stertę kamieni. Już nic mi nie zostało.

Pomyślałam, że to dobre porównanie, tyle że zdeptał całą rodzinę, buciorami stał na proch wszelkie nasze nadzieje. Otoczyłam ręką kościste ramiona mojej starszej siostry i przytuliłam ją do siebie, wciągając w nozdrza zapach jej potu, pudru i kwiatowego dezodorantu. W rogu pokoju wisiała nowa aksamitna czerwona suknia, na jej widok przytuliłam Kerry jeszcze mocniej i pocałowałam ją w czubek głowy. Poczułam, jak jej wilgotne powieki lepią mi się do policzka. Chwilę później pociekły po nim łzy, ale nie wiedziałam już, jej czy moje.

*Niektóre zdarzenia z perspektywy czasu wydają się jedynie koszmarnym snem. Ale to nie był sen, mimo że później wspominałam to jak moment wyrwany ze strumienia czasu, który długo miał mnie jeszcze prześladować.*

*Obudziłam się i choć było bardzo wcześnie, do pokoju przesączało się blade światło poranka. Wygrzebałam się spod kołdry, rozsunęłam zasłony i spojrzałam na ośnieżony świat. Z nieba wciąż padały wielkie płatki, które żeglowały i wirowały w powietrzu za oknem. Pospiesznie ubrałam się ciepło i wybiegłam na boczną osiedlową uliczkę. Śnieg leżał grubą warstwą na dachach samochodów, pokrywach koszy na śmieci i niskich murkach oddzielających ogródki. Nieskazitelnie gładką białą powłokę tylko gdzieś tam znaczyły ślady kocich łap i drobne dolki po ptasich pazurkach. Gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu, który od czasu do czasu opadał na chodnik z cichym szumem, pojedyncze płatki osiadały mi na rzęsach i topiły się na policzkach. Świat stał się pozbawiony perspektywy, niemal czarno-biały, jak na starej fotografii. Do tego panowała martwa cisza mącona jedynie skrzypieniem śniegu pod butami. Wszystko wydawało się stłumione, tajemnicze i piękne. Poczułam się niezwykle osamotniona.*

*Nie rozjaśniło się jeszcze w pełni i na Heath nie było żywej duszy. W alejkach nie dostrzegłam żadnych śladów stóp,*

*zresztą moje także szybko niknęły pod śniegiem. Zamarznięte stawy pokrywał biały puch. Ścieżki dało się rozpoznać tylko po tym, że śniegowa powłoką była na nich gładsza niż po bokach.*

*Pokonałam zbocze i na szczycie wzgórza przystanęłam na krótko. O czym wtedy myślałam? Sama nie wiem. Otuliłam się szczelniej płaszczem i postawiłam kołnierz, patrząc na jednostajnie padający śnieg.*

*Wiedziałam, że już niedługo zrobi się tu tłumnie, będą spacerować ludzie, dzieci rzucać śnieżkami, lepić bałwany i zjeżdżać na sankach przy wtórze głośnych pisków radości. Ale na razie byłam tu zupełnie sama.*

*Wysunęłam język i złapałam na niego płatek śniegu. A gdy zadarłam głowę do góry, śnieg wpadł mi do oczu.*

*Wracając w dół zbocza, dostrzegłam pierwszych ludzi, przypominających z daleka rozmyte pionowe smugi na jednorodnie białym płótnie. A chwilę później dostrzegłam człowieka idącego powoli ścieżką prostopadłą do mojej. Z bliska rozpoznałam, że to kobieta. Była w grubym palcie, dużym kapeluszu naciągniętym głęboko na oczy i szaliku zakrywającym dolną połowę twarzy. Wydała mi się znajoma. Zatrzymałam się w pół kroku, czując, jak coś ściska mnie za serce. Chyba i ona zwróciła na mnie uwagę, gdyż wyraźnie zwolniła i podniosła głowę. Spojrzała w moim kierunku, a po chwili zdjęła kapelusz i osłoniła oczy dłonią, żeby lepiej widzieć. Śnieg szybko osiadał na jej ciemnych włosach. Przez parę sekund obie stałyśmy nieruchomo, przypatrując się sobie nawzajem.*

*Miałam ochotę zawołać: „Laura! Laura!”. Chciałam podbiec, żeby z bliska zajrzeć jej w twarz. Ona też zawahała się na krótko, zrobiła niepewnie krok w moim kierunku i machnęła w bok trzymanym w rękę kapeluszem. Powstrzymała się jednak, a ja również nie byłam w stanie do niej podejść.*

*Po chwili włożyła kapelusz i poszła dalej swoją drogą, oddalając się ode mnie. Spoglądałam za nią, dopóki nie rozmyła się*

*przed moimi oczami w ledwie rozpoznawalny cień. Patrzyłam, jakbym zobaczyła ducha, który z wolna stapia się z białym otoczeniem.*

*Mijały dni i tygodnie odmierzające nieubłagany upływ czasu, niezależny od wszelkich naszych poczynań. I nagle ta monotonia została zakłócona. Przyśniło mi się, że spadam, lecę w nieskończoną otchłań, aż obudziłam się z mocno bijącym sercem. Dzwonił telefon. Niemal odruchowo wyciągnęłam rękę, gdyż nie byłam jeszcze całkiem rozbudzona. Kiedy podnosiłam słuchawkę, zwróciłam uwagę, że za oknem jest ciemno.*

*Wymamrotałam coś nieartykułowanego i na drugim końcu linii ktoś nagle zaczął śpiewać. Przez chwilę wydawało mi się, że nadał śnię, jakbym przeżywała sen we śnie, zaraz jednak rozpoznałam słowa: „Wszystkiego najlepszego! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!”.*

*Usiadłam w łóżku i mocniej przycisnęłam słuchawkę do ucha. Rozmówca wciąż nucił monotennie, w tle słychać było gwar głosów, muzykę i gromkie śmiechy.*

*— Wszystkiego najlepszego, ukochana Mirando!*

*— Przestań — bąknęłam.*

*— Serdeczne życzenia z okazji urodzin!*

*Wykręciłam głowę, żeby dojrzeć połyskujące zielono cyfry na elektronicznym budziku. 12:01 właśnie zmieniła się na 12:02.*

*— Chciałem ci pierwszy złożyć życzenia. Bo chyba nie podejrzewałaś, że zapomniałem, prawda? Nie mógłbym o tobie zapomnieć.*

*— Nie chcę...*

*— Dzisiaj jest ósmy marca. Nie wiem, czy wiesz, że to także Międzynarodowy Dzień Kobiet.*

*— Zaraz odłożę słuchawkę, Brendan.*

— *Na zawsze pozostaniesz w moich myślach. Nigdy cię nie zapomnę. I jestem pewien, że i ty nigdy mnie nie zapomnisz, prawda?*  
— *Jesteś pijany.*  
— *Tylko trochę wstawiony. I do tego całkiem wolny!*  
— *A co z Laurą?...*  
— *Całkiem wolny, a więc znów mogę myśleć o tobie. Myśleć bez przerwy.*  
— *Spierdalaj!*  
*Odłożyłam słuchawkę, lecz nie na tyle szybko, by nie dotarło jeszcze do mnie:*  
— *Dobranoc, Mirando! Słodkich snów!*

## 27

Nie do wiary, karygodnie spóźniłam się do kościoła. Miałam tylko garść żałosnych wymówek. Najpierw nie mogłam zdecydować, w co się ubrać i czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, zanim w końcu uprzytomniłam sobie, że siedzę na łóżku i od trzech kwadransów tępo wpatruję się w ścianę, bezskutecznie próbując zebrać myśli. A gdy w końcu wyruszyłam do New Maiden, gdzie mieszkali rodzice Laury, okazało się, że jest to dużo dalej, niż sądziłam, musiałam się kilka razy przesiadać. Kiedy wreszcie w panice wybiegłam ze stacji metra, pomyliłam kierunki i znalazłam się na skraju pola golfowego, po którym tego pięknego wiosennego ranka krążyło wielu mężczyzn w eleganckich jasnych swetrach.

Główne drzwi kościoła zastałam zamknięte. Doleciała zza nich śpiewana chórem pieśń, której uczyłam się jeszcze w dzieciństwie. Po krótkim namyśle podeszłam do drugich drzwi, prowadzących do bocznej nawy. Bałam się, że gdy tylko wkroczę do środka, oczy wszystkich zgromadzonych skierują się na mnie. Ostrożnie pchnęłam drzwi, ale wyczułam zdecydowany opór. Kiedy się w końcu otworzyły, zrozumiałam, że mały kościółek jest po brzegi wypełniony. Jakiś brodaty mężczyzna w ciemnym trenczu musiał przesunąć się nieco w bok, żeby wpuścić mnie do środka. Od razu skojarzyło mi

się to z zatłoczonym metrem, z którego przed chwilą wysiadłam: „Proszę się przesunąć do przodu!”.

Dotarłam tylko do połowy długości nawy, gdzie utknęłam pod ścianą, za masywnym filarem zasłaniającym mi cały widok. Śpiew się skończył i ktoś zaczął coś mówić. Rozejrzałam się w poszukiwaniu znajomych twarzy, lecz wkoło byli sami obcy ludzie, aż naszły mnie obawy, że znalazłam się w niewłaściwym kościele. Po chwili dostrzegłam jednak dziewczynę, z którą razem chodziłyśmy do college'u. Kiedy nasze spojrzenia się zetknęły, uzmysłowiłam sobie, że nie pamiętam jej imienia. Nie należała do naszej paczki. Potem na tyłach kościoła zobaczyłam Tony'ego, stał wymizerowany, zasepiony i dziwnie zmieszany, jakby wśliznął się tu bez biletu. Dopiero teraz skupiłam się na padających słowach, jak gdybym powoli dostrajała radio do właściwej fali. Początkowo nie wyłapywałam nawet całych zdań, tylko oderwane określenia: „szczęśliwa młoda mężatka”, „w kwiecie wieku”, „wiosennego poranka”. Dla mnie brzmiało to bez sensu. Po wzniosłym tonie domyśliłam się, że przemawia pastor, który nawet nie znał Laury, a tylko o niej słyszał.

— Czasami chcemy zadać Bogu pytanie — mówił — zapytać go, dlaczego złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom. Dlaczego cierpią niewinne dzieci. A teraz, dlaczego ta piękna, pogodna dziewczyna musiała zginąć w tak okrutnym, nieszczęśliwym i niepotrzebnym wypadku. Takie zdarzenia zawsze dotyczą nas do głębi, a w przypadku kogoś takiego jak Laura, piękna młoda mężatka, stają się nieznośnym ciężarem.

Przez mgłę smutku i otepienia przedarło się do mnie znaczenie tych słów: „młoda mężatka”. O tym nie wiedziałam. A zatem w końcu się pobrali. Laura wyszła za męża.

— Tak więc nasze myśli i modlitwy muszą towarzyszyć nie tylko rodzicom zmarłej, Jimowi i Betty, ale także Brendano-wi, który tak krótko był jej mężem.

Dopiero teraz, wyciągnąwszy szyję, dostrzegłam go w pierwszym rzędzie ławek. Ale widziałam tylko plecy. Siwowłosa kobieta nisko pochylała głowę, siwy mężczyzna obejmował ją za ramiona, a Brendan stał po przeciwnej stronie, sztywno wyprostowany i zapatrzony przed siebie. Nawet widząc jedynie tył głowy, mogłam się bez trudu domyślić wyrazu jego twarzy. Bez wątpienia musiał wyglądać na najbardziej pogrążonego w rozpacz w tym kościele, na prawdziwego mistrza świata żałobników. Na pewno był smutny i zamyślony. Kiedy pastor wymienił jego imię, zapewne spojrział w jego kierunku, lekko wydał wargi i delikatnie skinął głową z uznaniem. Zauważyłam, jak nieco obrócił głowę w stronę matki Laury. Oczywiście. Pośród rozpacz i cierpienia jako pierwszy spieszył z pomocą. Cóż za bohater.

Organista zaintonował inną pieśń, potem jakiś krewny odczytał wiersz, następnie pastor poprosił, aby tylko najbliższa rodzina poszła za trumną, a pozostali skierowali się od razu do rodzinnego domu zmarłej. Dom stał niedaleko kościoła, na kartkach informacyjnych została wydrukowana orientacyjna mapka. Nie miałam jej, toteż postanowiłam iść za tłumem. Przypominało to szkolne zebranie, tyle że połączone ze śpiewaniem pieśni kościelnych i zachowaniem szczególnego porządku. Kiedy trumnę przenoszono obok mnie, nawet nie potrafiłam jej utożsamić z Laurą. Myślałam tylko o tym, że musi być bardzo ciężka, że trzeba było wybrać najsilniejszych mężczyzn do jej transportu. Zaciekawilo mnie, czy są to wyłącznie krewni, przyjaciele i koledzy z pracy. Laura była moją najlepszą przyjaciółką, ale nigdy nie poznałam jej rodziców. W ostatniej klasie przed maturą śmiertelnie pokłóciła się z nimi na temat swojego chłopaka i zerwała wszelkie kontakty. Dlatego dopiero teraz mogłam się im przyjrzeć, gdy wychodzili z kościoła za trumną. Uderzyło mnie, że Laura ani trochę nie przypominała matki, dość korpulentnej, o za

okrągłych policzkach. Jak dwie krople wody była podobna do ojca, bardzo przystojnego, po którym odziedziczyła nieprzeciętną urodę. Odznaczał się szczupłą, pociągłą twarzą o łagodnych rysach. Najwyraźniej źle się czuł w czarnym garniturze, może tylko pożyczył go od kogoś.

Za nimi ujrzałam Brendana. Aż zatkało mi dech w piersi, jak pociągająco wyglądał. Trudno było mu cokolwiek zarzucić. Szedł z dłońmi splecionymi przed sobą, lekko przygarbiony, jakby pogrążony w głębokiej rozpacz, której starał się po sobie nie okazywać. Miał na sobie elegancki czarny garnitur, nieskazitelny, bez jednego włoska czy pyłku, śnieżnobiałą koszulę i trochę nazbyt krzykliwy czerwony krawat zawiązany w gruby węzeł. Lekko potargane włosy nieco kontrastowały z nienagannym strojem, ale i to zapewne był efekt celowego działania, nutka stosownego nieładu jako wyraz smutku i poświęcenia. Twarz miał bardzo bladą, czarne oczy wpatrzone prosto przed siebie, a więc na szczęście mnie nie widział.

Kiedy kondukt zniknął za drzwiami kościoła, wśród ludzi stojących bliżej głównego przejścia rozległy się szepty i szuranie nogami, jakby wszyscy z niecierpliwością czekali, aż najbliższa rodzina się oddali. Ostatecznie wyszłam jako jedna z pierwszych i oślepił mnie blask słońca. Zamrugałam szybko, próbując odzyskać ostrość widzenia, nim uzmysłowiłam sobie wreszcie, że mam łzy w oczach. Podczas nabożeństwa byłam zanadto spięta, ale tutaj, gdy ujrzałam przed sobą rzędy nagrobków, uderzyła mnie skądinąd oczywista myśl, że spoczywają pod nimi niegdyś żywi ludzie, którzy odeszli, i że teraz Laura do nich dołączyła, więc zebrało mi się na płacz. Zresztą nie po raz pierwszy. Chyba musiałam do tego stopniowo przywyknąć. Nagle poczułam czyjś dotyk na ramieniu.

— Miranda?

Odwrociłam się i ujrzałam przed sobą tę dziewczynę z college'u, której imię wyleciało mi z głowy. Pamiętałam tyl-

ko, że na pierwszym roku w akademiku Laura mieszkała z nią w jednym pokoju. Lucy? Sally? Paula?

— Cześć — odparłam.

Uściskała mnie serdecznie. Kate? Susan? Nosiła raczej pospolite imię. Tina? Jackie? Jane?

— To miło zobaczyć kogoś znajomego — powiedziała.

— Od tak dawna nie widziałam się z Laurą. Myślałam już, że nie spotkam tu nikogo z okresu studiów.

Lizzie? Frances? Cathy? Jean? Alice? Nie.

Zdobyłam się tylko na obojętne wzruszenie ramionami.

— To niewiarygodnie smutne, prawda? — ciągnęła.

— Nie mogę się z tym pogodzić.

— Tak, wiem.

Powinnam na początku zapytać ją o imię i przeprosić. Teraz było już za późno. Julia? Sarah? Jan? Miałam nadzieję, że może zjawi się ktoś jeszcze, kto zagadnie ją po imieniu. Ale zaraz się przestraszyłam, że będę musiała ją komuś przedstawić.

— Wybierasz się na stypę do domu jej rodziców? — zapytała.

— Sama nie wiem.

— Musisz przyjść. Choćby na krótko. Chciałabym z tobą porozmawiać.

— Dobrze.

Ruszyłyśmy przed siebie. Zauważyłam, że trzyma w ręku kartkę informacyjną, i doznałam nagłego olśnienia. Poprosiłam, aby pozwoliła mi rzucić okiem na mapkę, a gdy podała mi kartkę, zerknęłam na odwrotną stronę. W rogu było odręcznie wypisane jej imię: Sian. No pewnie. Jak mogłam zapomnieć? Co za ulga. Wreszcie coś w moim życiu wypadło jak należy.

— To zabawne — powiedziała. — Po raz pierwszy jestem na pogrzebie kogoś w naszym wieku.

— Masz rację, Sian — odparłam, chcąc dać do zrozumienia, że pamiętam jej imię. — To rzeczywiście niezwykle.

Wolałam nie mówić jej o Troyu. Jego śmierć była dla mnie sprawą zbyt osobistą, by potraktować ją jak interesujący temat do rozmowy z kimś, kogo ledwie znałam i kogo prawdopodobnie miałam już nigdy więcej nie spotkać. Sian zaczęła mówić o Laurze, o tym, że od ich ostatniego spotkania minął ponad rok, i o ślubie, o którym dowiedziała się od wspólnych znajomych. Okazało się, że podpisali dokumenty w urzędzie stanu cywilnego w najściślejszej tajemnicy.

— Nigdy wcześniej nie widziałam jej męża — ciągnęła. — Najwyraźniej znali się dość krótko i szybko podjęli decyzję o ślubie.

Na ten temat też wolałam nie zabierać głosu, pomyślałam jednak, że wcześniej czy później na pewno ktoś nawiąże w rozmowie do mojej znajomości z Brendanem, przez co wypadnę co najmniej niepoważnie.

— Ja go znałam — odrzekłam. — Rzeczywiście, dość szybko podjęli decyzję.

— To chyba ten, który szedł tuż za trumną?

— Zgadza się.

— Zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Wcale się nie dziwię, że Laura tak nagle się w nim zakochała.

— Jak chcesz, to was sobie przedstawię. Wprowadziłam ją w zakłopotanie.

— No, wiesz, nie chciałam... — Urwała nagle, jakby nie potrafiła wydusić z siebie, o co jej naprawdę chodziło.

W domu zebrało się mnóstwo ludzi, nie mogłam w tym tłumie odnaleźć Tony'ego, jedyne go człowieka, któremu chciałam złożyć serdeczne kondolencje. Na stole stały tace z kanapkami, gotowanymi jajkami, różnymi sosami i sałatkami oraz chrupkami. Do wyboru była herbata, kawa, wino i soki.

Kierowało to moje myśli w stronę matki Laury, która musiała nadzorować te przygotowania, i choć nie została zaproszona na ślub córki, już kilka tygodni później została zmuszona do organizacji pogrzebu. Wciąż rozglądałam się za znajomymi, wypatrując głównie Tony'ego. W końcu uznałam, że po nabożeństwie musiał się chyłkiem wymknąć z kościoła. Rodzice Laury wprowadzili do salonu zgrzybiałą staruszkę i posadzili ją na stojącym w rogu fotelu. Przyszło mi na myśl, że powinnam im złożyć kondolencje, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić, nie wikłając się w koszarne wyjaśnienia. Dopiero po jakimś czasie wmówiłam sobie, że mimo wszystko muszę z nimi porozmawiać. Wciąż nie mogłam się jeszcze zmusić do zrobienia pierwszego kroku, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że ktoś do mnie podszedł. Obejrzałam się. Jego widok był dla mnie takim zaskoczeniem, że przez parę sekund nie mogłam sobie przypomnieć, skąd go znam: Wreszcie do mnie dotarło: inspektor Rob Pryor.

— A co ty tu robisz, do diabła? — zapytałam.

Nie odpowiedział, bez słowa podał mi filiżankę z herbatą.

— Miałam nadzieję na coś mocniejszego.

— Nie ma niczego mocniejszego.

— Jasne.

— Wiem, co chcesz powiedzieć.

Pociągnęłam łyk herbaty. Okazała się strasznie gorąca, poparzyłam sobie wargi i gardło, gdy pospiesznie ją przełknęłam.

— No więc, co chcę powiedzieć?

— Miałam nadzieję, że cię tu zastanę, bo bardzo mi zależy na tym, żeby podsunąć ci właściwy trop.

— Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi.

— Przyjrzałem się dokładnie tej sprawie. Śmierć Laury to prawdziwa tragedia. Ale nic poza tym.

— Niech cię szlag trafi, Rob... Bo mam nadzieję, że nadal mogę ci mówić po imieniu, prawda?

— Tak, śmiało.

— Zatem przestań mi mydlić oczy i wreszcie dobrze się zastanów.

— Wiem, do czego zmierzasz. Pomyślałem o tobie, jak tylko dowiedziałem się o tym wypadku. I wykonałem parę telefonów, rozmawiałem z inspektorem prowadzącym dochodzenie.

— Zapomnij o tym na razie i spróbuj zaakceptować mój tok rozumowania. Zgłosiłam się do ciebie z podejrzeniami co do okoliczności śmierci Troya, ale zbyłeś mnie ogólnikami. Świetnie. Tyle że Brendan zaraz rzucił moją siostrę i natychmiast związał się z moją najlepszą przyjaciółką. Minęło parę miesięcy i ona nie żyje. Naprawdę nie dostrzegasz logicznego ciągu tych zdarzeń?

Westchnął ciężko.

— Przykro mi, ale nie interesują mnie żadne ciągi, a jedynie gołe fakty. Przyczyną śmierci Laury był nieszczęśliwy wypadek.

— Ile zdrowych dwudziestopięciolatek topi się w czasie kąpieli?

Wcześniej była na przyjęciu i ewidentnie sporo wypila. Kiedy doszło do ostrej wymiany zdań z panem Błockiem, wyszła wcześniej i sama wróciła do domu. Postanowiła wziąć kąpiel, lecz wchodząc do wanny, pośliznęła się, uderzyła w głowę i straciła przytomność, tymczasem woda wciąż była odkręcona. Dlatego utonęła. Dopiero gdy wanna się przelała, mniej więcej dwadzieścia minut po północy mieszkający piętro niżej Thomas Croft zauważył powiększający się zaciek na suficie, wbiegł na górę, zastał otwarte drzwi mieszkania i martwą panią Błock w łazience.

Skrzywiłam się, usłyszawszy, jak nazwał Laureę „panią Błock”. Dla mnie to był kolejny dowód pakowania się Bren-

dana z buciarami w życie drugiej osoby. Rozejrzałam się pospiesznie, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie słucha.

— Wcześniej zrobił dokładnie to samo, gdy mieszkali z Kerry u mnie.

— Co zrobił?

— Specjalnie zostawił odkręconą wodę i zatkaną wannę, żeby zalać mieszkanie. To miał być sygnał.

— Sygnał?

— Dla mnie.

Pryor obrzucił mnie wzrokiem pełnym współczucia.

— Śmierć pani Block miała być sygnałem dla ciebie? — zapytał z niedowierzaniem. — Czyś ty postradała zmysły?

— Chyba łatwo jest ogłuszyć człowieka ciosem w głowę, a potem przytrzymać go pod wodą?

— To prawda.

— Poza tym, to nie był małżeński obiad, prawda? Na przyjęciu musiało być więcej ludzi. W domu, w ogrodzie. Czy na pewno cały czas widziano tam Brendana?

Rob zmarszczył brwi.

— Przyjęcie odbywało się przy Seidon Avenue, stamtąd jest dwadzieścia, może nawet dwadzieścia pięć minut drogi pieszo do ich mieszkania.

Gdyby chciał opuścić przyjęcie, żeby zamordować żonę, musiałby zniknąć mniej więcej na godzinę.

— Mógł przecież złapać taksówkę — podsunęłam desperacko.

— A mnie się zdawało, że według twojej teorii zrobił to przez nikogo niezauważony. Załóżmy nawet, że wezwał telefonicznie taksówkę i nikt z gości nie zauważył, jak ta podjechała pod dom. Co potem? Dotarłszy na miejsce, kazał taksówkarzowi zaczekać, a sam wbiegł do mieszkania i zamordował żonę?

— Mógł przecież od razu pójść za nią, skoro nikt nie zauważył, jak zaraz po sprzeczce wyszła z przyjęcia.

— Ach tak, zapomniałem — odparł zagadkowo.

W tej samej chwili poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. Obejrzałam się, lecz ktoś pochylił się błyskawicznie i serdecznie ucałował mnie w oba policzki. To był Brendan.

— Och, Mirando, Mirando — mruknął mi do ucha. — Co za straszliwa tragedia. Tak się cieszę, że przyszłaś. To dla mnie bardzo wiele znaczy. Dla Laury byłoby równie ważne. — Spojrzał na Pryora. — I Rob się ze mną zaprzyjaźnił od czasu sprawy z Troyem. — Znów spojrzał na mnie. — Bardzo mi przykro, Mirrie. Naprawdę mi przykro. Wygląda na to, że sprowadzam same nieszczęścia. — Nie odpowiedziałam. Nie mogłam wydusić z siebie głosu. — Musimy porozmawiać, Mirrie. — Uśmiechnął się, zaglądając mi w oczy. Jak zawsze miałam wrażenie, że jest zdecydowanie za blisko, skoro czuję jego oddech na policzku. — Tylko ty możesz mnie zrozumieć. Lepiej niż ktokolwiek inny. Jedna rzecz jest niesamowita. Rob już ci mówił? — Zerknął na inspektora, który lekko pokręcił głową. — Niemal dokładnie w tej samej chwili, kiedy... no, Laurę spotkała tragedia, o której do tej pory trudno mi rozmawiać... Wiesz, co wtedy robiłem?

— Skąd mam wiedzieć?

— Oczywiście, że wiesz. Przecież rozmawiałem z tobą.

*Najdroższy Troyu,*

*Ciągle odżywa w mej pamięci jedno wspomnienie. Miałeś wtedy jakieś dziewięć lat, gdy obudziłeś mnie o czwartej nad ranem i uparłeś się, żebym poszła z Tobą posłuchać śpiewu ptaków o świcie. Półprzytomna wyszłam za Tobą do ogrodu w samym szlafroku, chociaż było przenikliwie zimno, a na trawie błyszczały krople rosy. Chciałam zostać z Tobą tylko parę minut, żebyś się na mnie nie gniewał, a potem szybko wracać do ciepłego łóżka. Ty byłeś już całkiem ubrany, miałeś džinsy i wiatrówkę, na nogach kalosze, a do tego lornetkę taty na szyi. Stanęliśmy na końcu ogrodu i nagle, gdy tylko zaczęło szarzyć, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozśpiewały się ptaki. Ze wszystkich stron otoczył nas donośny świergot. Kiedy spojrzałam na Ciebie, uśmiechałeś się z tak nieopisaną rozkoszą, że całkiem zapomniałam o chłodzie. Pokazywałeś mi ptaki siedzące na gałęziach drzew, żebym widząc ich otwierające się dziobki i poruszające gardziółka, mogła dopasować poszczególne brzmienia do konkretnych gatunków. Staliśmy tam niemal całą wieczność, a gdy wróciliśmy do domu, przygotowałam dla nas gorącą czekoladę i usmażyłam jajecznicę. Pamiętam, jak powiedziałeś wtedy z pełnymi ustami: „ Chciałbym, żeby o każdej porze było tak samo”.*

**223**

*Oczywiście nie możesz przeczytać tych notatek, lecz mimo to je spisuję, bo jesteś jedyną osobą na świecie, z którą naprawdę chciałabym porozmawiać. Dlatego mówię do Ciebie niemal cały czas. I przeraża mnie myśl, że pewnego dnia pewnie przestanę do Ciebie mówić, bo będzie to oznaczało, że naprawdę nie żyjesz.*

## 28

— Sama nie wiem, po co tu przyszłam — rzekłam. Siedząca naprzeciw kobieta nie odpowiedziała, tylko spoglądała na mnie, dopóki nie spuściłam głowy i nie utkwiałam wzroku na moich dłoniach splecionych na kolanach. Na rozdzielającym nas niskim stoliku stało duże pudełko papierowych chusteczek. Za oknem żonkile dumnie przeżyły się w słońcu, ich żółty kolor wydawał mi się przesadnie, wręcz nachalnie krzykliwy, bo byłam oglupiona i otepiała, a do tego podenerwowana. Całe szczęście, że nie musiałam się położyć na leżance.

— Od czego powinnam zacząć?

Katherine Dowling nie kazała mi zacząć od początku. Miała koło pięćdziesiątki, w każdym razie była po czterdziestce. Mimo poznaczonej zmarszczkami twarzy bez śladów makijażu sprawiała sympatyczne wrażenie. Miała ciepłe piwne oczy, łagodne rysy twarzy, raczej męski zarys dolnej szczęki i włosy upstrzone siwizną. Była ubrana dość swobodnie, w spódnicę do kolan, znoszone i popękane pantofle na płaskim obcasie oraz rozciągnięty jasnoszary sweter. Wpatrywała się we mnie, jakby chciała mnie przeniknąć wzrokiem, a ja nie byłam pewna, czy mi się to podoba! Poprawiłam się nerwowo na krześle, opuściłam ręce, podrapałam się po policzku, odchrząknęłam niepewnie, wreszcie spojrzałam na zegarek Troya, który od

pewnego czasu nosiłam. Zostały mi jeszcze czterdzieści trzy minuty sesji.

— Spróbuj określić, co cię do mnie sprowadza.

— Po prostu nie mam z kim porozmawiać — rzuciłam pospiesznie z lekkim drzeniem głosu. Było to jak najbardziej na miejscu, gdyż zależało mi, żeby ogarnął mnie smutek, by zaczął przeze mnie przemawiać w sposób niekontrolowany, jak to się często zdarzało w ciągu nocy, kiedy budziłam się nad ranem na poduszce wilgotnej od łez. — Ludzie, z którymi mogłam szczerze porozmawiać, odeszli.

— Opuścili cię?

— Nie, umarli. — Poczułam narastający ucisk w gardle i tężenie mięśni twarzy. — Mówię o moim młodszym bracie i najlepszej przyjaciółce. — Zmusiłam się, by wypowiedzieć na głos ich imiona: — Troy i Laura. On popełnił samobójstwo, a w każdym razie wszyscy tak uważają chociaż moim zdaniem... No cóż, mniejsza z tym... W każdym razie znalazłam go w swoim mieszkaniu. Powiesił się. Był jeszcze bardzo młody. Kiedy zamykam oczy, widzę przed sobą jego twarz. Ale gdy czasami bardzo chcę go sobie przypomnieć, wtedy nie mogę. Natomiast Laura zginęła zaledwie parę tygodni temu. Utopiła się w wannie. Pijana chciała się wykapać, pośliznęła się, uderzyła w głowę i utonęła. Prawda, że to głupi rodzaj śmierci? Byłyśmy w tym samym wieku. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, nie zamieniłyśmy nawet jednego słowa. Nie mogę się uwolnić od myśli, że gdybym wtedy do niej zagadała, gdybym zachowała się inaczej, nie doszłoby do tragedii. Wiem, że dla pani to pewnie głupie gdybanie, ale mnie dręczy bezustannie.

Katherine Dowling pochyliła się nieco w moją stronę. Kosmyk włosów opadł jej na czoło, więc szybko zsunęła go z powrotem za ucho, ani na moment nie spuszczając ze mnie wzroku.

— Wciąż nie potrafię uwierzyć, że już nigdy ich nie zobaczę —  
ciągnęłam, sięgając po pierwszą chusteczkę z pudełka. — Oczywiście  
wiem, że nie żyją ale nie mogę się z tym pogodzić. Po prostu nie mogę —  
powtórzyłam bezradnie. — To jest ponad moje siły.

Wyciągnęłam drugą chusteczkę i otarłam oczy.

— Każdy z nas doświadcza tego samego po utracie kogoś bliskiego —  
zaczęła Dowling.

— To zegarek brata — przerwałam jej, wyciągając rękę ponad stołem. —  
Zostawił go na szafce przy moim łóżku i od tamtej pory go noszę. Ilekroć  
na niego spojrzę, przychodzi mi do głowy, że on już nigdy nie sprawdzi  
na nim godziny. Wszystkie sekundy, minuty i godziny upływają teraz dla  
mnie, ale nie dla niego. Zawsze myślałam, że zestarzejemy się razem.  
Sądziłam, że zdołam mu pomóc. Na pewno bym próbowała, był przecież  
moim ukochanym bratem...

Zanosłam się już od szlochów, ledwie mogłam mówić.

— Przepraszam — mruknęłam. — Ale to wydaje się niesprawiedliwe.

— Niesprawiedliwe dla ciebie?

— Nie, skądże. Przecież ja żyję, prawda. Należę do szczęśliwców. To jest  
niesprawiedliwe dla nich.

Zaczęłam nagle gadać jak najęta, wylewać z siebie potok słów będący  
efektem natłoku chaotycznych wspomnień i odczuć. Troy, Brendan,  
Laura, Kerry, moi rodzice, Nick, zwłoki wiszące pod belką sufitową,  
nocne telefony, zdania szeptane mi do ucha i sączące mi się do serca  
niczym trucizna, odwołany ślub, pogrzeby, najpierw jego, potem jej... Od  
czasu do czasu przerywałam, żeby wytrzeć łzy i wysiąkać nos w mokrą  
chusteczkę, którą odruchowo gniotłam w rękę. Policzki mnie paliły,  
skóra wokół nosa piekła i szczypały oczy.

— Czuję się, jakbym zarażała ludzi tyfusem — oznajmiłam w pewnym  
momencie. — Albo jak hiszpański żołnierz

specjalnie szerzący zarazę wśród amerykańskich Indian, żeby wyeliminować wszystkich mieszkańców Nowego Świata. Jestem jak...

— Co chcesz przez to powiedzieć, Mirando? — przerwała mi Dowling spokojnym, rzeczowym tonem.

— Ze jestem nosicielką — syknęłam, po raz kolejny ocierając łzy. — Nie rozumie pani? To byli dobrzy, mili ludzie, dopóki nie wciągnęłam ich do swego świata. Na tym właśnie polega mój problem, z którym nie umiem sobie poradzić. Ale był to też ich świat, a on go zaraził, zniszczył, zrujnował im życie. Tymczasem mnie nic nie jest. Sama pani widzi. Siedzę tutaj i wylewam swoje żale przed terapeutką w nadziei, że pomoże mi się z tym wszystkim pogodzić. W tym właśnie tkwi problem.

— Chwileczkę, teraz ty mnie posłuchaj, Mirando.

— Nie. To jeszcze nie wszystko. Muszę to w końcu z siebie wyrzucić, po prostu muszę. Sprawa przedstawia się następująco: Na świecie dzieje się wiele różnych odrażających rzeczy, prawda? I dlatego jest mi przykro. Ale pani zadaniem jako psychoterapeuty jest sprawić, żebym przestała mieć wyrzuty sumienia z tego powodu. A może raczej powinnam się pogodzić z tym całym okrucieństwem świata?

— Nie — odparła stanowczo.

— Dla mnie jest w tym coś narcystycznego, jeśli to właściwe określenie. To znaczy... gdyby zgłaszali się do pani ludzie, którzy cierpią na depresję z powodu ubóstwa, niepowodzeń życiowych albo niesprawiedliwości na świecie, a pani miałaby cudowny lek na ich zmartwienia, to czy przepisałaby go pani? Wolałaby pani rozdawać tabletki, które czyniłyby ludzi nieczułymi na zło tego świata, czy też nakłaniać ich do tego, by z nim walczyli?

Nastąpiła zastanawiająco długa cisza. Katherine Dowling prawdopodobnie zaczynała żałować, że w ogóle zgodziła się

mnie przyjąć. Jeszcze raz wydmuchałam nos i wyprostowałam się na krześle. Za oknem niebo miało wspaniałą jasnoblękitny odcień.

— Właśnie to... — wymierzyła we mnie palec — ...jest prawdziwą zgryzotą. Słyszysz, co do ciebie mówię?

— Nawet wykorzystałam mnie, żeby zapewnić mu pieprzone alibi — mruknęłam. — Boże, pewnie skręcał się ze śmiechu!

— Proszę posłuchać! — odezwała się takim tonem, że natychmiast osunęłam się trochę niżej. — Ludzie przychodzą do mnie ze swoimi problemami, a moim zadaniem jest najczęściej wskazanie im drogi do odzyskania porządku, wyłowienia z chaosu jakiegokolwiek kształtu, usystematyzowania opowieści w takim stopniu, żeby sami potrafili je zrozumieć. Ale w twoim wypadku muszę powiedzieć coś wręcz przeciwnego. Dopatrujesz się logiki tam, gdzie jej nie ma. Za wszelką cenę próbujesz znaleźć sens i wyjaśnienie, poukładać wszystko według własnych kategorii, żeby obarczyć kogoś odpowiedzialnością i winą. W ciągu paru ostatnich miesięcy straciłaś dwie bliskie osoby, które bardzo kochałaś. Równocześnie w twoim życiu zaszedł bolesny i niepokojący epizod z tym mężczyzną, Brendanem. I ze względu na zbieżność zdarzeń zaczęłaś je podświadomie ze sobą wiązać, traktować jak przyczynę i skutek. Rozumiesz mnie?

— Ale one naprawdę są ze sobą powiązane.

— Możemy dalej rozmawiać na temat tego, co przydarzyło się Brendanowi. Moim zdaniem byłoby to nawet pożądane. Możemy też rozmawiać o twoim żalu i domniemanych powodach tkwiącego w tobie poczucia winy. Ale tak czy inaczej, musimy się skupić na tobie, na tym, co dzieje się w twojej psychice po traumatycznych przejściach. Na pewno nie będziemy roztrząsać, dlaczego tych dwoje młodych ludzi musiało umrzeć w tak krótkim czasie. Umarli i to koniec. Możesz

jedynie żałować, że tak się stało. — Urwała na chwilę, po czym dodała łagodniejszym tonem: — Ale najpierw musisz do siebie dopuścić żal po ich śmierci, zamiast szukać wyjaśnień w najbliższym otoczeniu.

— Lecz jeśli...

— To wymaga czasu — dodała. — Nic nie przychodzi samo z siebie. Zamyśliłam się krótko nad jej słowami.

— Niekiedy mam wrażenie, że popadam w obłąd — odezwałam się w końcu. Czułam się jak szmaciana lalka na siłę usadowiana na krzeselku.

— Wcześniej wydawało mi się, że rozumiem swoje życie. Wszystko było poukładane. Byłam w stanie przewidzieć, co się wydarzy, i snuć plany.

Teraz jednak sądzę, że utraciłam nad nim kontrolę. Nic mi nie pasuje, jakby wszystko było wymierzone przeciwko mnie. To jak senny koszmar, z którego nie potrafię się obudzić. Ciągnie się i ciągnie wbrew mojej woli.

— Na ten temat też będziemy mogły porozmawiać. Nawet powinnyśmy. Zechcesz spotkać się ze mną jeszcze raz, Mirando?

Skinęłam głową.

— Tak. Chyba tak.

— To dobrze. Chętnie zobaczę się z tobą o tej samej porze w przyszłym tygodniu. A teraz, jak sama widzisz na zegarku brata, musimy się już pożegnać.

Zanim znalazłam sobie uzasadnioną wymówkę, przebrałam się w strój sportowy i po raz drugi wyszłam z domu tego wiosennego popołudnia. Jak zwykle pobiegłam na Heath. Na zboczu wzgórza minęłam to miejsce, w którym po raz ostatni widziałam Laureę, lecz nawet się nie zatrzymałam. Biegłam dalej, aż rozbolewały mnie nogi, zaczęło mnie piec w płucach i poczułam kolkę w boku.

Po powrocie do domu wzięłam prysznic i przyrządziłam sobie porcję makaronu z oliwą z oliwek, posiekaną dymką i parmezanem. Zjadłam go i rozejrzałam się dookoła. Wszystko było zaniedbane i szare od kurzu. Od pewnego czasu z trudem przedzierałam się przez własne życie, wracałam do domu tylko po to, by bez celu gapić się przez okno, a koło dziewiątej kłaść się do łóżka i spać kamiennym snem aż do rana. Przesypiałam ostatnio po dziesięć, jedenaście godzin na dobę, czasem nawet więcej, i nadal budziłam się półprzytomna, obolała, bez chęci do życia. Przypomniałam sobie, jak Katherine Dowling oskarżycielko wymierzyła we mnie palec i powiedziała: „To jest prawdziwa zgryzota”. Rzeczywiście pograżyłam się całkowicie w rozpacz i beznadziei. Wstałam od stołu i wstawiłam talerz do zlewu. Po krótkim namyśle zatkałam go korkiem, napełniłam ciepłą wodą z detergentem i zaczęłam myć okna, żeby wpuścić więcej światła.

## 29

Nazajutrz obudziłam się wcześniej i zanim jeszcze otworzyłam oczy, uświadomiłam sobie, że wstał cudowny ciepły dzień. W szparze między zasłonami przeświecał czysty błękit nieba. Nawet w pokoju było już ciepło. I po raz pierwszy od dłuższego czasu nie czułam się przemęczona i przytłoczona smutkiem, ale pełna energii, jakby czekał mnie dzień pełen wrażeń. Mimo że była to sobota i nie musiałam iść do pracy, wyskoczyłam z łóżka.

Zdjęłam poszewki, wsadziłam je do pralki i włożyłam strój do joggingu. Znów ruszyłam na Heath, ale tym razem do

dalszej, dzikszej części parku, gdzie stare drzewa rosną tak gęsto, iż łatwo sobie wmówić, że nie jest się w samym środku miasta rozciągającego się we wszystkich kierunkach i zamieszkanego przez miliony ludzi. Słońce, choć stało jeszcze nisko, nieźle przygrzewało. Wśród zarośli kwitły pierwiosnki i tulipany, na gałęziach drzew zieleniły się młode, jeszcze poskręcane listki. Biegłam ile sił w nogach, wreszcie przystanąłam, złana potem. Czułam się tak, jakbym poprzez wysiłek fizyczny oczyszczała swoje ciało, powodowała szybsze krążenie krwi, pewniejsze bicie serca, otwieranie się wszystkich porów skóry.

W pobliżu domu wstąpiłam do piekarni i kupiłam bochenek jeszcze ciepłego pełnoziarnistego chleba. Wzięłam krótki gorący prysznic, energicznie wymyłam włosy, po czym przebrałam się we flanelową koszulę i spódnicę. Założyłam też zegarek Troya, ale po raz pierwszy jego widok nie wzruszył mnie do łez. Zaparzyłam kubek miętowej herbaty, odłamałam sporą pajdę świeżego chleba i zaczęłam go jeść, żując powoli i delektując się wybornym smakiem. Potem odkurzyłam dywany, wytrzepałam poduszki leżące na sofie, poskładałam do kartonowego pudła stare gazety i czasopisma, po czym otworzyłam szeroko okna, żeby wpuścić świeże powietrze.

Bojąc się, że mogę zmienić zdanie, pospiesznie włożyłam żakiet i ruszyłam w kierunku stacji metra.

Kerry była już na swoim stanowisku, kiedy weszłam do biura. Przed nią siedziała jakaś klientka, przeglądała foldery i wypytywała o różne szczegóły, toteż siostra nie zauważyła mnie od razu, ale kiedy podeszłam bliżej, na jej twarzy odmalowała się dziwna mieszanina emocji: zaskoczenia, zakłopotania, smutku i radości. Szybko ustąpiła jednak miejsca zawodowej uprzejmości, gdy kobieta zadała kolejne pytanie. Przyglądałam się, jak Kerry pochyla się nad biurkiem i tłumaczy, wskazując palcem odpowiednie miejsca w opisie. Paznokcie miała pomalowane na jasnoróżowo. Wyglądała

dużo lepiej, niż się spodziewałam. Przywykłam już do tego, że jest blada i wymizierowana. Teraz policzki miała zaczerwienione i wyglądała na ożywioną. Znowu zaczęła zapuszczać włosy, które długimi blond pasmami okalały jej pociągłą twarz.

— Masz ochotę na kawę? — zapytałam, siadając na miejscu klientki, która w końcu odeszła, zabierając całe naręcze reklamówek.

Owionął mnie zapach perfum Kerry, subtelny i lekko słodka-wy. Policzki miała upudrowane na atlasowo, wargi błyszczące od szminki, a w uszach drobne złote kolczyki. Wszystko wskazywało na to, że znów zaczęła bardzo dbać o swój wygląd. Spojrzałam na swoje dłonie oparte o skraj biurka, na brudne i połamane paznokcie oraz lekko wystrzępione mankiety bluzki.

Kerry zawahała się i spojrzała na zegarek.

— Nie wiem, czy będę mogła.

— Idź śmiało — zachęciła ją koleżanka z sąsiedniego stanowiska. — Niedługo zrobi się szczyt i wtedy na pewno nie będziesz miała czasu. Siostra popatrzyła na mnie i lekko skinęła głową.

— Tylko wezmę płaszcz.

W milczeniu dotarliśmy do odległej o kilkadziesiąt metrów kawiarni. Z zamówioną kawą zeszliśmy do sali w suterenie, gdzie były sofy i głębokie fotele. Usiadliśmy przy stoliku i niepewnie popatrzyliśmy na siebie znad parujących filiżanek. Zdawkowo zapytałam ją o nowe mieszkanie, które niedawno wynajęła, a ona rzuciła kilka uwag na temat nawału pracy, po czym zapadła krępująca cisza.

— Wybacz, że tak długo się nie odzywałam — zaczęłam w końcu.

— Byłaś zajęta. Lekceważąco machnęłam ręką.

— Nie o to chodzi.

— Domyślam się.

— Po prostu nie wiedziałam, jak zacząć...

— Mirando...

— Powiedziałaś mi coś... Krótco po tym... no, wiesz, po odejściu Brendana... Powiedziałaś wtedy, że twoje życie legło w gruzach, a on tylko rozrzucił parę ostatnich kamieni. Coś w tym rodzaju.

— Nie pamiętam. — Odstawiła filiżankę i utkwiała wzrok w pozostawionych na niej śladach szminki.

— To zrozumiałe. Dlaczego miałabyś to pamiętać? Sama nie wiem, z jakiego powodu utkwilo mi to w pamięci. Pewnie ze względu na moją pracę, bo i ja oczyma wyobraźni widziałam, jak niszczy wszystko dokumentnie, obracając nasze życie w kupę gruzów. A tak przecież zrobił.

— W ogóle nie powinnaś sobie zawracać nim głowy, Mirando — rzekła.

— Lepiej o nim zapomnij.

— Co? — Popatrzyłam na nią zdumiona.

— Ja tak zrobiłam. Wykreśliłam go ze swojego życia. I już nigdy więcej nie chcę o nim myśleć.

Zupełnie mnie to zaskoczyło.

— Po tym wszystkim, co się stało... — zająknęłam się. — Co dotknęło ciebie i mnie, całą naszą rodzinę... Co spotkało Troya...

— Przecież to nie ma nic do rzeczy.

— I Laureę...

— Sądysz, że nie przejęłam się śmiercią Laury?

— Skądże znowu.

— Myślisz, że ucieszyła mnie wiadomość o jej wypadku? Ze przyjąłam to jak zemstę losu?

— Nie, nic podobnego — zaprotestowałam.

— Tak jednak było. Przynajmniej w pierwszej chwili. Nienawidziłam Laury i w skrytości życzyłam jej wszystkiego, co najgorsze, a kiedy to się w końcu stało, na krótką chwilę ogarnęło mnie uczucie triumfu. Ale zaraz poczułam się okrop-

nie, jakbym była odpowiedzialna za jej śmierć. — W jej oczach na moment zapłonęły błyski wściekłości, lecz szybko znów ustąpiły miejsca wyrazowi przygnębienia. — W każdym razie... uzmysłowiłam sobie, że to już nie moja sprawa, i postanowiłam jak najszybciej o wszystkim zapomnieć.

— Więc nie chcesz w ogóle rozmawiać na ten temat?

— Nie. Pragnę tylko wrócić do normalnego życia.

— I naprawdę nie zastanawiałaś się nad tym? Nie miałaś ochoty zrozumieć, dlaczego tak się stało?

— Zrozumieć? — Zamrugnęła szybko. — Nasz brat popełnił samobójstwo, a narzeczoną odszedł ode mnie.

— Ale...

— To nie znaczy, że nie przeżywałam koszmaru. Chcę tylko powiedzieć, że według mnie wszystko jest jasne i nie ma o czym rozmawiać.

Przez parę sekund siedziałam ze spuszczoną głową. Całe to zamieszanie, fala silnych emocji, nienawiści i desperacji, jaka zalała naszą rodzinę, to wszystko przeminęło i znów zapanował spokój.

— Co będzie z nami? — zapytałam w końcu.

— Z nami?

— Z tobą i ze mną. Przecież jesteśmy siostrami.

— A co ma być?

— Znienawidziłaś mnie.

— Nieprawda — odparła szybko.

— Obwiniłaś mnie.

— No, może troszeczkę. — Sięgnęła po filiżankę i jednym haustem dopiła kawę. — Ale to już przeszłość. Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś... — Na szczęście nie dokończyła.

— Jestem trochę przygnębiona.

— To zrozumiałe.

Czułam, że nie mogę zakończyć naszej rozmowy w ten sposób.

— Och, Kerry... Chcę, żeby między nami układało się jak najlepiej... —  
Urwałam, zrozumiawszy, że brzmi to jak naiwne życzenie niedoroślej  
smarkuli, która doszukuje się chłodu w matczynych pocałunkach. —  
Moim zdaniem, pewne rzeczy powinnyśmy sobie wyjaśnić do końca.  
— Nie musisz mi niczego wyjaśniać.  
— A więc nie wątpisz, że nigdy nie byłam zakochana w Brendanie.  
Nigdy. Wyrzuciłam go za drzwi i...  
— Przestań, Mirando — syknęła zde gustowanym tonem.  
— Lepiej niech zostanie tak, jak jest.  
— Nie, posłuchaj. Musisz zrozumieć, że nigdy nie próbowałam  
ingerować w to, co było między wami. Nigdy. Bardzo się cieszyłam z  
twojego szczęścia. Naprawdę. To on... — Słowa uwięzły mi w gardle,  
gdy zrozumiałam, jak to musiało wypaść. — No cóż, jak sama  
powiedziałaś, to już bez znaczenia. Wszystko skończone. Zniknął  
zarówno z mojego, jak i twojego życia. W gruncie rzeczy chciałam tylko  
sprawdzić, jak się czujesz. I przekonać się, czy między nami wszystko  
jest w porządku. To byłoby straszne, gdybyśmy mu pozwoliły, żeby nas  
na dobre rozdzielił.  
— Tak, masz rację — przyznała, lecz bez przekonania. Pochyliła się niżej  
nad stolikiem i po raz pierwszy uśmiechnęła się skąpo. — Muszę ci coś  
wyznać.  
— Co?  
— Nie wiem tylko, czy to wypada. Po tym, jak Troy... no, wiesz...  
myślałam, że już nigdy nie zaznam szczęścia. Ale sprawy potoczyły się  
błyskawicznie. — Zarumieniła się lekko.  
— Poznałam kogoś.  
— To znaczy, że...  
— Jest bardzo sympatyczny — dodała pospiesznie. — Trochę starszy ode  
mnie, ale najwyraźniej bardzo mu zależy...  
Uścisnęłam jej obie dłonie.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę — odparłam z zapałem. — Mam tylko nadzieję, że nie jest to żaden z moich znajomych?

Nędzna namiastka dowcipu nie trafiła na podatny grunt.

— Nie. Jest zastępcą dyrektora szpitala. Ma na imię Laurence. Będziesz musiała go poznać.

— Wspaniale.

— Wie wszystko...

— To oczywiste.

— I tak bardzo różni się od... no, wiesz...

— Jasne. To bardzo dobrze. Cudownie.

— Mama i tata już go polubili.

— Jeszcze lepiej — rzuciłam mechanicznie. — Naprawdę, tak się cieszę, że jesteś szczęśliwa.

— Dziękuję.

Kupiłam olbrzymi bukiet tulipanów, żonkili oraz irysów i wskoczyłam do autobusu, który zatrzymywał się kilkaset metrów od domu rodziców.

Rusztowania od frontu zniknęły, drzwi aż lśniły od świeżej granatowej farby. Zapukałam i nastawiłam ucha w oczekiwaniu na reakcję. Ostatnio o tej porze dnia nigdzie nie wychodzili. Po powrocie z pracy matka zasiadała przed telewizorem, a ojciec spędzał długie godziny w ogrodzie, wyrывał chwasty z rabat kwiatowych i naprawiał domki dla ptaków wiszące na starych owocowych drzewkach.

Nikt jednak nie odpowiedział. Obeszłam róg domu i przytknęłam nos do szyby kuchennego okna. Urządzona od nowa, wydała mi się całkiem obca. Błaty połyskiwały nierdzewną stalą, ściany były pomalowane na biało, pod sufitem dostrzegłam szereg małych punktowych lampek. Na stole stał ulubiony kubek ojca, na talerzyku obok złożonej gazety leżały skórki pomarańczy. Ujrzałam w wyobraźni, jak powoli i starannie

nacina pomarańczę, obiera ją ze skórki, rozdziela na cząstki, zjada i popija drobnymi łyżkami kawy, ze zmarszczonymi brwiami czytając gazetę. Dobrze mi znane elementy klóciły się z całkiem obcym otoczeniem.

Wciąż miałam swoje klucze, toteż wygrzebałam je z dna torebki i otworzyłam tylne drzwi. Znalazłam w kuchni wazon, nalałam do niego wody i wstawiłam kwiaty. Na talerzyku obok skórek leżało kilka cząstek pomarańczy. Zjadłam je w zamyśleniu, wyglądając na ogród, gdzie jeszcze kilka miesięcy temu piętrzyły się sterty gruzu i elementy starych szafek kuchennych, a teraz ciągnęły się starannie rozplanowane i wypielęgnowane rabaty. Po chwili usłyszałam kroki na schodach.

— Halo? — doleciał z holu głos matki. — Kto tu jest? Kto tam?

— Mama? To ja.

— Miranda?

Była w szlafroku. Włosy miała w nieładzie, a oczy zapuch-nięte od spania.

— Jesteś chora? — zapytałam.

— Chora? — Przeciągnęła dłońmi po twarzy. — Nie. Tylko trochę zmęczona. Derek wyszedł po sznurek do podwiązania krzewów w ogrodzie, postanowiłam więc zdrzemnąć się nieco przed lunchem.

— Przepraszam, nie chciałam cię budzić.

— Nic nie szkodzi.

— Przyniosłam ci kwiaty.

— Dziękuję — mruknęła, ledwie na nie zerknąwszy.

— Może zrobię herbaty albo kawy?

— Z przyjemnością się napiję. — Przycupnęła na brzeжку krzesła.

— Na co masz ochotę?

— Słucham?

— Wolisz kawę czy herbatę?  
— Co ty wolisz. Mnie wszystko jedno.  
— W takim razie będzie kawa — powiedziałam. — A potem zabiorę cię na spacer.  
— Nie pójdę na spacer, Mirando. Mam trochę pilnych zajęć.  
— Mamo...  
— Nadal cierpię. Mogę się uwolnić od tego cierpienia tylko w czasie snu. Chwycałam jej rękę i przytuliłam do swego policzka.  
— Zrobię wszystko, abyś poczuła się lepiej. Wzruszyła ramionami. Zagwizdał czajnik.  
— Już za późno na cokolwiek — odparła.  
— Kochałem ją — powiedział Tony.  
Pił już trzecie piwo w krótkim czasie i język zaczynał mu się trochę plątać. Odnosiłam wrażenie, że całkiem oklapł i stracił energię. Policzki miał obwisłe, przetłuszczone włosy spadały na kołnierz, na koszuli z przodu ciemniały plamy po kawie, a zaniedbane paznokcie wręcz dopominały się obcięcia.  
— Naprawdę ją kochałem — powtórzył.  
— Wiem.  
— Co zrobiłem źle?  
— Nie możesz patrzeć na sprawę w ten sposób — rzekłam bez przekonania.  
— Wiem, że niezbyt często jej to mówiłem, ale przecież powinna była wiedzieć, że ją kocham.  
— Wydaje mi się... — zaczęłam nieśmiało.  
— Aż tu nagle... — zająknął się i jednym haustem dopił piwo. — Ni stąd, ni zowąd odeszła, zostawiła mi tylko wiadomość na stole. Pragnąłem wtedy jej śmierci i rzeczywiście umarła.

— Jedno z drugim nie ma żadnego związku, łączysz te wydarzenia tylko w wyobraźni.

— Twój pieprzony Brendan... Zauroczył ją. Obiecywał jej złote góry.

— A konkretnie co?

— No, wiesz... Burzliwy romans, ślub, dzieci... To wszystko, co było przedmiotem naszych kłótni przez ostatnich kilka miesięcy.

— Rozumiem.

— Przecież w końcu i tak bym się na wszystko zgodził. O tym też powinna doskonale wiedzieć.

Nie odpowiedziałam, pociągnęłam łyżeczek wina. Przypomniałam sobie, że gdy Laura śmiała się w głos, odchyłała głowę do tyłu i otwierała szeroko usta, jej oczy błyszczały wtedy równie mocno jak bielusieńkie zęby.

— Teraz nie żyje.

— Nie żyje.

W niedzielę znów wyruszyłam na jogging: dziesięć kilometrów w nieprzyjemnej mżawce. Potem umówiłam się na kawę z Carłą, która też dobrze знаła Laurę i miała ochotę poświęcić godzinę na bolesne rozdrapywanie ran i uzalanie się nad okrutnym losem.

Później szybko uporałam się ze służbowymi rozliczeniami. Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Nie wiedziałam, co zrobić z wolnym czasem. Nie miałam ochoty z kimkolwiek się spotykać, ale nie chciałam też siedzieć sama. Przejrzałam starą korespondencję. Spakowałam i wyniosłam do śmietnika ubrania, których nie używałam od lat. Przejrzałam całą pocztę elektroniczną i wykasowałam te mejle, których nie chciałam trzymać.

Wreszcie zadzwoniłam pod numer komórkowy Billa i poprosiłam go o rozmowę. Nawet nie zapytał, czy to nie może

poczekać do jutra. Odparł tylko, że jest w Twickenham, ale koło szóstej powinien być już w domu. Umówiliśmy się na spotkanie w barze niedaleko Kings Cross, niegdyś modnym i wiecznie zatłoczonym, teraz jednak mało popularnym, za to tanim, sprzedającym koktajle, mrożoną herbatę i kawę z ekspresu.

Wykąpałam się po raz drugi i przebrałam w dzinsy oraz prostą białą bluzkę zapinaną na guziki. Zjawiłam się na miejscu piętnaście minut przed czasem. Kiedy przyszedł Bill, po ojcowsku cmoknął mnie w czoło i wcisnął się w wąską przestrzeń po drugiej stronie stolika. Sobie zamówił pikantny sok pomidorowy, ja poprosiłam o Krwawą Mary dla dodania sobie odwagi. Stuknęliśmy się szklaneczkami. Zapytałam, jak mu minął weekend, ale uniósł w górę wskazujący palec i rzekł:

— O co chodzi, Mirando?

— Chcę zmienić pracę.

W zamyśleniu pociągnął łyk soku, odstawił szklanekę i odparł:

— Moim zdaniem to całkiem niezły pomysł.

— Słucham?! — syknęłam ze złością, próbując pohamować łzy cisnące się do oczu. — To ja od dawna zbieram się na odwagę, żeby ci o tym powiedzieć, a ty oznajmiasz krótko, że to niezły pomysł?!

— Bo tak uważam.

— I nie zamierzasz prosić, żebym została?

— Potrzebna ci zmiana otoczenia.

— Dokładnie to samo pomyślałam.

— I dystans do wszystkich spraw rodzinnych.

— Mówisz, jakbyś sam nie należał do tej rodziny.

— Dzięki.

— To miał być komplement.

— Tak, wiem.

— Mam wrażenie, że w moim życiu zapanował jeden wielki, niedający się ogarnąć bałagan, od którego jak najszybciej muszę się uwolnić.

— Co zamierzasz robić?

— Spróbuję znaleźć pracę w jakiejś firmie zajmującej się zarządzaniem wewnątrz. Wydaje mi się, że mam wystarczająco rozległe kontakty. Chcesz, bym dostarczyła ci formalne trzymiesięczne wypowiedzenie? Zechcesz napisać mi referencje?

— Co miałbym napisać? Że znam Mirandę Cotton od kołyski? Takie referencje masz na myśli?

— Coś w tym rodzaju. — Z trudem przełknęłam ślinę, wciąż tylko obracając w palcach szklaneczkę z drinkiem.

— Lepiej nie bierz mnie pod włos, dobrze? Przecież i tak będziemy się widywali. Bo chyba nie zamierzasz wyjechać z miasta?

— Myślałam i o tym.

— Naprawdę chcesz się wyprowadzić z Londynu?

— Niewykluczone.

— Aha. — Znów podniósł szklanekę z sokiem. — W takim razie powodzenia. Zawsze wyznawałem zasadę, że w niektórych sytuacjach dobrze jest spalić za sobą wszystkie mosty.

— Tak, wiem. I jeszcze coś, Bill.

— Słucham.

— Nigdy nie byłam zakochana w Brendanie. Nasz związek wyglądał zupełnie inaczej, niż wszystkim się wydaje.

Wzruszył ramionami.

— Nie miałem o nim najlepszego zdania. Sposób, w jaki ścisnął mi rękę na powitanie, i jak w rozmowie trzy razy wymieniał moje imię w jednym zdaniu...

— To znaczy, że mi wierzysz?

— Jak najbardziej — odparł z lekkim uśmiechem. — No, może do pewnego stopnia.

— Dzięki. — Znowu poczułam łyzy pod powiekami. W gardle mnie ścisnęło z wdzięczności. — Chyba zamówię od razu drugą Krwawą Mary.

— Ja lepiej wrócę do domu. Pij sobie, ile chcesz, tylko nie zapomnij, że jutro o ósmej zaczynamy pracę w nowym domu.

— Nie martw się, będę punktualnie o ósmej. Wstał i jeszcze raz cmoknął mnie w czoło.

— Uważaj na siebie.

### 30

Zrobiłam to w końcu. Nie przyszło mi łatwo, ale ostatecznie zgłosiłam swoje mieszkanie do sprzedaży. Działalam jak w transie, bez głębszego zastanowienia. Okazało się to jednak dużo łatwiejsze od wielu innych rzeczy w moim życiu. Szybko przyjechał młody mężczyzna z notatnikiem, zaczął się rozglądać i wychwalać moje mieszkanie w porównaniu z innymi ofertami. Oznajmił, że jego firma bierze za pośrednictwo trzy procent prowizji. zaproponowałam natychmiast dwa procent i zgodził się po krótkim wahaniu. Jeszcze tego samego ranka pojawiła się kobieta chętna do zakupu. Była trochę podobna do mnie, ale wyraźnie lepiej sytuowana i poważniejsza. Miała dobrą pracę, była lekarzem. Oprowadzając ją, starałam się patrzeć na mieszkanie jej oczyma. Usunęłam z niego tyle rzeczy, że było teraz wręcz spartańsko urządzone, przez co wyglądało na bardziej słoneczne i większe niż w rzeczywistości.

W końcu z uśmiechem orzekła, że czuje tu pozytywne wibracje, że mieszkanie musi mieć dobre feng shui. Wzięłam głębszy oddech i przytaknęłam skwapliwie, choć wciąż tkwił mi przed oczami widok Troya wiszącego pod belką sufitową.

Pół godziny później zadzwonił agent handlu nieruchomościami z informacją, że pani Rebecca Hanes zaproponowała cenę o dziesięć tysięcy niższą od wywoławczej. Nie zgodziłam się. Zaczął tłumaczyć, że obecnie na rynku panuje zastój, odparłam jednak, że nic mnie to nie obchodzi. Drugi raz zadzwonił już po dziesięciu minutach. Klientka zaakceptowała moją cenę, ale chciała się wprowadzić natychmiast. Uznałam, że nikt nie będzie mnie poganiał, i odparłam, że lokal będzie wolny w ciągu miesiąca. Rzekł, że taki warunek może stanowić pewien problem, lecz kilka minut później zadzwonił po raz kolejny i przekazał zgodę klientki. Kiedy odkładałam słuchawkę, spojrzałam na swoje odbicie w lustrze i pomyślałam, że chyba na tym właśnie polega sekret negocjacji handlowych. A może i sekret ludzkiego życia? Wygrywa ten, kto przywiązuje mniejszą od innych wagę do załatwianych spraw. Bo to przecież było moje zwycięstwo.

Doszłam do wniosku, że posunęłam się dość daleko w procesie odcinania się od dawnego życia, nie zrobiłam jednak nic w kierunku ułożenia sobie nowego. Zdjęłam z półki stary szkolny atlas i otworzyłam go na mapie zatytułowanej „Południowa Anglia i Walia”. Ogarniało mnie coraz większe podniecenie na myśl, że uzyskałam całkowitą swobodę. Nie miałam żadnej bliższej rodziny poza Londynem. Mogłam się przenieść dokądkolwiek. Przyszło mi na myśl, że mogę na mapie zakreślić koło wokół Londynu. Tylko jak duże? O średnicy pięciu centymetrów? Dziesięciu? A nie lepiej zamieszkać nad morzem? Tylko którym? W mieście czy na wsi? Całkiem na odludziu? A może na wyspie? W chacie krytej strzechą? Na barce? W wieży strażniczej? Starej latarni morskiej? Wolność otwierała się przede mną niczym przepaść pod stopami. Już teraz się nią zachłystywałam. Obralam jednak niewłaściwy kierunek. Trzeba było pomyśleć o pracy. Musiałam najpierw znaleźć posadę, może nawet niejedną. Powinnam

zatem wykonać parę telefonów. Ale nie byłam pod żadną presją. Wywalczyłam sobie miesiąc swobody kosztem miłej klientki. Postanowiłam, że codziennie będę się kontaktować z dwiema osobami mogącymi pomóc mi w znalezieniu pracy. Usiadłam nad notatnikiem i po pięciominutowym zastanowieniu sporządziłam listę, na której znalazło się tylko jedno nazwisko, niejakiego Eamonna Olshina, który niedawno skończył podyplomowy kurs architektury. Zadzwoiłam do niego i zapytałam, czy moglibyśmy się spotkać, bo chciałam się go poradzić w sprawie możliwości znalezienia dobrej pracy. Ku memu zaskoczeniu zgodził się z wyraźnym zapałem, niemal entuzjazmem. Od tak dawna postrzegałam cały świat jako wrogi i zdradziecki, że byłam szczerze zaskoczona, gdy ktoś ochoczo zgadza się mi pomóc. Dodał, że to zabawne, bo sam od dłuższego czasu szukał pretekstu, żeby się ze mną skontaktować, i zapytał, co u mnie słychać. Kiedy odpowiedziałam wymijająco, rzekł, że dziś wieczorem będzie gościł grupę przyjaciół na kolacji, więc może bym przyszła. W pierwszej chwili chciałam odrzucić zaproszenie, bo pomyślałam, że po ujawnieniu swoich planów, wyjdę na kogoś, kto na gwałt potrzebuje pomocy. Ale w końcu naprawdę jej potrzebowałam. Może nie natychmiast, ale już w najbliższym czasie. Uderzyła mnie też brutalna prawda. Do kogo w innych okolicznościach zwróciłabym się ze swoimi problemami? Oczywiście do Laury. Dlatego zgodziłam się przyjść na kolację, usiłując zamaskować desperackie tony w moim głosie.

Eamonn mieszkał w Brixton. Zamierzałam się trochę spóźnić, by nikt nie myślał, że jestem w sytuacji podbramkowej, ale pomyliłam drogę, więc spóźnienie nabrało cech katastrofy. Wykombinowałam sobie, że muszę wyglądać na swobodną i rozluźnioną, tyle że musiałam aż pięć razy pytać ludzi

o drogę, co skończyło się sprintem osiedlowymi uliczkami, a potem jeszcze wspinaniem się na ostatnie piętro, w efekcie, krótko przed dziewiątą stanęłam przed drzwiami, dyszałam jak koń po biegu, byłam spocona i rozczochrana. Przy stole siedziało osiem osób, z których dwie lub trzy słabo znałam z widzenia. Eamonn przedstawił mnie kolejno swoim gościom. Zaczął od swojej narzeczonej Philippy, co przyjąłam z ogromną ulgą, bo to oznaczało, że naprawdę chciał się ze mną zobaczyć w sprawach zawodowych. Ale zanim odzyskałam jasność myśli, umknęły mi nawet imiona pozostałych. Byli już w połowie kolacji, toteż oznajmiłam butnie, że zaraz nadrobię zaległości. Nałożyłam sobie symboliczną porcję lasanii. Siedziałam obok Eamonna, więc od razu przedstawiłam mu pokrótce swoje plany. Przyjął je z uznaniem, zakładając jednak, że szukam pracy w Londynie. Kiedy wyjaśniłam, że chcę się wynieść z miasta, najlepiej na prowincję, zdziwił się niepomernie.

— Dokąd? — zapytał. — I po co?

— Po prostu muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

— Jasne. W takim razie weź sobie tydzień urlopu. Wyjedź gdzieś, rozerwij się. Tylko nie myśl o wyprowadzce. Twoje miejsce jest w Londynie. Cała reszta Anglii jest... — urwał, jakby nie mógł sobie przypomnieć właściwego określenia — ...po to, żeby robić wyprawy na łono przyrody albo przelatywać nad nią w czasie podróży samolotem.

— Kiedy ja mówię zupełnie poważnie.

— Ja też — odparł. — Nie możemy sobie pozwolić na utratę takiego fachowca. Zrozum, ludzie z całego świata ukrywają się w ładowniach statków, kontenerach i pod przyczepami ciężarówek, byle tylko dostać się do Londynu. A ty zamierzasz z niego uciec. Nie wolno ci tego robić. Philippa popatrzyła na niego, unosząc wysoko brwi.

— Przecież już powiedziała, że myśli o tym całkiem poważnie.

Być może doszła do wniosku, że Eamonn jest dla mnie podejrzenie uprzejmy. W każdym razie natychmiast spuścił z tonu i obiecał porozmawiać ze swoim szefem, zapytać go, czy nie zna kogoś z branży, kto „okazał się na tyle kiepski, że nie wytrzymał londyńskiej konkurencji”. Gawędziliśmy jeszcze przez jakiś czas, a gdy rozmowa przygasła, poczułam lekkiego kuksańca w bok. Po mojej drugiej stronie siedział facet, którego twarz od początku wydawała mi się znajoma. Oczywiście nie pamiętałam jego imienia, gdy on, jak na złość, świetnie pamiętał moje.

— Wspaniale znowu cię widzieć, Mirando — rzeki.

— David! A niech mnie!... — wykrzyknęłam.

Nie poznałam go, bo miał teraz bardzo krótko ostrzyżone włosy i drobny wąsik. Pogroził mi palcem.

— Pamiętasz, gdzie się ostatni raz spotkaliśmy?

— Zaraz... Chyba...

— Jak rozbijałaś tyłkiem lód na lodowisku w Alexandra Palace.

Serce zabiło mi mocniej. Ależ tak. Był w tej grupie znajomych, kiedy poznałam Brendana. Jak miałam to potraktować? Jako karę boską? Nie było mi więc dane choć na jeden wieczór oderwać się od wspomnień o nim?

— Tak, masz rację — odparłam. Zaśmiał się krótko.

— To był wspaniały dzień. Człowiek miałby ochotę częściej spędzać czas w ten sposób, bo nigdy nie ma się dość. Nie podobały ci się piruety na lodzie?

— Nie czułam się zbyt pewnie na łyżwach, dlatego... Zauważyłam, jak nagle zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć jakieś szczegóły. O Boże, pomyślałam, tylko nie to!

— Czy przypadkiem?... — zająknął się. — Chyba słyszałem od kogoś, iż nawiązałaś wtedy bliższą znajomość z kimś z naszej grupy.

Rozejrzałam się szybko i aż odetchnęłam z ulgą, stwierdziwszy, że rozmowa na temat perspektyw mieszkania poza wielkim miastem toczy się dalej przy stole bez mojego udziału.

— To prawda — odparłam. — Ale na krótko.

— Jak on się nazywał? Naprawdę nie było innych tematów?

— Brendan. Brendan Błock.

— O, właśnie. Dziwny facet. Spotkałem go tylko parę razy. Był starym kumplem jednego z moich znajomych, lecz... — David znowu się zaśmiał. — Chyba wypadł z obiegu. Zdaje się, że to jeden z tych, o których krążą dziwne, zdumiewające opowieści.

Zapadło milczenie. W głębi ducha zdawałam sobie sprawę, że powinnam natychmiast skierować rozmowę na inne tory. Mogłam go zapytać, gdzie mieszka w Londynie, czym się zajmuje, czy jest żonaty, gdzie wybiera się na urlop — dosłownie o wszystko z wyjątkiem tego, o co strasznie chciałam zapytać.

— Na przykład jakie?

— No, sam nie wiem — mruknął. — Naprawdę dziwne, dotyczące rzeczy, na które mało kto by się odważył.

— Masz na myśli jakieś niezwykle, bohaterskie wyczyny?

— Nie. Takie, które uznałabyś za dowcip, gdybyś nie wiedziała, że on to naprawdę zrobił.

— Nie rozumiem.

David skrzywił się lekko, jakby i on chciał zmienić temat.

— Nie jesteście już razem, prawda?

— Nie. Jak powiedziałam, to była bardzo krótka znajomość.

— No więc słyszałem niesamowitą opowieść od kogoś, kto chodził z nim do college'u.

— Z tego, co mi wiadomo, skończył Cambridge, prawda?

— Może później, bo do college'u chodził bodajże gdzieś w Midlands. I był niezłym krętaczem. W ogóle się nie uczył. Najwyraźniej jego metodą na uzyskanie matury było powielanie prac kolegów z klasy. No i kiedyś nauczyciel angielskiego tak się wściekł na to przepisywanie, że postawił mu pałę. Brendan dowiedział się podobno, gdzie on mieszka, zakradł się późnym wieczorem i zauważył, że w stojącym przed domem samochodzie jest niedomknięte okno. Otworzył je szerzej, włożył gumowe rękawiczki... no, wiesz, takie grube, jak do zmywania... a potem przez całą noc krążył po okolicy, zbierał psie gówna i przez otwarte okno wrzucał do samochodu.

— Obrzydliwy pomysł.

— Ale popisowy, nie sądzisz? Nadawałby się do telewizyjnego reality show. Wyobrażasz sobie minę właściciela, który wychodzi rano z domu, otwiera drzwi samochodu, a ze środka wysypuje się sterta psich bobków? I spróbuj potem wyczyścić takie auto, pozbyć się smrodu.

— To wcale nie jest zabawne. Raczej przerażające.

— Nie ja to wymyśliłem — odparł. — Zresztą, nawet nie znałem bliżej Brendana. Ale słyszałem o nim jeszcze jedną opowieść związaną z psem, tylko nie jestem pewien szczegółów. Zdaje się, że większą paczką wynajmowali cały domek jednorodzinny i sąsiad strasznie działał im na nerwy. Samotny zrzędlawy staruch miał psa, kudłatego zaniedbanego kundla, który całymi dniami biegał po ogrodzie i bez przerwy szczekał, doprowadzając wszystkich do szału. A Brendan podobno znakomicie radził sobie ze zwierzętami. Mój przyjaciel opowiadał, że kiedyś na ulicy rzucił się w ich stronę groźny rottweiler, a pięć sekund później Brendan drapał go pod brodą i tarmosił za uszy. Tak więc przywabił jakoś tego kundla i przywiązał go za wywrotkę na pobliskiej budowie. Wszyscy

myśleli, że tylko tak się drażni i zaraz go odwiąże, ale nie. Przyszedł kierowca, wsiadł i odjechał, ciągnąc ujadającego wciąż psa za wozem. Prawda, że to idiotyzm?

— Zatem ten samotny staruszek stracił psa?

— Brendan tłumaczył, że chce sprawdzić powszechną opinię, że psy potrafią odnaleźć drogę powrotną do domu nawet z dużej odległości. Znowu rozejrzałam się wokół stołu, przy którym teraz panowała cisza. Wszyscy słuchali Davida.

— Zwyczajne okrucieństwo — podsumowała dziewczyna siedząca naprzeciwko mnie.

— Muszę przyznać, że wypadło to dużo mniej zabawnie, niż sądziłem. W każdym razie ten facet uchodzi za niezłego kawalarza, ale raczej nikt nie chciałby być obiektem jego dowcipów. Lepiej o nich tylko słuchać. — Powiódł wzrokiem po twarzach ludzi przy stole i dodał: — A może nawet lepiej o nich nie słyszeć.

Kiedy znowu wywiązała się dyskusja na inny temat, David pochylił się do mnie i rzekł półgłosem:

— Nie życzę nikomu, żeby miał w kimś takim wroga. A jeśli już, to lepiej trzymać wszystkie okna szczelnie zamknięte, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

— Jednej rzeczy nie rozumiem. Jak można się z kimś takim przyjaźnić? Popatrzył na mnie z ukosa.

— Przecież mówiłem, że nawet nie znam go bliżej.

— Jego zachowanie wskazuje na skłonności psychopatyczne.

— Przyznaję, że niektóre z tych opowieści mogą się wydać niesmaczne, ale Brendan sprawiał wrażenie normalnego faceta, kiedy go poznałem. Całe jego środowisko jest dla mnie obce. W każdym razie ty powinnaś je lepiej znać. W końcu... z nim chodziłaś.

To znaczy: spałaś. Bo przecież to chciał powiedzieć. Zaczepnęłam głęboko powietrza. Nie byłam już w stanie nad sobą zapanować. Ogarniała mnie furia. Nie byłam tylko pewna, na kogo bardziej powinnam się wściekać.

— Żałuję, że nie słyszałam tych teoretycznie zabawnych opowieści o Brendanie, zanim zaczęłam się z nim spotykać

— powiedziałam, siląc się na spokój.

— Pewnie by cię odstraszyły.

— Oczywiście, że by mnie odstraszyły, do cholery.

— W końcu jesteśmy dorośli — rzekł filozoficznie. — Sami musimy decydować, z kim chcemy się zadawać, a z kim nie.

— Ale ja o niczym nie wiedziałam. Na miłość boską, sądziłam, że jestem w gronie dobrych przyjaciół. Teraz czuję się tak, jakbym dostała samochód bez hamulców.

— Przecież wtedy nawet nie przyszło mi do głowy, żeby cię przestrzec. Widziałem tylko, że z nim rozmawiałaś. Dopiero później dowiedziałem się od kogoś, że jesteście razem.

— I pomyślałeś, że dobrana z nas para?

— Na pewno nie wybrałbym go dla ciebie, Mirando. Gdybyśmy przeczuwali, że coś się święci, pewnie ktoś by ci szepnął parę słów. Zresztą, teraz to bez znaczenia, skoro już się nie spotykacie, jak sama powiedziałaś.

— A ja uważam, że jednak ma znaczenie — odparłam.

— Chcesz wiedzieć, co myślę o ludziach, których uważałam za przyjaciół, a którzy spokojnie dopuścili, abym się wdała w rozmowę z człowiekiem mającym na sumieniu zapełnienie samochodu nauczyciela psimi gównami, i to tylko dlatego, że dosta! pałę?

— Przykro mi — mruknął David. — Wtedy w ogóle o tym nie myślałem.

— Czyim był przyjacielem?

— Słucham?

— Powiedziałaś, że był starym kumplem jednego z twoich znajomych. Którego?

— Czemu pytasz?

— Z ciekawości. Zamyślił się na chwilę.

— Jeffa — odparł. — Jeffa Locke'a.

— Masz numer jego telefonu? Uśmiechnął się krzywo.

— Czyżbyś chciała odzyskać z nim kontakt? Spojrzałam na niego, a uśmiezek natychmiast zniknął mu

z twarzy. Wyjął portfel i zaczął w nim grzebać.

### 31

Kiedy się obudziłam, byłam zlanea potem, a serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Musiałam mieć koszmarne sen, ale minęło parę sekund, zanim zdołałam go sobie przypomnieć. Najpierw skojarzyłam, że dotyczył tonięcia, ale nie w wodzie, tylko w czymś gęściejszym. Przypomniałam sobie, że przed zanurzeniem się pod powierzchnią rozglądałam się gorączkowo i dostrzegłam na brzegu grupę osób, które rozmawiały i zaśmiewały się w głos. Rozróżniłam wśród nich swoją matkę, dawną przyjaciółkę z podstawówki; której imię wyleciało mi z pamięci, jak też samą siebie, nie wiadomo skąd siedzącą w tym gronie. Leżałam bez ruchu, próbując opanować ciarki chodzące mi po plecach w miarę, jak przypominałam sobie sen. Był tam również Troy. Wyraźnie ujrzałam przed oczyma jego twarz, śmiertelnie bladą, i szeroko rozwarte usta, które się poruszały, tyle że nie wydobywał się spomiędzy nich żaden dźwięk.

Po chwili usiadłam i naciągnęłam kołdrę na ramiona. Minęła dopiero czwarta, między zasłonami do sypialni przesączał się pomarańczowy blask ulicznych latarni przemieszany ze srebrzystą poświatą księżyca. Czekałam w przerażeniu, aż moje serce się uspokoi, tłumaczyłam sobie, że to tylko senny koszmar, który przecież nic nie znaczy, stanowi zestaw oderwanych obrazów pojawiających się w ludzkim mózgu. Niemniej ogarnął mnie paniczny lęk przed powtórным zaśnięciem, bo nie mogłam zapomnieć widoku twarzy brata bezgłośnie wzywającego pomocy. W końcu wygrzebałam się z pościeli, włożyłam szlafrok i podreptałam do łazienki. Moje odbicie w lustrze miało czoło zroszone potem i posklejane włosy, chociaż dygotało z zimna. Wytarłam twarz ręcznikiem i poszłam do kuchni, żeby przygotować kubek gorącego kakao, z którym wróciłam do łóżka i zdjęłam z półki przewodnik po Londynie. Odnalazłam właściwą część planu miasta i mrużąc oczy, zaczęłam odczytywać nazwy bocznych uliczek. Kiedy odnalazłam tę, której szukałam, odłożyłam otwarty przewodnik na poduszkę, ułożyłam się obok niego i zamknęłam oczy. Pomyślałam, że wkrótce wstanie świt, zaczną śpiewać ptaki i rozpocznie się nowy dzień.

Musiałam być w Bloomsbury o wpół do dziewiątej, toteż wstałam o wpół do siódmej, włożyłam szorty i sportową koszulkę, na wierzch wciągnęłam bluzę. Wypiłam duszkiem dwie szklanki wody i wyszłam z domu. Ruch był jeszcze niewielki, toteż w ciągu kwadransa dojechałam Seidon Avenue do autostrady E8. Znalazłam się na szerokiej alei biegnącej przez osiedle wieżowców i niższych domów wielorodzinnych, w gruncie rzeczy niepodobnej do wielkemiejskiej alei. Kiedy odnalazłam budynek pod numerem dziewiętnastym, zajrzałam jeszcze raz do planu miasta, by mieć absolutną pewność, że dobrze zapamiętałam drogę, a następnie ściągnęłam bluzę i wysiadłam. Powietrze było nadal chłodne i rześkie, nad linią hory-

zontu wisiała lekka mgiełka. Zrobiłam sobie kilkuminutową przebieżkę tam i z powrotem po ulicy, żeby się rozgrzać i rozluźnić mięśnie, szykując się do właściwego startu.

Spojrzałam na zegarek, była 7.04. Po kilku głębszych oddechach ruszyłam pełnym gazem, najpierw w prawo do równoległej uliczki, potem znów w prawo, wreszcie bitą drogą biegnącą skrajem osiedla wzdłuż odkrytego terenu. Po dotarciu do bramy przeciwpożarowej skręciłam na osiedle, przecięłam rozległy parking i wynurzyłam się na jego drugim końcu. Skręciłam w wąską uliczkę biegnącą między garażami i za wiaduktem nad torami kolejowymi skręciłam w lewo, w ślepy zaułek, a na jego końcu w wąską ścieżkę, która doprowadziła mnie do kładki dla pieszych nad torami. Dokładnie wiedziałam, gdzie jestem. Bywałam tu setki razy. Wbiegłam w następną osiedlową uliczkę, skręciłam w prawo i zatrzymałam się, ciężko dysząc. Byłam na Kirkcaldy Road, gdzie mieszkała Laura, niedaleko jej domu. Spojrzałam w jej okna. Zasłony były rozsunięte, ale nie paliły się światła. Spojrzałam na zegarek, była 7.11. Zajął mi to siedem minut.

Odczekałam mniej więcej minutę, po czym ruszyłam z powrotem tą samą trasą. Tym razem jej pokonanie zabrało mi niewiele ponad sześć minut. Gdybym pojechała samochodem, ten kawałek zająłby mi ze dwadzieścia minut, najpierw krętymi uliczkami, potem wzdłuż torów kolejowych i wreszcie objazdem okrążającym rozległy plac budowy. Alejkami tylko dla pieszych, w poprzek ogrodzonego osiedla i przez nieużytki, których w ogóle nie było widać z okien samochodu, droga była co najmniej o trzy czwarte krótsza. Nawet spacerem nie zajmowała dwadzieścia minut. Punktualnie o ósmej zjawiłam się w mieszkaniu w Blooms-bury i weszłam do środka, otworzywszy drzwi kluczem, który dostałam od Billa. Miałam tu wycyklinować podłogi. Nie było

to moje ulubione zajęcie, bo cykliniarka hałasowała jak diabli i wzbijała w powietrze chmury pyłu. Starannie pozasłaniałam regały arkuszami folii, włożyłam ochronne słuchawki i maseczkę zakrywającą nos i usta, po czym przez trzy godziny chodziłam tam i z powrotem po olbrzymim salonie, usuwając nagromadzony przez dziesięciolecia ciemny osad z podłogi i przywracając klepkom oryginalny, ciepły miodowy kolor. Kiedy wreszcie skończyłam, kucnęłam na środku pokoju i przeciągnęłam palcami po podłodze, na której ujawniły się na nowo słoje drewna. Doszłam do wniosku, że polakierowa-na powinna wyglądać wspaniale. Wyprostowałam się, ściągnęłam słuchawki oraz maseczkę i otrząsnęłam się z pyłu jak pies po wyjściu z wody. Otworzyłam okno, żeby wpuścić świeże powietrze, ale też szum ruchu ulicznego. Pozamiatałam pył i dokładnie odkurzyłam cały pokój, zwracając uwagę, by sięgnąć końcówką odkurzacza we wszystkie kąty i usunąć kurz z każdej szczeliny między klepkami.

Po ściągnięciu folii z regału spostrzegłam, że właściciel mieszkania ma niezwykłą bibliotekę. Pierwszą półkę zajmowały wydania ogólne — dwa opasłe atlasy, kilka słowników i encyklopedii, wielki atlas ptaków śpiewających i drugi, bliźniaczy, o rozmaitych drzewach. Gdy zaczęłam odkurzać drugą półkę, moją uwagę przyciągnęły tytuły specjalistycznych pozycji: *Osobowość uzależnionych*, *Ambiwalencja macierzyństwa*, *Stany psychiatryczne u dzieci*, *Przejawy obsesji erotycznych w medycynie sądowej*, a zwłaszcza bardzo grube zielone tomisko noszące tytuł *Podręcznik psychofarmakologii klinicznej*. Wyłączyłam odkurzacz i zdjęłam z półki książkę zatytułowaną *Erotomania i seksualizacja tortur*. Otworzyłam na chybił trafił i zaczęłam czytać: „W strukturze niszczenia należy przyjąć fundamentalne rozróżnienie między zawilnością takich związków a...”. Szybko przeciągnęłam ręką po twarzy. Cóż to mogło oznaczać, do diabła? Aż w głowie mi zaszumiało od

wysiłku umysłowego. Usiadłam na podłodze i przerzuciłam parę kartek. W oczy wpadł mi cytat z Karola Marksa: „Jest tylko jedno lekarstwo na cierpienia psychiczne — ból fizyczny”. To prawda?

Usłyszałam za sobą jakiś hałas i odwróciłam się, zaskoczona. Moje zdumienie nie miało granic. Zakładałam, że właściciel mieszkania jest w pracy. Tymczasem nie tylko był w domu, ale jeszcze miał na sobie kraciatą flanelową piżamę, jakiej nie widziałam od czasu, gdy we wczesnym dzieciństwie odwiedzałam dziadka. Jak mógł spać w sąsiednim pokoju, gdy tak hałasowałam cykliniarką? Zresztą, wyglądał, jakby się zbudził po kilkumiesięcznej hibernacji. Miał długie kręcone włosy, choć słowo „rozczochrane” wydawało się mało adekwatne do opisu stanu, w jakim się znajdowały. Przeciągnął po nich dłońmi, tylko dodatkowo pogarszając swój wygląd.

— Szukam papierosa — bąknął. Podałam mu paczkę z regału.

— I zapalek.

Ich pudełko leżało na kolumnie głośnikowej. Zapalił, kilka razy zaciągnął się głęboko, po czym rozejrzał się dookoła półprzytomnym wzrokiem.

— Nie zamierza mi pan chyba powiedzieć, że pomyliłam mieszkania — odezwałam się.

— Pani nie jest Billem.

— Nie. Poleciał mi tę robotę. — Spojrzałam na zegarek. — Obudziłam pana? Nie miałam pojęcia, że ktoś tu jest.

Zrobił zdziwioną minę, jakby i on nie wiedział, że tu jest.

— Późno się położyłem — odparł. — Muszę iść do pracy dopiero na dwunastą.

Jeszcze raz spojrzałam na zegarek.

— W takim razie mam nadzieję, że to niedaleko, bo zostało panu tylko trzydzieści pięć minut.

— Owszem. Blisko.

— Ale i tak groźba spóźnienia jest bardzo realna.

— Nie mogę się spóźnić. Ludzie będą na mnie czekać. Muszę z nimi porozmawiać.

— Prowadzi pan wykłady?

Zaciągnął się dymem, spojrzął na mnie spod przymrużonych powiek i przytaknął ruchem głowy.

— Ciekawa książka?

— Ja tylko... — Spojrzałam na trzymany podręcznik, zamknęłam go szybko i odstawiłam na miejsce.

— Może napijemy się kawy? — zapytał.

— Nie, dziękuję.

— Chodziło mi o to, czy mogłaby pani zaparzyć dla mnie, zanim się ubiorę?

Miałam już na końcu języka, że nie jestem służącą, ale dotarło do mnie, że najwyraźniej bardzo mu tego potrzeba. Skrzywił się, pociągnąwszy łyk gorącej kawy.

— Zostało panu tylko dwadzieścia pięć minut — ostrzegłam.

— To po drugiej stronie placu. — Teraz oczy miał przynajmniej szeroko otwarte. — Świetna robota — rzekł, spoglądając na wycyklinowaną podłogę. — Choć muszę przyznać, że ani trochę się na tym nie znam.

— To nie moja zasługa, tylko cykliniarki — odparłam. — Przepraszam, że grzebałam w pańskich książkach.

— Od tego przecież są.

— Jest pan lekarzem?

— Mniej więcej.

— Ciekawe — mruknęłam od rzeczy.

Nie mogłam zapomnieć o Brendanie znoszącym przez całą noc psie gówna i wrzucającym je przez okno do samochodu. I miałam świeżo w pamięci swój sen, a przynajmniej jego drobne fragmenty, które wpływały na powierzchnię świadomości niczym drobne rybki polujące wieczorem na owady.

— Mam na imię Don.

— Wiem. Ja jestem Miranda. — Upiłam łyk kawy mającej smak czekoladowy. — Zajmuje się pan chorobami psychicznymi?

— Owszem.

— Na pewno wkurza pana, gdy ludzie zadają różne głupie pytania, ale czy i ja mogę o coś spytać?

— Słucham.

— Chodzi o pewnego mężczyznę, o którym słyszałam różne rzeczy. To znajomy mojego przyjaciela. — Włożyłam herbatnika do ust. — Daleki znajomy — dodałam z pełnymi ustami.

— Tak, rozumiem — odparł z lekkim ironicznym uśmiechem.

— W gruncie rzeczy niewiele o nim wiem. — Przynajmniej to było prawdą.

Zaczęłam pokrótce opowiadać mu o Brendanie. Zaczęłam od głupiego dowcipu z psimi gównami, wreszcie doszłam do historii z odkręconym kranem i zatkanej wanny.

— Kiedy ona wróciła do domu i zastała zalane mieszkanie — mówiłam — mając absolutną pewność, że to nie ona...

Don powstrzymał mnie, unosząc rękę.

— Chwileczkę — rzeki i przypalił następnego papierosa.

— O co chodzi?

— To byłaś ty, zgadza się?

— No cóż... Prawdę mówiąc, tak.

— To dobrze.

— Dlaczego?

— Już się martwiłem, że samochód pełen psich bobków to twoje dzieło.

— Nie, naprawdę mówię o mężczyźnie.

— Zawsze mogłaś zmienić płęć. Choćby dla zamaskowania śladów.

— To wcale nie jest śmieszne.

— Słucham dalej.

Podjęłam przerwana relację. Opowiedziałam mu wszystko, choć zdawałam sobie sprawę, że spieszy się na wykład. Zdobyłam się nawet na szczerłość i powiedziałam, jak Brendan szeptał mi na ucho o swoim pragnieniu spuszczenia mi się w usta. Wreszcie na końcu dodałam o tragicznych wypadkach Troya i Laury, ale tylko mimochodem, gdyż bałam się, że znów zacznę płakać. Kiedy skończyłam, sięgnęłam po kubek i jednym haustem dopiłam całkiem już wystygłą kawę.

— Więc co o tym myślisz? — zapytałam, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego serce wali mi jak młotem.

— O kurwa — mruknął.

— Mam to uznać za twoją fachową opinię?

— Lepiej unikaj jakichkolwiek kontaktów z tym człowiekiem.

Prychnęłam pogardliwie.

— Do takiego wniosku potrafiłam dojść sama. Teraz chciałabym wiedzieć, czy on jest psychopatą czy mógł popełnić morderstwo.

Uniósł obie dłonie w geście protestu.

— Trochę za wcześnie na takie osądy — rzekł.

— Moim zdaniem, raczej za późno.

— Nie chcę wygłaszać pompatycznych kwestii i mówić, że musiałbym przeprowadzić własne dochodzenie, żeby wygłosić fachową opinię co do tego człowieka. I nie chcę też na tym etapie zasypywać cię specjalistycznymi, klinicznymi określeniami. Musisz zrozumieć, że w ten sposób nie załatwia się takich spraw. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy taki typ zachowań może wskazywać, że mamy do czynienia z mordercą.

— Potencjalnym mordercą — sprostowałam.

— Zazwyczaj bieg spraw jest odwrotny. To znaczy, gdybyśmy mówili o człowieku, któremu udowodniono winę za określone akty przemocy, wcale bym się nie zdziwił, że wcześniej obserwowano u niego takie zachowania, jakie opisałaś.

— No to jesteśmy w domu.

— Nic podobnego — odparł. — To prawda, że niemal wszyscy mordercy jeszcze przed popełnieniem zbrodni wykazują objawy dysfunkcji behawioralnej. Ale podobne objawy wykazuje też mnóstwo ludzi, a olbrzymia większość z nich nigdy nie posuwa się nawet do lżejszych przestępstw.

— Gdyby jednak miało się okazać prawdą, że popełnił morderstwo, o co poważnie go podejrzewam, nawet jeśli nikt się ze mną nie zgadza, to byłby skończony, prawda? Tylko czy nadal jest niebezpieczny?

Pociągnął łyk kawy.

— Na razie operujesz samymi podejrzeniami — rzekł.

— Nie jesteśmy w sądzie, więc chyba mogę do woli szermować podejrzeniami. Chciałabym jeszcze wiedzieć, czy on może się wypalić.

— Usłyszałam, że głos mi się lekko łamie, i odchrząknęłam dla niepoznaki.

Don pokręcił głową.

— Przykro mi — odparł — ale nie potrafię tego przewidywać. Kiedy ludzie podejmują skrajne działania, dopuszczają się zbrodni, potem stają przed sądem i otrzymują wyrok, wówczas psychologowie i psychiatrzy mają pole do popisu, mogą przeprowadzać swoje testy i wygłaszać autorytatywne opinie. A w takim wypadku można znaleźć ekspertów zarówno popierających daną tezę, jak też stanowczo jej przeciwnych.

— Wielkie dzięki — mruknęłam posepnie, podnosząc wzrok. Dopiero teraz uderzyły mnie przyjemne rysy jego pociągłej twarzy, kasztanowy odcień włosów i nadzwyczaj przyjazne spojrzenie.

— W każdym razie, trzymaj się od niego z dala — powtórzył.

— Jasne.

— Poza tym wszystko w porządku?

— Sama nie wiem. — Wstałam i gwałtownie zamknęłam okno, odcinając nieustający szum ruchu ulicznego. W mieszkaniu nagle zapanowała martwa cisza. Spojrzałam na zegarek. — Zostały ci tylko cztery minuty.

— To lepiej już pójdę. Nie wyglądasz na uszczęśliwioną.

— A co miało mnie uszczęśliwić? Świadomość, że może to nie morderca, tylko zwykły czubek? — Zaczęłam składać arkusze folii ochronnej. — Trudno czuć się dobrze, gdy siedzi się na brzegu rzeki, w której toną ludzie.

Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale najwyraźniej się rozmyślił.

— O czym będziesz miał ten wykład? Zmarszczył brwi i odparł z ociąganiem:

— O bardzo rzadkim syndromie psychologicznym. Nadzwyczaj rzadkim. Do tej pory zaobserwowano go jedynie u czworga ludzi.

— Więc jaki jest sens robić na ten temat wykład? Wyraźnie zbiłam go z tropu.

— Gdybym zaczął sobie zadawać tego typu pytania, to powinienem szybko zmienić zawód.

Wybrałam się na kolejne spotkanie z terapeutką Katherine Dowling.

Przez dłuższy czas siedziałam w milczeniu, próbując podjąć decyzję: czy samotnie zmagam się z całym światem, czy tylko z własną wyobraźnią?

Kiedy wreszcie spojrzałam na zegarek, minęło dziesięć minut.

Opowiedziałam jej więc swój sen.

— Jakie to ma dla ciebie znaczenie? — spytała.

— Że chciałabym kontynuować sesję z panią, ale po kilkutygodniowej przerwie.

— Dlaczego?

— Bo najpierw sama muszę dojść do ładu z wieloma sprawami.

— Sądziłam, że nasze spotkania mają ci w tym pomóc.

— Owszem, ale nie potrafię jasno myśleć w tych warunkach.

Wyszłam już po trzydziestu minutach. Ale i tak musiałam zapłacić za pełną sesję.

*Wcale się nie zabiłeś, prawda? Dla mnie to oczywiste. Nawet przez chwilę nie powinnam mieć w tej kwestii żadnych wątpliwości. Nie zabiłeś się tak samo, jak Laura nie upadła w wannie i nie uderzyła się w głowę, co było przyczyną utonięcia. Wiedziałam to od samego początku. Dlatego teraz nie daje mi spokoju pytanie, co mam robić, Troy? Przecież nie mogę po prostu o wszystkim zapomnieć, prawda?*

*Nie. To wykluczone.*

*Co dziwne, chyba powinnam się bać, ale się nie boję. Ani trochę. Prawdę mówiąc, wcale nie dbam o siebie. Ani o swoje bezpieczeństwo. Czuję się tak, jakbym stała na skraju przepaści, wystawiając się na uderzenia porywistego wiatru, i było mi wszystko jedno, czy spadnę czy też nie.*

*Czasem mam wrażenie, że chyba nawet wołałabym spaść.*

*Mam nadzieję, że to nie potrwa długo, a Ty nigdy się nie dowiesz prawdy. Bo nie zniosłabym, gdybyś ją poznał.*

Nie mogłam sobie odpuścić. Byłam jak pszczoła kręcąca się wokół ula. Nie, to złe porównanie. Ule są dla pszczół schronieniem. Byłam raczej jak ul, który ma świadomość, że gdzieś tam kręci się w kółko jedna pszczoła. Albo jak ćma lecąca do... Nie, to jeszcze gorsze porównanie. Miałam kiedyś chłopaka, który interesował się owadami, co nawiasem mówiąc, nas poróżniło. Już na naszej pierwszej randce powiedział, że ćmy wcale nie są wabione przez płomienie, że to zwykła bujda. Cmia bujda.

Dokładnie tak się wyraził. Siedzieliśmy wtedy w klubie studenckim i był wściekły. Nasz związek od samego początku nie miał większych szans. No bo jak można się związać na dłużej z chłopakiem, który zaczyna rozmowę z dziewczyną od cytowania ciekawostek na temat ciem? Teraz, czyli mniej więcej po pięciu latach, wydawało mi się zabawne, że zapamiętałam tylko, iż miał na imię Marc i opowiadał interesujące rzeczy o ćmach, co kazało mi się natychmiast odkochać. Bo przecież naprawdę były to bardzo interesujące rzeczy.

Oczywiście, próbowałam mu wytłumaczyć, że nie ma racji. Kiedyś nocowałam z całą rodziną na kempingu i świetnie pamiętałam te chmary ciem oraz komarów, które tłukły się wokół lampy zawieszanej przez ojca na wysokiej tyczce przed na-

miotem. Ale Marc z uporem kręcił głową. Twierdził, że to złudzenie, bośmy tylko orientują się w terenie względem księżyca, to znaczy zawsze starają się go widzieć pod tym samym kątem, a gdy przez pomyłkę wezmą zapaloną lampę za księżyc, to będą w kółko latały wokół niej. W praktyce objawia się to tak, że zbliżają się do niej spiralnym torem, nie ma to jednak nic wspólnego z przyciąganiem przez światło. Zwyczajny błąd w nawigacji. Pamiętam, że na krótko dało mi to do myślenia. Pewnie i ja byłam już na niego zła, bo uciełam krótko, że tak czy inaczej,ómom nie wychodzi to na dobre, ostatecznie i tak kończą w płomieniach.

— Kto by się przejmował cholernymi ómami! — odparł Marc.

Uznałam to za kolejny zły znak: okrucieństwa w stosunku do zwierząt. Niemniej musiałam wtedy uznać, że ómy faktycznie wcale nie lecą do ognia. Poeci i pieśniarze bardzo się mylili. Nie zmieniało to jednak faktu, że płomienie nie wpływają dobrze na los ómiej populacji. Nie dało się też ukryć, że miałam mnóstwo do zrobienia, tak w zakresie szukania pracy i nowego lokum, jak też w ogóle podejmowania ważnych życiowych decyzji, czego chyba nie da się uczynić całkiem sensownie, zawsze w jakimś stopniu przypomina to rzucanie monetą. Mimo tej świadomości otworzyłam szafę i wyciągnęłam z kieszeni zakietu skrawek gazety, na którym David zapisał numer telefonu — numer znajomego, który tamtego feralnego dnia był na lodowisku i dobrze znał Brendana: Jeffa Locke'a.

— Brendan Block? Ten dziwak, który zawsze zamawia pizzę z egzotycznymi, niezbyt przyjemnie pachnącymi dodatkami?

— Naprawdę uważasz go za dziwaka?

— Jasne.

— Więc dlaczego mnie przed nim nie ostrzegłeś?  
— Przecież nie jestem policjantem. Zresztą z tego co słyszałem, w końcu się ożenił.  
— Ale ona nie żyje.  
— Kto? Jego żona?  
— Owszem. Była moją przyjaciółką.  
— Przykro mi.  
— Nie twoja wina. Jak go poznałeś? Zamyślił się na chwilę.  
— Jeśli dobrze pamiętam, przez Leona, który od dawna się z nim przyjaźnił. Nie mam jego telefonu, ale wiem, gdzie pracuje.  
— Leon Hardy?  
— Zgadza się.  
— Staram się dotrzeć do Brendana Błocka.  
— Do niego? No cóż, słabo go znam. Ale Craig powinien wiedzieć o nim coś więcej.  
— Jaki Craig?  
— McGreevy. Pracuje w hurtowni filmów idiosynkratycznych w Islington.  
— Cześć. Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Miranda Cotton i jestem przyjaciółką Brendana Błocka. Muszę się z nim pilnie skontaktować. Mógłbyś mi pomóc?  
— Nie jestem pewien. Od dawna go nie widziałem. Ale mam jego numer. Nie umiałam powstrzymać drwiącego uśmiechu, gdy podyktował mi przez telefon numer Brendana.  
— Już próbowałam. Jest nieaktualny. Nie znasz nikogo, kto mógłby mi pomóc? Jak się poznaliście?  
Na parę sekund zapadła cisza, do czego zdążyłam już przywyknąć. Nie wiedziałam tylko, czy zawsze tak jest z przyjaciół-

mi, czy to specyficzna cecha znajomych Brendana. Kiedy jednak ja wspominałam swoich przyjaciół, mogłam dokładnie powiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach ich poznałam — w szkole albo w college'u, przez koleżanki ze szkoły albo jakichś dalszych krewnych. Tylko w wypadku Brendana wszyscy wyraźnie się wahali, jakby nie wiadomo skąd pojawił się w ich życiu i nie byli pewni, jak do tego doszło. W końcu Craig McGreevy podał mi kilka nazwisk i numerów telefonów. Pod pierwszym nikt nie odbierał, ale we wszystkich kolejnych wypadkach dostawałam kontakt do kogoś innego, ten zaś odsyłał mnie jeszcze do kogoś innego, aż w końcu dodzwoniłam się do niejakiego Toma Lanhama, który na samo brzmienie imienia Brendana zapytał:

— Chodzi ci o jego rzeczy?

— Jakie rzeczy?

— Zostało po nim kilka kartonowych pudeł różnych rupieci. Miał je wkrótce zabrać, ale minął już rok.

— Mieszkaliście razem?

— Owszem, był tu przez jakiś czas, ale potem się wyprowadzi! i od tamtej pory nie daje znaku życia. Jesteś jego przyjaciółką?

— Tak. Właśnie próbuję go odnaleźć. Zdaje się, że będę w stanie ci pomóc z tymi rupieciami. Mogłabym je zabrać.

— Poważnie? To byłoby cudowne. Do dzisiaj stoją w kącie pokoju. Nie mam pojęcia, co z nimi zrobić.

— Kiedy mogłabym po nie przyjechać i porozmawiać?

— Kiedy chcesz. Nawet dzisiaj.

Ten nieskrywany zapach dał mi do myślenia. Ciekawe, ile tego było.

— Gdzie mieszkasz?

— W Islington. Niedaleko Essex Road. Wytlumaczę ci dokładnie, jak tu trafić.

W ogóle nie chciał słyszeć odmowy, toteż zapisałam wszystkie szczegóły i trzy godziny później zapukałam do jego drzwi. Tom najwyraźniej dopiero co wrócił z pracy, wciąż miał na sobie garnitur z poluzowanym krawatem i był starannie uczesany. Zapewne pracował gdzieś w centrum. Ja byłam ubrana w swój roboczy kombinezon. Uśmiechnął się szeroko na mój widok.

— Przepraszam, ale nie miałam czasu się przebrać — powiedziałam. Wprowadził mnie dalej i zaproponował drinka, ale poprosiłam o kawę. Przystąpił do spektakularnego procesu obejmującego mielenie ziaren i zaparzanie w sączku umieszczonym bezpośrednio w kubeczku, lecz zrobił bardzo dobrą kawę, tak mocną, że aż się skrzywiłam, pociągnąwszy pierwszy łyk. Sobie nalał odrobinę wina do olbrzymiego kieliszka.

— A więc nie wiesz, gdzie mogę odnaleźć Brendana? — zaczęłam.

— Po co szukasz z nim kontaktu?

— Bo martwię się o niego — odparłam. Uśmiechnął się.

— A ja myślałem, że jest ci winien pieniądze.

— Dlaczego?

— Bo i mnie jest winien.

— Za co?

— Nic wielkiego. Obiecywał, że będzie się dokładał do czynszu i opłat za ogrzewanie i telefon, ale nigdy nie wyłożył na ten cel nawet pensa. Znalazł sobie jakąś pracę, bodajże przy produkcji filmu, i od tamtej pory nie widziałem go na oczy.

— Przy produkcji filmu? — zdziwiłam się.

— Mówił, że będzie pomagał przy wyborze lokalizacji plenerów.

— Kiedy to było?

Tom upił łyk wina. Wcale mi go nie było żal. Nie wyglądał na człowieka, dla którego pieniądze mają podstawowe znaczenie.

— Jakiś rok temu — odparł. — Naprawdę chcesz zabrać jego rzeczy?

— Mogłabym mu je przekazać przy najbliższej okazji.

— To wspaniale. Już się zastanawiałem, czy nie wystawić ich na śmietnik. Znalazłem nowego lokatora do jego pokoju, pozgarniałem więc wszystkie rzeczy do kartonowych pudełek po winie. To tylko stare rupiecie.

— Uwolnię cię od nich.

— Dlaczego to robisz? — zapytał.

— To trochę tak, jak z jego długiem wobec ciebie. Tyle że w moim wypadku nie chodzi o pieniądze.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

— Pewnie nie powinienem wtykać nosa w nie swoje sprawy?

Zmusiałam się do lekceważącego uśmiechu, jakby nie miało to większego znaczenia.

— Posłuszę się twoimi słowami: Nic wielkiego.

Wciąż spoglądał na mnie podejrzliwie, aż zrobiło mi się trochę głupio.

— Dasz się zaprosić na obiad? — zapytał w końcu.

— Przepraszam, ale... — Przez chwilę gorączkowo szukałam w myślach wymówki, lecz zaraz uprzytomniłam sobie, że to zbędne — ...po prostu nie mogę.

W ogóle mnie nie kusiło. Nie podobał mi się nawet jego garnitur. Ale przede wszystkim paliłam się do przejrzenia rzeczy zostawionych przez Brendana, najwyraźniej już mu niepotrzebnych. Tom pomógł mi przenieść jeden karton do samochodu, po czym poprosił mnie o numer telefonu. Podałam mu. Wydawało mi się to bez znaczenia. Zresztą i tak wkrótce miałam się wyprowadzić.

Jak tylko dotarłam do domu, wysypałam zawartość obu pudeł na podłogę w saloniku i zaczęłam przeglądać. Mój początkowy zapal szybko wygasł, gdy przekonałam się, że to faktycznie tylko sterta rupieci, niewiele mających wspólnego z rzeczami osobistymi. Byłam rozczarowana. Tego typu śmieci można było znaleźć w pokoju dowolnej osoby, aż mnie zdziwiło, że Tom nie wywalił ich od razu na śmietnik. Kilka pożółkłych gazet, reklamówka wczasów w Grecji, parę książek w kieszonkowych wydaniach, pojedyncza brązowa sznurówka do buta, plan Londynu, tani zegarek na plastikowym pasku, kilka czystych kaset magnetofonowych. Było też sporo listów, ale w większości ofert reklamowych, zachęcających do brania kart kredytowych i pożyczek, niemal bez wyjątku nawet nieotwartych. Do tego garść zaschniętych długopisów bez skuwek, dziecięce plastikowe nożyczki, kilka kartonowych podkładek od piwa, tani kalkulator, mała latarka bez baterii, stosik spinaczy do papieru, plastikowa buteleczka z kroplami do oczu. Stanowiło to zbiór całkiem przypadkowych rzeczy, mało ważnych, niemających nic wspólnego z osobowością właściciela.

Moją uwagę przyciągnęła tylko kartka w linie, prawdopodobnie wyrwana z małego notesu. Koślawym dziecięcym pismem było na niej zapisane: „Nan u św. Cecylii”. Poniżej znajdował się adres w Chelmsford oraz numer pokoju.

Ledwie spojrzałam na tę notatkę, od razu pożałowałam, że wpadła mi w ręce. Gdybym nadal miała tak serdeczną przyjaciółkę jak Laura, i ona siedziałaby teraz przy mnie, na pewno by zapytała, co robię. A ja bym odpowiedziała, że nie wiem. Wtedy rzuciłaby zapewne: „Przecież z nim skończyłaś. Daj sobie spokój. Dlaczego nadal się nim interesujesz?”. „Bo czuję się, jakbym w zoo przez nieuwagę otworzyła klatkę i pozwoliła uciec groźnemu zwierzęciu. Podrapało mnie i po-

gryzło, a teraz jest na wolności. Powinam więc cieszyć się, że nic mi się więcej nie stało, i wrócić do normalnego życia, czy też może wziąć za nie odpowiedzialność?". A ona by odpowiedziała: „Przecież to nie ty wypuściłaś je na wolność. Tylko się na nie natknęłaś. Miałaś pecha. Jeśli nawet dopuściło się strasznych rzeczy, to przecież już ci nie zagraża. Więc co chcesz zrobić? Jechać aż do Chelmsford na spotkanie z kimś, kogo nie znasz, w dodatku z powodów, których nie rozumiesz?”.

W tym momencie na pewno zamyśliłabym się na dłużej i w końcu odrzekła: „Bardzo żałuję, że ten facet, Tom, nie wywalił tych wszystkich gratów do śmietnika i nie zapomniał o całej sprawie. Ale wciąż wracam myślami do całej tej grupy, którą przed rokiem spotkałam na lodowisku. Wszyscy wiedzieli, że z Brendanem coś jest nie tak. W każdym razie powinni zdawać sobie z tego sprawę, do cholery. Widzieli na własne oczy, jak mnie podrywa, a mimo to pozwolili, żebym z nim została. Co najmniej dwie osoby z tego grona uważałam za przyjaciół, a przyjaciele w takiej sytuacji powinni mnie przed nim ostrzec”.

Moja serdeczna przyjaciółka zapytałaby: „I dlatego teraz zaprzątasz sobie głowę ludźmi, których nie znasz i których zapewne nigdy więcej nie spotkasz?”.

Na co ja bym jej niewątpliwie odpowiedziała: „Owszem. To głupie, prawda?”.

Miałam wrażenie, że sam Bóg postanowił mnie zniechęcić. Lało przez całą podróż autostradą A12, potem przegapiłam zjazd, bo właśnie patrzyłam na mapę rozpostartą na kolanach. Następnie miałam kłopoty z odnalezieniem domu starców pod wezwaniem świętej Cecylii, a gdy w końcu ujrzałam posepne, obmurowane otoczkami gmaszysko na skraju osiedla domków jednorodzinnych, okazało się, że muszę zaparkować w sąsiedniej uliczce, toteż dotarłam na miejsce przemo-

czona. Ledwie otworzyłam ciężkie drzwi, uderzyła mnie mieszanina nieprzyjemnych zapachów, których nie była nawet w stanie zamaskować intensywna woń środków myjących i odkażających. Za biurkiem w recepcji nikogo nie było. Rozejrzałam się bezradnie. Drugie drzwi prowadziły na korytarz, gdzie otyła sprzątaczką w niebieskim nylonowym fartuchu zmywała podłogę. Ilekroć wkładała mop do blaszanego wiadra z wodą, rozlegał się donośny brzęk, jakby nie potrafiła w nie wcelować. Kiedy odchrząknęłam głośno, podniosła głowę i spojrzała na mnie.

— Dzień dobry — zagadnęłam. — Czy jest tutaj pani Błock?  
Strzelałam w ciemno, bo nie wiedziałam, co może oznaczać „Nan”.

— Nie — odparła tamta.

— Na imię ma Nan — podsunęłam.

— Nie znam żadnej Nan — burknęła i wróciła do przerwanej pracy.

Wyciągnęłam z kieszeni kartkę z notesu.

— Zajmuje pokój numer trzy w skrzydle Lepparda. Sprzątaczką wzruszyła ramionami.

— Tam mieszka pani Rees. Prosto korytarzem do schodów i na pierwsze piętro, gdzie jest sala telewizyjna. O tej porze na pewno ogląda telewizję. Ruszyłam na górę. W otwartej sali telewizyjnej trzy staruszki i jeden mężczyzna oglądali program dotyczący gotowania. Czwarta kobieta siedziała bokiem do telewizora i patrzyła w okno.

— Czy jest tu pani Rees? — zapytałam.

Popatrzyli na mnie ze złością, poirytowani, że im przeszkadzam.

— Jest w swoim pokoju — odezwała się po chwili jedna staruszka. — Ostatnio rzadko wychodzi.

Jakby pobyt w sali telewizyjnej rzeczywiście oznaczał wyjście.

W pokoiku pod numerem trzecim stało tylko łóżko i mały stolik w rogu, przy nim jedno krzesło. Przy drzwiach znajdował się zlew z kranem, pod nim kosz na śmieci. Okno z szybą pękniętą w dolnym rogu wychodziło na rozległy skwer. Kobieta siedziała przy stoliku tyłem do wejścia. Miała na sobie szlafrok. Zbliżyłam się i zajrzałam jej w twarz. Tylko z pozoru wyglądała przez okno na szarugę, bo oczy miała nieruchome, szkliste, niewidzące.

— Pani Rees?

Przesunęłam się jeszcze bardziej, by znaleźć się w jej polu widzenia, ale nie zareagowała. Uklękłam obok niej i położyłam dłoń na jej rękę.

Spuściła głowę i popatrzyła na nią, ale nie na mnie.

— Chciałam porozmawiać o Brendanie, Brendanie Błocku. Zna go pani?

— Herbata — mruknęła. — To herbata.

— Nie — odezwałam się głośniejszym głosem. — Chodzi mi o Bren-dana. Na pewno go pani pamięta.

— To herbata — powtórzyła.

— Chce pani, żebym przyniosła jej herbaty?

— To herbata.

— A gdzie pani kubeczek?

Tylko mruknęła gardłowo. Całkowita katastrofa. Nie miałam nawet pojęcia, czy rzeczywiście rozmawiam z panią Rees. Nie wiedziałam, czy właśnie jej dotyczy znaleziona kartka. Przed rokiem w tym samym pokoju mógł przecież mieszkać kto inny. Nie mogłam dowiedzieć się przynajmniej, czy ta kobieta ma cokolwiek wspólnego z Brendanem. A jeśli nawet faktycznie była jego krewną, to czego właściwie chciałam się od niej dowiedzieć? Zresztą niezależnie od wszystkiego i tak

nie byłam w stanie nawiązać z nią normalnego kontaktu. Wstałam i w desperacji obeszłam pokoik dokoła. Używano tu plastikowych talerzy, kubeczków i sztućców, którymi nie można było sobie zrobić krzywdy, nie dało się niczego połamać ani stłuc. Nad stolikiem wisiały dwa zdjęcia przyklejone taśmą samoprzylepną do ściany. Pierwsze, bardzo stare, przedstawiało jakiegoś mężczyznę w mundurze. Miał bujne wąsy i łobuzerskie spojrzenie, czapkę z daszkiem nasadzoną na głowę pod dziwnym kątem. To pewnie jej mąż. Na drugim kobieta trzymała za ręce dwójkę dzieci. Przyjrzałam się dokładniej. Ta sama kobieta siedziała teraz przede mną na krześle, tyle że o wiele starsza, z bardziej zszarzałymi niż posiwiałymi włosami. Chłopak, w przybliżeniu dziesięcioletek w szkolnym stroju z granatowym sweterkiem, szczerzący zęby do obiektywu, był bez wątplenia Brendanem. Ściągnęłam zdjęcie ze ściany i podsunęłam kobiecie przed oczy.

— Pani Rees — powiedziałam, wskazując chłopaka na fotografii. — To jest Brendan.

Zmrużyła oczy i zapatrzyła się na zdjęcie.

— To Simon — mruknęła.

— Simon?

— Simon i Susan.

Na kolejne pytanie znów usłyszałam, że to herbata. Podjęłam próbę przyklejenia z powrotem fotografii, ale taśma była stara, nie trzymała. W końcu postawiłam ją na stole opartą o ścianę, szybko wyszłam z pokoju i pobiegłam schodami na dół. Sprzątaczkę już nie było w korytarzu.

Odnalazłam ją w pokoiku za biurkiem recepcjonistki. Nalewała sobie do kubeczka wody z czajnika.

— Rozmawiałam z panią Rees — oznajmiłam.

— Tak?

— I chciałabym się zobaczyć z jej córką, Susan.

— Wnuczką.

— Tak, oczywiście. Mam jej coś ważnego do przekazania. Czy mogłaby mi pani podać jej adres?

Kobieta zagapiła się na mnie z rozdziawionymi ustami. Przez chwilę nie byłam pewna, czy mnie słyszała. W końcu jednak zaczęła serdelkowatymi paluchami przerzucać fiszki stojące w wielkim pudle.

### 33

Susan Lyle mieszkała przy Primrose Crescent pod numerem 33, jak się okazało, na wschodnich krańcach miasta, przy cmentarzu. Szybko odszukałam ten numer w długim szeregu bliźniaczych, szarych i beżowych domków. Zasłony w oknach były zasunięte, z frontowych drzwi płatami oblazła czerwona farba. Kiedy nacisnęłam dzwonek, doleciały zza nich miękkie tony elektronicznego gongu wygrywającego fragment znanej melodii.

Działałam jak w transie, zupełnie odruchowo, poza tym byłam przeświadczona, że nikogo nie ma w domu, więc aż się zdrygnęłam, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich kobieta, zagradzając wejście. Przez chwilę nie mogłam się nadziwić jej rozmiarom. Miała wielki, wydatny brzuch, w który głęboko wpijała się gumka porozciąganych granatowych legginsów. Biała bawełniana koszulka z wielkim różowym napisem z przodu „Nie dotykać!” opinała się na imponującym biuście. Odznaczała się masywnym byczym karciem, kilkoma sfałdowanymi podbródkami i poduchowatymi dłońmi z głębokimi dołkami. Zaczerwieniłam się mimowolnie, próbując nie gapić się na nią bezczelnie, tylko spokojnie patrzeć jej w oczy, dziwnie małe w porównaniu z nalaną twarzą.

Ja widziałam przed sobą monstrualną górę ciała, gdy tymczasem na zdjęciu w pokoju babci widniała chuda koścista dziewczynka. Co się stało w jej życiu, co doprowadziło ją do takiego stanu.

— Słucham.

— Susan Lyle?

— Zgadza się.

Z głębi domu doleciały piski dzieci.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Czy mogłabym zamienić z panią kilka słów?

— A o co chodzi? Jest pani z rady miejskiej? Już była komisja, która sprawdziła dokładnie cały dom.

— Nie jestem z rady miejskiej, nic podobnego. Przyjechałam w zupełnie innej sprawie. Rozumiem pani obawy, ale... Mam na imię Miranda i jestem znajomą pani brata.

— Simona? — Zmarszczyła brwi. — Zna pani Simona?

— Owszem. Gdybyśmy mogły...

Zrobiłam krok do przodu, ale nie ruszyła się z miejsca. Dziecięce piski przybrały na sile, dołączyło do nich jeszcze bardziej przenikliwe, świdrujące w uszach wycie.

— Lepiej niech pani wejdzie, zanim się pozabijają — mruknęła w końcu, wpuszczając mnie do holu, gdzie od kaloryfera biło rozgrzane powietrze, chociaż na dworze było całkiem ciepło.

Z powodu zaciągniętych zasłon w zagraconym dużym pokoju panował półmrok, toteż minęło parę sekund, nim zdołałam przeliczyć wszystkie dzieci. W kojcu, pośród sterty rozmaitych pluszowych maskotek, siedziało niemowlę ze smoczkiem w buzi. Donośnie pisał maluch przypięty szelkami w wysokim krzeselku z pulpitem; pod brodą miał śli-niak, a przed nim na podłodze leżała wywrócona dnem do góry miseczka. Dziewczynka w podobnym wieku siedziała na sofie i wpatrywała się w grający telewizor, ustawiony na jakiś

teleturniej, tyle że z całkowicie wyciszonym głosem; w kurczowo zaciśniętej piąstce trzymała lizaka. Kiedy zajrzałam do stojącego pod ścianą łóżeczka, zobaczyłam w nim kolejną niemowlę, pogrążone w błogim śnie mimo panującego tu hałasu. Wyprostowane rączki miało wyciągnięte w górę, jakby trzymało w nich niewidzialny przedmiot, i przez sen przewracało oczkami. Ciekawe, co się śni takim maluchom? — Cóż za gromadka — rzuciłam od niechcenia.

Za żelazną kratą stał podświetlany piecyk elektryczny imitujący płomień w kominku, od którego biły fale ciepła niosące intensywny zapach pieluch przemieszany z wonią odświeżacza powietrza. Coś ścisnęło mnie w piersi, jakby te zapachy dławili w gardle.

— To wszystko pani dzieci? — zapytałam, uświadomiwszy sobie poniewczasie, że to po prostu niemożliwe ze względu na ich zbliżony wiek.

— Nie — odparła, zerkając na mnie z ironicznym uśmiechem. — Mam tylko jedno. — A po chwili dodała z dumą w głosie: — Jest jeszcze trójka starszych, która przychodzi po szkole trzy dni w tygodniu. Uczciwie zarabiam na życie. Jestem zarejestrowaną opiekunką.

Odpięła piszczącego chłopczyka, wzięła go na ręce, zamruczała do niego czule i wytarła mu buzię rogiem śliniaczka.

— Już cicho, cicho — powtórzyła.

Uspokoił się natychmiast, uśmiechnął szeroko i wsadził rączkę w jej gęste ciemne włosy. Usadowiwszy go sobie na biodrze, do którego przywarł jak miś koala do wielkiego pnia drzewa, zapytała:

— Więc o co chodzi z Simonem?

Padło to z zaskoczenia, nie byłam przygotowana.

— Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— Jest pani z policji?

— Nie.

— To może z opieki społecznej?

— Nie. Ja tylko...

— Więc jakim prawem nachodzi mnie pani w moim domu, węszy dokoła, jakby smród stąd zatruwał powietrze w całej okolicy, i wypytuje mnie o brata?

— Przepraszam, nie chciałam... Po prostu martwię się o niego i byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zechciała mi pani pomóc.

— Rzucił panią, czy jak?

— Słucham? — Przez chwilę naszły mnie obawy, że Brendan jakimś cudem skontaktował się z nią wcześniej

1 przedstawił jej swoją wersję historii naszej krótkiej znajomości.

— Bo z jakiego innego powodu miałaby pani szukać u mnie pomocy? —

Usiadła na sofie, przesuwając sobie malucha na kolana. Siedząca obok dziewczynka natychmiast się podniosła i przytuliła do niej, wciskając buzię w fałdy jej szyi. Ale Susan nie zwróciła na to uwagi. Sięgnęła po pilota, zaczęła przełączać kanały, wreszcie powiedziała: — Nie widziałam go od lat. Nasze drogi się rozeszły. On ma swoje życie, a ja swoje. Dlaczego pani go szuka? Czemu to takie ważne?

— Jak już mówiłam, jesteśmy dobrymi znajomymi, poznaliśmy się ponad rok temu. Trochę się o niego martwię. — Również przycupnęłam na brzeżku sofy. — Wydaje mi się, że coś z nim jest nie w porządku.

— Jest pani lekarzem? — Delikatnie odsunęła rączkę z lizakiem, którym dziewczynka zaczęła wymachiwać jej przed nosem.

— Nie.

— W takim razie powinien sam się zgłosić do lekarza. Ja nie mam na to żadnego wpływu. Jest dorosły.

— Nie chodzi mi o żadną chorobę, tylko... No cóż, jego zachowanie jest ostatnio bardzo niepokojące i...

— Ach, rozumiem. Myśli pani, że ma nie po kolei w głowie, co? — zapytała ostrzejszym tonem. Przez moment miałam wrażenie, jakbym słyszała Brendana.

— Nie jestem pewna. Właśnie dlatego postanowiłam z panią porozmawiać.

— Nic mu nie jest. — Zdumiewająco szybko poderwała się na nogi, nie bacząc, że dzieci poprzewracały się na sofie, popiskując z zaskoczenia. — Za kogo się pani uważa?

— Ja naprawdę...

— Proszę stąd wyjść!

— Chciałam tylko pomóc. Złość jakby nagle jej przeszła.

— Muszę zapalić — mruknęła.

Wzięła ze stolika kasetę wideo i wsunęła ją do odtwarzacza stojącego na półce pod telewizorem. Kiedy na ekranie pojawiły się pierwsze kadry filmu rysunkowego dla dzieci, ustawiła dość głośno dźwięk, zdjęła z górnej półki regalu blaszane pudełko po herbatnikach, wyjęła z niego trzy czekoladki i włożyła w wyciągnięte rączki trójki maluchów.

Poszłam za nią do kuchni. Klapnęła ciężko na krzesło, nalała sobie spienionej lemoniady do wysokiej szklanki i przypaliła papierosa.

— Wpakował się w kłopoty? — zapytała.

— Nie wiem — odparłam ostrożnie, z nadzieją, że zabrzmie to wiarygodnie. — Przede wszystkim chciałabym uniknąć jakichkolwiek kłopotów, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Dlatego pomyślałam, że przyjadę tu i porozmawiam z kimś, kto znał go dobrze, nim znalazł się w domu dziecka.

— Co takiego?

— Sądziłam...

— W domu dziecka? — Zarechotała niemal bezgłośnie, ze świstem powietrza wydobywającego się z gardła. — Skąd pani wytrasnęła te bzdury?

— Mam rozumieć, że nigdy tam nie byi?  
— Dlaczego miałyby być, skoro opiekowała się nami mama, a potem babcia? Nie było nigdy mowy o żadnym domu dziecka. Powinna pani bardziej uważać na to, co mówi.  
— Widocznie musiałam źle zrozumieć — mruknęłam pojednawczo. Zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła smugę niebieskawego dymu.  
— Si nie był złym chłopakiem — powiedziała.  
— A w szkole?  
— Chodzi o Overton? I co z tego? Miał całkiem niezłe oceny, tylko nie znosił, jak się go krytykowało i dyktowało, co ma robić. Wszystko byłoby dobrze, gdyby... — Urwała nagle.  
— Gdyby nie co?  
— Nieważne.  
— Został ukarany?  
— Nikt nie lubi, gdy chłopcy w jego wieku są zbyt sprytni.  
— Wyrzucili go ze szkoły?  
Zdusiła niedopałek w popielniczce, wypła lemoniadę i wstała.  
— Lepiej sprawdzę, co tam się dzieje. Spojrzałam jej w oczy.  
— Co się wtedy stało, Susan?  
— Lepiej niech się pani zajmie własnymi sprawami.  
— Proszę. Co się stało, jak został wyrzucony ze szkoły?  
— Kim pani jest, do licha?  
— Już mówiłam. Znajomą Brendana.  
— Brendana? Jakiego Brendana? O co tu chodzi?  
— Chciałam powiedzieć Simona.  
— Mam już dość ludzi wtykających nos w nie swoje sprawy. Zawsze powtarzam, że trzeba żyć i dać żyć innym. Wcale nie wierzę, że chce pani pomóc Simonowi. Po prostu węszy pani wokół niego.

Po raz kolejny słowa wypowiedziane ostrzejszym tonem napełniły mnie wrażeniem, że rozmawiam z Brendanem. Jeśli nawet całkowicie odciął się od swojej przeszłości, zmienił imię, środowisko i otoczenie, gdzieś w głębi wciąż istniał silny związek z tym, co się kiedyś stało.

— Proszę wyjść z mojego domu — syknęła złowrogo Susan. — Wynocha stąd! Bo wezwę policję!

Z przyjemnością zaczerpnęłam świeżego powietrza. Deszcz ustał, powoli się rozjaśniało. Nad horyzontem ukazał się błękit nieba, zwarta powłoka chmur popękała. Pociągnęłam parę łyków wody z butelki, wsunęłam miętówkę do ust i uruchomiłam silnik samochodu. Ruszyłam z powrotem tą samą drogą mokrymi od deszczu ulicami, lecz po kilku minutach znów się zatrzymałam. Pomyślałam, że Brendan nigdy by nie popuścił. Za żadne skarby.

Opuściłam szybę i gdy idąca chodnikiem kobieta zrównała się ze mną, wytknęłam głowę i powiedziałam:

— Przepraszam. Może mi pani powiedzieć, jak dojechać do liceum Overton?

Młodzież wysypywała się właśnie ze szkoły, dźwigając wyładowane plecaki, instrumenty muzyczne, torby sportowe. Przez kilka minut siedziałam za kierownicą i przyglądałam się, nie mając pewności, co właściwie tu robię. Wreszcie wysiadłam i podeszłam do gromadki kobiet rozmawiających przy autach w zatoczce.

— Bardzo przepraszam — zaczęłam niepewnie. Spojrzały na mnie z zaciekawieniem.

— Zamierzam się tu przenieść i moje dzieci... Ciekawa jestem, czy polecąby mi panie tę szkołę.

Jedna z nich wzruszyła ramionami.

— Jest w porządku — odparła.

— Na jakim poziomie jest nauczanie?

— Przyzwoitym. Może nie ma się specjalnie czym podniecać, ale na przykład twoja Ellie radzi sobie całkiem dobrze, prawda? — zwróciła się do koleżanki.

— Dużo tu łobuzerstwa?

— Jak w każdej szkole.

— Aha — mruknęłam, po czym dodałam z ociąganiem: — Mój przyjaciel mieszkał w tej okolicy... jakieś dwanaście albo trzynaście lat temu, i wspominał o jakimś groźnym wypadku.

— Jakim wypadku?

— Nie pamiętam dokładnie, o co chodziło, w każdym razie mówił coś...

— Z wyczekiwaniem zawiesiłam głos.

— Ja o niczym nie wiem. Zawsze może się zdarzyć jakiś wypadek.

— Pewnie chodzi o ten pożar — wtrąciła inna. — Nie mieszkaliśmy tu jeszcze wtedy, ale ludzie ciągle o tym gadają.

Odwrociłam się do niej, podekscytowana.

— Pożar?

— Tak, był tu pożar. — Wskazała ręką. — Do dzisiaj jeszcze widać ślady. Doszczętnie spłonęła tamta narożna klasa ostatniego rocznika i pół sąsiadującej z nią pracowni technicznej.

Spojrzałam na drugi koniec boiska. Rzeczywiście, koniec parterowego skrzydła z czerwonej cegły był wyraźnie nowszy od reszty budynku.

— To okropne — przyznałam, czując zalewające mnie na przemian fale gorąca i chłodu. — Jak to się stało?

— Podpalenie. Ale winnych nie udało się schwytać. Prawdopodobnie jakieś łobuzy zaproszyły ogień. To straszne, co się teraz wyrabia, prawda? O, już jest Ellie. — Energicznie pomachała ręką kościstej dziewczynie z długimi warkoczami, która ruszyła w naszą stronę.

— A więc podpalacza nie schwytano?

— Powodzenia z przeprowadzką — rzuciła przez ramię pierwsza. —  
Może się jeszcze spotkamy, jeśli zdecyduje się pani tu zamieszkać.  
Wróciłam do samochodu i włożyłam do ust następną miętówkę. Ssałam ją  
intensywnie, robiła się coraz mniejsza i mniejsza, aż w końcu się  
rozkruszyła i rozplynęła na języku. Przekręciłam kluczyk w stacyjce, lecz  
jeszcze przez jakiś czas siedziałam za kierownicą, patrząc na  
wyremontowane skrzydło szkoły i wyobrażając sobie trawiące je  
płomienie. A więc tak wyglądała zemsta Simona Reesa. Aż przeszył mnie  
dreszcz grozy. Odczytałam to jak wyraźny znak, niczym nagryzmołony  
farbą na murze wielki napis: „Brendan tu był”.

### 34

Don też miał swojego wroga, i to z tych najgorszych. Za dużo palił. Do  
tego prowadził bardzo nieregularny tryb życia. Udzielał się na wielu  
różnych frontach, co początkowo uznałam za przejaw pozerstwa, ale  
tak nie było. Kiedy przed lakierowaniem szpachlowałam podłogę w jego  
pokoju, wszedł niespodziewanie z dwoma kubkami, aż musiałam go  
pospiesznie wygnać, zanim przyczyni się do prawdziwej katastrofy.  
Wyszłam za nim na korytarz, gdzie wręczył mi kawę i zaczął się głośno  
zastanawiać, czy jego mieszkanie nie wymaga jeszcze innych prac  
remontowych. Zapytał, czy nie sądzę, że warto by wymienić ramy  
okienne (owszem, przydałoby się). Czy nie dałoby się zlikwidować za  
dużego prześwitu pod drzwiami do pokoju (bez kłopotu, jeśli tylko koszty  
nie stanowią dużej przeszkody). Ostrożnie powąchałam zaparzoną przez  
niego

mocną czarną kawę, próbując się uwolnić od nieprzyjemnej ostrej woni żywicy szpachlowej.

— Aż strach zacząć myśleć o niezbędnych naprawach — powiedziałam — bo lawina rosnących kosztów może się łatwo wymknąć spod kontroli. — Przestrzegano mnie przed tym — odparł, pociągawszy łyk kawy. — Ale tak już jest, że łatwiej się myśli o wszelkich usterkach, kiedy już rozpocznie się remont. Nie zwróciłaś na to uwagi?

Pokręciłam głową.

— I tak nie da się zrobić wszystkiego naraz. Zawsze po zakończeniu remontu znajduje się coś, czym także warto by się zająć. A ja bardzo lubię definitywnie kończyć jakąś pracę.

— I już nigdy więcej do niej nie wracać?

— Coś mi się zdaje, że w tej chwili nie tylko ja powinnam się zająć swoją robotą. Nie masz żadnych pilnych zajęć?

Uśmiechnął się chytrze.

— Z tym jest pewien kłopot. Cierpię na zaburzenie związane z niedostatkiem uwagi.

— To poważna przypadłość?

— Raczej tylko wymówka o mądrze brzmiącej nazwie. Dziś jest mój dzień poświęcony na pracę w domu.

— Zaliczaną do pracy zawodowej?

— To forma urlopu naukowego. Mam czas na myślenie, pisanie, układanie planów zajęć.

— A czym się zajmujesz w pozostałe dni tygodnia?

— Trochę dydaktyki, trochę spotkań z pacjentami, trochę innych rzeczy.

— Wyglądasz za młodo na taki tryb życia.

— Sądzisz, że jestem... niedojrzały?

— Widzę, że nie umiesz odbierać komplementów. Chciałam powiedzieć, że to mi imponuje.

— Moim zdaniem to wyróżnienie, że mogę żyć właśnie w taki sposób.

— Chyba nawet nie wiesz, jak wielkie. Pamiętasz Brenda-na, tego faceta, o którym ci opowiadałam?

— Tak.

— Odnalazłam jego siostrę. Mieszka w lokalu kwaterunkowym i prowadzi domowe przedszkole w Chelmsford.

— Pojechałaś tam specjalnie, żeby się z nią zobaczyć?

— Owszem.

— Po co?

Trudno mi było udzielić krótkiej jednoznacznej odpowiedzi, dlatego pokrótce zrelacjonowałam mu swoje poczynania. Powiedziałam też, że Brendan naprawdę nazywa się zupełnie inaczej i że przed laty prawdopodobnie podpalił swoją szkołę.

— Czy to nie przerażające?

— A ciebie przeraziło?

— Mnie? — Pokręciłam głową. — Tu nie chodzi o mnie, lecz o innych ludzi. Jeszcze tego nie rozumiesz?

— Jeszcze nie zdążyłem sobie wyrobić zdania.

— Niemniej powiedziałeś, że może być niebezpieczny. Przynajmniej wiele na to wskazuje.

— Możliwe.

— Podpalił szkołę. Czy dla ciebie to nie jest oznaką zaburzeń psychicznych?

— Nie powiedziałaś jeszcze, jak do tego doszło. Został oskarżony o podpalenie? Spotkała go za to jakaś kara?

Wzięłam głębszy oddech.

— Nie schwytano winnego.

— Więc to jego siostra powiedziała ci, że on to zrobił?

— Przecież to oczywiste. Od razu się domyśliłam, czytając między wierszami. Nadal nie dostrzegasz logicznego ciągu zdarzeń? Wszystko do siebie pasuje. Lepiej powiedz mi, czy

to prawda, że zamiłowanie do podpalania w dzieciństwie jest jednym z najwcześniejszych przejawów psychopatii. Dopiliśmy kawę i Don wziął ode mnie pusty kubek.

— Ta rozmowa zmierza w zupełnie innym kierunku, niż planowałem — odparł.

— Jak mam to rozumieć?

— Zamierzałem wkraść się w twoje łaski, powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że u mnie pracujesz, zapytać, czy nie moglibyśmy kiedyś wyskoczyć razem na drinka. Jednocześnie chciałem przyznać, że pewnie ze strony każdego klienta spotyka cię tego typu nagabywanie, więc byłem też gotów natychmiast przeprosić, bo tak atrakcyjnej kobiecie trudno jest wykonywać swoją pracę, jeśli klienci nie dają jej spokoju.

Mimo woli uśmiechnęłam się szeroko.

— A ja tymczasem zaczęłam cię wypytywać o znajomego psychopatę.

— Otóż to — rzekł solennie. — W każdym razie nie chcę, byś czuła się obrażona.

— Nie tak łatwo mnie obrazić.

Spojrzał mi prosto w oczy, jakby chciał się przekonać, czy mówię prawdę.

— Obawiam się jednak, że źle zrozumiałaś moje wcześniejsze uwagi.

— Dlaczego cię to martwi?

— Moim zdaniem nie powinnaś była w ogóle rozmawiać z tą kobietą.

— Naprawdę sądzisz, że naraziłam się na niebezpieczeństwo?

Pociągnął łyk kawy, po czym skrzywił się z obrzydzenia.

— Już zimna — mruknął. — Powinnaś bardzo uważać przy próbach ingerencji w życie innych ludzi.

— Już ci mówiłam — rzuciłam nieco ostrzejszym tonem — że Brendan jest groźny. Czyżbyś się z tym nie zgadzał?

— Moi koledzy prowadzą kursy dla pracowników socjalnych, dotyczące dzieci z rodzin wysokiego ryzyka. Ilekroć ginie takie dziecko, prasa natychmiast obarcza odpowiedzialnością zarówno opiekę społeczną, jak też psychiatrów i policję, uzasadniając, że wszyscy musieli zdawać sobie sprawę z zagrożenia, lecz nie podjęli żadnych działań prewencyjnych. Zapomina się wtedy, oczywiście, o setkach i tysiącach innych dzieci, które są nie mniej zagrożone z powodu biedy, przemocy w rodzinie i środowisku, braku perspektyw. To fakt, że większość z nich wyrasta na praworządnych obywateli. Ale nie ma żadnych magicznych recept, Mirando. Nawet byś nie uwierzyła, ile ludzi, z którymi się spotykam, żyje na krawędzi załamania psychicznego. Można ich szufladkować do tej czy innej kategorii. Byli zastraszani, bici, wykorzystywani seksualnie. Niektórzy mają też na koncie podpalenia. Nawet jeśli wszystkie fakty do siebie pasują, nie oznacza to jeszcze, że każdy jest od razu Kubą Rozpruwaczem. Musisz przetłumaczyć sobie jasno, że zerwałaś z nim wszelkie kontakty i jego los nie powinien cię już obchodzić.

— Czy gdybyś sprzedawał samochody i odebrał meldunek, że któryś z nich okazał się niebezpieczny, na przykład ma zawodne hamulce, także natychmiast puściłbyś to w niepamięć? Wytłumaczył sobie, że nic cię to już nie obchodzi?

Tym razem ewidentnie zabiłam mu niezłego ćwieka.

— Sam nie wiem. Muszę przyznać, że mimo woli cię podziwiam. Postępujesz jak dobra samarytanka. Co więcej, próbujesz być dobrą samarytanką wobec ludzi, których nawet nie znasz. Chcę ci tylko powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, ludzie to nie samochody. A po drugie, co ostatecznie zamierzasz zrobić w tej sprawie?

— To bardzo proste — odrzekłam. — Chcę się przekonać, czy chodzi teraz z inną dziewczyną. Jeśli tak, to jest ona narażona na niebezpieczeństwo, zamierzam więc ją ostrzec.

— Co nie znaczy, że będzie ci za to wdzięczna. Tego typu gesty są często błędnie odczytywane.

— To już nie ma znaczenia. Jak mówiłam, nie tak łatwo zbić mnie z tropu.

— Ale tym sposobem możesz sama narazić się na niebezpieczeństwo. Ta uwaga sprawiła, że poczułam ciarki na plecach. Nawet nie był to przejaw konkretnych obaw, bardziej dreszcz podniecenia. Miałam dziwne wrażenie, że odgradzam się od własnego życia i tego wszystkiego, przez co czułam się osaczona.

— To nieważne — odparłam stanowczo.

— Będiesz na siebie uważać?

— Tak.

Zarazem jednak pomyślałam: Nie, nie będę uważać. Nic mnie nie powstrzyma.

Zależało mi na tym, żeby odnaleźć Brendana bez jego wiedzy. Okazało się to trudniejsze, niż myślałam. Zadzwoiłam do Sally, dobrej przyjaciółki Laury, którą spotkałam na jej pogrzebie. Miałam nadzieję, że do końca były w kontakcie. Zaledwie się przedstawiłam, w jej głosie pojawił się wyczuwalny dystans i rezerwa. Najwyraźniej musiała coś słyszeć o skomplikowanych powiązaniach między Brendanem, Laurą i mną. Czyżby naprawdę wszyscy się nade mną litowali? Uważali, że w jakimś stopniu ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało? W gruncie rzeczy mało mnie to obchodziło. Powiedziałam jej wprost, że chcę się skontaktować z Brendanem. Czy nadal przebywa w mieszkaniu Laury? Odparła, że chyba nie, ale powinnam o to raczej zapytać jej rodziców. Zadzwoiłam więc do nich. Odebrała matka Laury. Sądząc po głosie, była przemęczona, mówiła bardzo powoli,

jakbym wyrwała ją ze snu w środku dnia. Przyszło mi na myśl, że biedaczka zaczęła brać jakieś leki. Tak jak moja matka. Przedstawiłam się i powiedziałam, że byłyśmy z Laurą serdecznymi przyjaciółkami.

— Tak, wiem. Laura nieraz o tobie wspominała.

— Byłam na pogrzebie. Strasznie mi przykro, że doszło do tak koszmarnego wypadku.

— Dziękuję — odrzekła, jakbym powiedziała komplement.

— Chciałam się skontaktować z Brendanem. Nie wie pani, gdzie mogłabym go znaleźć?

— Nie, nie wiem.

— Nie zatrzymał mieszkania Laury?

— Nie. Mieszkanie zostało sprzedane.

— Proszę wybaczyć, że zawracam głowę, ale nie zostawił państwu swojego nowego adresu?

— Nawet się z nim nie widzieliśmy. Powiedział, że musi wyjechać.

Nie chciało mi się wierzyć, że Brendan nie zostawił teściom adresu czy telefonu kontaktowego. Przecież istniała otwarta kwestia majątku Laury. Miał odziedziczyć połowę? A może całość? Nie mogłam jednak zwrócić się z tymi wątpliwościami do osowiałej, pogrążonej w żałobie kobiety. Przyszedł mi do głowy tylko jeden pomysł, i choć z poważnymi obawami, musiałam przyznać, że nie mam innego wyjścia. Zadzwoiłam do inspektora Roba Pryora. Już po jego oschłym tonie wyczułam, że nie cieszy się specjalnie z mojego telefonu.

— Proszę się nie martwić, mam tylko jedno proste pytanie —

zapewniłam. — Wiem, że ostatnio nawiązałaś bliższą znajomość z Brendanem. Chciałam się z nim skontaktować i jestem ciekawa, czy wiesz, gdzie mogłabym go znaleźć.

— Po co?

— Jak to, po co? A co to ma za znaczenie?  
— Próbowałaś mnie przekonać, bym wszczął przeciwko niemu śledztwo w sprawie... Jak to nazwać?... Zabójstwa? Więc z jakiego powodu chcesz się teraz z nim zobaczyć?  
— Jesteś jego recepcjonistą? Po prostu potrzebny mi jego adres i tyle. — Nie odpowiedział, więc dodałam: — W porządku. Mam trochę jego rzeczy, które zostawił w wynajmowanym mieszkaniu.  
— Twoim?  
— Nie.  
— To skąd je masz?  
— O co ci chodzi? — zapytałam. — Masz w tym jakiś interes?  
— Po prostu nie rozumiem, do czego zmierzasz, Mirando. Sądzę, że powinnaś dać sobie spokój.  
— Potrzebny mi tylko jego adres.  
— Na pewno nie zamierzam ci go podawać. — Znowu zamilkł na dłużej.  
— Przekażę mu, żeby do ciebie zadzwonił. Jeśli się z nim spotkam.  
— Dziękuję.  
— I nie dzwoń do mnie więcej.  
Odłożyłam słuchawkę. Wypadło to nawet gorzej, niż się obawiałam.

### 35

Dlaczego telefon zawsze dzwoni, gdy się wejdzie do wanny?  
Postanowiłam nie reagować, ale dzwonił i dzwonił nachalnie, a gdy w końcu owinęłam się wyjątkowo skąpym ręcznikiem i przydreptałam bosą do pokoju, nagle umilkł.

Zakłęłam pod nosem, wróciłam do łazienki i z przyjemnością zanurzyłam się ponownie w ciepłej spienionej wodzie. Wtedy oczywiście zadzwonił po raz drugi. Dobiegłam dużo szybciej, zostawiając na podłodze rozległe mokre ślady.

— Słucham.

Przez chwilę na linii panowała cisza, dzięki której nabrałam niezbitej pewności, kto dzwoni. Skrzywiłam się i szczerzej otuliłam ręcznikiem.

— Mirrie?

Na samo brzmienie jego głosu, wymawiającego to żalosne zdrobnienie mego imienia, poczułam dobrze mi znany ucisk w gardle. Jakby powietrze wokół mnie nagle zrobiło się gęste od pyłu i nie dało się nim oddychać. Natychmiast kropelki potu wystąpiły mi na czoło. Ze złością otarłam je rogiem ręcznika.

— Tak.

— To ja.

— Czego chcesz?

— Czego ja chcę?

— Posłuchaj...

— Zdaje się, że to ty czegoś chciałaś.

— Nie zamierzam...

— Podobno masz coś dla mnie.

Nie odpowiedziałam, zacisnęłam tylko mocniej słuchawkę w dłoni.

— Rob dzwonił do mnie przed chwilą — rzekł. — Powiedział, że szukasz ze mną kontaktu.

Mimo woli z gardła popłynął mi głuchy jęk.

— Chcesz się ze mną zobaczyć.

— Nieprawda.

— I chcesz mi coś przekazać. Coś, co zostawiłem w mieszkaniu.

Ciekawe, co to może być?

— Nic specjalnego.

— To chyba jednak ważne, skoro zadałaś sobie aż tyle trudu, prawda, Mirrie?

— Chodzi o książkę — rzuciłam bez przekonania.

— Książkę? Jaką? — zapytał, a gdy nie odpowiedziałam, dodał: — Czy ta książka nie jest przypadkiem zwykłą wymówką? Ty po prostu nie możesz sobie odpuścić, prawda?

Przez chwilę miałam straszny mętlik w głowie.

— Przestań chrzanić — rzuciłam w końcu. — Rozmawiasz tylko ze mną. Nikogo więcej tu nie ma. I świetnie wiesz, co o tobie myślę. I wiesz także, że nigdy nie przestanę myśleć o tym, co zrobiłeś Troyowi, Laurze i Kerry, więc jeśli sądzisz...

— Spokojnie — przerwał mi łagodnym tonem. — Tobie naprawdę jest potrzebna pomoc. Rob uważa tak samo. Jest bardzo zaniepokojony. Twierdzi, że jest jakieś specjalistyczne określenie na takie zachowania, na twój syndrom...

— Syndrom? Jaki znów syndrom? Chciałam ci tylko odesłać tę cholerną książkę.

— Ach tak, książkę. Byłbym zapomniał. Tę, której tytułu nie możesz sobie przypomnieć.

— Lepiej podaj mi swój adres i odłóż słuchawkę.

— To chyba kiepski pomysł. Wyczułam, że się uśmiecha.

— Matko Boska! — syknęłam ze złością. — Posłuchaj...

Usłyszałam jednak sygnał przerwane połączenia. Popatrzyłam na trzymaną w rękę słuchawkę, po czym ze złością cisnęłam nią na widełki. Wróciłam do wystygłej już kąpieli. Odkręciłam gorącą wodę i zacisnąwszy palcami nos, zanurkowałam. Moje uszy wypełnił wzmocniony plusk strumienia lejącego się z kranu oraz przyspieszone bicie serca. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że miałam ochotę wrzeszczeć na cały głos.

Kiedy się wynurzyłam, żeby zaczerpnąć powietrza, wpadł mi do głowy pomysł. Wskoczyłam z wanny i ślizgając się po podłodze, pognałam nago do telefonu, schyliwszy się nisko na wysokości okna, żeby nikt mnie nie zobaczył. Wybrałam numer 1471 i czekałam, aż mechaniczny głos automatu poda mi numer ostatniego rozmówcy. Zapomniałam naszykować kartkę i długopis, toteż powtarzając go w myślach, zaczęłam gorączkowo szukać czegoś do pisania. W końcu zanotowałam na odwrocie karty do gry, ale żeby mieć pewność, jeszcze raz wybrałam 1471 i sprawdziłam podany numer z tym, który zapisałam.

Brendan dzwonił spod numeru 7852. Gdzie to mogło być? Chyba gdzieś w południowym Londynie. W każdym razie nie mogłam sobie przypomnieć, bym korzystała ostatnio z tej centrali. Przelazłam z powrotem na czworakach pod oknem i skierowałam się do sypialni, zakręciwszy po drodze wodę i wyciągnąwszy korek z wanny.

Wciągnęłam powypychane spodnie od dresu i luźną bawełnianą bluzkę, po czym zaczęłam przeglądać notes z telefonami w poszukiwaniu tych czterech cyfr, żeby sprawdzić przynajmniej, w której części miasta należy szukać Brendana, choć na pewno musiał być lepszy sposób na sprawdzenie tego. Wreszcie znalazłam w notesie spis dzielnicowych central telefonicznych i zaczęłam wodzić palcem wzdłuż kolumn. Oczy mnie już rozbolały od drobnutkiego maczku, gdy wreszcie znalazłam: Brackley. Na szczęście było to niezbyt daleko.

I co teraz? Przecież nie mogłam się kręcić po całej dzielnicy i wszędzie go wypatrywać. Może powinnam zadzwonić pod ten numer i... No właśnie: co? Znowu z nim rozmawiać? To nie wchodziło w rachubę. Na samą myśl ciarki chodziły mi po skórze. Nalałam sobie do kieliszka dużą porcję czerwonego wina i włączyłam laptopa. Korzystając z pomocy kilku różnych wyszukiwarek, już po dwóch minutach znalazłam nazwę

Crabtrees, kawiarnia w Brackley. Uczciłam swój sukces dużym haustem wina, które wyraźnie zalatywało octem. Spojrzałam na zegarek. Była 7.35.

Teraz, gdy już wiedziałam, że dzwonił z kawiarni, podjęłam ryzyko i wybrałam ten numer. Sygnał wywołania powtarzał się w nieskończoność i gdy miałam już odłożyć słuchawkę, w końcu ktoś odebrał.

— Słucham.

— Czy to Crabtrees?

— Tak, automat telefoniczny w kawiarni. Mam kogoś przywołać?

— Nie... Chciałam tylko znać godziny otwarcia.

— Co?

— Godziny otwarcia kawiarni.

— Nie znam dokładnie, nigdy tu wcześniej nie byłem. Dopiero niedawno ją otworzyli i natknąłem się na nią przypadkiem. Jeśli dobrze pamiętam, jest otwarta od ósmej rano do późna w nocy. Tak przynajmniej napisali na tablicy wystawionej w oknie.

— W porządku. Bardzo dziękuję.

— Ale to nie jest pub.

— Rozumiem.

— Nie podają tu drinków. Tylko cappuccino, kawę z ekspresu i ziołowe herbatki, które śmierdzą zgniłym sianem.

— Dzięki za przestrożę.

— Aha, i jeszcze jakieś wegetariańskie posiłki. Różne świństwa, ale za to całkowicie naturalne.

— Bardzo mi pan pomógł...

— Na przykład rzeżuchę. Zawsze myślałem, że tylko krowy żrą coś takiego.

Ogarnęło mnie gorączkowe podniecenie. Wylałam wino do zlewu, wzięłam sztruksową kurtkę i wyszłam. Żadna linia

metra nie biegła do Brackley, pojechałam więc samochodem. Był piękny wieczór. Niebo poczerwieniało od blasku zachodzącego słońca i nawet zaśmiecone uliczki wyglądały uroczo w tym oświetleniu.

Crabtrees mieściła się w pawilonie handlowym, między sklepem ze świeczkami oraz dzwonekami balkonowymi a piekarnią, w której chleb był „wytwarzany według receptury starorzymskiej”. Minęłam ją i kawałek dalej znalazłam dogodnie miejsce do zaparkowania, oddalone zaledwie o parę minut spacerem od kawiarni, na wypadek, gdyby Brendan kręcił się po ulicy.

Minęłam ją po raz drugi, idąc chodnikiem — z postawionym kołnierzem kurtki, czując się obserwowana ze wszystkich stron, jak w absurdałnej parodii podrzędnego filmu o prywatnym detektywie. W wyobraźni widziałam Brendana siedzącego przy oknie i z uśmiechem obserwującego tę moją defiladę. Kilka razy ukradkiem zerknęłam w bok, ale nigdzie go nie dostrzegłam. Zawróciłam więc i jeszcze raz przeszłam przed kawiarnią. Przy stolikach siedziało niewielu klientów, na pewno nie było go wśród nich.

Weszłam do środka. Jasno oświetlone wnętrza wypełniały przyjemne zapachy świeżej kawy, wanilii, pieczonych ciasteczek i ziół. Zamówiłam porcję soku gruszkowego (z odrobiną imbiru) oraz ciasteczko owsiane i usiadłam przy stoliku w najdalszym kącie. Co bym zrobiła, gdyby teraz wszedł? Powinnam była kupić gazetę dużego formatu, żeby się za nią schować. Mogłabym wyciąć w niej dziurkę i obserwować przez nią salę. Przydałaby się choćby książka, nad którą mogłabym się nisko pochylić, żeby nie siedzieć tak na widoku. Ciepłe i czyste, wypełnione miłymi zapachami wnętrza sprawiło, że rozluźniłam się trochę. Byłam przemęczona aż do szpiku kości; na takie zmęczenie niewiele pomaga nawet długi sen. Oparłam głowę na dłoniach i przez szparę między palcami

zapatrzyłam się na ulicę za oknem. Ludzie mijali lokal energicznym krokiem. Wśród nich także nie było Brendana.

Po półgodzinnym skubaniu ciastka i sączeniu soku uregulowałam rachunek i spytałam kobietę za kontuarem, o której zamykają.

— O dziewiątej — odparła. Miała jedwabiste blond włosy poskręcane w loki na czubku głowy, dwa duże skupiska piegów po obu stronach nasady nosa i uroczy szczerzy uśmiech. Spojrzała na drobny zegarek na smukłym przegubie ręki i dodała: — Jeszcze tylko siedem minut, ośmielę się zauważyć z radością.

— A o której otwieracie rano?

— O ósmej.

— Dziękuję.

Wiedziałam, że to śmieszne, ale nazajutrz zjawiłam się tam o ósmej, oczywiście z gazetą. Zamówiłam kawę z mlekiem i rogalika, po czym usiadłam przy tym samym stoliku w kącie, częściowo zasłoniętym przez wieszak na płaszcze, żeby Brendan nie zauważył mnie od razu, gdyby wszedł. Tego dnia za kontuarem stały dwie kobiety w średnim wieku, a w kuchni oddzielonej wahadłowymi drzwiami pracował mężczyzna. Przez półtorej godziny wypiałam jeszcze dwie kawy, w końcu lekko roztrzęsiona od nadmiaru kofeiny i podenerwowania wyszłam na ulicę, żeby posiedzieć trochę w samochodzie. Zadzwoiłam do Billa i powiedziałam, że biorę sobie kilka dni wolnego. Na automatycznej sekretarce Dona nagrałam przeprosiny, że na razie nie będę mogła skończyć pracy w jego mieszkaniu, obiecując, że pojawię się najszybciej, jak to będzie możliwe. Nie podałam konkretnego terminu, bo nie potrafiłam tego określić, zresztą nie chciałam, by się domyślił, że wyznaczyłam sobie takie beznadziejne zadanie. Londyn to

gigantyczne ludzkie rojowisko, w którym łatwo się ukryć nawet na lata. Nie mogłam wykluczyć, że Brendan tylko tędy przechodził i wpadł do środka, żeby zadzwonić i więcej się tu nigdy nie pokaże, tymczasem ja chowałam się za rogiem, ukrywałam za rozpostartą gazetą, czekałam ze ściśniętym gardłem i mocno bijącym sercem na to, co nigdy nie miało nastąpić. Ale przecież równie dobrze mógł siedzieć w którymś mieszkaniu po drugiej stronie ulicy i z okna obserwować teren, albo też w każdej chwili pojawić się na chodniku i zaraz zniknąć mi z oczu, jeśli nie zachowam czujności. A może wszelkie moje poczynania — czyhanie na niego w kawiarni, warowanie za kierownicą auta i wałęsanie się po osiedlu odległym o kilometry od mojego domu — były przejawami ogarniającego mnie szaleństwa.

Później weszłam do sklepu z dzwonkami balkonowymi i wciąż zerkając przez okno na ulicę, długo się zastanawiałam, aż w końcu kupiłam szklaną miseczkę z kilkoma pływającymi świecami w kształcie lilii wodnych. W piekarni wybrałam okrągły bochenek ciemnego chleba na zakwasie, który kosztował tyle, jakby ktoś się pomylił i w niewłaściwym miejscu wstawił przecinek w cenie. Następnie ruszyłam spacerem tam i z powrotem po ulicy. Zajrzałam do księgarni i kupiłam przewodnik po pieszych szlakach turystycznych wokół Londynu. W sklepie narzędziowym tak długo krążyłam między regałami, że podejrzliwe spojrzenia ekspedienta wygoniły mnie znowu na ulicę. W kiosku zaopatrzyłam się w kratkowany notatnik i długopis oraz torebkę toffi, żeby mieć czym zwalczać gorzki posmak w ustach. Wreszcie wróciłam do Crabtrees, która powoli zapełniała się klientami.

Oprócz dwóch młodych kelnerek, które wyglądały na pracujące dorywczo studentki, pojawiła się też poznana wczoraj blondynka. Uwijała się jak w ukropie między stolikami, lecz przywitała mnie skinieniem głowy i z uśmiechem przyjęła za-

mówienie na zupę z białej fasoli i wodę mineralną. Usiadłam w swoim ciasnym kąciku i zaczęłam kartkować przewodnik. Jadłam lunch bardzo powoli, a gdy skończyłam, poprosiłam jeszcze o herbatę. Kiedy tylko drzwi się otwierały, schylałam się nisko, jakbym zawiązywała but, i zerkałam spod krawędzi stolika na wchodzącego. Kilka minut po drugiej znów ruszyłam na spacer po ulicy, coraz bardziej zmęczona i zniechęcona. Postanowiłam poczekać do chwili zamknięcia kawiarni, a potem wracać do domu.

Mój powrót do kawiarni o wpół do piątej lekko zaskoczył młodą blondynkę. Wzięłam herbatę i kawałek placka z polewą cytrynową. Wróciłam jeszcze raz o siódmej na lazanie z warzywami i sałatą ale nie byłam w stanie jej zjeść, zostawiłam więc prawie całą porcję na talerzu i wyszłam. Przystawiłam samochód bliżej kawiarni, usadowiłam się wygodnie i w zapadającej szarówce podjęłam oczekiwanie na jej zamknięcie. Przez dłuższy czas gapiłam się bezmyślnie na rozplywające się z wolna zarysy okolicznych budynków na tle nieba. Tęskniłam za domem. Czułam się zagubiona. Pod wpływem nagłego impulsu jeszcze raz zadzwoniłam do Dona, a gdy odebrał, pospiesznie, z obawy, żebym w ostatniej chwili nie zmieniła zdania, zapytałam:

— Czy twoje zaproszenie na drinka mam traktować całkiem poważnie?

— Oczywiście — odparł bez wahania. — Kiedy? Teraz?

— Nie. Może być jutro?

— Wspaniale.

W jego głosie wyczułam prawdziwy zapach, więc jeszcze długo po tym, jak się pożegnaliśmy, ta świadomość podtrzymywała mnie na duchu jak blask słońca rozświetlający mrok.

Musiałam przysnąć, bo gdy ocknęłam się nagle, za szybą było już prawie ciemno, a ulica niemal zupełnie opustoszała,

tylko przed pobliskim pubem stała niewielka gromadka młodych ludzi. Dochodziła dziewiąta. Czułam się obolała, zeszywniała i chciało mi się pić. Przekręciłam kluczyk w stacyjce, włączyłam światła, wrzuciłam wsteczny bieg, zwolniłam ręczny hamulec, spojrzałam we wsteczne lusterko i zamarłam.

Jeśli dostrzegłam go tylko w lusterku, to on także mógł mnie zobaczyć?

Nie, wykluczone. Co najwyżej zauważył w nim odbicie moich oczu.

Pospiesznie zgasiłam silnik, wyłączyłam światła i osunęłam się na fotelu.

Kilka sekund później przeszedł obok mojego samochodu tak blisko, że aż wstrzymałam oddech w ciemności. Zatrzymał się przy drzwiach kawiarni, w których blondynka umieszczała właśnie tabliczkę z napisem „Zamknięte”. Na widok Brendana uśmiechnęła się szeroko, podniosła rękę na powitanie i wpuściła go do środka. Wyprostowałam się trochę, żeby lepiej widzieć. Rozłożył szeroko ręce, a gdy się przytuliła do niego, pocałował ją najpierw w zamknięte oczy, a potem w usta.

Musiałam przyznać, że jego nowa dziewczyna była bardzo ładna. I

bardzo młoda, mogła mieć najwyżej dwadzieścia dwa albo dwadzieścia

trzy lata. Najwyraźniej była w nim zadurzona bez pamięci. Spoglądałam,

jak z czułością wplata palce w jego włosy i przyciąga głowę do kolejnego

pocałunku. Aż zamknęłam na chwilę oczy i głośno jęknęłam. Niezależnie

od tego, co Don próbował mi wytłumaczyć i co podpowiadał mi zdrowy

rozsądek, nie mogłam mu odpuścić, zwłaszcza teraz, gdy widziałam z

bliska jej dziewczęce piegi i roziskrzone spojrzenie.

Wzięła swój płaszcz i wyszła, zatraskując drzwi kawiarni. Przez szybę

pomachała ręką komuś, kto został w środku, po czym ujęła Brendana pod

ramię i razem ruszyli ulicą w tym kierunku, z którego nadszedł.

Zaczekałam, aż się oddalą, a gdy prawie zniknęli mi z oczu, wyskoczyłam

z auta i poszłam za nimi, modląc się w duchu, żeby tylko się nie odwrócił

i mnie

nie zauważył. Stanęli przed wejściem do budynku usytuowanego między sklepem z rowerami a całodobowym spożywczym. Dziewczyna sięgnęła do torebki po klucze. A więc to ona tu mieszka, pomyślałam. Wszystko pasowało. Brendan był jak kukułka przeskakująca od jednego do drugiego gniazdka innych ptaków. Blondynka otworzyła drzwi i oboje zniknęli za nimi.

Kilkanaście sekund później zapaliło się światło w oknie na pierwszym piętrze. Przez chwilę widziałam w nim Brendana, który podszedł, by zaciągnąć zasłony.

### 36

Trudno to było nazwać typową pierwszą randką, skoro kręciliśmy się po opuszczonym kościele w Hackney, zamienionym przed kilku laty w magazyn rzeczy używanych. Może było to nawet lepsze od sztywnego siedzenia w jakimś pubie, spoglądania sobie w oczy, sączenia taniego wina i zadawania ostrożnych pytań w celu wysondowania gruntu. Zamiast tego Don był w jednym końcu kościoła, w miejscu dawnego ołtarza, gdzie pochylał się nad żeliwną wanną na krótkich pałkowatych nóżkach, a ja w połowie długości bocznej nawy przyglądałam się marmurowym gargulcom. W magazynie nie było nikogo oprócz nas, człowiek, który nas wpuścił do środka, szybko wycofał się do kantorka urządzonego w dawnej zakrystii. Zgromadzone przedmioty tonęły w kolorowym świetle sączącym się przez witraże w oknach, a nasze głosy rozbrzmiewały donośnym echem.

— Dlaczego nigdy wcześniej tu nie byłem? — zawołał Don, szerokim gestem wskazując sterty kamiennych płyt ogrod-

wych, ogromne regały z pełnego drewna, stojące pod ścianą porcelanowe umywalki i kosze pełne mosiężnych klamek oraz zasuwek.

— Bo nie zajmujesz się remontami.

— Wszystko aż się prosi, żeby kupić. Tylko popatrz na te ławki ogrodowe. Albo fontanny.

Uśmiechnęłam się do niego, czując niespodziewany przyptyw szczęścia, po czym odparłam lekko drżącym głosem:

— Przecież nie masz ogrodu.

— To prawda. A ty masz?

— Nie.

— W takim razie sama wybierz mi jakiś sprzęt.

— Co powiesz na ławkę kościelną?

— Kościelną?

— Świetnie by pasowała do dużego pokoju. Tylko spójrz.

Wyłonił się zza kolumny i stanął obok mnie. Lecz nawet nie spojrzał na zabytkową ławkę z rzeźbionymi podłokietnikami. Położył mi ręce na ramionach.

— Czy ktoś ci już mówił, że jesteś wspaniała?

— Na pewno nie w kościele — odparłam przez ściśnięte gardło.

I wtedy mnie pocałował. Oparłam się o żeliwny piecyk do opalania drewnem, który kosztował 690 funtów, i wsunęłam dłonie pod jego marynarkę, a potem pod koszulę, żeby czuć pod palcami ciepło jego ciała i krągłość żeber. Później usiedliśmy na ławce i gdy spojrzałam mu w oczy, uśmiechnął się do mnie szeroko.

Dopiero wtedy poszliśmy na drinka, którego wypiliśmy w ogródku przed pubem, ciesząc się pogodnym ciepłym wieczorem i trzymając za ręce pod stolikiem, a potem wstąpi-

liśmy na kolację do hinduskiej restauracji. Przez cały ten czas udało mi się ani jednym słowem nie wspomnieć o Brendanie. Robiło mi się niedobrze na wspomnienie, jak robaczywieją od niego moje myśli, w których zawsze jest obecny, nawet gdy znajduje się daleko, jak jego obleśne słowa, mimo że wypowiedziane szeptem, tłuką się pod czaszką zwielokrotnionym echem. Odciełam się od niego. Odciełam się też od Troya i Laury. Dopuszczałam do siebie myśli o nich dopiero wtedy, gdy wysadziłam Dona pod jego domem i ruszyłam do siebie. Nawet we własnym mieszkaniu nie czułam się już jak u siebie, bo przeszkadzała mi stojąca przed wejściem do klatki tablica z napisem „Sprzedane” i atmosfera tymczasowości w częściowo pozbawionych mebli pokojach. Duchy i tak mnie w końcu dopadły, ale tego wieczoru nie czułam się już przez nie osaczona, bo w końcu podjęłam jakieś działania. Miałam przed sobą konkretny cel, zadanie do wykonania. A poza tym spotkałam się z mężczyzną, który uważał, że jestem wspanią. Bardzo mi to pomogło w zwalczeniu dręczącego poczucia samotności.

Ponownie zjawiłam się w Crabtrees o ósmej następnego ranka, ale blondynki nie było w pracy. Za kontuarem stał jeden z mężczyzn, których poznałam dwa dni wcześniej, serwował podwójne espresso, gorącą czekoladę i herbatę rumiankową. Przysiadłam na wysokim barowym stołku, zamówiłam kawę i pączka z kremem cytrynowym, po czym zapytałam, czy kobieta, która mnie wczoraj obsługiwała, przyjdzie niedługo, gdyż prawdopodobnie zostawiłam tu apaszkę, a chciałabym ją odzyskać.

— Naomi? Nie będzie jej dzisiaj.

— A kiedy mogę się z nią zobaczyć?

— Nie wiem. Ona nie ma stałego etatu, przychodzi z reguły kilka razy w tygodniu. Studiuje medycynę. Ale nie zosta-

wiła ani apaszki, ani żadnej wiadomości. Jak pani chce, mogę się jeszcze rozejrzeć na zapleczu.

— Nie trzeba. Przyjdę kiedy indziej.

Panował poranny szczyt, stanęłam więc na końcu kolejki przed przystankiem autobusowym usytuowanym kilkadziesiąt metrów od wejścia do budynku, w którym poprzedniego wieczoru zniknęli Naomi z Brendanem. W oknie na pierwszym piętrze zasłonki były wciąż zasunięte. Stałam na przystanku kwadrans, przestępując z nogi na nogę i odprowadzając wzrokiem kolejne odjeżdżające autobusy. W końcu ktoś odsunął zasłonki, tylko nie zauważyłam kto. Pomyślałam, że gdy jeszcze trochę zaczekam, któreś z nich na pewno wyjdzie z domu. Postanowiłam, że jeśli zrobi to Brendan, zapukam do drzwi w nadziei, że ona wciąż jest w mieszkaniu, a gdyby wyszła Naomi, zaczepię ją na ulicy i porozmawiam. Nie mogłam też wykluczyć, że wyjdą razem, ale w takim wypadku uzależniałam swoje postępowanie od rozwoju wydarzeń. Ostatecznie to Brendan wyszedł z domu. Miał na sobie workowate czarne spodnie, szarą wełnianą marynarkę i niósł mały srebrzysty plecak zarzucony na ramię. Błyskawicznie dałam nura między ludzi stojących pod wiatą przystanku, pełna obaw, że zaraz skręci w tę stronę. Pozostał jednak na tamtej stronie ulicy i ruszył przed siebie energicznym krokiem, pogwizdując pod nosem.

Odczekałam, aż zniknął mi z oczu, przeszłam przez ulicę i stanęłam przed drzwiami. Pospieszenie przeciągnęłam ręką po włosach, wzięłam głębszy oddech i nacisnęłam dzwonek. Przez dłuższy czas nikt nie odpowiadał, aż zaczęłam podejrzewać, że Naomi wyszła z domu przed nim, w końcu jednak usłyszałam kroki na schodach. Drzwi się uchyliły. Była w białym frotowym szlafroku i w turbanie z ręcznika na głowie. Wyglądała jeszcze młodziej niż wczoraj.

— Witam — rzuciła swobodnie, wyglądając przez wąską szparę na ulicę.  
— O co?... — Poznała mnie nagle. Uniosła wysoko brwi, a na jej twarzy odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. — Czy to nie pani była wczoraj w Crabtrees?

— Zgadza się. Przepraszam, że zjawiam się o tej porze, ale chciałabym zamienić z panią kilka słów.

— Nie rozumiem. Co pani tu robi? Skąd się pani dowiedziała, gdzie mieszkam?

— Czy mogłabym jednak wejść na chwilę? Wszystko wyjaśnię. To nie potrwa długo.

— Kim pani jest?

— Chciałam tylko...

— Jak się pani nazywa?

— Miranda. — Jej oczy nagle się rozszerzyły, toteż dodałam szybko: — Pewnie pani o mnie słyszała.

— Ach, tak, oczywiście. Nawet bardzo dużo — odparła ostrzejszym tonem. — I dlatego sędzę, że będzie lepiej, jeśli pani sobie pójdzie. Zaczęła już zamykać drzwi, ale złapałam za klamkę.

— Proszę. Chodzi tylko o kilka słów. To bardzo ważne. Nie przychodziłabym tu, gdyby nie było to dla mnie aż tak ważne.

Zawahala się, przygryzła górną wargę i spojrzała mi w oczy.

— Nie zajmę pani dużo czasu — powtórzyłam. — Jest jednak coś, o czym muszę pani powiedzieć. Proszę.

W końcu wzruszyła ramionami, otworzyła szerzej drzwi i wpuściła mnie do środka.

— Przyznam jednak, że nie mam pojęcia, co takiego ważnego dla mnie może mi pani powiedzieć.

Poszłam za nią na górę, gdzie wprowadziła mnie do maleńkiego saloniku. Na stole, obok stosu podręczników medycyny, w słoiku po dżemie stał bukietik hiacyntów. Na oparciu

krzesła wisiała męska skórzana marynarka. Naomi odwróciła się do mnie i oparła dłonie na biodrach. Nie poprosiła nawet, bym usiadła.

— Nie wiem, co pani o mnie słyszała — zaczęłam.

— Wiem, że kiedyś chodziła pani z Benem. — Zamrugałam szybko. Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że przed nią występował pod zmienionym imieniem. — Wiem też, że nie mogła mu pani darować, kiedy z panią zerwał, i na jakiś czas zamieniła mu pani życie w prawdziwe piekło.

— A co z Laurą? Wspominał o niej?

— Oczywiście. Była jego żoną i gdy zginęła, serce omal mu nie pękło. — Zauważyłam, że łzy napływają jej do oczu. — Opowiedział mi o wszystkim. Biedny Ben.

— Więc pewnie słyszała pani też o Troyu? O nim również opowiadał? — zapytałam lekko chrapliwym głosem.

— Owszem. Do dzisiaj dręczą go senne koszmary.

— W takim razie posłuchaj, Naomi. Nie masz nawet pojęcia, w co się pakujesz. Brendan... to znaczy Ben... Z nim jest coś nie w porządku. I to coś bardzo poważnego.

— Jak może pani tak mówić! Kto, jak kto, ale pani?! Wycierpiał się w życiu dużo więcej niż większość z nas, lecz wcale nie stał się przez to zgorzkniały i zamknięty w sobie. Nawet o pani nigdy nie mówił źle, bo świetnie rozumie, dlaczego zachowuje się pani w ten sposób.

— On to wszystko uknuł.

— Nieprawda.

— Opowiada same kłamstwa, Naomi. Jest tego tyle, że aż trudno uwierzyć. — Ogarniało mnie coraz silniejsze zniechęcenie i przemożne zmęczenie.

— Nie chcę słyszeć więcej ani słowa — błyskawicznie zatkała sobie palcami uszy.

— Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie! — rzekłam podniesionym głosem.

— Mówi pani o człowieku, którego kocham.

— Posłuchaj mnie, proszę. Tylko mnie wysłuchaj. Zaraz potem sobie pójdę. Chcę jednak, żebyś znała prawdę. Proszę...

Położyłam jej dłoń na ramieniu, a gdy próbowała ją strącić, mocniej zacisnęłam palce.

— Nie sędzę, żeby ona chciała cię wysłuchać. Teraz już nikt nie chce cię słuchać, prawda? Więc bądź uprzejma ją puścić.

Odwrociłam się gwałtownie.

— Brendan — jęknęłam.

— Ben! — wykrzyknęła Naomi. — Ben! Podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Ciekawe, jak mnie odnalazłaś. Musiałaś włożyć w to mnóstwo wysiłku.

Zerknęłam na nią. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że chcąc ją ratować, ostrzec przed niebezpieczeństwem, mogłam ściągnąć na nią jeszcze większe zagrożenie.

— Wybacz mi, że wbrew swej woli zostałam w to wciągnięta — odezwał się do niej Brendan. — Chciałem cię przed tym ochronić. To moja wina. Wszystko w porządku?

— Och, nie musisz mnie przed niczym ochraniać — odparła. Spojrzała na niego, podniosła rękę i czule pogłaskała go po policzku. — To nie twoja wina, tylko moja. Przecież to ja ją wpuściłam do mieszkania.

— Lepiej już pójdę — mruknęłam.

— Rzeczywiście, tak będzie lepiej — syknął. Zrobił jednak krok w moją stronę, złowieszczo popatrzył na mnie z góry i znów z tym samym niewyraźnym, ledwie zauważalnym uśmiechem na ustach dodał cicho:

— Biedna Mirrie.

Trzy dni później zadzwonił Rob Pryor.

— Podobno mieliśmy już więcej ze sobą nie rozmawiać — rzuciłam beztrąsko.

— A jednak musimy się spotkać — odparł poważnie.

— W sercu zakłuło mnie straszliwe przeczucie.

— Czy coś się stało Naomi?

— Nie, nic się jej nie stało. Aż nie chce mi się wierzyć, że miałaś czelność ją zaczepić. Wcześniej musiałaś ją obserwować.

— Owszem. Uważałam to za swój moralny obowiązek.

— Dlatego teraz muszę cię zaprosić do siebie na rozmowę.

— W jakiej sprawie?

— Tego wszystkiego, co jest między tobą a Brendanem. To nie może tak dłużej trwać.

— Wiem, co masz na myśli. Rzeczywiście, czuję się jak człowiek zarażony groźnym wirusem.

— Musimy to raz na zawsze wyjaśnić.

— Kiedy chcesz się ze mną spotkać?

— Najpierw zapytam cię jeszcze o coś innego, Mirando. Czy masz adwokata?

— Nie rozumiem.

— Moim zdaniem, byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś załatwiła sobie jakiegoś adwokata.

— Tylko raz w życiu korzystałam z porady prawnika. Kiedy kupowałam mieszkanie.

Wydawało mi się to śmieszne, ale Pryor mówił całkiem poważnie.

Zapytał, czy wśród moich znajomych nie ma jakiegoś prawnika.

Zamyśliłam się na chwilę i przypomniałam sobie o Polly Benson.

Najgorsze było to, że gdy chodziłyśmy

razem do college'u, Polly cieszyła się opinią najbardziej łakomego kaska wśród wszystkich dziewcząt, co w tym wypadku mogło stanowić poważną przeszkodę. Pryor uznał jednak, że byłoby dobrze, gdybym przyprowadziła ją ze sobą na komendę. Mnie ten pomysł wydawał się co najmniej kiepski. Poza tym od lat nie utrzymywałam z Polly kontaktu. Ale inspektor tak nalegał, że nabrałam podejrzeń.

— Czy jest jakiś poważny problem? — zapytałam.

— Musimy sobie wyjaśnić kilka spraw — odparł łagodnym tonem. — Niewykluczone jednak, że będziesz potrzebowała fachowej porady. Skontaktuj się z przyjaciółką, a potem zadzwoń do mnie. Wtedy umówimy się na spotkanie.

Kiedy zadzwoniłam do Polly, aż pisnęła z radości, usłyszawszy moje imię i nazwisko. Była wręcz niewiarygodnie podniecona. Uznała, że to cudownie, że koniecznie musimy się spotkać, najlepiej na drinku, a w ogóle jakie mam plany? Nawet przez telefon słyszałam stuk rzeczy przewracanych na biurku, gdy sięgała po terminarz. Odparłam, że chętnie z nią poplotkuję przy czymś mocniejszym, ale najpierw chciałabym porozmawiać w sprawie formalnej, po czym zapytałam szybko, czy zechciałaby pójść ze mną na pewne spotkanie. Prawdę mówiąc, to spotkanie z inspektorem policji, ale niech nie wyciąga pochopnych wniosków. Powiedziała, że oczywiście, nie ma sprawy, w każdej chwili, bo przecież nie odmawia się pomocy przyjaciołom. zaproponowałam, że jej zapłacę, jak każda inna klientka, ale tylko zaśmiała się i kazała mi o tym zapomnieć, bo i tak nie byłoby mnie stać na jej usługi. Chciała jednak wiedzieć, co się stało, przedstawiłam jej więc dwuminutową wersję historii mojej znajomości z Brendanem, którą przyjęła z pomrukami współczucia.

— Co za gnój — mruknęła, gdy skończyłam. — I naprawdę nie wiesz, o co chodzi temu inspektorowi?

— Brendan zdążył się z nim zaprzyjaźnić. Możliwe, że złożył jakąś oficjalną skargę. — Zachichotałam nerwowo.

— A może chce się przyznać do popełnienia morderstwa.

— Prędzej chce zakwestionować twoje zarzuty przeciwko niemu — odrzekła Polly. — Musisz bardzo uważać, co o nim mówisz.

— Przyznam, że trochę mnie zmartwiła prośba, bym przyszła w towarzystwie adwokata.

— W takim razie tylko wyjdzie ci na dobre, jeśli zjawimy się razem. Nie byłam pewna, czy faktycznie wyjdzie mi na dobre, niemniej ustaliłyśmy, o jakiej porze ma jutro trochę wolnego czasu i umówiłyśmy się też na drinka pod koniec tygodnia. Zadzwoiłam do inspektora Pryora, który zaakceptował termin spotkania, i tym niezwykłym sposobem nazajutrz przed komendą policji ujrzałam swoją dawną przyjaciółkę z college<sup>^</sup>. Postarałam się o elegancki wygląd, włożyłam czarne spodnie i ciemny żakiet, lecz Polly przyjechała prosto z biura i wyglądała jak z zupełnie innej bajki. Prawdziwa bizneswoman, miała na sobie wytworną szarą prążkowaną garsonkę, z kruczoczarnymi prostymi włosami do ramion i jasnocze-koladową skórą wyglądała w niej po prostu oszałamiająco. Uściskałyśmy się serdecznie.

— Przepraszam, że zawracam ci głowę takimi duperelami

— powiedziałam. — Mam nadzieję, że potrwa to tylko parę minut.

Gliniarz w mundurze wprowadził nas do gabinetu Pryora, w którym panował niemalże ścisk. Brendan siedział obok kobiety w średnim wieku, również elegancko ubranej. Inspektor przedstawił ją jako Deirdre Walsh, jego reprezentantkę. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, jakby spodziewała się ujrzeć kogoś innego albo usłyszała ode mnie coś w obcym języku. Ja z kolei przedstawiłam im Polly, za wszelką cenę usiłując nie

patrzeć na Brendana. Pryor zapytał ją, czy jest zaznajomiona z sytuacją. — Owszem, opowiedziałam wszystko — odparłam. — Nie jestem tylko pewna, czy właściwie przedstawiłam cel tego spotkania.

Pryor, Brendan i Walsh wymienili szybkie spojrzenia. Ewidentnie coś się szykowało. Ze sterty na biurku inspektor wyciągnął kartonową teczkę, otworzył ją i ułożył przed sobą.

— Jest to wstępne, nieformalne spotkanie na prośbę pana Błocka — zaczął.

— Jak mam to rozumieć? — zapytałam.

— Zaraz wszystko wyjaśnimy. — Wyjął z teczki jakiś dokument. — Wszyscy wiemy, przynajmniej w zarysach, jak się sprawy mają, chciałbym jednak przytoczyć najistotniejsze fakty. — Wydał wargi, zamyślił się na krótko, po czym ciągnął: — W ubiegłym roku oboje państwa połączyła krótka zażyła znajomość, którą pan Błock zerwał.

— To nieprawda — wtrąciłam.

— Proszę, panno Cotton, czy mógłbym tylko...

— Nie zamierzam tu siedzieć i w spokoju wysłuchiwać takich kłamstw. Było zupełnie inaczej. Przyłapałam Brendana na czytaniu moich pamiętników...

— Bardzo proszę, panno Cotton... Mirando, pozwól mi skończyć, a wtedy oddam ci głos.

Zazgrzytałam zębami i umilkłam.

— Według zeznań pana Błocka to on zakończył waszą znajomość. Może niezbyt szczęśliwie związał się następnie z twoją siostrą, a potem wspólną znajomą...

— Nie wspólną, tylko moją przyjaciółką.

— Ich małżeństwo — ciągnął Pryor, nie zwracając na mnie uwagi — zakończył tragiczny wypadek.

— Tragiczny dla Laury, nie dla Brendana.

Zwróciłam uwagę, że Deirdre Walsh spogląda na mnie z nieskrywaną wściekłością.

— Bardzo proszę, Mirando — mruknął inspektor. Polly szybko położyła mi dłoń na rękę. Skinęłam jej głową.

Pryor mówił dalej:

— Nie chcę wracać do wszystkich epizodów świadczących o napiętej atmosferze, jaka panowała między wami przez cały czas trwania związku Brendana z twoją siostrą. Wspomnę tylko, że w którymś momencie przyłapano cię na przeglądaniu jego osobistych rzeczy w ich sypialni. Zerknęłam na Polly, bo o tym jej nie mówiłam, ale przyjęła tę wiadomość bez mrugnięcia okiem.

— Pan Błock przyznaje, że rozstanie z twoją siostrą było dla niego bolesnym procesem, lecz zależało mu na zerwaniu wszelkich kontaktów z twoją rodziną. Jednakże to tylko nasiliło twoje naganne poczynania. Na przykład zaczęłaś rozpowszechniać bezpodstawne ostre zarzuty wobec niego, których nie omieszkałaś przedstawić nawet mnie. Nie uspokoiłaś się również wtedy, gdy zadałem sobie trud wykazania, że twoje zarzuty, na przykład dotyczące okoliczności śmierci Laury, są w sposób oczywisty fałszywe.

— To nieprawda — odparłam. — Wszystko jest kwestią wyliczenia czasu, a wy braliście tylko pod uwagę okreśną drogę. Sama to sprawdziłam. Ścieżką przez las i tory, a potem przez ogrodzone osiedle, Brendan mógł bez trudu dostać się do mieszkania, po czym wrócić niepostrzeżenie na przyjęcie.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza. Deirdre Walsh pochyliła się nad stołem i odezwała się po raz pierwszy:

— Przepraszam, panno Cotton, ale nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem. Mam zakładać, że pani sama pokonała tę trasę i zmierzyła potrzebny na to czas?

— Ktoś przecież musiał to zrobić.

— Chwileczkę, proszę wybaczyć — zabrała głos Polly. Schyliła się w moją stronę i szepnęła mi na ucho: — Byłoby lepiej, gdybyś nie odpowiadała na kolejne zarzuty, dopóki inspektor nie skończy wprowadzenia.

— Dlaczego? — zdziwiłam się.

— Bo cię o to proszę.

— W porządku — odparłam głośno. — Słucham dalej. Pryor wyjął z teczki drugą kartkę.

— Czy znasz niejakiego Geoffreya Locke'a?

— Zamyśliłam się na chwilę. To nazwisko wydawało mi się znajome.

— Ach, chodzi o Jeffa? Tak, spotkałam się z nim.

— Dzwoniłaś do niego w sprawie pana Błocka.

— Owszem, chciałam się z nim skontaktować.

— Nie mogłaś wziąć numeru z książki telefonicznej?

— Tam go nie znalazłam.

— A Leon Hardy?

— Rozmawiałam z nim tylko przez telefon.

— Na jaki temat?

— Ten sam, szukałam kontaktu z Brendanem.

— Craig McGreevy?

— Nie rozumiem, czemu ma służyć wymienianie tych osób.

— Spotkałaś się też z Tomem Lanhamem.

— Przepraszam, ale wciąż nie wiem, o co chodzi.

Spojrzałam na Brendana. Jak zwykle na jego wargach błąkał się ten tajemniczy, ledwie zauważalny uśmiech. Przypomniałam sobie, kiedy pierwszy raz zwróciłam na to uwagę. Było to tego dnia, gdy się poznaliśmy na lodowisku i gdy doszłam do wniosku, że mu się podobam. Przeniosłam wzrok na Pryora. Ten miał śmiertelnie poważną minę.

— Nie tylko rozmawiałaś z Lanhamem, ale zabrałaś od niego rzeczy osobiste pana Błocka.

Znów zerknęłam na Polly, lecz ona patrzyła się prosto przed siebie.

— Chciałam mu je oddać, gdybyśmy się w końcu spotkali — wyjaśniłam.

— Zresztą wpadłam na ten pomysł tylko dlatego, że Tom Lanham bardzo chciał się ich pozbyć ze swego mieszkania. Skoro z nim rozmawiałeś, to powinieneś również wiedzieć, że Brendan uciekł stamtąd, nie płacąc należnej części komornego.

Pryor utkwiał wzrok w trzymanej kartce.

— Babcia pana Błocka, Victoria Rees, cierpi na starczą demencję.

Odwiedziłaś ją w domu starców.

— Tak.

— Sądziłaś, że uzyskasz od niej aktualny adres pana Błocka?

— Nie. Chciałam się czegoś dowiedzieć o jego dzieciństwie. Z różnych powodów.

— Następnie odwiedziłaś jego siostrę, wobec której zachowywałaś się agresywnie i zadawałaś obraźliwe pytania.

— Nie nazwałabym tego w ten sposób.

Po tylu tragediach, jakie go spotkały, pan Block próbuje na nowo ułożyć sobie życie. Związał się z inną kobietą. Ty jednak wtargnęłaś w ich życie prywatne. Szpiegowałaś ją i zasypywałaś pogrozkami,

— Nie zasypywałam żadnymi pogrozkami.

— Wcześniej uzgodniłem z panem Błockiem i jego prawną reprezentantką, że poprowadzę to spotkanie i wystąpię w ich imieniu.

Chciałbym jednak, aby pan Block powiedział osobiście, jak odbiera twoje poczynania.

Brendan odchrząknął.

— Bardzo mi przykro, Mirrie. Jest mi cię żal. Naprawdę. Poczulem się jednak... — Urwał na chwilę, jakby poruszał sprawy niezwykle bolesne, o których nie powinno się mówić publicznie. — ...zagrożony, zaszantażowany, osaczony.

— Jasne! Aż serce mi się kraje, tak mi cię żal! — syknęłam ze złością.

— Miranda! — ofuknęła mnie ostro Polly.

— Chcę dodać jeszcze jedno — rzekł Pryor. — Pani Walsh i pan Błock poprosili mnie o to spotkanie w związku z konkretnymi zarzutami, z których większość i tak była mi wcześniej dobrze znana. Muszę przyznać im rację, że zebrane fakty aż nadto uzasadniają oskarżenie na mocy przepisów Ustawy o ochronie przed molestowaniem z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.

— Jak mam to rozumieć, do diabła?! — wybuchnęłam.

— Czyżby Brendan twierdził, że go napastuję psychicznie?

— Proszę posłuchać, panno Cotton — wycedził Pryor.

— Według mojej fachowej oceny nie może być żadnych wątpliwości, że mamy do czynienia z molestowaniem. Chcę to pani powiedzieć wprost, w obecności pani adwokata. Kiedy zapoznałem się z zebraniem materiałem dowodowym, w pierwszej chwili miałem ochotę panią aresztować. Pani adwokat na pewno potwierdzi, że tego typu molestowanie w myśl przepisów rozdziału drugiego wspomnianej ustawy jest zagrożone karą pozbawienia wolności do pół roku i grzywną w wysokości do pięciu tysięcy funtów. Mógłbym już teraz panią aresztować i wystąpić o nakaz rewizji w pani mieszkaniu. Ośmielę się też dodać, że wspomniana ustawa dopuszcza możliwość wystąpienia z roszczeniem odszkodowania na drodze cywilnej.

Byłam tak wściekła, przerażona, oszołomiona, że ledwie mogłam dobyć z siebie głosu.

— To chyba jakaś parodia — wyjąkałam. — Ja tylko... No cóż, zacznijmy od tego, że nie sposób nikogo molestować, kontaktując się z jego przyjaciółmi.

— Samo pojęcie molestowania nie jest w tej ustawie ściśle zdefiniowane — odezwała się Deirdre Walsh lodowatym tonem. — Jeśli ktoś uważa, że jest molestowany, a rozsądna

osoba bezstronna, taka jak sędzia pokoju, uzna jego argumenty, wówczas mamy do czynienia z molestowaniem. Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie spotkałam się z tak dobrze udowodnionym przypadkiem.

— Pani Walsh ma rację — przyznał Pryor. — Tylko, moim zdaniem, sprawa wymagałaby dokładniejszego śledztwa. Niemniej i ja uważam, że pan Błock może się czuć zagrożony z twojego powodu. Ale bardzo mu zależy na polubownym rozwiązaniu. Gdyby sprawa trafiła do sądu karnego, na pewno otrzymałabyś zakaz zbliżania się do poszkodowanego. Podobny byłby wynik rozprawy z powództwa cywilnego. A zatem nie ma znaczenia, na którą drogę zostałyby skierowane oficjalne zarzuty, bo wynik byłby ten sam. Pan Błock jest jednak gotów zadowolić się twoim ustnym zobowiązaniem złożonym w tym gronie. Jeśli nie zechcesz go złożyć, zastanowimy się nad dalszym biegiem sprawy.

— Mam rozumieć, że grozisz mi aresztowaniem?

— Zgadza się.

— Przecież to zupełny idiotyzm — syknęłam. — Jeśli już, to najwyżej mamy do czynienia z molestowaniem mnie przez Brendana. Bo to ja z nim zerwałam, przez co wkreślił się do mojej rodziny i zatrul mi całe życie.

W pokoju na dłużej zapadło kłopotliwe milczenie.

— Obierasz dość niekonwencjonalną linię obrony — odezwał się w końcu Pryor. — Myślę, że na tym etapie powinniśmy umożliwić ci naradę z adwokatem. Dlatego zostawimy was teraz same.

Cała trójka wstała, żeby wyjść z ciasnego gabinetu. Musiałam się aż podnieść z krzesła, żeby im to umożliwić. Pryor zamknął za sobą drzwi, ale gabinet oddzielało od korytarza cienkie oszklone przepierzenie, zobaczyłam więc, jak ruszają w stronę automatu do kawy, pogrążeni w rozmowie. Deirdre Walsh obejrzała się jeszcze. Pospiesznie odwróciłam głowę,

lecz było na to za późno. Tymczasem Polly siedziała ze zwieszoną głową i gapiła się na podłogę.

— Przyznam, że spodziewałam się czegoś zupełnie innego — powiedziałam.

Spojrzała na mnie. Mimo ciemnej cery łatwo było zauważyć, że krew odpłynęła jej z twarzy.

— Nie jestem pewna, czy wybrałaś sobie właściwą reprezentację prawną — mruknęła. — Obawiam się, że potrzebujesz kogoś bardziej doświadczonego w takich sprawach.

— Chciałam tylko usłyszeć twoją radę, Polly. Przygryzła wargi.

— Czy to prawda? — zapytała. — Naprawdę zdarzyło się to wszystko?

— Powiem tak: Nie jest to całkowitą nieprawdą... samo w sobie... Choćby to, że zostałam przyłapaną na grzebaniu w jego rzeczach osobistych.

Mieszka! wtedy w domu moich rodziców, więc nie może być mowy o żadnym włamaniu albo czymś podobnym. A te wszystkie rozmowy telefoniczne... Przecież wiesz, jak to jest. A dzwoni do B, ten do C, i tak dalej. Po prostu próbowałam go odszukać. Sam pomysł, że prześladuję Brendana, jest po prostu śmieszny. Według mnie on jest niebezpieczny. Więc jak miałabym postępować?

Polly wstała, odwróciła się powoli i popatrzyła na mnie z góry.

— Nie powinnam się była godzić na udział w tym spotkaniu — oznajmiła. — Znamy się od dawna, więc jest to złamanie zasad etyki zawodowej. Ale nie zdawałam sobie sprawy, że... Posłuchaj, Mirando. Niezależnie od wszystkiego uważam, że powinnaś poszukać fachowej pomocy.

— Jeśli masz na myśli psychoterapeutę, to przez pewien czas uczęszczałam na sesje.

— Nie powiedziałaś mi o tym. Podobnie jak o wielu innych sprawach.

— Ale z terapeutką rozmawiałam głównie o swoich uczuciach związanych ze śmiercią brata i najbliższej przyjaciółki.

— I tak powinnaś mnie o tym uprzedzić.

— Żebyś mogła odrzucić moją prośbę, uzasadniając, że cierpię na jakieś zaburzenia psychiczne? — Polly nie odpowiedziała, ale nie musiała już nic mówić. Dodałam więc stanowczo: — Nie zamierzam się godzić na ich propozycję.

Energicznie pokręciła głową.

— Nie, Mirando. Dość tego. Na razie jesteś traktowana wyrozumiale...

— Wolałabym jednak, żeby udowodnili swoje zarzuty przed sądem.

— Opanuj się! — Polly złapała mnie za rękę i tak silnie zacisnęła palce, aż mimowolnie jęknęłam. — Jeśli ta sprawa trafi do sądu, przegrasz.

Możesz mi wierzyć na słowo, że będziesz żałowała przesłuchania przed sądem na temat tych wszystkich zarzutów, jakie przedstawił ci inspektor.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zostaniesz uznana za winną.

Jeśli trafisz na nieprzychylnego sędziego, spędzisz jakieś cztery miesiące w Holloway. Na pewno tego chcesz? Pragniesz do końca życia być

skazaną? Wpisywać to określenie do każdego kwestionariusza, ilekroć będziesz szukała pracy bądź występowała o wizę? — Spoglądała na mnie

z tak głębokim pożałowaniem, że zrobiło mi się niedobrze. — Nie wiem, co się naprawdę stało, ale jest mi cię bardzo żal. Jeśli pozwolisz mi

jeszcze przez pięć minut występować w roli swojego adwokata, szybko

przyjmiemy tę ofertę, i to na każdych warunkach, jakie zaproponują.

Niezależnie od wszystkiego, stwarzają ci szansę wyjścia z opresji bez

poważniejszych konsekwencji. Tylko od ciebie zależy, czy poprosimy ich z powrotem.

Ledwie mogłam coś powiedzieć przez zaciśnięte gardło. Czułam się, jakbym cała była zlana potem, za to usta miałam suche jak papier.

— Zgoda — mruknełam.

Kiedy wychodziłyśmy z gabinetu, zerknęłam na Brendana stojącego w korytarzu. Rozmawiał z Robem Pryorem. Pochwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się, a po chwili uniósł palec wskazujący i pogroził mi, jak nauczyciel udzielający reprimendy niegrzecznemu uczniowi. Wreszcie przeciągnął sobie tym palcem po szyi. A raczej wokół szyi. Co to miało znaczyć? Symbolizowało nóż przystawiony do gardła? Czy też stryczek, jak ten zaciśnięty na szyi Troya? Powinnam to traktować jak ostrzeżenie: „Lepiej ze mną nie igray”?

— Widziałaś to? — zwróciłam się do Polly.

— Co? — zapytała.

Oczywiście nikt oprócz mnie nie zauważył tego gestu.

Po wyjściu z budynku, już na schodach, gdy oślepiło nas jaskrawe słońce, Polly orzekła, że powinnam to przyjąć z wielką ulgą. Podpisałam przygotowane zawczasu przez Deirdre Walsh zobowiązanie, zgodnie z którym nie wolno mi było kontaktować się z Brendanem, ani nawet zbliżać się do niego, co dotyczyło również jego przyjaciół oraz członków rodziny. Polly oświadczyła ponadto w moim imieniu, że bardzo przepraszam za swoje zachowanie, wynikające ze skrajnego napięcia psychicznego, dodając przy tym, że jestem w stałym kontakcie z psychoterapeutą. Zanim się rozstałyśmy, wyciągnęła rękę na pożegnanie.

— Wcale nie zamierzam się tym przejmować — powiedziałam, a gdy zrobiła zdziwioną minę, wyjaśniłam: — To same bzdury. Brendan od samego początku dąży! do tego, bym właśnie tak była postrzegana. Tak wytrawny kłamca jak on zawsze będzie w stanie sprawić, że ktoś taki, jak ja, wyjdzie na łgarza. Myślę, że udzieliłaś mi bardzo mądrej rady. Musiałam podpisać ten świstek. Toteż jestem ci bardzo wdzięczna, że ocaliłaś mnie przed najgorszym. Chcę ci tylko zadać jedno pytanie. Uwierzyłaś mnie czy im?

Polly sprawiała wrażenie, jakby nagle odjęło jej mowę.

— No więc?

Rozłożyła bezradnie ręce.

— Skąd mogę mieć pewność? — zapytała.

— Bo jesteś moją przyjaciółką. W prawdziwej przyjaźni najważniejsze jest przecież zaufanie.

— Wybacz, Mirando — odparła. — Ale nawet przyjaciele potrafią stać się wrogami.

Bez słowa wyciągnęłam rękę i uścisnęłam jej dłoń. Jeszcze tego samego wieczoru Polly zadzwoniła, żeby odwołać nasze spotkanie w przyszłym tygodniu.

### **38**

W kiosku przed domem kupiłam gruby notatnik. Niestety, był tylko w kolorze obrzydliwego fioletu. Wmówiłam sobie jednak, że to przecież nie ma żadnego znaczenia. Usiadłam przy stole i otworzyłam go. Pierwszy długopis nie chciał pisać, nie pomagało lizanie końcówki, potrząsanie ani trzymanie pod ciepłą wodą, więc w końcu złamałam go na pół i wyrzuciłam do kosza, żeby dłużej nie cierpieć z jego powodu. Musiałam przekopać całą szufladę, zanim znalazłam drugi, postanawiając solennie, że gdy znajdę już sobie nowy dom, kupię sto... nie, lepiej dwieście długopisów i porozrzucam je po wszystkich pokojach jak czekoladowe jajeczka na Wielkanoc. Zamierzałam porozkładać je w szufladach, na półkach i w szafkach kuchennych, pochować za książkami i za kanapą, powtykać w kieszenie płaszczy i zakietów, żeby absolutnie zawsze mieć je pod ręką.

Nie byłam jednak w odpowiednim nastroju. Zaparzyłam sobie kubek kawy, przy okazji zadając kłam twierdzeniu, że

### **318**

gdy się stoi nad czajnikiem, woda nigdy się nie zagotuje. Napełniłam go zimną wodą z kranu i gapiłam się jak w transie, ale mimo to zaczął gwizdać i buchać parą, aż pokrywka podskakiwała. Potem, trzymając kubek oburącz, żeby rozgrzać od niego palce, stanęłam przy oknie. Nie zobaczywszy za nim niczego ciekawego, odwróciłam się do pokoju i popatrzyłam na rzeczy, które miały niedługo znaleźć się w kartonowych pudłach i zostać umieszczone gdzieś, gdzie doczekają chwili ponownego ich rozmieszczenia w nowym wnętrzu. Przez chwilę miałam wrażenie, że wszystko wygląda normalnie, ale już czułam się jak emigrant, pozostawiając za sobą całe swoje dotychczasowe życie. Wcześniej jednak musiałam zrobić kilka ważnych rzeczy. A ta była najważniejsza. Dlatego zmusiłam się, by usiąść przy stole i zacząć pisać.

*Droga Naomi,*

*Jeśli czytasz te słowa, to oznacza, że nie wyrzuciłaś od razu mojego listu do kosza, a to już coś.*

*Jak zapewne wiesz, jeśli pokażesz go Brendanowi, Benowi lub policji, co na jedno wychodzi, zostanę aresztowana i oskarżona o molestowanie.*

*Przynajmniej tak mi powiedziano. Mam więc nadzieję, że tego nie zrobisz. Bo nie chcę iść do więzienia. Zresztą, nawet gdybyś miała ujawnić ten list, postaraj się go najpierw przeczytać. Obiecuję Ci uroczyście, że to ostatnia wiadomość ode mnie. Już nigdy więcej się z Tobą nie skontaktuję. Zatem wszystko zależy wyłącznie od Ciebie.*

*Nie zamierzam się tłumaczyć przed Tobą ze swojego postępowania. To wszystko jest zbyt skomplikowane, musiałabym napisać całą książkę, a i tak zapewne zabrakłoby mi właściwych słów, by to wyjaśnić.*

*Dlatego mogę się tylko postarać, by jasno i rzeczowo przedstawić swoje stanowisko. Zostałam oskarżona o to, że stanowią zagrożenie dla Brendana. Tak się składa, że moim zdaniem jest*

*dokładnie odwrotnie. Kiedy się budzę w nocy, nawet najdrobniejszy szelest rodzi we mnie strach, że tu przyszedł, by definitywnie ze mną skończyć. Ale to przecież nie Twoje zmartwienie. Boję się o siebie, ale jestem pewna, że i Ty znalazłaś się w niebezpieczeństwie. Może jeszcze nie dziś i nie jutro, ale kiedyś Wasze stosunki się popsują, bo wcześniej czy później w każdym związku dochodzi do zgrzytów. A jestem przekonana, że Brendan nie znosi, kiedy sprawy idą nie po jego myśli. Co chcę Ci przez to przekazać? Spróbuj w głębi duszy odpowiedzieć sobie szczerze na kilka pytań. Czy Twoim zdaniem można mu ufać? Czy jego zachowanie to przejaw troski o Ciebie, czy raczej przejmowania kontroli nad Twoim życiem? Czy nie ma przed Tobą żadnych tajemnic? Czy nie zauważyłaś przejawów jego wściekłości? Nie stosował wobec Ciebie przemocy? Czy na pewno wiesz, co robi, kiedy nie jesteście razem? Ile naprawdę o nim wiesz? Czy wierzysz do końca w to, co Ci mówi? Nie, dość tych bzdur. Zapomnij o wszystkim. I tak będziesz musiała poznać prawdę na własnej skórze.*

*Już nigdy więcej o mnie nie usłyszysz, dlatego życzę Ci szczęścia i tego, byś nie zapragnęła się ze mną skontaktować. Wyprowadzam się ze swego mieszkania, jeszcze nie wiem, gdzie zamieszkam. Gdybyś jednak mimo wszystko próbowała do mnie dotrzeć, zapisuję Ci poniżej nazwiska i numery telefonów paru osób. Któraś z nich powinna wiedzieć, gdzie mnie szukać.*

*Obawiam się, że bardzo źle trafiłaś, więc tym goręcej życzę Ci szczęścia.  
Miranda.*

Bojąc się, że mogę zmienić zdanie, szybko włożyłam list do koperty, napisałam na niej adres kawiarni Crabtrees, wyszłam z domu i wrzuciłam go do skrzynki na rogu.

Najlepszą życiową regułą na odnalezienie brakującej skarpetki jest wyrzucenie do śmieci tej drugiej, która pozostała od pary. Jeśli szuka się powodów, dla których nie należy wysłać listu, znajduje się je w chwili wrzucenia go do skrzynki. Gdy tylko usłyszałam, że mój list do Naomi stuknął o dno skrzynki, uzmysłowiłam sobie, że jest jeszcze jedno wyjście, którego dotąd nie wzięłam pod rozwagę. Z Brendanem zawsze tak było. Rozważałam, że Naomi albo wyrzuci mój list bez otwierania, albo też zachowa jego treść dla siebie. W takiej sytuacji nic mi nie groziło. Mogła go również pokazać policji lub Brendanowi, który z kolei też powinien iść z nim na policję. W takim wypadku mogłam w najbliższym czasie spodziewać się raczej nieprzyjemnej wizyty policjanta.

Ale dopiero teraz przyszło mi do głowy, że jeśli Naomi pokaże list Brendanowi, ten wcale nie musi iść z nim na policję. Gdyby go przeczytał, musiałoby się dla niego stać jasne, że nie ustąpię, wówczas zapewne powiedziałby swojej dziewczynie, że nie ma się czym przejmować, ale jednocześnie postanowiłby w duchu, że w końcu trzeba coś z tym zrobić.

Przez trzy kwadranse stałam przy skrzynce, aż wreszcie podjechał furgon pocztowy i wysiadł z niego mężczyzna z szarym płóciennym workiem. Zaczepiłam go i powiedziałam, że przez pomyłkę wrzuciłam źle zaadresowany list i chciałabym go odzyskać. Bez słowa włożył kluczyk do dziurki, przekręcił go i przesywał do worka całą zawartość skrzynki. Dopiero wtedy obrzucił mnie wzrokiem, jakim ostatnio spoglądało na mnie wiele osób, to znaczy jakby miał do czynienia z wariatką, i energicznie pokręcił głową.

— Halo! Miranda!

Jego głos zadudnił na klatce i rozległy się szybkie kroki na schodach, jakby przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Pospiesznie zrobiłam ostatnie pociągnięcia lakierem na listwie podłogowej i odłożyłam pędzel na pokrywę puszki.

— Uważaj na mokrą farbę — ostrzegłam, zaledwie pojawił się w drzwiach, luzując krawat pod szyją. — Lepiej niczego nie dotykaj. — Wstałam i przeszłam przez pusty pokój.

— Ale ciebie chyba mogę?

Położył mi dłonie na ramionach i pocałował gorąco. Poczułam, że od razu słabnie mi ból w zeszywniałych mięśniach i karku. Pomyślałam: jak to możliwe, że przy nim czuję się aż tak podniecona, a zarazem całkiem bezpieczna? Skąd mam wrażenie, że znam go dobrze, gdy jednocześnie chciałabym jeszcze tak wiele się o nim dowiedzieć?

— Dobry miałeś dzień? — zapytałam.

— W tej chwili jest najlepszy. Mam dokładnie pięć minut, zanim będę musiał wracać do pracy. Kupiłem nam kanapki w barku na dole.

— I myślisz, że na wszystko wystarczy tych pięciu minut? Wzięłam go za rękę i pociągnęłam w kierunku wąskich schodów na antresolę, przy których ściana też była świeżo pomalowana, a listwy błyszcząły od lakieru. Tu urządziłam sobie prowizoryczną sypialnię, pod oknem na podłodze leżał gruby materac, w drewnianych skrzynkach w kącie umieściłam moje ubrania. Kiedy ściągałam mu marynarkę i krawat, on zaś rozpinał mój kombinezon roboczy, uśmiechaliśmy się nawzajem do siebie jak para podlotków na wagarach, bo przecież był środek dnia w środku tygodnia, a my zamierzaliśmy się kochać w jego pustym, pełnym ech mieszkaniu. Światło

wpadające do środka przez przymknięte żaluzje układało się na podłodze w równoległe pasy. Starannie odwiesiłam jego marynarkę na wieszaku, on rzucił mój poplamiony farbami kombinezon w kąt.

— Chciałabym się tak wylegiwać do końca dnia — odezwałam się później, wyciągnięta na materacu, gdy on, leżąc na boku z głową wspartą na ręce, wodził palcami po moich włosach.

— Co wolisz? Pieczone jarzyny z mozzarellą czy wiejski cheddar z ogórkiem konserwowym?

— Może być po połowie?

— Jasne.

— Zjedzmy w kuchni. Potem pokażę, co zrobiłam, jak ciebie nie było. Próbowaliśmy się przenieść z Londynu gdzieś na prowincję. Naprawdę. Chciałam spalić za sobą wszystkie mosty i rzucić pracę u Billa po tym, jak sprzedałam mieszkanie w rekordowym tempie i zostałam na walizkach. Pisałam do wszystkich znanych mi ludzi z branży i umawiałam się na spotkania, rozpatrując wszelkie dostępne opcje, dokładnie tak, jak to sobie zaplanowałam. Myślałam o przeprowadzce do południowej Walii albo sąsiedniego Lincolnshire, przez kilka dni brałam pod uwagę nawet Bretanię, gdzie wielu mieszkańców angielskiego pochodzenia zdawało się desperacko poszukiwać specjalistów od remontów i urządzania wnętrz, planując odnowę malowniczych wiejskich posiadłości. Ale podobnie jak w przypadku Alicji, która po drugiej stronie lustra przekonywała się, że musi przez nie wrócić, by podążać dalej, rezultaty wszystkich moich starań dziwnym sposobem okazywały się przeciwne do zamierzonych. W efekcie, próbując uciec z tego gigantycznego ludzkiego rojowiska, wylądowałam w samym jego środku.

Mieszkałam obecnie w wysokiej i wąskiej kamienicy nieco na południe od Kings Cross, poddawanej gruntownej modernizacji w czasie dziewięciomiesięcznego pobytu jej właściciela w Ameryce. Kiedy zaproponował mi tę pracę nad ekstrawaganckim modernistycznym urządzeniem domu, o jakim marzyłam, zapewniając przy tym bezpłatne schronienie, uznałam to za znakomitą okazję, której nie mogę przepuścić. Zaczęłam od parteru i z wolna posuwałam się ku górze. Najpierw wybebeszyłam kuchnię i przekształciłam ją w laboratorium obróbki żywności, w ogrodzie dobudowałam małą szklarnię i dorobiłam przeszklone wyjście z salonu, wreszcie przerobiłam ciasną sypialnię na łazienkę z garderobą. Teraz, po upływie ośmiu z tych dziewięciu miesięcy, pozostała mi do odnowienia tylko ta antresola będąca moim tymczasowym schronieniem. Zamierzałam wybić dziurę w ukośnym dachu i wstawić tu duży świetlik.

— Odwaliłaś kawał wspaniałej roboty — rzekł, w pośpiechu wpychając do ust resztki kanapki i sięgając po marynarke.

— Podoba ci się, prawda?

— Owszem. Tym bardziej że prawie skończyłaś.

— Zgadza się.

— Mirando?

— Słucham.

— Jak już skończysz...

W tym momencie w sypialni zadzwonił mój telefon komórkowy, pożegnaliśmy się więc w pośpiechu i pognałam z powrotem na górę, usłyszałam tylko stuk zamykanych drzwi. Chwyciłam aparat i stanąwszy na palcach przy oknie, patrzyłam, jak energicznym krokiem oddala się ulicą. Zapomniał krawata.

Późnym popołudniem wybraliśmy się na wycieczkę rowerową i kawę, którą wypiliśmy, siedząc na krawężniku przed kawiarnią, chociaż szybko robiło się chłodno. Byliśmy ze sobą już prawie od roku. Towarzyszył mi na wszystkich uroczystościach: rocznicy śmierci Troya, Laury, był ze mną na Boże Narodzenie. Poznał moich umęczonych, pogrążonych w żałobie rodziców; Kerry i jej nowego narzeczonego; moich przyjaciół. Nie protestował, gdy budziłam go o trzeciej nad ranem, żeby porozmawiać o sprawach, które bałam się poruszać w ciągu dnia. Krążył ze mną po okolicznych placach budowy, próbując wzbudzić w sobie zainteresowanie wzorami słoików drewna, i przytrzymał drabinę, mimo że farba kapłała mu na głowę. Rozmyślając o minionym roku, popatrzyłam, jak pedałuje obok mnie. Poczul na sobie mój wzrok, obejrzał się gwałtownie i zachwiał silnie, omal się nie przewracając, a mnie serce ścisnęło się w piersi.

W swoim mieszkaniu zajął się przyrządzaniem kolacji — sałatki z wędzonej makreli z butelką białego wina, podczas gdy ja obserwowałam go, siedząc na kościelnej ławce kupionej w składzie staroci. Gdy zasiedliśmy do stołu, ugryzł mały kęs kanapki i szybko odłożył ją na talerzyk.

— Pamiętasz, jak w czasie lunchu telefon przerwał nam rozmowę?

— Tak.

— Rozmawialiśmy wtedy o twoich planach. I pomyślałem... że mogłabyś się przeprowadzić do mnie. — Otworzyłam już usta, lecz powstrzymał mnie, unosząc rękę. — Chwileczkę. Źle zacząłem. Nie chodzi mi tylko o to żebyśmy zamieszkali razem. To znaczy... oczywiście chciałbym tego, ale nie tak zamierzałem to powiedzieć. Bo wyszło, że pomyślałem o tym dokładnie w tamtej chwili, tymczasem myślę o tym bez przerwy od dłuższego czasu.

— Zaczynam się gubić.

— Bo jestem zdenerwowany, ot co. — Wziął głębszy oddech i zaczął jeszcze raz: — Bardzo bym chciał, żebyś się tu sprowadziła i zamieszkała ze mną. — Uniósł kieliszek, obrócił go w palcach i dodał: — Chciałbym, żebyś za mnie wyszła, Mirando.

Nieopisane szczęście wezbrało we mnie niczym przegrzany gejzer, który nagle znalazł ujście spod powierzchni — szczęście niespodziewane i moim zdaniem, niezasłużone, które stopniowo prowadziło do rozkwitu moje uwiedłe życie już od chwili, kiedy go poznałam.

— Chciałbym mieć z tobą dzieci — dodał.

— Don — mruknełam.

— I chciałbym się zestarzeć przy tobie. Tylko przy tobie i przy nikim innym. To tyle.

— O rety — wybąkałam.

— Jeszcze nigdy nikomu nie powiedziałem czegoś takiego. —

Uśmiechnął się nerwowo i potarł palcami zmęczone oczy. — Teraz, jak sądzę, powinnaś mi udzielić odpowiedzi.

— Posłuchaj, Don.

— Powiedz tylko tak albo nie.

Pochyliłam się nad stołem, ujęłam w obie dłonie jego piękną twarz o nadzwyczaj mądrym i sympatycznym wyrazie, a następnie pocałowałam go w obie powieki i w usta.

— Ja też cię kocham — odparłam. — Naprawdę bardzo, ale to bardzo cię kocham. Nikogo innego tak nie kochałam.

— To chyba dobrze, prawda?

— Tylko czy możesz trochę poczekać?

— Zaczekać?

— Owszem.

Wytrzymałam jego przenikliwe spojrzenie.

— No cóż, oczywiście, że mogę poczekać, lecz czy to oznacza, że nie jesteś pewna? Moich intencji, rzecz jasna.

— Nie. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

— Więc dlaczego?

— Jestem również całkiem pewna swoich uczuć. Zawsze mnie dziwiło, po czym ludzie poznają, że to ta jedyna, prawdziwa miłość. Ale teraz już wiem.

— No to o co chodzi?

— Sprawa jest dość skomplikowana — mruknęłam wymijająco.

— Boisz się?

— Masz na myśli małżeństwo?

— Niezupełnie. Obawiam się, że po tym wszystkim, co przeszłaś, możesz odmawiać sobie prawa do szczęścia.

— To nie to.

— A może nadal nie czujesz się bezpieczna i tym samym nie chcesz ściągać ryzyka na kogoś, z kim związałabyś się uczuciowo? Już o tym rozmawialiśmy, kiedy powtarzałaś, że jesteś jak roznosicielka zarazy. O to chodzi? Masz wyrzuty sumienia, bo ludzie, których kochałaś, nie żyją?

— To ty jesteś psychologiem.

— Ale nie zwracam na to uwagi. Na każdym kroku podejmuje się jakieś ryzyko. Problem polega jedynie na świadomym wyborze tego ryzyka, które chce się podjąć. Ja dokonałam wyboru już dawno temu. Teraz kolej na ciebie.

Wzięłam go za rękę, obróciłam dłonie wewnętrzną stroną do góry i pocałowałam kolejno.

— Ja też już wybrałam.

— To dlaczego płaczesz? — zapytał. — W dodatku do jedzenia?

— Przepraszam.

— Oczywiście że mogę zaczekać, do diabła.

*Poznałam mężczyznę. Ma na imię Don. Bardzo bym chciała, żebyś i Ty mógł go poznać. Myślę, że byś go polubił. Wiem, że on polubiłby Ciebie. Czuję się... och, sama nie wiem — dziwnie zaniepokojona, jakbym popełniała przestępstwo, znowu się w kimś zakochując. Sądziłam, że już nigdy mnie to nie spotka, zwłaszcza po tym wszystkim. Myślałam, że mam to już za sobą. Ale czasami... cóż, prawdę mówiąc, nawet bardzo często ogarnia mnie przerażenie, że to nie w porządku — że nie mam prawa do szczęścia, kiedy Ciebie już nie ma, nie ma też Laury, nasi rodzice wciąż są załamani i przygnębieni, a tyle ludzi wycierpiało, jak mi się zdaje, przeze mnie. Bo to przecież ja sprowadziłam na wszystkich tą straszliwą zarazę. Niemalże mam przed oczami Twój ironiczny uśmiech, kiedy Ci o tym mówię, ale przecież taka jest prawda. Zawsze będę za Tobą tęskniła, Troy. Każdej chwili każdego dnia każdego roku, jakie mi zostały do końca życia. Więc jak w tej sytuacji mogłabym do siebie dopuścić osobiste szczęście? Myślisz, że to w ogóle możliwe? Zobaczymy.*

Oczy miałam zamknięte, silnie zaciśnięte, oddech wrywał mi się z piersi krótkimi spazmatycznymi falami. Serce łomotało tak mocno, że szum krążącej krwi zdawał się ogłuszający. Byłam zrana potem. Prawie nie czułam bólu. Tylko zdawałam sobie sprawę z jego obecności. Zwłaszcza na twarzy, w okolicy ust. Czułam na języku smak krwi, ciepły, metaliczny. I długie rozcięcie na szyi. Kłuło mnie w boku, żebra miałam potłuczone, może nawet połamane. Zaciskałam mocno powieki, bojąc się tego, co mogę ujrzeć. Wreszcie dotarł do mnie stłumiony odgłos czyichś kroków, wyczułam wibracje podłogi od strony schodów. Gdy w końcu poczułam też dotyk na brodzie i policzkach, ostrożny i delikatny, omal nie wrzasnęłam z bólu. Nie otworzyłam jednak oczu. Tylko coś wymamrotałam.

— Matko Boska! Miranda! — rozległ się nade mną głos. — Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła... Co tu się stało, do cholery? Miranda! W końcu rozchyliłam powieki. Światło zakłuło mnie w oczy. To był Don. Spoglądał na mnie z troską i przerażeniem. Potem podbiegł do okna. Odezwał się niewyraźnie, ale widocznie nic nie zrozumiał, gdyż zaraz wrócił i pochylił się nade mną jeszcze niżej.

— Chciał mnie zabić — wychrypiałam głośniejszym szeptem.

— Kto?

— Pobił mnie. Pokaleczył. Zmarszczył brwi.

— Znowu on? Brendan?

— Powiedział, że przyszedł po mnie.

— Co ci zrobił?

Znów poczułam, jak dotyka mojej twarzy, głaszcząc po włosach, wreszcie rozpina sukienkę, żeby lepiej obejrzeć rany.

— Ty krwawisz.

Jęknęłam tylko. Bezradnie rozejrzał się po pokoju.

— Wszędzie jest krew... Co ten łajdak ci zrobił, do jasnej cholery?!

Dzwonię na policję. I po karetkę.

— Nie—wymamrotałam, próbując się dźwignąć na łokciu, ale przeszył mnie nieznośny ból. — Nie... Nie trzeba...

— O czym ty mówisz?! — rzucił ze złością Don. — Przykro mi, Mirando, ale nie zamierzam cię słuchać.

Doleciały mnie trzy ciche piski, gdy wybierał numer w swoim telefonie komórkowym. Osunęłam się z powrotem na podłogę, z bezgłośnym szlochem, wynikającym tylko po części z bólu, a po części ze strachu przed tym, co musi teraz nastąpić.

Nie było mnie na miejscu, gdy policja dokonywała oględzin pokoju, kiedy pobierała próbki krwi ze ścian, zbierała włosy z dywanu i pakowała kuchenny nóż do foliowej torebki na dowody rzeczowe. Przyjęłam to z wdzięcznością. Obawiałam się, że za bardzo będzie mi to przypominało śmierć Troya i że nie zdołam nad sobą zapanować. Don później o wszystkim mi opowiedział. Chciał jechać ze mną karetką do szpitala, lecz inspektor kazał mu zostać w mieszkaniu i dopomóc w identyfikacji przedmiotów pozostawionych na miejscu prze-

stępstwa — określić, co należy do mnie, co do niego, a co „pochodzi z zewnątrz”. Jeszcze później wyznał mi szczerze, że mimo zdenerwowania i konsternacji, zainteresował się procedurą zbierania dowodów, że zafascynowały go gumowe rękawiczki, pęsety, skalpele, plastikowe torebki z nalepkami, błyski fleszy. Z podnieceniem obserwował wszystko zza żółtej taśmy oddzielającej miejsce przestępstwa od świata zewnętrznego.

Tymczasem ja pojechałam karetką do szpitala pod opieką umundurowanej policjantki. Pełniła rolę specjalnej przepustki otwierającej mi wszystkie drzwi poza kolejnością. Przeprowadziła mnie przez poczekalnię pełną ludzi, którzy mimo własnych cierpień łypali na mnie ciekawym wzrokiem. Co może tu robić młoda kobieta podtrzymywana przez dwie pielęgniarki i eskortowana przez policjantkę na służbie? Co jej się stało? Dopiero później docierała do nich świadomość, że przeze mnie będą musieli czekać dłużej. Dwie minuty trwały wstępne oględziny lekarza w obecności pielęgniarki. Chwilę później musiał ustąpić miejsca przy mnie konsultantowi w białym fartuchu i pstrokatym krawacie. Byłam zdenerwowana, jak zwykle podczas badania lekarskiego.

Specjalista uważnie popatrzył na moją twarz i zajrzał mi do ust.

— Z czym się pani zderzyła? — zapytał.

— Ze ścianą.

— Wie pani, kto to zrobił?

Pokiwałam głową. Odwrócił się do policjantki.

— Powinniście sfotografować wszystkie urazy. Także ten ślad na szyi.

— Fotograf już tu jedzie — odparła.

— Zabierzemy panią na prześwietlenie, ale już teraz mogę powiedzieć, że kość policzkowa prawdopodobnie jest pęknięta.

Zawyłam z bólu, ponieważ mówiąc to, jednocześnie mocno nacisnął palcem policzek, jakby chciał sprawdzić swoją teorię. Poświecił mi ołówkową latarką w oczy, potem w uszy. Wreszcie podetknął wskazujący palec pod nos i kazał wodzić za nim wzrokiem.

— Była pani napastowana seksualnie? — zapytał.

— Nie.

Mimo to kazał mi się rozebrać do badania ginekologicznego. Policjantka przedstawiła się jako Amy O'Brien i zapytała, czy nie mam nic przeciwko temu, by była obecna również w trakcie badania. Pokręciłam głową. Ledwie ściągnęłam z siebie ubranie, oznajmiła, że musi je zabrać jako materiał dowodowy. Czy wyrażam na to zgodę?

— A w co się ubiorę?

— Dostanie pani szpitalną koszulę i szlafrok — wyjaśnił doktor.

— Pani... znajomy... — zaczęła Amy.

— Mój chłopak.

— Będzie mógł przywieźć pani jakieś rzeczy?

— Chyba tak.

Zrobili mi prześwietlenie i serię zdjęć, w końcu umieścili w jednoosobowym pokoju z pustym wazonem na kwiaty i ślepym oknem. Lekarz oznajmił, że muszą mnie zatrzymać przez noc na obserwację. Amy powiedziała, że będą musieli spisać zeznania, ale to może poczekać, aż poczuje się lepiej, ale wolałaby nie czekać zbyt długo. Odparłam, że mogę je złożyć od razu, bo wszystko stało się tak nagle. Nie minęła godzina, gdy do drzwi zapukał inspektor dochodzeniówki. Zdjął marynarkę, usiadł i wyjął z teczki arkusz papieru. Nazywał się Seb Brett i miał nadzwyczaj jasną cerę, jakby cały czas przebywał w ciemnościach. Przyniósł sobie mały stolik bliżej łóżka i zaczęłam mu dyktować.

Dopiero teraz czas jakby zwolnił. Poczułam się znowu niczym w szkole. Podałam mu swoje imię, nazwisko, adres zamieszkania i datę urodzenia. Miał nieprzyjemny zwyczaj naciągania sobie palców, czemu towarzyszyły głośne trzaski w stawach przypominające odgłos łamania suchych gałązek.

— Dobrze — mruknął. — Zacznijmy od początku.

Czas nas nie poganiał, papieru było pod dostatkiem. Przedstawiłam mu więc całą historię ze szczegółami — jak Brendan zadzwonił do drzwi i wdarł się do środka, po czym złapał mnie za włosy z tyłu głowy i tłukł nią o ścianę; jak wyciągnął nóż kuchenny i przystawił mi do gardła; jak błagałam go o litość, a on się uśmiechał i powtarzał, że to koniec; jak wreszcie stuknęły drzwi na dole, a on się przestraszył i rzucił do ucieczki, tyle że już nie widziałam którędy. Trwało to zapewne jedynie kilka minut, mnie jednak opowieść zajęła parę godzin, a zeznania pochłonęły czternaście stron papieru maszynowego. Kiedy skończyłam, byłam doszczętnie wyczerpana, ale inspektor Brett poprosił jeszcze, bym wszystko uważnie przeczytała i podpisała się na dole każdej strony. Spisane jego starannym, niemal kaligraficznym pismem zeznania wydawały mi się całkiem obce. Niby zawierały moje słowa, lecz w nieco odmienionym szyku, poskładane w inne zdania. Nie były przeinaczone, ale odnosiłam wrażenie, jakby dokonano komputerowego tłumaczenia na obcy język, a później inny komputer przełożył je z powrotem na angielski. Nie mogłam się na nich skupić, co dodatkowo wydłużyło cały proces. Byłam jeszcze w trakcie czytania, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Serce mi się ścisnęło z obawy, że coś poszło nie tak. Do środka wszedł Rob Pryor.

— Miranda? — rzekł. — Właśnie dowiedziałem się o tym, co cię spotkało. Od razu przyjechałem do szpitala. Jak się czujesz?

— Wstrząśnięta — odparłam.

— Wcale mnie to nie dziwi. — Podeszedł do łóżka i podniósł zeznania, które zdążyłam już przeczytać. — Pozwolisz?

Spojrzałam na Bretta, który tylko wzruszył ramionami. Odparłam więc, że nie mam nic przeciwko temu. Ale od razu poczułam się gorzej.

Zaczęłam czytać dalej od miejsca, gdzie przerwałam. Byłam jeszcze bardziej rozkojarzona, toteż Pryor szybko mnie dogonił. Gdy tylko odkładałam podpisaną kartkę, chwycił ją łapczywie i zaczynał czytać, dziwnie pykając samymi wargami, co doprowadzało mnie do szaleństwa. Wreszcie podpisałam ostatnią kartkę i podałam mu, ale oddał mi ją, nawet nie rzuciwszy okiem.

— Musisz jeszcze podpisać na końcu tekstu — rzekł. — Tutaj.

— Po co?

— Żeby żaden sprytny gliniarz nie mógł dopisać czegoś w rodzaju: „I wtedy się przebudziłam, bo okazało się, że to był tylko koszmarny sen”. Przecież tego byś nie chciała, prawda?

Ukośnie podpisałam się tuż za ostatnim słowem zeznań, którym był wyraz „policja”.

— Skąd dowiedziałaś się tak szybko? — zapytałam.

— Pan Błock został zatrzymany do wyjaśnienia i zadzwonił do mnie.

— I po co właściwie tu przyjechałeś?

— Jak ci doskonale wiadomo, już wcześniej prowadziłem rozpoznanie w jego sprawie, uznałem więc, że powinienem w dalszym ciągu...

— Można by odnieść wrażenie, że występujesz w roli adwokata.

— Nic podobnego — odparł szorstko. Popatrzyłam na Bretta.

— Czy to zgodne z prawem? Inspektor Pryor jest przyjacielem Brendana.

Ten zrobił głupią minę. Pryor odciągnął go na bok i przez chwilę porozumiewali się szeptem, nie wyłowiłam ani słowa. Trwało to kilka minut, w czasie których Brett co i rusz zerkał podejrzliwie w moim kierunku. Wreszcie energicznie pokiwał głową i zwrócił się do mnie: — Inspektor Pryor prosi o krótką rozmowę z panią w cztery oczy. Nie ma pani nic przeciwko temu?

— A o co chodzi?

— To zajmie najwyżej minutę — wtrącił Rob.

— Nie wierzę—odparłam, spoglądając na Bretta. — Zdaje pan sobie sprawę, kim jest ten człowiek? To zupełnie tak, jakby dopuścił pan do mnie adwokata Brendana, żeby mnie zadrezczał pytaniami, kiedy wszystko mam świeżo w pamięci. Przecież... niedawno zostałam napadnięta.

— Opowiedziałem Sebowi o twoich wcześniejszych kontaktach z panem Błockiem.

— I co z tego?

Pryor podszedł i usiadł na brzegu łóżka. Naprawdę czułam się tak, jakby w pokoju był Brendan we własnej osobie. Jego bliska obecność sprawiała, że robiło mi się niedobrze. Zajrzał mi głęboko w oczy, ale wytrzymałam to spojrzenie.

— Kiepsko to wygląda, Mirando — rzekł. — Musi cię bardzo boleć. Nie odpowiedziałam.

— O której godzinie zostałam napadnięta?

— Przed chwilą czytałeś moje zeznania.

— To twój chłopak wezwał policję, prawda? Która to była godzina? Na pewno pięć po siódmej?

Nadal milczałam. Nie zamierzałam dać się wciągnąć w żadne dyskusje.

— Twój chłopak... bodajże też jest lekarzem, prawda? Wzruszyłam ramionami. Pochylił się niżej i popatrzył na mnie spod przymrużonych powiek.

— Wiesz co?  
— Nie wiem. Co?  
— Ani trochę ci nie wierzę.  
— Słucham?  
— Pomógł ci w tym? Twój chłopak? Bez trudu mógł to zrobić, prawda? Kilka siniaków i zadrapań, powierzchownych obrażeń, które będą widoczne przez jakiś czas, ale w końcu znikną.  
— O co tu?... — wymamrotałam. — Co insynuujesz?  
— W pokoju znaleźliśmy nóż, który napastnik upuścił  
— wtrącił Brett. — Właśnie sprawdzamy odciski palców.  
— Przez jakiś czas mieszkali razem — odparł Pryor. — Mogła go przechować od tamtej pory.  
— Nigdy nie mieszkaliśmy razem — syknęłam. — Do czego ma prowadzić ta rozmowa, do jasnej cholery?!  
Pochylał się nade mną tak nisko, że czułam jego zapach.  
— Brendan ma alibi — rzekł.  
Wzięłam głębszy oddech. Musiałam nad sobą panować.  
— Nic mnie to nie obchodzi — powiedziałam po chwili.  
— Co chcesz mi wmówić? Przecież tam byłam. I dobrze wiem, kto mnie napadł.  
— Nie zapytasz nawet, kto mu zapewnił alibi?  
— W porządku. Kto?  
— Jego dziewczyna, Naomi Stone. — Popatrzył na mnie z kiepsko maskowanym triumfem w oczach. Doskonale znałam to spojrzenie. — Nie wyglądasz na zmieszaną tą wiadomością.  
— Może już przywykłam do tego, że nikt mi nie wierzy? Jak powiedziałam, to ja tam byłam i dobrze wiem, co się stało. Trzymał nóż przystawiony do mojego gardła. Tylko spójrz.  
— Zadarłam brodę ku górze. Aż klasnął w dłonie z uciechy.  
— Wspaniała rana — rzekł. — I jakie cudowne przedstawienie. Z wyczuciem i smakiem, bez odrobiny przesady. Nad-

zwyczaj przekonujące. Ale w końcu masz w tym spore doświadczenie. Próbowałam się skupić. Nakazywałam sobie w myślach: Tylko nie daj mu się sprowokować.

— Czy kiedykolwiek chociażby przemknęło ci przez myśl, że możesz się mylić i Brendan rzeczywiście jest groźny dla otoczenia?

— To nie ma nic do rzeczy — odparł. — On po prostu nie mógł cię napaść, bo w tym czasie był w domu. Tam zastała go policja, a panna Stone potwierdziła, że był z nią przez cały wieczór. — Podniósł z łóżka moje zeznania i zaczął je ponownie kartkować. — Wspomniałaś, że miał na sobie granatową koszulę, ale gdy widziałem się z nim parę minut temu, jego koszula na moje oko wyglądała na brązową.

— Chyba mógł się przebrać? — odparłam. — Nie przyszło ci to na myśl? Uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Pan Błock jeszcze składa zeznania. Jestem pewien, że wystarczy parę rozmów telefonicznych, by ostatecznie położyć kres tej szaradzie. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć...

Przerwał mu sygnał jego telefonu komórkowego. Zniecierpliwionym ruchem wyjął go z kieszeni, włączył i rzucił ze złością:

— Słucham. — Po kilku sekundach oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. — Co takiego?! O czym ty gadasz, do diabła?! — Obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem szklistych oczu, przez cały czas słuchając rozmówcy. — Dobra. Zaraz tam będę.

Mruknął parę słów Brettowi na ucho i wyszedł, z hukiem zatrzaskując drzwi pokoju. Inspektor popatrzył na mnie, przygryzając wargi.

Pomyślałam, że z grubsza jest chyba po mojej stronie. Po chwili wybiegł za Pryorem. Kiedy zostałam sama, ułożyłam się wygodnie na wznak i wpatrzona w sufit, usiłowa-

łam poskładać rozbiegane myśli. Miałam uczucie, jakby przeniesiono mnie do innego świata, odgrodzono od brutalnych wydarzeń i zajadłych sporów. Gdy drzwi ponownie się otworzyły, ledwie zerknęłam w ich kierunku. Do środka weszła inna policjantka w mundurze. Usiadła na krześle w rogu pokoju, nawet nie próbując nawiązać ze mną rozmowy. Zamknęłam oczy, mając nadzieję, że uda mi się zasnąć, lecz nie miałam na co liczyć. Nie otwierałam ich jednak, żeby mi nie przeszkadzano. Dużo później, co najmniej po godzinie, znów usłyszałam szmer otwieranych drzwi i wyczułam, że ktoś stanął nade mną.

— Nie śpi pani?

Otworzyłam oczy. To był inspektor Brett.

— Nie bardzo — odparłam. — Wygląda pan na uradowanego.

— Przepraszam. Dobrze się pani czuje?

— Już sama nie wiem.

— Pewnie jutro będzie dużo gorzej.

— Lekarz powiedział mi to samo, przepisując środki przeciwbólowe. — Umilkłam na krótko. — No więc, co się stało? Dlaczego Pryor tak stąd wybiegł?

Brett uśmiechnął się szeroko.

— Na pewno nie zalicza się teraz do szczęśliwych. Moja koleżanka po raz drugi rozmawiała z Naomi Stone, tylko po to, żeby potwierdzić jej alibi dla pana Błocka. Powiedziała jej o znalezionych na miejscu przestępstwa włosach i zakrwawionym nożu kuchennym.

— Ico?

— Panna Stone wycofała swoje zeznania. Co więcej, znaleźliśmy granatową koszulę.

— Gdzie?

— Bynajmniej nie wśród jego rzeczy w szafie, tylko na dnie plastikowego worka ze śmieciami wystawionego przed

dom. Są na niej ciemne plamy. Nie zostały jeszcze zidentyfikowane, ale nie ulega wątpliwości, że to ślady krwi. Ludzkiej.

— Mojej?

— To się okaże. Zawiadomiłem już Roba Pryora, że powinien tu przyjechać i panią przeprosić.

— A co on na to?

— Odparł, że jest umówiony. Mówiąc między nami, nieoficjalnie, chyba już rano będziemy mogli formalnie oskarżyć Brendana Błocka o napaść na panią. — Wziął mnie za rękę i lekko uściśnął. — Na razie proszę wypoczywać.

Razem z policjantką wyszli z pokoju, zgasili światło i po cichu zamknęli drzwi. Zamknęłam oczy, żeby podjąć kolejną próbę uporządkowania chaosu w głowie, ale zmęczenie szybko wzięło górę i zasnęłam kamiennym snem. Tym razem nic mi się nie przyśniło.

## 41

Bardzo długo wybierałam odpowiednie miejsce. Na początku brałam pod uwagę takie rejony, jak Oxford Street czy Trafalgar Square, gdzie zawsze jest pełno ludzi i łatwo się zgubić w tłumie, gdzie można zachować anonimowość i być wręcz niewidzialnym. Ale szybko zarzuciłam ten pomysł. Potem zastanawiałam się nad stacją benzynową, na przykład przy którejś autostradzie wiodącej na północ, bo tam można swobodnie porozmawiać nie tylko w samochodzie stojącym na końcu parkingu, ale nawet w barze, przy stoliku w kącie sali lub pod oknem, przy pączkach i kwaśnej, cierpkiej kawie. Jednakże na stacjach przy autostradzie zawsze jest sporo osób, chociażby robiących sobie przerwę w podróży. Później przy-

szła mi na myśl końcowa stacja metra gdzieś na przedmieściach, gdzie dociera już niewielu londyńczyków, jest tylko trochę rozrzuconych zabudowań na skraju pól uprawnych. Albo jakieś podmokłe łąki na zupełnym odludziu. W wyobraźni układałam już długie skomplikowane instrukcje dotarcia na wybrane miejsce: pojedziesz autostradą taką a taką do zjazdu numer dziesięć, po czym skreścisz na wschód drogą numer A505... Wysypisko śmieci, pralnia samoobsługowa w jakiejś obskurnej miejscinie, niepozorna zatoczka przy ruchliwej trasie przelotowej, gęsty las nocą...

W słoneczny i mroźny Nowy Rok wstałam wcześniej i pocałowałam Dona w policzek, bardzo delikatnie, żeby go nie obudzić. Zanim wyszłam, spojrzałam jeszcze na niego. Doszłam do wniosku, że da sobie radę. Wsiadłam do samochodu i ruszyłam za Londyn. Ulice były prawie puste. Skierowałam się na most Blackfriars, z którego rozciągał się malowniczy widok na połyskującą w zimowym słońcu kopułę katedry świętego Pawia, i dalej przez New Cross i Blackheath do autostrady A2. Zaraz za Gravesend zatrzymałam się na stacji benzynowej i zatankowałam wóz do pełna. W kasie podałam już kartę kredytową, ale w porę zmieniłam zdanie i zapłaciłam gotówką. Kupiłam też gorącą kawę, którą wypiłam w samochodzie, zanim ruszyłam dalej. Byłam całkiem spokojna i opanowana, w jaskrawym blasku tego mroźnego poranka wszystko ukazywało mi się z nadzwyczajną ostrością.

Kilka kilometrów po wyjechaniu na autostradę M2 skręciłam na zjazd prowadzący do Sheerness. Stąd widać już było estuarium Medway, podmokłe wysepki wśród rozlewisk, skupiska rozsypujących się zabudowań, samotne bezlistne drzewa chwiejące się na wietrze, a poza tym jedynie rozległy przestwór błękitnego bezchmurnego nieba. Wkrótce przekroczyłam most i znalazłam się na wyspie Sheppey. Stanęłam na poboczu, żeby spojrzeć na mapę i ruszyłam dalej — na ron-

dzie w prawo, kilka kilometrów dalej znowu w prawo, w wyboistą boczną drogę, potem w lewo, w kierunku kościoła widocznego z odległości wielu kilometrów, którego strzelista dzwonnica była doskonałym punktem orientacyjnym wśród rozległych podmokłych łąk. Przy kościele zaparkowałam wóz i spojrzałam na zegarek. Była dziesiąta. Miałam jeszcze do przejścia około trzech kilometrów i niespełna godzinę na pokonanie ostatniego etapu.

Ledwie otworzyłam drzwi, owionęło mnie dotkliwie mroźne powietrze, z wiatrem niosły się wrzaski morskich ptaków. Wciągnęłam puchową kurtkę, owinęłam szyję szalikiem, włożyłam wełnianą czapkę i grube narciarskie rękawice. Ostre powietrze szczypało policzki, jeszcze zanim ruszyłam w drogę. Gdyby był ze mną Don, na pewno zaczęłby wymieniać nazwy ptaków szybujących na wietrze albo z donośnym wrzaskiem nurkujących nisko nad wodą. Raz po raz zacierałam ręce, żeby pobudzić w nich krążenie krwi. Jak okiem sięgnąć nie było tu żywej duszy poza niewielkimi stadkami owiec skubiących kępki zmarzniętej trawy oraz gromadami mew biegającymi po błotnistym brzegu na długich patykowatych nogach. Odwróciłam się tyłem do morza i ruszyłam ścieżką prowadzącą w głąb rezerwatu trzęsawisk.

Mniej więcej po czterdziestu minutach dostrzegłam samotną sylwetkę na horyzoncie, która przybliżała się stopniowo. Wkrótce mogłam już rozpoznać kobietę w grubym palcie, której wiatr smagał blade policzki kosmykami blond włosów wystającymi spod wełnianej czapki. Żadna z nas nie wykonała nawet najdrobniejszego gestu i nie zwolniła kroku, póki nie zbliżyłyśmy się do siebie i nie stanęłyśmy twarzą w twarz pośrodku mroźnego pustkowia.

— Naomi — odezwałam się pierwsza.

— Witaj.

— Wszystko w porządku?

— Byłam bardzo ostrożna, jak kazałaś.

Nie widziałyśmy się od czasu rozprawy przed sądem, podczas której usilnie starałam się nie zerkać w jej kierunku, choć przez cały czas byłam świadoma jej obecności na sali, nawet gdy patrzyłam w drugą stronę. Tylko raz nasze spojrzenia zetknęły się na krótko i obie natychmiast odwróciłyśmy głowy, jak gdyby oślepione. Od tamtej pory wyszczupiała i wyglądała naprawdę oszalamiająco. Co więcej, wydawała się starsza i dużo bardziej dojrzała od tamtego naiwnego podlotka, którego poznałam w Crabtrees. Może sprawiło to gwałtowne, wymuszone rozstanie z dziewczecą niewinnością, jakie zawdzięczała Brendanowi.

— Możemy się kawałek przejść? — spytałam.

Skinęła głową i zawróciła bez słowa. Kilkadziesiąt metrów szłyśmy jedna za drugą, dopóki ścieżka nie poszerzyła się w pobliżu porzuconej, upiornie samotnej przyczepy mieszkalnej. W prawo odchodził stąd kolejny szlak wiodący nad otwarte morze, na wprost przed sobą miałyśmy rozległe estuarium, a po lewej nad horyzontem rysowała się linia płaskiego wybrzeża Kentu. Brzeg zamarzniętego jeziora usłany był kamieniami i muszelkami, ale też puszkami po napojach, potłuczonymi butelkami i strzępami plastikowych torebek.

— Nie miałaś kłopotów, żeby wymknąć się niepostrzeżenie?

— Nie. Mieszkam sama, nikt nie zwrócił na mnie uwagi — odparła bardzo cicho, aż musiałam wyteńczyć słuch. — A ty?

— Powiedziałam Donowi, że jadę obejrzeć wiejską posiadłość na sprzedaż.

— Aha.

Przez kilka minut rozlegał się jedynie chrzęst zmarzniętej trawy pod stopami. Nie miałam wątpliwości, że obie wspominamy to samo — ową niesamowitą godzinę, kiedy się spotkałyśmy i niczym dwie wiedźmy ułożyłyśmy plan działania,

przekazując sobie niezbędne rzeczy. Wyjęła wtedy z torebki śniadaniówkę z kilkoma ciemnymi włosami Brendana zdjętymi z jego grzebienia i duży nóż kuchenny o ząbkowanym ostrzu zawinięty w grubą warstwę papierowych ręczników, który podała mi ostrożnie, trzymając za sam czubek, żeby nie dotykać rękojeści. Wreszcie wyciągnęła jego granatową koszulę, rozłożyła ją na podłodze, a ja wyciągnęłam w jej kierunku lewy palec wskazujący. Wyjęła agrafkę, otworzyła ją i przygryzając dolną wargę, wbiła mi jej czubek w palec. Kiedy na skórze uformowała się duża kropla krwi, strząsnęłam ją na koszulę, potem wycisnęłam drugą i trzecią, wreszcie wytarłam palec o tkaninę przy rogu kołnierzyka.

— Mogę cię o coś zapytać? — odezwała się w końcu.

— Jasne.

— Jak zrobiłaś sobie tę ranę na policzku? W sądzie wyglądałaś okropnie, choć minęło już przecież parę tygodni.

Miałam wrażenie, że wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu.

— Kiedy zobaczyłam, że Don parkuje przed domem, z całej siły huknęłam głową o kant drzwi kuchennych, jakby ktoś rzeczywiście trzymał mnie za włosy i tłukł moją twarzą o ścianę. Zrobiłam to raz, drugi i trzeci, dopóki nie zobaczyłam krwi.

— Jak mogłaś się na to zdobyć? — szepnęła.

— Pomyślałam o tym, co spotkało Troya i Laureę. Przede wszystkim Troya. W ten sposób było mi łatwiej. Nawet nie musiałam się za bardzo zmuszać.

Naomi pokiwała głową, jakby świetnie to rozumiała.

— Teraz ty mi coś powiedz — dodałam. — Nigdy wcześniej nie miałam okazji cię o to zapytać.

— Słucham.

— Skąd nabrałaś pewności co do prawdziwego charakteru Brendana?

Zawahała się.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? Boję się, że...

— Chciałabym wiedzieć.

— Opowiedział mi, co zrobił Troyowi. I zagroził, że spotka mnie to samo, jeśli od niego odejdę.

Żołądek skurczył mi się gwałtownie i oczy zapiekły, gdy to usłyszałam.

Wystawiłam twarz na wiatr, nie zwalniając kroku. Jakoś łatwiej jest mówić o bulwersujących rzeczach w ruchu, wpatrując się w odległy punkt przed sobą.

— Naprawdę opowiedział ci o zabójstwie Troja?

— Tak.

— Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

— Pewnie z tego samego powodu, dla którego zatrzymał ten kawałek zielonego sznura. Z jakiegoś perwersyjnego przekonania o własnej bezkarności. Niektórych szczegółów nigdy nie poznamy.

— Chyba masz rację. Tylko dlaczego nie poszłaś z tym na policję?

— Nie mogłam przestać myśleć o tym, co cię spotkało. Nie byłam pewna, czy policja mi uwierzy.

— Co ci dokładnie powiedział?

— Że naszprycował go lekami uspokajającymi, ustawił na krześle, zacisnął stryczek na szyi i wyszedł.

— Tylko tyle?

— Powiedział jeszcze... — Rozejrzała się nerwowo na boki i zerknęła za siebie, na ścieżkę, którą szliśmy. — ...że Troy próbował wzywać pomocy.

— Co takiego? — zapytałam chrapliwym szeptem.

— Że w ostatniej chwili wymówił twoje imię.

Przez jakiś czas szłam w milczeniu, nakazując sobie, by dalej rytmicznie poruszać nogami. Trudno jest zrozumieć, jak można iść spokojnie, kiedy człowieka przeszywa nieznośny

ból, kiedy ma się ochotę zacisnąć ręce wokół brzucha, zgiąć się wpół i zwalić na ziemię z dzikim wyciem. Troy przed śmiercią wymówił moje imię, ponieważ miał nadzieję, że lada chwila zjawię się w domu. Przecież obiecałam mu, że przyjadę, dlatego sądził, że będę w stanie go uratować przed niechybną śmiercią. Spóźniłam się jednak. Nie przyjechałam na czas.

— Dobrze się czujesz? Mruknęłam twierdząco.

— Pomyślałam, że to chyba też należało do twojego brata.

— Naomi sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła skórzany rzemyk do zapinania na nadgarstku, na którym tkwiły trzy koraliki z ciemnego drewna. — Zgadza się?

Wzięłam go od niej i ułożyłam na dłoni.

— Tak. Miał to od dzieciństwa. To pamiątka z Włoch, gdzie byliśmy wszyscy na rodzinnej wycieczce. Tania stara pamiątka...

Na krótko przytuliłam rzemyk do policzka, po czym zapięłam go na przegubie ręki.

— Stąd już niedaleko do mojego samochodu — powiedziała Naomi. Zatrzymałyśmy się i spojrzałyśmy sobie w oczy.

— Co zamierzasz teraz robić? — zapytałam.

Znów rozejrzała się nerwowo, jakby podejrzewała, że ktoś może się kryć wśród trzciny albo między kępami długiej, kładącej się po ziemi trawy.

— W sędzie pochwycałam jego spojrzenie — odparła.

— Gdy składałam zeznania. Uśmiechał się do mnie tym swoim niewyraźnym, przeuroczym uśmiechem. Wtedy nabrałam pewności, jak powinnam postąpić. Rzucam wszystko. Zacznę od początku.

— Myślisz, że ci się uda?

— A dlaczego nie? Nie mam rodziny. Pewnie dlatego tak szybko zakochałam się w Brendanie. Myślałam, że jesteśmy

oboje sierotami, które los łaskawie zetknął ze sobą, by się nawzajem ochraniały w tym podłym świecie. — Zaśmiała się krótko, gardłowo, jakby prychnęła pogardliwie, i szybko pokręciła głową, chcąc się zapewne uwolnić od wspomnień. — Ale któregoś dnia on wyjdzie na wolność i na pewno będzie próbował mnie odszukać.

— Jeszcze nieprędko.

— Owszem, ale jednak. Ile lat to potrwa?

— Dostał dziesięć, więc wyjdzie po sześciu, może pięciu, bo z pewnością będzie wzorowym więźniem, wszystkich zauroczy. Pryor mówił jednak, że zamierzają wznowić śledztwa w sprawie śmierci Laury i Troya... Kto wie? Może jednak zostanie za kratkami na dłużej.

— Ale to nic pewnego?

— Dokąd chcesz wyjechać? — zapytałam.

Milczała przez chwilę, po czym spojrzała na mnie ciekawie, jakby chciała utrwalić sobie moją twarz w pamięci.

— Za granicę. Chyba będzie lepiej, jeśli nie powiem.

— Pewnie masz rację.

— Uwierz mi, że tak będzie lepiej.

— W takim razie powodzenia. Będę o tobie myślała.

— A ty co zamierzasz?

— Nic.

— Zupełnie nic?

— Mam przed sobą sześć lat. Chcę je maksymalnie wykorzystać, dzień po dniu, kochając równie mocno, jak do tej pory nienawidziłam. A potem... No cóż, zobaczymy.

— Aha — mruknęła. — Zatem nadal będziesz czekać? Skrzywiłam się. W pewnym stopniu miała rację. Wciąż czekałam na Brendana, bo chciałam być gotowa na to spotkanie, jak żołnierz w okopie, który nawet przez sen wyczuwa zbliżającego się wroga.

— Nigdy się już nie spotkamy, prawda?

— Chyba nie.

— No to żegnaj.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się do mnie szeroko. Równocześnie wyciągnęłyśmy ręce i serdecznie uścisnęłyśmy sobie dłonie. Jeszcze przez chwilę patrzyłyśmy sobie w oczy, jakby żadna z nas nie chciała pierwsza odwrócić wzroku. I chyba obie odniosłyśmy wrażenie, że spoglądamy w bezdenną otchłań.

— Postąpiłyśmy bardzo źle, prawda? — odezwała się Naomi. — Wciąż próbuję sobie wyobrazić, jak mogłabym się wytłumaczyć przed ludźmi. Wątpię, czybym potrafiła, chociaż...

— Ratowałam własne życie — podsunęłam.

— Mam nadzieję. A co ty o tym myślisz? Zamierzasz powiedzieć prawdę swojemu... chłopakowi?

— Donowi? Chyba powinnam. Ale tego nie zrobię. Zachowam to w tajemnicy przed całym światem.

Nie miałyśmy sobie nic więcej do powiedzenia. Rozwarłyśmy dłonie.

— Do widzenia — powiedziała Naomi.

— Do widzenia.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem tą samą ścieżką, którą przyszła. Stałam i przyglądałam się, jak jej sylwetka stopniowo maleje w oddali, zmienia się w plamkę, potem tylko punkt na horyzoncie, wreszcie całkiem ginie mi z oczu. Dopiero wtedy zawróciłam i chyląc głowę przed wiatrem znad morza, poszłam przez poczerniałe trzęsawiska w stronę chmar kołujących nad wodą ptaków i samotnej dzwonnicy starego kamiennego kościółka, pod którym zostawiłam samochód. Wąską boczną drogą dotarłam do szerszej, a tą do autostrady wiodącej ku ludzkiemu rojowisku, gdzie było moje życie. Weszłam po schodach do czekającego na mnie Dona.

— Już jestem w domu! — zawołałam od progu i na chwilę stanęłam, zaskoczona brzmieniem tego słowa. Chcąc rozwiać wszelkie wątpliwości, powtórzyłam: — W domu!

— Tęskniłem za tobą.

— To dobrze — powiedziałam, całując go na powitanie — bo jestem.

*Najdroższy Troyu, chyba muszę się wreszcie z Tobą rozstać. Nie wiem, jak  
sobie poradzę bez Ciebie, ale zamierzam spróbować.  
Wybacz.*